



CHIMERA

TOM III ZESZYT 7 – 8
REDAKCYA i ADMINISTRACYA
WARSZAWA · KSIĄŻĘCA 7

TREŚĆ.

№ 7-8. — LIPIEC-SIERPIEŃ 1901.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.
Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Апрѣля 1902 года.

CHIMERA.



III

t. 3

TOM TRZECI. LIPIEC — WRZESIEŃ 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA, 7.

CZĘŚĆ DRUGA.
MĘŻCZYZNA.

Pieśń piąta.
TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W DUCHU.

I.



awsze licencyat z po-
[bożnością klęczy
Przed miłością bez
[żadnej osłony:
Lecz teraz walką ciała
[jest znużony,
I nostalgia ducha go
[dręczy.
I za fałsz dzisiaj
[wyzna
Te, co niegdyś wygłaszał, doktryny,
Że w niewiernej rasie Mesaliny,
Dusza, bardziej niż ciało, działa jak trucizna.

II.

Gdy z zasztyletowanego ciała
Dusza kobiety cudnej uleciała,

Widzi Torralba w powietrzu istotę,
Twór, niźli rzeczywisty, raczej widziadlany,
Co, kiedy się oddala czy też stanie zblizka,
Jako obłoczek biały śród chmurzyska,
Ma księżyca lub słońca cienie bladozłote.
To Kataliny dusza ukochanej,
Co zda się światłem zblizka, cieniem w dali,
I dookoła głowy licencyata
W nieokreślonej fali
Krąży wciąż i ulata,
W niewyraźne zmieniona kontury
Snu niecałkiem przerwanego...
Przeto, gdy licencyatem owłada
Ten cień nieziemskiej natury,
On pyta i sam odpowiada:
Do czego służy dusza? — Do wszystkiego!

III.

Mija czas — a choć do rycerzy
Licencyat Torralba należy,
Powiem, siebie do świętych zapisując cechu,
Że w miłości mu wszystko zdaje się bez grzechu.
Zawsze kusiciel! Teraz żądza go pożera,
By ta powietrzna, droga mu istota
Zapłonęła istotnym płomieniem żywota,
Co rodzi się i płonie, pali i umiera.
Ale na jego uczuć rzeczywistość,
Ona się platoniczną czułością odzywa,
I — jak to zazwyczaj bywa —
Niby zło, tak go drażni ta miłosna czystość.
Melancholia w nim budzi się straszliwa;
Szaleje, ducha spokój traci,

I coraz w nim się żądzy powiększa ognistość
Ku tej nieziemskiej postaci:
Podobnie rozgrzewa
Lodowa piękność owocu, wprost z drzewa.
I tak czuje Torralba, w jałowej boleści,
Jak żądze w nim są coraz srożej głodne.
Ona zaś tak go czule pieści,
Jak matka dziecię pierworodne.
I, kiedy coraz bardziej wre mu w duszy smętność
Tej nieskończonej ułudy,
Widzi Torralba, że dusza wstydliwa,
Którą nie wstrząsa namiętność,
Jest to małżonka tkliwa,
Co jednak wywołuje samotności nudy.

IV.

W miłosnej walce tego poganina
Z mistycznym Kataliny cieniem,
Ona boskim gorzała płomieniem,
On się miłości ludzkiej dopomina.
I w tem zmysłowem przedsięwzięciu,
Piękności jej chcąc być panem,
Ku ustom duszę jej chyli w napięciu —
Co bardziej od rozkoszy, w ułudy zaklęciu,
Pocałowaniem zda się, danem
Jakoby we śnie...
Ale mu się to przykrzyć zaczyna boleśnie,
Bowiem oddech jej zimny, jako tchnienie lodu,
W oczach ma blask, lecz blask ten świeci niecieleśnie,
I raz, gdy w szale rosnącego głodu,
Chciał się połączyć z ukochanym cieniem,
Wyciągnął ramię, — próżnię ogarnął ramieniem.

Więc, że mu dać nie mogła rozkoszy ta zmarła,
Taka wściekłość jego była,
Że krew wezbrana śród gardła
Niby supeł go dusiła...
Naciera! lecz jałowa mara:
Choć się miłość zwierzęcą swoją wcielić stara,
Niczem nie oddziała na nią,
Żeby sam pełną żądzy nawet był otchłanią.
Prawda! w walce rozpaczna przyświeca mu wiara —
Ale to wdzięczne ciałko z światłości różanej
Pocałunkami swemi usta mu zamraża,
A gdy nakoniec pojmie sprawy tej omany,
Nuda go aż do szpiku gangreną zaraża.
Chwiejny, niezdolny wytrwać dłużej,
Już wyznaje Torralba złamany,
Że, bardziej niż materya, i ciąży, i nuży
Dusza, jako świat oderwany.
Ród Adamowy, grzechów splamiony żałobą,
Żyje skazany na wieczną dwulicość:
Rzeczywistość z marzeniem w powiązaniu z sobą
Toczą wojnę, co nigdy pewnie się nie skończy,
A kiedy jedno z drugiem się rozłączy:
Rzeczywistość — to śmierć, ideał — to nicość. —

V.

Pojąwszy, że próżnicą marzenia
Jest, czego ludzka nie okrywa glina,
Jego rozum skruszony znów kochać zaczyna
Materyę — almam matrem *istnienia.*
I z ust mu słowa rozpaczne wybiegą:
Do czego służy dusza? Do niczego!
A pragnąc bez odmiany,

Żądze swoje oblec w ciało
W tej istocie z mgły świetlanej,
Po omacku kręci głową,
Jak ten, co kwiatów szuka pod śnieżycą białą.
Więc sądząc duszę tę różową,
Od ciała odłączoną,
Jako oszustkę, która łamie słowo,
Gdyż żądzę pozostawia w nim nienasyconą:
— Przeklęta! — tak ją zowie w ducha swego zgrzycie,
Wołając głosem chrapliwym od złości:
— Kto jeno duszę kocha, strąca życie
W otchłań otchłani nicości!—

VI.

Gdy potem sobie przekłada
Fałszywe owo pojęcie
Mędrca, który wręcz powiada,
Że miłość — to jedynie jest ciało w fermencie, —
— Zapewne — rzecze —
Kiedy żył bóg Pan na świecie,
Kwitło już rozkoszy kwiecie,
A przecież dusze człowiecze
Spały jeszcze w nicości odmęcie.
A że dobrze mi wiadomy
Krąg ewolucyi, co po światach wlecze
Boga materyi nieznikomej,
Który wieczyście igra z życiem i mogiłą:
Kobietę więc bez duszy zrobię arcymiłą,
Na cześć owego boga bez chwały na czole,
Który w czasach minionych i nienarodzonych
Widział tyle bóstw strąconych,
Porzuconych w historyi stodole!

Gdy się uwinę,
Za pomocą tajnych panacei,
Które najmędrsi złożyli doktorzy,
Zbuduję miłosną maszynę,
Wszelki z rzeczywistości starłszy ślad idei,
A tak moja alchemia kobietę utworzy,
Doskonałą samicę — lecz bez treści bożej. —

VII.

Wziął tygiel, gdzie się na ogniu rozpienia
Fibr pozbawionej krwi rzeka,
Dużo krochmalu z jęczmienia
I twaróg z kobylego mleka.
I dodaje wstrząsając miksturę:
— Zrobię swoją kreaturę
Z całą miłością sztuki pogańskiej geniusza,
I za błąd uznanem będzie
Wierzyć, że piękno — to zawsze i wszędzie
W zdrowem ciele zdrowa dusza. —
A gdy spostrzegł w tyglu na dnie,
Jako światło gęste i drżące,
Ciało śniegiem i różami lśniące,
Torralba, wnet z radością w półobłędnem oku,
W tej piękności bloku,
Z tyłu, z przodu, z boku,
Okrągławe kontury wyrzeźbił dokładnie,
Dość pełne, lecz nie tłuste, właśnie jak wypadnie.
I jak artysta, zaufany w muzach,
Z wiarą, niżeli grzeczną, ślepą raczej
— Niby Wenerze greckiej — licencyat wyznaczy
Czaszkę o doskonałych nierozumu guzach.
I gdy na koniec martwą raczej niż uśpioną

Widzi tam, na dnie kotła urodzoną,
Kobietę piękną niezwyczajnie,
Którą za wielką mógłbyś złota miarę
Do haremu sprzedać na stajnię, —
Straciła jego wiedza i spokój i wiarę,
Bo znów nienasycony — pośród żądz upału —
Zrozumiał ową tajnię,
Że pochodni konieczne światło, dusza — ciału.

VIII.

Widząc, że pozbawione duszy
Żadnem drgnieniem go nie wzruszy
To ciało świeże, niby perłowa macica,
Lub marmur wykąpany w promieniach księżyca, —
Do chytrego mnicha Fray Pedra mistrz zmierza,
Który mu takich rad udziela:
— Twoje ciało bez ducha jest rodzajem zwierza,
Co zapach górskiej kozicy wydziela.
Wiesz, boś czytał, co pisze Platon, mędrzec boży,
Że wszystko, co duch tworzy,
Przyodziane w materyę się wciela.
Że cokolwiek istniało, cokolwiek istnieje,
Ucieleśnia jakowąś ideję,
Nie pomięszałeś nieczystego z czystem,
I tej kobiecie — choć twój empiryczny system
Tej rzeczy wcale nie ocenia —
Braknie owego z góry idącego tchnienia,
Coby w niej niecielesne zbudziło napięcia,
Czy to w formie modlitwy, czy w formie zaklęcia. —
I dając mu papier — rzecze:
— Weź to. Opuść Rzymu nadrzecze.
Ten drogowskaz rad ci udzieli.

Czarownicy szukaj Estrelli,
Co nosi szatę długą jak całuny,
A którą nie raz wieszczów opiewały struny.
Dzięki jej, wróżki ci dadzą
Tajemniczą ingredyencyę,
Owoc mądrości, co swą władzą
Granicy nieba dociera,
A sądzę, że na wiedźmy tej zaklęcie
Znajdziesz sposób, by odkryć, gdzie to się zawiera
Owo quid divinum *kobiecości,*
Co z początku rozczula,
A kończy się na ckliwości.
Gdy już tak sformowaną będzie Muliercula,
Zaniesiesz ją i zbliżysz do blasków
Ogni piekielnych, a tak przysmażona,
Będzie mieć, jak powinna kobieta stworzona,
Nieco boskich, a więcej dyabelskich pierwiastków. —

IX.

Posłuszny Fray Pedrowi, który mniej był świadom
Teologii, a więcej wiedział z czarnoksięztwa,
Nadtybrowe opuszcza wybrzeże
Torralba i do sprawy tęgo się przykłada,
Chcąc czarownicy przysłuchać się radom.
Więc na hiszpańskie powędrował księztwa,
A gdy tę umówioną drogę przedsiębierze,
Tak zniechęcony sam do siebie gada:
— Każda córa niewiasty — to błoto i życie,
A choć ta haniebnie poczęta,
Jako córa mej wiedzy, błotne elementa
Tylko ma, — przecież, jeśli nędzy wiecznej koło
Otacza mię — toć wolę, w miłosnym zachwycie,

Niż wstydliwościom mistycznym,
Z materyą oddawać się wesoło
Szałom rozkoszy bezgranicznym.
O brednio ideałów, bądź-że mi przeklęta!
Czyż jest człowiek rozumny, co wierzy,
Że tylko wówczas rozkosz kwitnie w naszem łonie,
Gdy rozkosz ta jest dzieckiem idei - macierzy?
O, jakiż z ciebie głupiec, ty boski Platonie!

Pieśń szósta.

TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W MATERYI.

I.



amięci zawierzywszy, powra-
[cam do treści
Mojej powieści.
Opowiem więc śród innych
[prawd niezaprzeczonych,
Jak to, pełny rad doświadczo-
[nych,
Fray Pedro dał Torralbie notę,
[co mu wieści,
Gdzie się laboratoryum wybo-
[rowe mieści
Czarownic, dobrych kobiet - cór
[tajemnych światów,
Co żyją, mówiąc ku ich cześci,
Przedziwne kalendarze układając z kwiatów
I mierząc swe rozkosze tonem aromatów.
A są to, jak powiadają,
Mimowolne dziewice, które umierają

Nie doczekawszy chwały zasłużonej,
W życiu zaś podług woli swej nadprzyrodzonej
Czynią się niewidzialne jak etery.
Tak to wróżki (jak wszystkie naszych dusz chimery),
Niewiem dla jakiej czarów przyczyny głębokiej,
Gdy chcesz ich dotknąć, znikają —
I znów się ujawniają
O dwa albo trzy kroki...
Bardzo mądre, choć niewinne,
Nie uciekają od ludzi, jak inne,
Przez wstyd fałszywy; wróżki lotne
Są to dziewice samotne,
Ale przez ogień swój serdeczny,
Są to rodzicielki istotne —
Mające synów w myśli wiecznej.

II.

Pewnego dnia, gdy huczał grom po gromie,
Błyskawica otwarła wyłom u wyżyny
Góry, co na szczytu stromie
Rodziła jodły, na dole cytryny.
I Torralba na tym wyłomie,
Z rozkazu nieba wywołanym,
Choć krokiem niezdecydowanym,
Stanął, gotów do dalszej podróży,
I nagle ujrzał krzak róży,
Za którym była grota,
Gdzie już więcej, niż niebo, świecą raju wrota!

III.

Co za piękno, o Boże, w tych światach wyśnionych!
Wilgotny zefir wokół się trzepota

Na skrzydłach rosą uperlonych.
Jakby w konwulsyach ranna żmija,
Szybkiemi zygzakami rzeka się przewija.
Torralba opętany stał — w oczach zdumionych
Lśnią mu wzwyż tryskające kaskady powietrzne,
Śród których promieniste złocą się lucziole,
A wkrąg arabeskowe koronki bajeczne
Na skał wyrzeźbione czole,
Co wszystko zmienia grotę — jakby z czarów mocy —
W streszczoną baśń Tysiąca jednej nocy!

IV.

Licencyat imię swe powiada trwożnie,
A potem zbliża się ostrożnie
Do Estrelli, najstarszej pani w czarnoksięztwie,
Co, czekając na małżonka,
Lat siedmdziesiąt przeżyła w panieństwie.
I rzekł jej: — Duch mój rozmarzony,
Żądny anielstwa, w miłości się błąka.
Kochałem wiele w duchu, ale dziś znużony,
Pragnąc rozkoszy bez wstrząśnień i bóli,
Jak inni Homunculusa, *królowo,*
Drogą nauki szukam Mulierculi.
I stworzę postać, której piękno swą osnową
Obudzi we mnie płomień żądz bez obłąkania,
Bowiem miłośnik gry i kobiet krasy,
Już jako syn Adama czystej rasy,
Dzisiaj jedynie pragnę używania! —
— Rozumiem to, rozumiem! Chcesz zbudować sobie
Kobietę bez żadnego ułudy pozoru —
Rzekła doña Estrella — i w takim sposobie
Dojdziesz do tworu

Bez serca i bez mózgu, bowiem to ci zbrzydło,
Jak owym, którzy, gdy w nich żądze syczą,
Na wagę ciała — miłość liczą. —
Odparł ów: — Chcę nałożyć wędzidło
Na to dziwne obłąkanie,
Co mego ducha utrzymuje w stanie
Wieczystej wojny domowej,
Której pobojowiskiem głąb' serca i głowy. —
Estrella na to: — Nieświadomość licha,
Szukać cię, synu mój, przymusza
Rzeczy tej, co w miłości właściwie odpycha:
Próżnem jest, czego nie napełnia dusza.
Kiedy miłości blask porzucasz złoty
Dla ciała miłosnego bez uczuć istoty,
Przestępujesz od trwogi do nudy jałowej. —
I mówiąc: Naprzód — do roboty! —
Wskazuje mulierculę i, pośród jej głowy,
Uśmiech posągu śmiertelnie - lodowy.

V.

Inna z wróżek — na znak Estrelli —
Ciągnie więc kociół, w którego gardzieli
Drzemie jakiś eliksir wyższego żywota;
Wróżka zaś tak go użyć umie, że, jeżeli
Dość z wieku określoną jest dana istota,
W młodzieńca starca przemienia, niecnota.
Potem inną zamorę tajemną
Rzuca w fuzu głębię ciemną
I płyn bełta drewnianem narzędziem,
Szeroki zad kołysząc wolnemi obroty,
Kołysaniem się — rzekłbyś — łabędziem.
By ożywić płomień złoty,

Estrella woła jej rozkazująco:
— Gałęzi dorzuć do ogniska!
Duszą rzeczy jest gorąco!
Nie zapominaj nietoty,
Z której żądz odnowa tryska!
Krwi tu dolej wiewiórczynej
I nazbieraj dobrej gliny,
Którą Letejska wskroś przejęła woda.
Zlicz — i w równej mierze dolej
Dwie części pieprzu i dwie soli!
A potem doda:
— Jeszcze ognia — i jeszcze skorpionowy olej.—
Pomocnica wstrząsa i podżarza,
A doña Estrella powtarza:
— Jeszcze — jeszcze — skorpionowy olej!—

VI.

A potem w kotle druga alchemistka
Południowego cedzi promień słońca —
Gdyż wie o tem magia wszystka,
Że duszy jest klimatem Andaluzya wrząca.
Z promieniem słońca promień kojarzy miesięczny —
I kunsztownie łączy potem
Rzecz samą z rzeczy przymiotem,
Wywołując w sposób zręczny
Starcie dwóch magnetyzmów przeciwnych.
Później Estrella, pieczar owych pani,
Która z miną słodziutką a w słowach naiwnych
Kończy prawić Torralbie, jak to niegdyś dla niej
Jakiś król opuścił żonę — —
— — Czyniąc gałązką z masy złotej
(Symbol pieniędzy) niejasne obroty,
W dwunastu językach mówiła: płonę!

W czternastu: kocham! odmieniała.
I oto w końcu wiedźma osiwiała,
Brzydsza niż żóraw' zeschnięty,
Jakiś szereg słów zaklęty,
Z przekonaniem, szepcąc wymawiała.
I Muliercula *wstała zgalwanizowana —*
Choć jeszcze wewnątrz snem opanowana.

VII.

Torralba widzi, szczęsny bez pamięci,
Jak nieomylnie jego kunszt wywoła
Tę powietrznię z miłości, światła i esencyi,
Która kobietę otacza dokoła,
A której woń kusząca (a któż jej nie wącha?)
Równą jest ostrej woni, jaką dysze koncha
Afrodyty, co ludzi na Cyterę nęci!
Co za dziw! Muliercula *była w ochędożny*
Jakiś blask naturalny zewnętrznie odziana,
Jaki niegdyś Wenerze dała cudzołożnej
Macierz czystości wiecznej — mórz egejskich piana!

VIII.

Wobec powagi przeczystego zdroju
Światłości, którą piękno jej osnute,
Torralba ją uścisnął pełny niepokoju,
Aż na jej ustach przetrwała minutę
Białość śladów jego pocałowań.
Więc, w prologu miłości swojej oczarowań,
Z Horacyusza ogrodów rzuca wonne kwiecie
Tej tak cudnej kobiecie,
Że w seraju zjawieniem byłaby uroczem.

Na widok ten, Estrella myśli — o czem?
Wiem, ale się ode mnie tego nie dowiecie.
A w końcu wiedźma zamyślona
Rzecze wzruszona:
— Ochrzczona piekieł ognia falą świetlną,
Pierś jej pozbawioną wyjścia będzie Etną...
Sam ją weźmiesz na ramiona,
Niosąc w piekieł bezdenie,
A gdy ją na przeklęte wystawisz płomienie,
Wnet się w niej zbudzi przez uroki —
Anima — *piękne światło pogańskiej epoki,*
Co jest więcej niż życie, a mniej niźli dusza. —
Tak opatrzony w drogę więc wyrusza
I zakochany unosi na grzbiecie
Swych namiętności sztuczne dziecię.
I w piekieł ciemnej krynicy
Szedł szukać licencyat ateusz
Tej świętej błyskawicy,
Której niegdyś w niebiosach szukał Prometeusz.

IX.

Na pożegnanie, wróżki kołowrotem
Wyszły z swych siedzib. I leciuchno potem,
Wzgórz unikając, po dolinach krążą
I powracają w swoich pieczar głębie —
Jak wracające do gniazd swoich dążą,
Do gołębnika, kołując, gołębie.

Pieśń siódma.
TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W PIEKLE.

I.



ak to niedawno Dante Alighieri
Przyniósł dokładny opis piekieł
[sfery:
Za dni Torralby znanem było
[śród narodu,
Że ziemia jest płaszczyzną, że
[niebios etery
Ma u szczytu, piekło zaś
[u spodu.
Idąc prosto przed siebie,
Na przełaj, mistrz ze swym
[tworem
Przedzierali się gęstym borem,
Szli przez góry o szczytach zawieszonych w niebie,
I poprzez ścieżki kręte, co są niby łoża
Jakiejś wyparowanej żarem słońca rzeki,
I szukali ujętej pomiędzy dwa wzgórza
Pewnej doliny głębokiej,
Która jest dawnem piekłem, a której dziś mroki

Zamieniona w powszechne mętów ziemskich ścieki;
Im się zbliżali bardziej do doliny,
Czuli w powietrzu płynące
Jakieś odory cuchnące,
A gdy się zatrzymali
Śród chmur przechodzących fali,
Oddechem grobu ziały dżdżu lawiny.
Wreszcie — ujrzeli, niby gościniec szeroki,
Co dziś łożyskiem stał się rzeki w zimie —
Dolinę, zaciśnioną między dwóch gór boki,
Którą zwie niższem piekłem *Dant w swej terza-rimie.*

II.

Gdy stanął u wrót królestwa szatana
Licencyat z Mulierculą u boku,
Wyraz miał taki w obłąkanem oku,
Jakby z pijackiej orgii uciekł z rana.
Tu spotkał Garcię Juana,
Druha swojego. Mąż to wielkiej wagi,
Znaczny w hierarchii i pełny powagi,
W astrologii bardzo uczony,
Kanonik i doktór z Barcelony.
Ale żył on w tej dobie, gdy kwas luterański
Naruszył świętość eucharystyi,
Oraz w tej samej dobie, gdy żołnierz hiszpański
Czuwał nad całym światem, dzierżąc miecz ognisty.
Garcia, choć jeszcze wiary rzymskiej nie odmienia,
Lecz woli już, luterskich nowinek świadomy,
Pismo, niż kryteryum Romy
I, czyniąc prawo z własnego sumienia,
Do spowiedzi swej rzekomej
Wziął Boga, co ma minę poczciwego księdza,
Bo słucha — milczy — i do skruchy nie napędza.

III.

Święte Oficyum szuka sług gorliwie.
Garcia się nadał do jego wymogów,
Na żądanie ascetów więc i astrologów,
Tajemnemi rozkazy do krainy Biesa
Wysłano go, gdyż wiedział, że w piekieł archiwach
Są całkowite dzieła Arystotelesa.
Ku czci wielkiego Stagiryty,
Którego system znamienity
Naśladuje kościół na swych niwach,
Szukając niemożliwej rzeczy,
By wytłómaczyć boskość z istoty człowieczej,
I wywodząc, jak Tomasz z Akwinu,
Boga oraz pojęcia ze zmysłowości rozczynu, —
Dyabelskim fortelem
Juan Garcia zamaszyście
Zawładnął Arystotelem,
Zabrawszy go piekieł archiwiście,
Butibambie, dyabłu uczonemu,
Co wykładał światu chrześciańskiemu
Nauki, zapomniane oddawna przez greków,
A później odnalezione
I znowu zatracone
Przez rzymian, po upływie kilku wieków.

IV.

Kosmaty był i nizki, miał harpii nos długi
Butibamba, tak, że byś rozumiał,
Jako w swem pierwszem wcieleniu papugi
Miał formę, a na pamięć umiał

Dzieła wszystkie Stagiryty;
Nadto ukrywa, niby skarb tajemny,
Księgę, zkąd czerpać mogą hipokryty
Zasady moralności ciemnej —
Rytuały piekieł świątyni podziemnej.
Patrzcie: z owej rzadkiej księgi
Butibamby dyabła (który,
Będąc uczonym niewielkiej potęgi,
Że nie mógł wyrozumieć nauk swych natury,
Z dziesięć razy dostał bzika)
Oto niejedna wybora zasada,
Z której dla czytelnika jasno to wynika,
Że moralność, co dyabłom najmilej przypada,
To moralności kościelnej przesada.

V.

1.

Wszystkim najdoskonalszym magistrom obłudy,
Którym nadają miano sprawiedliwych ludy,
I którzy sądzą, że kto książki czyta,
W tego zaraza wchodzi jadowita, —
Polecam, aby, sami wyższe twory,
Tępili dobrych *pokolenie,*
Bo tak będziemy mieli pełne wory
Piekielnej rasy lepszych *w wielkiej cenie. —*

2.

Sławcie tę moralną straszliwość,
Że człek zacnego spełnia obowiązek męża:
Kiedy niedoskonałość w doskonałość wytęża, —
I uczyńcie z cnoty niemożliwość.

3.

Rodzaj ludzki na szczycie postawcie z szacunkiem
Jako upadłego Boga —
Aby nigdy ta prawda doń nie sięgła sroga,
Że tylko przebóstwionym jest ssaków gatunkiem.

4.

W religii, prawdziwą kochajcie,
A siłą ognia i miecza
Wszystko, co się bluźnierstwem zdaje, wytępiajcie
I do krańcowości rozwijajcie
Wszystko, co dręczy świat i rozkalecza.

5.

Świętość małżeństwa sławcie
Jako przenajświętszości cudy
I zatajcie — mówię szczerze —
Że ten, co małżonkę bierze,
Ma wielkie łoże, na którego hafcie
Więcej, niż snu, przepędza godzin nudy.

6.

Budźcie w ludziach nadzieję! Pierś ludzką przenika
Zaufania głód tak doskonały,
Że każdy wędkę życia napewno połyka,
Na wabik nadziei zuchwałej.

7.

Wprowadźcie w życie zasadę tej cnoty,
Że szlachetnego człowieka zadanie
Jest bić się zawsze o trzy przedmioty:
O swą wiarę — o prawo — i o swoją panię.

8.

I ostrożnie, a w sposób skuteczny,
Gdy światła zbraknie wam teraźniejszości,
Otwórzcie okno ku przyszłości,
Tak drogę władzy gotując wiecznej
Nieogarnionych tajników ciemności.

Do tej receptury czarciej
Przyłączywszy całkowity
Zbiór dzieł wielkiego Stagiryty,
Butibamba, w dniu pewnym,
Gdy czuł, że w nicestwo już jedzie,
Juanowi Garcii,
Ku czci nauki, zostawił je w schedzie,
Sądząc go, zda się, swym najbliższym krewnym.
Wielką zasługę, wyznać trzeba,
Położył tym sposobem: gdyż dzięki tej mierze
Święte Oficyum wielką zbudowało wieżę —
Nową Babel, wiodącą do nieba.

VI.

Licencyat, żądny pośpiechu
W smutnych swych rozkoszach grzechu,
Do Juana Garcii właśnie,
Mulierculę *wskazując, rzekł:—Trzeba koniecznie*
Przy tym piekielnym ogniu, co już gaśnie,
Tę kobietę (mej sztuki wytworna to maszyna)
Natchnąć duszą — nie ludzką duszą, co trwa wiecznie,
Lecz duszą, jaką żywa, czuła tchnie roślina.—

— Prawda, rzekł Juan Garcia, wyludnione zgoła
I ostygło tego czasu
Piekło — tak, jako niegdyś z Olimpu, z Parnasu
Odpłynęły bogów koła...
Albowiem od tej chwili,
Kiedy ludzie przez Danta szlak piekieł odkryli,
Natychmiast je z tej sfery uniósł precz Jehowa
I pomieścił na innym firmamencie —
W obawie, że, gdyby weszli z człowiekiem w zetknięcie,
Uczciwość dyabłów się popsowa.
Ale że się zbuntował naród potępiony,
Dalej chcąc zamieszkiwać piekielne regiony,
Bóg zmarszczył brew i cały
Piekieł okrąg starożytny
Spojrzeniem w głazy przemienił i skały!
O miłości ojczyzny, ty, zapale szczytny!
Próżno chciał Bóg ich przenieść na inne planety.
W różnej formie, w różnym stanie,
Przyjmują owszem najwyższe skaranie,
Pełni jakiejś rozkosznej, nadludzkiej podniety...
Wszyscy wolą zestąpić, w głazy obróceni,
Z królestwa człowieczego do państwa kamieni.
Bo, gdyby przenieść piekło do innej otchłani,
Jakżeby mógł potępiony
Żyć w przestrzeni oddalonej
Od hiszpańskiej mowy i Hiszpanii?
Sam Butibamba, i jego gromada,
W postaci granitowego urwiska,
Jest bożyszczem kamiennem, co mu w głębi pyska
Gnieździ się żmija, oraz jajką składa.
A chociaż Dante sprawy tej nie kreśli,
Jaka to męka — być skałą, co myśli, —
Głupcy są ci, co roją, że napewno wiedzą,
Iż nicość wszystko pożera...

Albowiem to, co umiera,
Obdarzone jest jakąś tajną samowiedzą,
I nigdy ludzie ciemnych tych walk nie wyśledzą,
Jakie w boleści dniach toczą ze sobą
Rzeczy, co widzą, słyszą, co łzawe żałobą
Cierpią, lecz słowa nigdy nie powiedzą! —

VII.

— Ale przyszła chwila na koniec —
Do Torralby druh rzecze miły —
Zalotny bowiem miłowania goniec,
Wiatr, rozpraszając roślin pyły,
Powszechne budzi śluby i ziemię ukwieca. —
I Juan rozdmuchuje z całej siły
Popioły, lecz je napróżno podnieca.
Ponieważ jednak rzecz to pewna,
Że ogień można palić, póki nie brak drewna, —
Licencyat naraz, ślepą swą żądzą popchnięty,
By ożywić gasnące błyskawice,
Spostrzega na wrotach krainy przeklętej
I zrywa z ich szczytu tablicę,
Na której napis jaśnieje:
Wy, którzy tu wchodzicie, porzućcie nadzieję!
I gdy tablicą ognisko podpala,
Rzecze Torralba: — Teraz zbuduje duch boży
Inne piekło, któremu właśnie że otworzy
Źródła nadziei przeklętej,
Bo nadzieja jest niby pragnienie Tantala,
Który śród wiecznej żyje fal ponęty,
A zawsze od ust ucieka mu fala...
O nadziejo, ty, równie piękna jak szalona!
Jakież mogą dać męki piekielne otchłanie,

Jeśli nadzieja będzie z piekieł wypędzona,
A z nią trwoga, niepokój i rozczarowanie! —
Więc, kierując błysk źrenicy
Na to jakby gasnące płomię,
Co jeszcze pozostało w straszliwej stolicy
Żądz potwornych i grzechów umyślnych świadomie,
Garcia zręcznemi półobroty
Pochyla się, w dłoń zbiera ziemię,
Zbliża się do tej kobiecej istoty
I sypie garść popiołu na jej głowy ciemię,
Mówiąc: — W imieniu świętej i wieczyście młodej
Matki przyrody!.—
I jeszcze brzmią słowa Juana:
— Idź, kochaj i bądź kochana! —
Tak, dnia owego, sztuczna Torralbowa żona
W piekielnym ogniu została ochrzczona.

VIII.

Gdy Butibamby przyjaciel uczony
Te okropności poczyna, —
Cóż robili w dobie onej
Zakiel i Katalina,
Grzeszników dwoje,
Którym jeszcze zamknięte niebieskie podwoje?
Nie mając już na głowie rogów,
Ozdoby naturalnej u dziatwy piekła progów,
Zakiel u Kataliny boku
Stał w anioła znów przeobrażony.
I oboje ze łzą w oku,
Pełni troski niepocieszonej,
Chcąc odkupić rzecz nieodkupioną,
Modlą się z wiarą niezwalczoną

O los duszy człowieka występnej,
Na wierzchołku góry niedostępnej,
Gdzie powietrzem ledwie dysze łono!
Ona — wierną pamięci Torralby została
I modlitwą złagodzić chce jego cierpienia,
Gdyż nietylko rozkosz to, ale też i chwała,
Żyć dla cudzych win odkupienia.
Twarz jej oblewa mistyczna poświata,
A usta jej różane
Powinnyby być całowane
Nie przez kochanka, lecz raczej przez brata...
Dla tego, który dotąd nie zaczął pokuty,
Błaga o przebaczenie pychy win zatrutej...
A tymczasem jej czoło
Olśniewała w około
Tęcza, co barwy rozpala
Nad doliną, niby most świetlany,
Który — zda się — łączy dwu gór ściany.

IX.

Aż Juan Garcia spojrzy niespodzianie
W stronę, kędy słoneczne rodzi się zaranie,
I zawoła: — O, patrzcie, jak Demon, król biesów,
Z tej niezmiernej wyżyny,
Synom swoim ostatnie daje pożegnanie,
Idąc w świat, gdzie ma władcą innej być głębiny. —
I oto na horyzoncie, u kresów,
Widzą, jak się jego postać wspina
Na śnieżnym wierzchołku góry,
Tam, gdzie kończy się życie, ale nie wyżyna.
I mówi Demon: — Nędzne kreatury,
Na noc przez Boga skazane wieczystą

Za to, żeście się nieczystą
Napawali rozkoszą,
Której niebieskie kanony nie znoszą;
Gdy piekło na kostnicę przemieniono wieczną,
Opuszczam was, a razem ludzkie plemię
I tę mą twierdzę stołeczną,
Zkąd siedem grzechów głównych schodziło na ziemię;
A ponieważ żarliwe wasze duchy
W głazy przemienić dały się bez trudu,
I jako więźnia łańcuchy
Miłość piekła cię trzyma tutaj, o mój ludu!
Ponieważeście znieśli zawieruchy
Przeznaczeń niełaskawych, —
Zostańcie tu! Zawsze tu mieć będziecie
Rozkosz boleści krwawych!
Raso grzeszna, nie czekaj zbawienia!
Nędznem jest wszystko na świecie;
Od cierpienia do cierpienia
Pieśń bólu nieskończenie żywą
Budzić w was będzie — wieczny łącznik sił — tworzywo!
Przebiegając gamę olbrzymią boleści,
Poznacie miłość w ruchu wieczystym, zażywszy
Jej łez od ognia nieskalanej treści
Do nienawiści najtkliwszej.
Śród skał i roślin zatrutych,
W postaci barw, cieniem osnutych,
Śledzić będziecie tę wojnę surową,
Której — nienawiść i miłość — osnową.
Gdyż ziemi wieczne przekleństwo —
To stałe, wrogie rzeczy przeciwieństwo.
Napróżno rojąc, że szlak łez ominie,
Nowe przybiera kształty substancya śmiertelna —
W człowieku, w marmurze, w roślinie!
Na dnie wszystkiego gorycz żyje niepodzielna.

Ludu mój! Prawem nigdy niewzruszonem
Znaj, że wszystko, co jest i co było,
Skończy się, jak to piekło się skończyło,
Bo milczenie wieczyste — na mroków ruinie —
Wszelkiej wrzawy istnienia jest dyapazonem. —

X.

I, na dowód posłuszeństwa,
Wielki Demon, żywiąc przekonanie,
Że już wobec Bożego stoi dostojeństwa,
Jak gdyby echem woła: — Idę, Panie! —
Na głos, co mu w sumieniu bije.
I wypełnia w czci głębokiej
Boże wyroki!
A tymczasem na skroniach mu żmije
Tęsknoty razem z grozą zabłysną złowrogą,
I znów na piekło spojrzy, i w żalu się wije,
I śnieg odwieczny uderzywszy nogą
Na szczycie góry, w głąb' go odpycha,
I na przelatującej zasiądzie komecie,
A jego wargi szepczą z cicha:
— Żegnaj mi, żegnaj, piekielny mój świecie! —
I gdy noc rozwijała, jak całun szeroki,
Swe milczenie, i chłód swój, i mroki,
Posłuszna gwiazda komety,
Na rozkaz Pana
Świat przelatując, uniosła szatana,
By władał w innem piekle śród innej planety.

Pieśń ósma.

TORRALBA ZNAJDUJE SZCZĘŚCIE W ŚMIERCI.

— Natknęliśmy się na kościół, mój Sanczo.

— Widzę to, odparł Sanczo. Racz sprawić, Boże, abyśmy się nie natknęli na swój grób.

(DON KICHOT, Cz. II, Rozd. IX)

I.



ręgiem wzgórz otoczo-
[na i cieniami lasu,
Cuenca zbudowana
[leży
Na górze w formie
[ananasu,
A kiedy z góry spły-
[wa, jej obwód się
[szerzy,
Jakby szukając miej-
[sca śród niwy falistej.
Miastem była walecznem i w bojach wsławionem,
Które za Maurów już czasu
Miało w herbie kielich złocisty
I srebrną gwiazdę na polu czerwonem.

II.

Był dzień szóstego maja. Ledwie świt zamiga,
W jednej Świętego Oficyum ciemnicy
Mówił do kawalera Diego de Zuñiga
Torralba: — Jesteś zbieg z pod szubienicy!—
— Rycerzem jestem, panie, — rzekł Don Diego.
— Tak, tak! — odrzecze Torralba z zapałem —
Co zdradził przyjaciela swego
Przed świętym Trybunałem,
Że niby Lutra upowszechniać miałem! —
— Bo jestem prawdziwy chrześcianin... —
— Bo jesteś oszust, mości panie,
Co okłamuje tłumu zaufanie,
I zyskawszy śród ludzi uznanie,
Pieniędzy pożądasz i danin! —
— Prawo boże jest rzeczą świętą —
Odpowie mu Zuñiga.
Ów zaś: — To hipokryzyi intryga!
Grzech jest rzeczą mniej przeklętą,
Bo gorszem obłudy szalbierstwo
Pewnych hidalgów mizernych,
Co pragną być u dworu i udają wiernych,
By uniknąć podejrzeń o kacerstwo.

III.

I gdy powolnym krokiem
Wschodził dzień, złotem słońcem lśniąc śród widnokręga,
Gromadka ludzi weszła do ciemnicy,
Na których przez pół obłąkanym wzrokiem
Torralba patrzał trupiolicy.
Jeden z braci, w którego ręku była księga,

Mająca na grzbiecie oprawy
Napis, w literach wielkich barwy krwawej:
Śledcze akta sprawy,
Licencyatowi Torralbie wytoczonej
Za kłamstwa, kradzież, oraz inne zbrodnie, —
Wystąpił, i głosi mu zwolna, niewzruszony,
Wszystkie jego szaleństwa, każdy grzech za grzechem:
On zaś z takim słuchał go uśmiechem,
Jakim się czarny anioł śmieje niezawodnie.
Mnich przyzywa jednego ze swoich dworzanów,
Który zdał się z rodzaju wiejskich zakrystyanów,
I wielki inkwizytor każe mu powoli
Czytać fatalny wyrok Bractwa woli:
— Zważywszy, *trybunał Hermandady świętej,*
Że pod wpływem pewnego anioła Zakiela,
Który ekskomuniką został już dotknięty,
Licencyat Torralba, pośród grzechów wiela,
Oddawał się czarowstwu i magii przeklętej;
Zważywszy, *że się uczył nauk zakazanych,*
Proboszczowi Bargoty nieznanych;
Że w parę mgnień, na miotle, w powietrznej otchłani,
Tam i z powrotem latał od Włoch do Hiszpanii,
I że — jak czarnoksiężnik — pewnej nocy,
Przy upadłego ducha Zakiela pomocy,
Jednym skokiem się znalazł w Rzymie śród ulicy —
I w kilka godzin po rzeziach w stolicy
Od niego Valladolid wiedziała zdumiona,
Że Rzym opanowany został przez Burbona;
Zważywszy, *że nie czci on żadnego dogmatu,*
Że, stworzywszy kobietę, niby dla zabawy,
Spokojnie żył śród ciżby dzikich zwierząt krwawej,
W pieczarze jednej z gór tego powiatu,
Między Tragacetem a Cuencą;
Dodając jeszcze do tej sprawy,
Że w jaskini, gdzie władza ujęła go ręką,

Pozwalał sobie zbytków babilońskich z gminem
Czarowników i liczne wzywał czarownice,
Urządzając wieczornice
Z chlebem i serem i winem;
Zważywszy, *że chciwości nic mu nie nasyci —*
Że starał się wynaleźć tak poszukiwany
Kamień filozoficzny, nigdy nie zyskany;
I że, gdy chciał w zawody z dyabłem iść w ambicyi,
Bezbożna żyła w nim pokusa,
By stworzyć Homunculusa,
Co byłby tylko synem ziemi
Na wzór Anteusza;
I że pomiędzy sekciarzami swemi
Sam jeden zyskał palmę stworzyciela,
Bo stworzył postać, w której nie istnieje dusza,
Lecz która całą piękność materyalną wciela;
Zważywszy, *że gdy go opętała nowina*
Głoszona przez Erazma i Lutra Marcina,
Kocha tylko materyę, — że więc taką drogą
Nauka jego jest herezyą srogą,
Bo duszy ludzkiej nienawistnie przeczy,
Kochając tylko duszę powszechną wszechrzeczy;
Zważywszy, *że ta kłamstw szkarada*
Na blizką przyszłość zapowiada
Religię Ojca, w której zapomina
Matki i Ducha i Syna;
Zważywszy, *że — jak nieraz wypowiadał zdanie —*
Bóg - Syn to dlań jedynie mąż niezwykłej miary,
I że przeklęty owy syn niewiary
Czasami wątpił nawet o szatanie:
Przez niebo natchniony z góry,
Trybunał stanowi,
Że Torralbie - licencyatowi
Zadane będą ku męczarni — sznury. —

IV.

— Czy się serce twoje skruszy? —
Pyta go lektor surowy.
W dręczącym rozstroju duszy,
Torralba rzecze temi słowy:
— Czego pragnie Oficyum Święte, niech wykona.
Bardziej jam zrezygnowan, niż mię żal przygniata.
Nie przeklinam już dnia, gdym wyszedł z matki łona,
Dzięki chwili, gdy pójdę precz z waszego świata!
Bardziej niźli klerowi wstrętną mi jest pycha
I ignorancya Lutra, opornego mnicha,
A jeśli badam dylemat,
Czy gorsza nicość czy życia natura,
Wiem to z Pirrona, którego systemat
Jednem pociągnięciem pióra
Wykreślił dziejów stworzenia problemat.
Co się tyczy rozkoszy,
To w pięknie dla swych zmysłów szukałem słodyczy,
Odkąd ta prawda w mózgu mi zasyczy,
Że dusza — to spoczynku wróg macoszy.
Mulierculę stworzyła moja własna wiedza,
Com uczynił, gdy pojąłem,
Jakiej otchłani jestem otoczony kołem,
Bowiem, spokojnie ważąc, owa miedza,
Którą Bóg ciało od duszy oddziela,
Sprawia w człowieku—cóż? nieprzyjaciela,
Co wiecznie walczy z swem własnem istnieniem.
Nie dziwcie się, że mojem rozumieniem
— Święte Oficyum niech mi to wybaczy —
Lepsza śmierć od ascetyzmu rozpaczy.
Miłość to życia promień całkowity —
I nienawidzę ciżby, która życie paczy,

Na włosienicę zmieniając pas Afrodyty.
Wątpię wiele — to prawda; a w przeczeń sposobie
Naśladuję wzniosłość stylu
Sokratesa, co, będąc w swej ciemnicy grobie,
Zowąd w świat słów szyderczych rzucał manifestem,
Niby tragiczne potęgi w Eschylu.
I spokojnie posłuszny jestem
Sprawiedliwemu, który
Ze szczytu Olimpijskiej góry
Bogów Katona jednym strącił gestem.

V.

Odpowiedział mu lektor: — Z temi słowy zgodnie,
Raz jeszcze potwierdzone mamy jego zbrodnie.
Rzecz zbadawszy, Trybunał wyroku nie zmieni:
Torralba więc zostanie karany torturą,
Lecz nie podlega kaźni, którą
Czasami znoszą potępieni,
Którzy na ośle grzbiety
Bywają wsadzeni,
Którym się głowę przystraja korozą
I których tak na auto - da - fe wiozą,
Na szafot śród stosu płomieni.
Rozkazujem natomiast, aby po torturze,
Przywiązany u stosu sztachety,
Widział śmierć swej bezbożnie stworzonej kobiety.
Jak będzie na ognisku spaloną w naturze. —
Torralba rzekł: — Panowie, dzięki wam, o, dzięki.
Z chęcią to życie oddam za nic,
Byłem, nim dzień dzisiejszy dojdzie mroku granic,
Porzucić mógł ten ciężar zawodów i męki. —
Gdy wyrok ogłoszono,
Na żelaznem łożu rozciągnięto

Grzesznika — z duszą w winach nieugiętą —
Co już się zdał istotą przez pół pogrzebioną.
I w czasie tym, gdy jeden z księży
Głosi Torralby wszystkie złośliwości,
Inny garrotę mu natęży,
Aż go sznur przenikał do kości.
Torralba z bólu bez miary
Szepcze jak Hiob albo Jerobeam:
— Taedet animam meam!..
Duch mój jest zniechęcony do żywota mary. —
I mówi: — Dalej, dalej!
Nie chcę, byście o moment choćby przedłużali
To życie, co mię przytłacza!
Toć żywot wieczny karą był Żyda Tułacza,
Karą, od której nigdy śmierć go nie ocali. —
Bracia się modlą, krążąc dookoła,
A jeden (święty w duszy swej — natchnieniem,
Lecz który głosił Boga mieczem i płomieniem)
Z prawdziwym żarem tak woła:
— Niech zginie grzech wytępiony!
Kościół, póki się znajdzie bezbożnik śród świata,
Coby naruszał dogmat uświęcony,
Tępić go będzie, aż wytępi zgoła
Rasę Torralby licencyata! —
A inny święty odpowie,
Na inkwizytorów patrząc Trybunału:
— Niech zginą grzesznikowie!
Niechaj grób ich pochłonie! Tam, w mogilnym rowie,
Duch nasz z grzechów ziemskiego oczyszcza się kału! —

VI.

Gdy tak Torralba pada w tortury omdlałość,
Widzi przebiałą jakąś białość:

To Zakiel płynie uskrzydlony
Do tamtego świata progu,
Obok kochanki swojej odkupionej,
I razem hymn śpiewają Bogu...
I w chwili, gdy się od świata oddalą
Duch Zakiela i duch Kataliny,
Boskiej promienności falą
Zapłoną światła edeńskiej krainy!

VII.

Torralbę z łoża podjęli
I długi czas go ciągnęli
Śród nieludzkiej gawiedzi.
Wreszcie u kraty przywiązany siedzi,
I gdy śród skazańców gromady
Z rozpaczy usta zębami kaleczy,
Zda się pijakiem krwi człowieczej.
W gorączce, od męczarni blady,
W piersi ma ogniste żary;
I gdy go mglista wątpliwość przygniata,
Roi Objawień religijnych mary,
Co gotują przyszłość świata.
I gdy naraz, stos ujrzy, oko w oko,
I dokoła tłum narodu,
Poczuł w sercu ostatni dreszcz chłodu.
A gdy ciżbą szli szeroką
Wierni i bezbożnicy
Wzdłuż ciasnej ulicy,
Co była bagnem i rzeki rozlewem
Na wiosnę, w zimie, oraz w letnim czasie, —
Wielka procesya potępionych,
Raczej niż żywych tłumem, zda się
Huraganem widm zrozpaczonych.

I gdy procesya wreszcie wkracza,
Kędy był stos, na wzgórze,
On patrzy już nie widząc; w dzikich myśli chmurze
Taka wściekłość go przytłacza,
Że sam miał twarz Nerona, Rzymu podpalacza.
Łka z bólu, coś go dusi, w skroniach szybko tętni,
I gdy zachodzące słońce
Rzucało najobojętniej
Blaski tak natężone, że aż wzrok ślepiące,
I gdy ujrzą jego oczy,
Jak się ta ciżba ślepa tłoczy, —
Licencyat szepcze: — To litości godne!
Że na to ścierwo zgniłe i cuchnące
Spływa światło tak czyste, piękne i pogodne! —
I tak, u kraty zawisły,
Patrząc wokół, zda się, traci zmysły.
Skrami błyskają oczy gorejące,
A w gorączki dreszczach ognistych,
Śród rzeczy urojonych oraz rzeczywistych,
W powietrzu ptaków obaczy gromady,
A na ziemi pełzające gady,
A dokoła widm tysiące,
Cienie, duchy, i wiedźmy, i strzygi krążące.
I śród bólu, co śmierci pokrewny,
Widzi białą postać anioła,
Co z nieba doń się chyli — i w melodyi rzewnej:
Żałuj grzechów! tak mu woła
Kataliny dusza skrzydlata
Namaszczonym głosem z nieziemskiego świata.

VIII.

Zanim chórem ucichł wrzask cały,
Podobny do szmerów spienionych,

Jakie czynią rozcierane kryształy,
Gdy skacząc ze skał na skały
I losem wybierając urwiska
Z szumem Huccar się ciska:
Słychać jęki potępieńców,
Jedni modlą się bez skargi,
A drugie tłumy jeńców
W kratery przekleństw zmieniają swe wargi.
Tymczasem śród ogni młyna,
Leżąc, niby w miłosnej łożnicy,
Muliercula albo Torralbina
Nie bez piękności i gracyi
Ujawniała w swej postaci
Naturalny wdzięk tygrysicy!
Choć cierpi, pewnie tak to czyni,
Że gdy za tego ginie, co go kocha,
W płomieniach nie jest ani trocha
Mniej spokojna, niż ptak na pustyni.
Nieświadoma jak bestya, chociaż ją pożera
Przerywany ogień stosu,
Gdy dla kochanka umiera,
Głupia! uszczęśliwiona jest ze swego losu.
Bo kierując się zmysłem wrodzonym, koniecznym,
Dążąc w przyszłości
Do spokoju wielkiej nicości,
By koniec tu był końcem ostatecznym,
Nawskroś, z animą *swą całą*
Na płomienisku świetlanem
Jak na łożu umarło różanem
Owo ciało bez duszy człowieczej,
Co naśladuje swą ciszą wspaniałą
Święty majestat wszechrzeczy!

IX.

Dymy i popiół rozproszony
W powietrzu unosiły się, niby welony.
I póki słońca gorzało ognisko,
Ostatni dzień jej życia lśnił żywemi blaski,
A gdy zamilkły wreszcie rozpaczliwe wrzaski
Gromady potępionej,
I gdy spłonęło wszystko,
Dym uleciał w górę uniesiony
I cały się rozpłynął w nocy przeminionej!
Smutno, gdy znika z żywota
Tak niewinna i piękna istota,
Lecz gdy owa tragedya nieczysta przeminie,
Gdy znów się wody wiosenne zapienią,
Na górze, na dolinie, na równinie
Znów się pola okryją zielenią,
A zieleń różami,
A róże motylami!
W Torralbie zwolna gaśnie duch człowieka
I budzi się w nim piekła śmiech wszeteczny —
I obojętnie czeka
Na kresu kres ostateczny,
Na sen — ach! na sen wieczny...
A wtem wirem w nim zagrzmią myśli huragany —
I w ostatniej chwili, jak zmory,
Dym ognisk rozkołysany,
Palonego tłuszczu fetory,
Kadzideł i wosku powiewy,
Zwilgotniałej ziemi wyziewy,
Cały ten koncert jadem przesycony
Ohydnych woni w powietrzu cuchnącem,
Zda mu się, chociaż sam jest nawpół zaczadzony,

Jak odór, którym bucha, nagle otworzony,
Grób zamknięty przed lat tysiącem.
I, przywiązany do kraty,
W zniechęceniu szepcze złowrogiem:
— Dość tej ohydy życia! Chcę życia zatraty!
Życie, co mię opuszcza, niechaj idzie z Bogiem. —
Widzi Torralby duch bolesny,
Że już do tej krainy wchodzi nieokreślnej,
Gdzie się Żywota kończy panowanie
I gdzie już śmierci przeczuwa się sferę —
A choć wiary tej nie ma w sobie,
Która Boga ujawnia w próżni oceanie,
Szepcze: Miserere!
I przeklinając zło, co włada na tym globie,
W końcu — z grozy i wstrętu — zamyka powieki,
Czka śmiertelnie, zastyga, usypia na wieki...

X.

I... O, boskie Złudzenie! W agonii — z zamgławi —
W chwili ostatniej biała postać mu się zjawi —
I słyszy Kataliny czysty głos, co woła:
Tędy, tędy! Idż naprzód za lotem anioła,
Niebo cię moją ręką błogosławi!

PRZEŁOŻYŁ
Antoni Lange. Ramon de Campoamor.



AKT DRUGI.

SCENA I.

Sala na zamku. Wchodzi DYABEŁ z owiniętem kopytem.

DYABEŁ.

Wałęsa się tu jakieś olbrzymie chłopisko, długie jego palce wskazują, zda się, bezustanku na szubienicę, na której kiedyś jeszcze zawiśnie. Ten nada się może do mojego planu. — Ale otóż i on! Odstąpmy na bok i posłuchajmy, co powie.

Baron MORDAX.

Przepyszna bestyjka z tej Liddy i smakowałaby mi bardzo. Ożenię się z nią, albo ją zamorduję.

DYABEŁ, występując z ukrycia, do siebie.

Czcigodny człowiek! Głośno: Hrabia Bydlę, jeśli się nie mylę?

Baron MORDAX.

Baron Mordax, jeśli pana skóra nie świerzbi.

DYABEŁ.

Jaśnie pan jest zadurzony w młodej baronównie?

Baron MORDAX, jękliwie.

O, ponad miarę!

DYABEŁ.

Ja ją panu dostarczę.

Baron MORDAX.

Jak?

DYABEŁ.

Jednakże zastrzegam sobie pewien warunek.

Baron MORDAX.

Zastrzegaj pan sobie, co się panu podoba.

DYABEŁ.

Przedewszystkiem, musisz pan najstarszemu synowi kazać studyować filozofię.

Baron MORDAX.

Zgoda.

DYABEŁ.

Powtóre, musisz pan zamordować trzynastu krawczyków.

Baron MORDAX.

Kpisz sobie ze mnie, łotrze jeden? Co za waryackie żądania! Zamordować trzynastu krawczyków! Dlaczegóż właśnie krawczyków?

DYABEŁ.

Ponieważ ci są najniewinniejsi.

Baron MORDAX.

Ach tak! — Ależ trzynastu! Co za ilość niepomierna! No, od biedy gotówem siedmiu łby poukręcać, lecz ani jednemu ponadto.

DYABEŁ, obrażony.

Pan myślisz, że, jak żyd, będę się z nim targował? Chce odejść.

Baron MORDAX.

Stójże pan! — zabiję dziewięciu, — jedenastu, — dwunastu wreszcie. Ale trzynastego musisz mi pan darować. To byłoby ponad okrągłą liczbę.

DYABEŁ.

Zgoda, zadowolnię się i tem, jeżeli trzynastemu połamiesz pan choć kilka żeber.

Baron MORDAX.

No, o kilka parszywych żeber nie będziemy się chyba sprzeczali. — Ale — ale —

DYABEŁ.

Jeszcze: „ale"?

Baron MORDAX.

Widzisz pan, mam nowy tużurek i białą kamizelkę: przy tylu morderstwach gotówem się bardzo zawalać.

DYABEŁ.

Jeżeli tylko o to idzie? Toć możesz pan zasłonić się serwetką.

Baron MORDAX.

A niechże mnie piorun! Racya, wszak mogę zasłonić się serwetką.

DYABEŁ.

A więc jutro oczekuję pana przy leśniczówce w Schallbrunie. Tam odwiążesz pan serwetkę i weźmiesz baronównę w objęcia.

Baron MORDAX.

Ho, ho, ho! Do tego nie będzie mi potrzeba serwetki. Wychodzi.

DYABEŁ.

To się powiodło! — jak mówi Oktawiusz Piccolomini. Wnioskując z moich wiadomości fizyognomicznych, z panem von Wernthal, rzecz również powinna pójść gładko, gdyż wygląda mi on akurat jak pobożny Eneasz, gdym go wczoraj w południe, przed trzema tysiącami lat, spotkał zmykającego od Dydony.

Wchodzi pan Wernthal w rozmowie z samym sobą.

WERNTHAL.

A więc niebawem wesele! Moja narzeczona jest dowcipna, wesoła i szlachetna. — Ale ja mam 12000 talarów długu, ona zaś jest zbyt mądra, aby mi tak wielki kapitał do rąk powierzyć. — Żebyż ona siedziała na łysej górze, a ja obym dźwigał na grzbiecie jej złote sakwy!

DYABEŁ występując z ukrycia, do siebie.

Również czcigodny człowiek! Głośno: Sługa, panie von Wernthal! Co u pana słychać?

WERNTHAL.

Oj, źle, panie Kanoniku!

DYABEŁ.

Ile pan chcesz za swoją narzeczoną?

WERNTHAL, wybuchając gniewem.

Panie, pan — !

DYABEŁ.

Jestem namiętnym zbieraczem nieżonatych chrabąszczy, tłustych oberżystów i młodych narzeczonych; dobrej ceny nie poskąpię.

WERNTHAL.

Hm! hm! A więc kolekcyonista! Nie poskąpisz pan dobrej ceny! A więc ile dajesz za Liddy? Jest niezmiernie piękna.

DYABEŁ.

Za piękność płacę 2000 talarów w monecie konwencyjnej.

WERNTHAL.

Jest rozumna!

DYABEŁ.

Za to odciągam panu 5 groszy i 2 fenigi, ponieważ rozum jest wadą u dziewczyny.

WERNTHAL.

Ma wykwintną, miękką rączkę.

DYABEŁ.

Policzkuje, znaczy się, łagodnie. Za to płacę 7000 talarów w złocie.

WERNTHAL.

Jest jeszcze niewinną.

DYABEŁ, z miną kwaśną.

Ach, niewinność tędy, niewinność owędy! — Za to nie dam więcej nad 3 grosze i 1 fenig w monecie miedzianej.

WERNTHAL.

Ale Liddy posiada nadto uczucie, wyobraźnię.

DYABEŁ.

Uczucie psuje płeć, wyobraźnia wywołuje niebieskie podkowy pod oczyma i warzy piwo w dzbanie. Za ten cały kram daję z ironii tylko trojaka.

WERNTHAL.

Pan masz dość wstrętny smaczek.

DYABEŁ.

Ostatecznie — abyś pan wreszcie zamilczał o możliwych moralnych właściwościach baronówny (rzeczy tych zdrowie moje nie znosi), zapłacę panu jeszcze 11000 talarów w holenderskich karbowańcach. — Pytam teraz, czy warunki moje wydają się panu możliwemi do przyjęcia?

WERNTHAL.

Ileż to wszystko czyni razem?

DYABEŁ, obliczając na palcach.

Za piękność — 2000 talarów w monecie konwencyjnej,
za niewinność — 3 gr. 1 fen. w miedzi,
za miękką rączkę — 7000 talarów w złocie,
za uczucie i wyobraźnię — trojaka, z ironii,
za przemilczenie o właściwościach moralnych osoby — 11000 talarów w karbowańcach holenderskich.
To czyni razem: 20000 talarów 3 grosze i 4 fenigi.
Z czego odchodzi: 5 groszy, 2 fenigi za rozum;
pozostaje saldo: 19999 talarów, 22 grosze i 2 fenigi.

WERNTHAL.

Dawaj rękę, panie zbieraczu narzeczonych i chrabąszczy! Kiedyż dostanę pieniążki?

DYABEŁ.

Natychmiast! — Musisz mi pan tylko wprzód przyrzec: iż zwabisz jutro Liddy do leśniczówki w Schallbrunie, iż potrafisz zapobiedz, aby jej służba nie towarzyszyła, iż nie będziesz dochodził, kto tam wówczas porwie panienkę.

WERNTHAL.

Zobowiązuję się do wszystkiego, z wyjątkiem zwabienia baronówny do Schallbrunu, gdyż mogłoby to podać mnie w podejrzenie. Radzę panu skłonić estetyka Trutkę, aby namówił Liddy na przejażdżkę w te strony. On czytuje namiętnie utwory noworomantycznej szkoły i kocha się do szaleństwa w samotnych chałupach leśnych.

DYABEŁ.

Spróbuję użyć jego. Jednakże, wobec tego ograniczenia naszej umowy, musisz pan pozwolić, że połowę należnej sumy wypłacę mu w papierach austryackich.

WERNTHAL.

O, pan jesteś dyablo kutym sknerą!

DYABEŁ, uważając to za pochlebstwo, wdzięczy się wstydliwie.

O, proszę bardzo... Rumienić się muszę! Wprawdzie rad jestem ze swego potępienia, wprawdzie nader chętnie bywam skąpy, z szaloną ochotą bywam kuty, ale wciąż jeszcze nie czuję się dosyć kutym sknerą.

Wychodzi z Wernthalem.

SCENA II.

Pokój Trutki.

TRUTKA, siedzi przy stole i pragnie tworzyć.

Ach, — te myśli! Rymy są, ale myśli, myśli! Oto siedzę, piję kawę czarną, żuję pióro, piszę, przekreślam, i nie mogę znaleźć myśli, ani jednej myśli! Hm, jakże ją tu ułowić? — Stój, hola! Co za idea błysła mi w tej chwili? — Bajecznie! bosko! Oto, napiszę sonet o myśli, że nie mogę znaleźć myśli, i dalibóg ta myśl o bezmyślności jest najgenialniejszym pomysłem, jaki mógł mi zaświtać! Zrymuję utwór właśnie o tem, że nic stworzyć nie mogę! Jakież to będzie dowcipne, jakie oryginalne. Biegnie przed lustro. Na honor, mam minę wcale genialną! Siada przy stole. No, teraz zacznijmy! Pisze.

SONET.

Przy stole siedzę, pióro w zębach szarpię
Jako — —

Hę? Cóż, na Boga, wygląda, siedząc, jak ja, gdy pióro gryzę? Zkąd tu wziąć stosowne porównanie? Skoczę chyba do okna i spojrzę na dwór, może zobaczę przypadkiem coś podobnego. Otwiera okno i wygląda. Tam siedzi oto

chłopak pod murem i — — Nie — to nie tak wygląda! — Tam znów na ławie siedzi żebrak i gryzie kawał suchego chleba. — Nie, to byłoby zbyt trywialne, zbyt pospolite! Zamyka okno i przechadza się po pokoju. Hm, hm! czyż istotnie żaden pomysł do głowy mi nie przyjdzie? Wyliczmy po kolei wszystko, co gryzie i żuje. Kot gryzie, tchórz gryzie, lew — hola! lew! — Co gryzie lew? Gryzie owcę, wołu, kozę, konia. Stój! konia! — Czem dla konia grzywa, tem dla pióra gęsiego chorągiewka: — podobieństwo jest zatem dość blizkie. W radosnym okrzyku; Zwycięztwo! — oto jest obraz! Śmiały, nowy, kalderoński!

Przy stolę siedzę, pióro w zębach szarpię
Jako — dopisując: *lew srogi, zanim dzień zaświta,*
Konia, swe pióro bystre szarpiąc, zgrzyta —

Czyta dopisane dwa wiersze szeptem, potem głośno, wreszcie mlaska językiem, smakując w nich widocznie. Nie, nie! Takiej metafory jeszcze nie było. Przeraża mnie własna siła poetycka! Błogo wycedza do dna filiżankę kawy. Koń — lwie pióro! i w dodatku przymiotnik „bystre." Jakież to niesłychanie trafne! Jakież pióro może być prędsze od konia? Zaś słowa: „zanim dzień zaświta" — nie są-ż wprost homeryczne? Nie pasują one tam wprawdzie bynajmniej, czynią jednak obraz samodzielnym; podnoszą go do małego eposu! O, muszę jeszcze raz przejrzeć się w lustrze! Przegląda się. Dalibóg, wysoce genialne oblicze! Nos wprawdzie nieco za kolosalny, ale to należy do rzeczy. Ex ungue leonem, po nosie geniusza!

Wchodzi DYABEŁ.

DYABEŁ.

Bonjour, panie Trutka.

TRUTKA, odwraca się i chce już powitać dyabła, gdy wtem spostrzega jego kopyto, z którego opadły w tej chwili chusty.

Wszechmocny Panie — dyabeł! Chce wymknąć mu się bokiem, aby dopaść do drzwi.

DYABEŁ, zauważywszy swe nagie kopyto, tupie niem z wściekłością.

Obrzydliwa nieostrożność! Do Trutki. Nie przerażaj się pan. Czytałem pańskie utwory.

TRUTKA, stając się nagle układnym.

Czytałeś pan? czytałeś pan naprawdę?

DYABEŁ.

Tak jest. I podobały mi się niesłychanie.

TRUTKA, z zupełnem już zaufaniem.

Pan udzielasz mi pochwały, na którą prawdziwie — Czy piszesz pan sam?

DYABEŁ.

Ja —

TRUTKA, nie dając mu dojść do słowa.

Pan musisz pisać! Spróbuj pan tylko! Pan będziesz pisał cudowne poematy!

DYABEŁ, na stronie.

Ponieważ pochwaliłem twoje.

TRUTKA.

Tylko, proszę, podpisuj pan pod poezyami inne, nie własne nazwisko. Nie dla tego, abyś pan, według dzisiejszej mody, miał się wstydzić swych utworów, lecz aby ukryć charakterystyczność swego imienia. Jeżeli np. ktoś, czyja głowa jest pełna mrocznych i ślepych zaułków, zwać się może *jasnym*, *) dlaczegóż pan nie mógłbyś się tytułować aniołem, niebem lub cnotą?

---

*) Prawdopodobnie aluzya do wspomnianego już w akcie I-szym *Teodora v. Hella* (hell = jasny). Wbrew ogólnemu prądowi

DYABEŁ.

Udzielasz mi pan, panie Trutka, zbawiennej rady! — Zresztą, niejedno z dzieł moich ujrzało już światło dzienne, chociażby niedawna rewolucya francuska, tragedya w czternastu latach z prologiem Ludwika XV i chórami emigrantów. Sztuka została nader źle przyjęta, głównie z powodu tej wady, iż gilotynowała krytyków. Nie mogę również, mimo tajemnych wysiłków wielu moich przyjaciół, wystawić jej po raz drugi w Prusach, w Austryi lub w Anglii. Cenzura jest tam zbyt surowa. Mam wszakże nadzieję, iż z drobnemi zmianami ujrzy ona światło kinkietów w Hiszpanii, o ile książe d'Angoulême nie wypije mi do reszty mego hiszpańskiego winka goryczkowego. — Na razie pracuję nad farsą pod tytułem: walka Grecyi o niepodległość, przez autora rewolucyi francuskiej. Wydaję ją nakładem sułtana tureckiego.

TRUTKA.

Pańskie dzieła, które, jak widzę, znałem oddawna, nie wiedząc, że pan jesteś ich autorem, — pańskie dzieła mają w sobie coś olbrzymiego, panie Dyabeł! Jednakże nieprawdopodobieństwa, swobody co do miejsca i czasu, na jakie pan sobie pozwalasz, są już zbyt wielkie! I w dodatku wiersze! wiersze! Rówież i światopogląd, jaki się w tych dziełach wyjawia, może niejako —

DYABEŁ.

A wiesz pan też, czem jest świat?

---

romantyzmu, próbowali niektórzy pisarze, a na czele ich Teodor v. Hell, uprzystępniać wielkie wówczas zdobycze nauk eksperymentalnych. Czynili to jednak „w dawkach nieszkodliwych, rozwodnionych, ocukrzonych i uperfumowanych.“

TRUTKA.

Co za pytanie? Świat jest łącznem pojęciem wszystkiego, co egzystuje, począwszy od najdrobniejszego robaczka, a skończywszy na najbardziej nieogarnionym systemie słonecznym.

DYABEŁ.

Wiedz-że pan, iż to łączne pojęcie wszechbytu, jakie zaszczycasz pan mianem świata, nie jest niczem więcej jak mierną komedyą, skleconą podczas wakacyj szkolnych przez gołowąsa i żółtodzioba anioła, — anioła, jeśli się nie mylę, z ósmej klasy gimnazyalnej, żyjącego w świecie niepojętym zresztą dla ludzi. Exemplarz, w którym my się znajdujemy, wypożycza księgarnia w X; obecnie czyta go piękna dama, która zna autora, i dziś jeszcze, to jest za sześć trylionów lat, wypowie swój sąd o książce przy wieczornej herbacie.

TRUTKA.

Panie, ja oszaleję! — Jeżeli świat jest komedyą, czemże jest piekło, które przecie również na świecie się znajduje?

DYABEŁ.

Piekło jest wspomnianej sztuki fragmentem ironicznym, który udał się ośmioklasiście, jak to zwykle bywa, lepiej niźli niebo. Niebo zaś ma być pogodną częścią utworu.

TRUTKA.

Czyżby piekło naprawdę nie było niczem więcej? Jakże więc — jak każecie przestępców?

DYABEŁ.

Mordercę wyśmiewamy tak długo, póki sam z nami śmiać się nie zacznie, że zadał sobie trud zgładzenia czło-

wieka. Najsroższą karą dla potępieńców jest przymus codziennego odczytywania „Gazety wieczornej“ i Wolnomyślnego“ bez możności naplucia na nie z obrzydzeniem..

TRUTKA.

Na Boga, panie Dyable, widzę że w piekle znają nietylko moje poezye, lecz całą literaturę niemiecką! Czem się to tłómaczy?

DYABEŁ.

Rzecz nader prosta! Do piekła dostaje się nietylko samo zło, lecz i wszystko mizerne oraz trywialne: poczciwy Cyceron siedzi obok złego Katyliny. Ponieważ zaś dzisiaj najmizerniejszą ze wszystkich nędzot jest współczesna literatura niemiecka, zajmujemy się nią tedy przeważnie.

TRUTKA.

Hm, jeśli literatura niemiecka stanowi w piekle główne zajęcie, — jakże dziwacznemi muszą być Wasze zajęcia uboczne!

DYABEŁ.

W godzinach, wolnych robimy sobie z niewidzialnych, a więc przezroczystych duchów szyby do okien, lub szkła do okularów. Ostatnio, naprzykład, babka moja, gdy jej strzelił do głowy szczególniejszy kaprys ujrzenia właściwego jądra cnoty, nałożyła sobie na nos dwóch filozofów: Kanta i Arystotelesa. A że przez to coraz ciemniej robiło jej się przed oczyma, wzięła zamiast tamtych na lornetkę — dwóch chłopów pomorskich, dzięki czemu zaczęła widzieć tak dokładnie, jak tylko sama zechciała.

TRUTKA, klasnąwszy w ręce.

Szczególne, niesłychane! — Powiedz mi pan, czy wiecie wy tam cośkolwiek o niebie?

DYABEŁ.

Czemu nie? Niedawno miałem kłopot z Samielem z „Wolnego strzelca," który przyszedł do piekieł i chciał się koniecznie pokumać ze mną; za szlachetność okazaną za życia gajowemu Maxowi, musiałem go jednak przemocą zawlec do nieba. Opierał się bardzo; wreszcie gdym mu żelazną obrączkę przez nos przeciągnął, rzekł głucho: „To się pokaże!" U wrót nieba przyjął go Sokrates z otwartemi ramionami i zaprowadził czemprędzej do balwierza, aby sobie brodę mógł zgolić i nabrać nieco cywilizowańszej powierzchowności.

TRUTKA.

O, skoro pan tak znasz sprawy nieba, zaklinam pana, powiedz mi, co czynią ci nieśmiertelni bohaterowie cnoty, których obrałem za gwiazdy przewodnie życia mego i moich utworów. A więc, przedewszystkiem, co porabia ten wzniosły wzór przyjaźni, boski markiz Poza?

DYABEŁ.

Czy masz pan na myśli markiza, który występuje w Don Carlosie?

TRUTKA.

Tak jest, — maltańczyka!

DYABEŁ.

W takim razie, mylisz się pan grubo, szukając go w niebie; on siedzi u mnie w piekle.

TRUTKA.

Co takiego!?

DYABEŁ.

Tak jest, tak, drogi panie. Podobnie jak Samiel zdziwił się, gdy mu do nieba kazano, tak markiz Poza osłupiał, znalazłszy się nagle w piekle. Ale zabraliśmy mu zaraz jego grzmiącą tubę głosową i daliśmy mu rolę, do której największy okazywał talent: został suflerem i założył piwiarnię z szyldem: „pod królową Elżbietą.“

TRUTKA.

Niemożebne, nieprawdopodobne! Poza — szynkarzem! Pomyśleć tego wprost nie mogę!

DYABEŁ.

Uspokój się pan! Jak się zdaje, upodobał on sobie dzisiejszą swą czynność: pełnieje, tyje, brzuch mu już zwisa...

TRUTKA.

Markiz Poza z obwisłym brzuchem! — A cóż porabia drugi wzniosły wzór poświęcenia, szlachetny, serdeczny malarz Spinaroza? *) Zasiada pewnie w pierwszym rzędzie niebiańską jaśniejących świetnością, tuż obok Kurcyusza i Regulusa?

DYABEŁ.

Ej nie, mylisz się pan po raz drugi. Spinaroza pełni obowiązki markiera w szynku Pozy; tam ćwiczy się w samopoświęceniu, które tak chętnie odgrywał na ziemi, mimo że mu się ono ani rusz udać nie chciało. Teraz wszakże,

*) Patrz dopisek o Müllnerze w akcie I-szym.

gdy podaje gościom dzban Merseburgera, nawpółotwarta jego gęba świadczy wymownie, że zrzeczenie się tego dzbana kosztuje go stokroć więcej, aniżeli zrzeczenie się drewnianej Kamilli. Niedawno próbował nawet ukradkiem zmoczyć wargi w dzbanie, ale wówczas wyciął go Poza tak dzielnie w ucho, że ruski miesiąc o tem nie zapomni.

TRUTKA.

Boże! Jakże to człowiek się myli! Spinarozę policzkuje Poza! Ginę po prostu! — A Kamillę zwiesz pan drewnianą! Czyżbyś pan na seryo tak myślał, panie dyable? — O, proszę cię: jak się miewa ten idealny twór miłości, który nawet w poźniejszych, w tak zwanych najlepszych latach, gdy synowi minęło już szesnaście wiosen, niezapomina o kochanku i dobywa dlań z piersi słodkie westchnienia, niby osiemnastoletni podlotek? O, ta czcigodna unosi się zapewne wraz z Teklą i Julią nad błoniami wiecznej szczęśliwości!

DYABEŁ.

Tak, ona dostała się do nieba i przyłączyła się do obu dziewcząt. Ale gdy raz Tekla nazwała ją w myślach „matką“, wpadła ta czcigodna w tak zawziętą złość, że znalazła się niebawem u nas w piekle. Tu spędziła trzy tygodnie w samotności, snując wciąż wszczęte już w niebie rozważania: czy właściwie widzi czy nie. Wreszcie mijał ją przypadkowo Falstaf, pełen jak zawsze pragnienia, i nie wiem, jak to się stało, dość że wziął ją za szklankę syropu, pochwycił i wypił doszczętnie. Potem uskarżał się przede mną, że syrop musiał być bardzo niedobry, ponieważ dostał niebawem okropnych boleści.

TRUTKA.

Zwątpiłem już o własnym sądzie: tracę niemal odwagę, aby pytać dalej. A jednak, co porabiają moi ulu-

bieni bohaterowie tragedyj: Wallensztajn Szyllera i Hugo Müllnera?

DYABEŁ.

Obaj są w piekle. Hugo sądził wprawdzie umierając, że niebo otwiera się przed nim, przywidziało mu się to jednak, co zresztą u konającego jest rzeczą łatwo zrozumiałą. Wprawdzie brat jego wyrwał z rąk Cherubowi straszny miecz zemsty, lecz nie na to, aby go odrzucić, lecz aby osobiście uciąć łeb swemu mordercy. Jeżeli zaś przytem wabił go uśmiechem, czynił to tylko jak ktoś, co uśmiechem i wołaniem nęci nieposłusznego psa, by go następnie tem mocniej przetrzepać. — Co się znów tyczy Wallensztajna, przeegzaminowawszy go należycie, odkryliśmy w nim zalety kwalifikujące go na rektora szkoły; to też poruczyliśmy mu niezwłocznie kierownictwo gimnazyum piekielnego w Z. Bylibyśmy z niego w wysokim stopniu zadowoleni, gdyby nie jedna wada: oto ilekroć podnosi kij, aby przetrzepać jakiego małego nicponia, póty woła: „nie miejsce tu, aby bić!“ — „przeto, niech będzie!“ — „jednak wolę nie czynić tego!“ i t. d., póki mu chłopaczysko nie przyczepi z tyłu papierowego warkocza.

TRUTKA.

Niech mnie dyabeł... Poprawia się czemprędzej z ukłonem: Niech mnie pan Dyabeł porwać raczy, jeśli zdumienie i podziw oddechu mi nie zapiera! Ale mów pan dalej! Co porabiają sami poeci? Szyller, Szekspir, Kalderon, Dante, Ariosto, Horacyusz?

DYABEŁ.

Szekspir pisze objaśnienia do *Franciszka Horna;* Dante wyrzucił przez okno *Ernesta Szulce *);* Horacyusz

---

*) Autor wielbionej swego czasu „Zaczarowanej róży“ poematu miękkiego, płaczliwego, pisanego w gładkich stanzach.

ożenił się z Maryą Stuart; Ariosto kupił sobie nowy parasol; Kalderon czyta pańskie poezye, każe się panu serdecznie kłaniać, radzi, abyś w towarzystwie Liddy odwiedził leśniczówkę w Schallbrunie, ponieważ ten samotny domek leży w miejscowości prawdziwie romantycznej.

TRUTKA.

O ja szczęsny! nad wyraz szczęśliwy! Na szczyt dachu się wdrapię! Kalderon czyta moje poezye! Kalderon każe mi się kłaniać! Zjem z radości świeczkę łojową! Kłaniaj się pan tysiąckrotnie panu della Barca. Powiedz mu pan, że jestem szalonym jego wielbicielem, że odwiedzę z Liddy leśniczówkę, chociażbym miał nogi jej połamać, że...

DYABEŁ.

Dosyć! Nie mam więcej czasu. — Gdybyś mnie pan kiedy potrzebował: mieszkam w piekle, jak pan wiesz. Ztąd, ze wsi, jest to wprawdzie nieco daleko; gdybyś pan wszakże chciał z wyjątkowym pośpiechem tam się dostać, jedź, proszę, do Berlina, Drezna lub Lipska, i zagadnij portyera w pierwszym lepszym hotelu na ulicach uczęszczanych wieczorami. Od tych hoteli do Tartaru pięć minut drogi zaledwie, a prowadzą doń wyśmienite, nader często poprawiane szosy. — Ale wieczór się zbliża! Śpij pan średnio. Chce odejść.

TRUTKA, zatrzymując go.

A propos! Słóweczko tylko! Czy nie mógłbym wiedzieć, dlaczegoś pan teraz zstąpił na ziemię?

DYABEŁ.

Ponieważ w piekle mamy świąteczne porządki: szorują podłogi.

TRUTKA.

Dziękuję panu za uprzejmą odpowiedź. Śpij pan smacznie!

DYABEŁ.

Śpij pan średnio! Wychodzi.

SCENA III.

Wzgórze pod wioską. Wchodzi MOLLFELS.

MOLLFELS.

Oto ona wreszcie, wieś rodzinna! A oto szara wieża kościelna odzywa się na Anioł Pański! Jak serdecznie dzwoni mi na powitanie po czterech latach rozłąki! — I stary zamek pozostał, jakim był: dumny i wyniosły, króluje pośród kwitnących swych ogrodów; na potężnych jego oknach igra purpurą pierwszy błysk zórz wieczornych! — O Liddy! Liddy! Jakże cię kocham! Gniewnie: Gdybym tylko nie był tak potwornie brzydki!

Wchodzi BAKAŁARZ, nie spostrzegając Mollfelsa.

BAKAŁARZ.

Tu się zatrzymam, ztąd spozierać będę na niwy mego okręgu szkolnego i puszczę wodze mej fantazyi patryotycznej. Jakżeby wszystko wokół ulepszonem być mogło! Gdyby chłopi mieli obowiązek chodzić do szkoły, póki się czegoś nie nauczą, musieliby nawet po końcu świata douczać się o chlebie i wodzie przez jakie sześć tygodni. — Następnie, jakiż użytek możnaby zrobić z wielkiego lasu dębowego, leżącego tam w dali? Kiedyż nastanie ta błoga doba powszechnej oświaty, gdy las ten cały porąbią na

ławki szkolne, ławki poustawiają systematycznie po wszystkich polach, łaknącą wiedzy młodzież na nie spędzą, mnie zaś dyrektorem tego wszystkiego mianują? O, wówczas przy pomocy balonu uczynię słońce mą jaśniejącą katedrą, — wieży kościelnej będzie używał jako pióra, — jezioro w dolinie będzie mym kałamarzem, — zaś niedalekie wzgórza — kawałem słoniny, ofiarowanej mi w dowód wdzięczności przez rodziców i przyjaciół oświaty. Zapada w głęboką zadumę.

MOLLFELS, zbliża się i uderza go po ramieniu.

Zatonąłeś pan w prawdziwie pedagogicznych marzeniach, panie bakałarzu!

BAKAŁARZ.

Pan Mollfels! — Jestem olśniony tą radosną niespodzianką! Jakże się panu podobały Włochy, kraj, w którym kamienie przemawiają? Czy na Wenus medycyjskiej wciąż jeszcze nie znać śladów uwiądu starczego? Czy — —

MOLLFELS.

Opowiem panu to wszystko przy sposobności. Tymczasem, co słychać tu na miejscu? Wszystko po dawnemu?

BAKAŁARZ.

Nic ważnego nie zdarzyło się tu podczas pańskiej nieobecności. Wczoraj przygotowywano sikawkę, aby zapobiedz przedwczorajszemu pożarowi; zaś bogaty Bartłomiej, ożeniwszy się wreszcie z Katarzyną, w której tak tęsknie się kochał, sprawił sobie obecnie analogon do swych spodni: kurtkę ze skóry jelonkowej; łagodzi ona nieco twardość kułaków żony. Co się tyczy mojej niskiej osoby, wiodło mi się jak ojcu Homerowi: od dwóch lat nie jadłem świniny.

MOLLFELS.

Z czego pan wnosisz, że Homer nie jadał świniny?

BAKAŁARZ.

Z tego że opisuje ją tak subtelnie, panie Mollfels.

MOLLFELS.

W takim razie, musisz pan fatalnie opisywać wódkę?

BAKAŁARZ.

Wódkę nie koniecznie, — ale cnotę.

MOLLFELS.

Pokazuje się, że niema reguły bez wyjątku. — Ale powiedz mi pan, co słychać na zamku? Cóż panna Liddy? zawsze wesoła?

BAKAŁARZ.

Na zamek przybył kominiarz, który się podaje za kanonika i rości pretensye do utraty niewinności już na dwa tygodnie przed przyjściem na świat. — Zresztą, wesołość baronówny i cierpki humor jej wuja są *in statu quo.*

MOLLFELS.

Służę! W zamian za dobre nowiny egzemplarz Pamiętników Jakóba Casanowy de Seingalt. Choć w safian oprawne i związane, jednakże niepoprawnie rozwiązłe. Kupiłem je od żyda, którego pozbyć się inaczej nie mogłem. Po za tem, nie są mi one na nic przydatne. Odchodzi.

BAKAŁARZ.

Pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt? Tego Napoleona wszeteczeństwa? Tego jenarała najbardziej

zwycięzkich porażek? I cóż ja, mizerny bakałarzyna, pocznę z temi rzeczami? — Już wiem. Daruję książkę pani sędzinie, wywdzięczając się za przysłany mi garnek grochu. Ona rozumie się na wszystkiem: potrafi gruntownie przestudyować Jakóba Casanovę de Seingalt.

Wchodzi Tobiasz.

TOBIASZ.

Dobry wieczór, panie bakałarzu!

BAKAŁARZ.

Dobry wieczór, panie Tobiaszu. Na stronie: Do dyabła, jakże się tu pozbyć tego durnia?

TOBIASZ.

No, cóż porabia Bogumiłek? Byłeś pan z nim na zamku?

BAKAŁARZ.

Nie słyszałeś pan, panie Tobiaszu, że przed niespełna półgodziną przybył do karczmy dentysta, który darmo wyrywa zęby?

TOBIASZ.

A niech go tam! Patrz pan, mam dwa rzędy tak zdrowych zębów, że mógłbym o nie widły ostrzyć.

BAKAŁARZ.

Cóż to szkodzi? Toć wyrwanie masz pan za darmo! Należy i to brać w rachubę.

TOBIASZ.

Dalibóg prawda! Dobra psu i mucha! Pójdę i każę sobie wyrwać kilka trzonowych. Wychodzi.

BAKAŁARZ.

O święta naiwności! słodka prostoto! Opuściłaś przepych miast i ukryłaś się w chałupie chłopa! Tobiasz każe sobie wyrywać zęby, ponieważ ma tę przyjemność za darmo! O! O! O! Wychodzi.

SCENA IV.

Pokój na zamku. Wchodzą LIDDY i BARON.

BARON.

Pozwól się ostrzedz, dziewczyno. Niedowierzam panu von Wernthal.

LIDDY.

Ma swoje wady; że posiada jednak i zalety mężczyzny dowiódł tego niedawno w pojedynku z hrabią von Naubek.

BARON.

W pojedynku? Oho, wczoraj pojedynkowało się dwóch młodych paniczów o to, że gdy jeden upewniał na swój honor, iż stał już kilkakrotnie pod pręgierzem, drugi nie chciał temu wierzyć. — Dobranoc. Co do pana Wernthala — powiedziałem swoje. Wychodzi.

LIDDY.

Doprawdy, ostrzeżenia wuja poczynają wywierać swój wpływ. Wernthal nie jest takim, za jakiego go miałam w pierwszych dniach naszej znajomości. — Szczególna rzecz, — przychodzi mi w tej chwili na myśl niejaki pan Mollfels. Miał on wprawdzie najbrzydszą twarz, jaką tylko można sobie wyobrazić, był jednak najdowcipniejszym i najmilszym człowiekiem, jakiego znałam. Wchodzi służący.

SŁUŻĄCY.

Jakiś pan Mollfels oczekuje w sali.

LIDDY, zdumiona.

Kto taki? — Mollfels? — Jakże on wygląda?

SŁUŻĄCY.

Przed chwilą wyciągnęliśmy ze stawu zamkowego siedm starych bab, które spojrzawszy na jego oblicze powskakiwały ze strachu do wody.

LIDDY, do siebie.

Niema wątpliwości, to on! Głośno: Proś tutaj. Służący wychodzi. Będzie mię to trochę kosztowało, aby ukryć przed nim zdziwienie. Wchodzi Mollfels.

MOLLFELS, do siebie.

Oto oglądam ją znowu! Głośno: Pani, powracam z Włoch i śpieszę ją powitać.

LIDDY.

Witam pana na zagonie ojczystym, witam serdecznie! — Nie zawiodły pana oczekiwania? Jakże Rzym?

MOLLFELS.

Szare ruiny wyzierają z poza zielonych gajów, głośne kroki rozlegają się po samotnych ulicach, zaś słuchając z Kapitolu, z całem wymarłem miastem siedmiu wzgórz przed oczyma, dobrzmiewających gdzieś na dalekim horyzoncie ostatnich grzmotów przeminionej burzy, odczuwa się zupełnie innego rodzaju wzruszenie, niż gdyby się stało w takiej chwili na kościelnej wieży w Berlinie.

LIDDY.

Wydaje mi się, że w Rzymie nawet myśl o śmierci, nie powinna boleć.

MOLLFELS.

Oczywiście! Tam człowiek wstydzi się niemal tego, że żyje.

LIDDY.

Widziałeś się pan we Florencyi z bratem moim?

MOLLFELS.

Oto są listy od niego i od jego małżonki.

LIDDY.

O, dawaj pan! Łamie pieczęcie.

MOLLFELS, przygląda jej się bacznie, podczas gdy Liddy odczytuje listy.

Co za rozkoszna kobieta! słyszy się niemal muzykę jej ruchów! Jak dwa uduchowione ognie naftowe, błyszczą niegasnące płomienie jej oczu, jako jezioro nad swem źródłem faluje jej pierś ponad sercem! Szczęśliwy wybraniec, którego zmęczona głowa na takiem łonie wypocząć będzie mogła! Przechodzi się niecierpliwie po pokoju. Niech będę przeklęty, jeśli dłużej wytrzymam w tym stanie! Muszę wreszcie dowiedzieć się, czy mogę mieć nadzieję, czy też mam się powiesić na pierwszym lepszym dębie! Mimo swej brzydoty, wyznam jej miłość — i wóz albo przewóz! Przystępuje do Liddy. Panno Liddy! Niech pani nie przeraża moja propozycya, gdyż zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, iż postać moja zwykła płoszyć konie, że buty moje, mimo iż tkwią w nich me łydki, są tak puste jak dwie wierzby dziuplaste, że uszy moje — —

LIDDY.

Na miłość boską, panie Mollfels, czy pan zaczynasz majaczyć?

MOLLFELS.

Zaś mój nos! Hohoho, mój nos! Ludzkość cała wzdryga się na jego widok! Niekształtny i pofałdowany jak kryzki tygrysie, czerwony jak lis, płaski jak nowela Karoliny Pichler, a krótki jak sekunda!

LIDDY.

Jak sekunda! — Jakże długiem jest w takim razie pańskie prawe ramię?

MOLLFELS.

Jak rok przestępny! Stojąc wyprostowany, mogę sobie odpinać trzewiki. To moje proste trzymanie się nie przypomina oczywiście pruskiego gwardzisty, przywodzi raczej na myśl sny i marzenia sierżanta lipskiej gwardyi municypalnej! Kat wiedzieć raczy, zkąd me plecy nauczyły się swej nieskończonej skromności: czynią one ze mnie stereotypowy komplement, niezmordowanego badacza własnych nóg, które możnaby nieźle porównać do dwóch obrzękłych szabli tureckich.

LIDDY.

Oszczędź mi pan tych obrzękłych szabli tureckich, i wybaw mnie pan wreszcie z podziwu i zdumienia. Do czego prowadzi ten natchniony rysopis własnej osoby!?

MOLLFELS.

Do tego, by pani do nóg upaść, do tego, że panią ubóstwiam, że panią kocham!

LIDDY.

Muszę panu przyznać, że potrafisz zręcznie nawłóczyć nić oświadczyn miłosnych! Uprzedzasz je pan przynajmniej dokładnym opisem swej powierzchowności. Sądząc z tego opisu, przypuszczałabym raczej, że ze względu na swoje nogi zapiszesz się pan do cechu piekarzy, niż że mi się z miłością oświadczać będziesz.

MOLLFELS.

O, nie rozdzieraj mi pani serca memi nogami! Niema człowieka, któryby żywił bardziej zajadłą nienawiść do tych dwuch biegunów wstrętu, do tych dwóch burzycieli przyjaźni, do tych dwóch środków uniwersalnych przeciw miłości! Gdybym naprzykład jakiemu szlachetnemu człowiekowi, który wpadł w bagno, uratował życie, ten, rzuciwszy okiem na moje nogi, wytnie mi policzek i uciecze co tchu! — Mimo wszystko, droga pani, siła namiętności zmusza mnie do wyjąkania po raz drugi mej przysięgi miłosnej, zaszedłem już tak daleko, że wstydzę się jeść wołowinę z musztardą, ponieważ wydaje mi się to zbyt trywialnem dla zakochanego. W mej ekstazie miłosnej, napisałem tragedyę, której treść jest zbyt idyotyczna, abym mógł się powstrzymać i nie opowiedzieć jej pani natychmiast. A więc: w utworze moim, zamiast doli, każę rządzić bogini antifatalistów: nudzie! Przy podniesieniu kurtyny, bogini zostaje uczczona odczytaniem wyjątków z dzieł dramatycznych Edwarda Gehe. — Nagle ze świątyni rozlega się wyrok, że oto bogini postanowiła zagładę szlachetnej księżniczki Salvavenii. Lud wyje, dzwony biją, księżniczka jęczy, jak gdyby ją szatan w szpony już chwytał; wszystko w szalonej rozpaczy rzuca się ku wyjściu, precz ze sceny. Potem wchodzi Ossyan i zja-

da butersznyt. Gdy skończył z tem, zmienia się nagle scenerya i ukazuje salę audyencyjną pałacu cesarskiego. Cesarz ma na sobie kamizelkę napoleońską, zaś wielcy tego świata stoją dokoła w szarych kamaszach, poodpinanych w zgryzocie wielkiej. W kącie pokoju leży para rozgoryczonych na siebie pończoch, które pragną zatruć się nawzajem. Tuż wisi pluszowy kaftan i przerzuca kartki Encyklopedyi, popijając herbatę z filiżanki. Ale oto pełza już krwi żądne, mściwe, hypochondryczne pióro od kurzu —

LIDDY.

Zatrzymajcież go, sprawiedliwe nieba! Drżeć zaczynam o swój rozsądek!

MOLLFELS.

Chciałem pani tylko pokazać, że mój zaprzepaścił się już w miłości.

LIDDY.

Mam nadzieję, że pan tej miłości nie bierzesz zbyt poważnie, chociażby dla tego, że jestem już zaręczoną z panem von Wernthal.

MOLLFELS.

O, niechże mnie zatem ziemia pochłonie, — jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie! — Zaręczona? — Dalibóg, łzy uderzają mi do oczu. Wodzi dłonią po czole. Jeżeli — jeżeli w bólu tym targnę się na siebie, zastrzelę się najprawdopodobniej, gdyż topiąc się mógłbym dostać kataru, a z katarem zjawiać się przed tron sędziowski Boga Ojca byłoby, ze względu na kichanie, i zbyt hałaśliwie, i nieprzyzwoicie. Wychodzi.

LIDDY.

Ten człowiek mógłby się podobać kobiecie bardziej, niż sam przypuszcza.





AKT TRZECI.

SCENA I.

Izba bakałarza oświetlona lampą. Kowal i bakałarz rozmawiają.

KOWAL.

Tak jest, panie bakałarzu, miał kopyto końskie i pęcinę powyżej.

BAKAŁARZ.

To dyabeł, Konradzie, dyabeł we własnej osobie! Możecie przeczytać w każdej historyi naturalnej, dyabeł ma końskie kopyta.

KOWAL.

To też wołał za mną, że jest szatanem, i groził, że mi szyję ukręci, jeśli się z tem wygadam.

BAKAŁARZ.

Hoho, o to troskać się nie potrzebujecie! Mam ja inne zamiary co do niego. — Cóż wy na to, gdybyśmy

tak pana Wojtka złapali, zamknęli do klatki i obwozili po odpustach i jarmarkach jako dziewicę morza, lub — dla uczynienia afiszów jeszcze bardziej zdumiewającemi — jako wdowę morza? Sami nadalibyśmy sobie tytuły dwóch profesorów od dziewictwa morskiego.

KOWAL.

Stalibyśmy się niebawem wściekłymi bogaczami?

BAKAŁARZ.

Moglibyśmy również prezentować go publiczności jako to, czem jest, mianowicie jako dyabła. Wnękalibyśmy w niego taniec: kazalibyśmy skakać o kiju podług melodyi „jak pięknie błyszczy dziś jutrzenka!“ — wreszcie dla zdumienia widzów wsadzalibyśmy mu, niby tresowanemu lwu, głowy w paszczę.

KOWAL.

No, tę sztukę trudno będzie w niego wpoić; on ma dosyć małą gębę.

BAKAŁARZ, **mierząc pokój dumnym krokiem.**

Współczucia godny, niewierny Tomaszu! Wpajałem w uczniów moich daleko trudniejsze rzeczy.

KOWAL.

No, nie zauważyłem tego jakoś dotychczas na swym Jurku.

BAKAŁARZ.

Wasz Jurek! To tępe, kartoflowe brzuszysko! Przy nim nawet Konfucyusz — mimo iż mędrzec ten nie wiedział zapewne, co to świeca — daremnie świeceby palił.

Wchodzi Małgosia.

MAŁGOSIA.

Dobry wieczór, panie bakałarzu! Pani sędzina kazała mi nazwać pana bezczelnym wołem i rzucić mu na głowę przysłane pamiętniki Jakóba Casanovy.

BAKAŁARZ, zbierając z ziemi pojedyńcze tomy.

Hm! hm! A więc książki te nie przydadzą się pani gwoli nauce lub dla studyów kuchennych?

MAŁGOSIA.

Ależ panie bakałarzu, jakiż on jest głupi! Że to nie towar do studyów kuchennych, czuje o milę każda dusza chrześciańska. Pani pieni się ze złości.

BAKAŁARZ.

Hm! hm! Ale tu widzę tylko trzy tomy, ja zaś posłałem pani cztery; — gdzież się podział czwarty?

MAŁGOSIA.

Właśnie podczas najgorszych wymysłów, pani schowała żywo ten czwarty tom do woreczka podręcznego.

BAKAŁARZ.

Podczas największych wymyślań do woreczka podręcznego! Co za kłopotliwa niekonsekwencya!

MAŁGOSIA.

Do widzenia, panie bakałarzu. Wychodzi.

BAKAŁARZ.

Kowalu, kowalu, teraz wiem już, jak dyabła przychwycimy! Czy moglibyście zbudować klatkę?

KOWAL.

Chyba że zrobię ją dobrze.

BAKAŁARZ.

A więc biegnij, leć do domu i zrób mi, dziś w nocy jeszcze, klatkę wielkości człowieka, z drzwiami na dwa łokcie. Postawię tę klatkę jutro wieczorem w lesie, położę wewnątrz pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt i ukryję się w gąszczu. Takiego łotra jak dyabeł należy zawsze podejrzewać, że chodzi do lasu kraść drzewo. Gdy nadejdzie, mam nadzieję, że pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt — które, sądząc z tego, iż sędzina zatrzymała sobie czwarty tom, muszą zawierać coś wyjątkowo grzesznego — znęcą go do klatki tą magnetyczną siłą, jaką zło przyciąga szatana. Wówczas wyskoczę, zatrzasnę drzwi i zagwiżdżę w palce.

KOWAL, chcąc widocznie powiedzieć bakałarzowi nader ujmujący komplement.

O, panie bakałarzu, tożeś pan wykalkulował, prawdziwie filo — filu — No, jak... jakby to płaskosz mozolnie wydukwił!

BAKAŁARZ, klepiąc go protekcyjnie po ramieniu.

Mówi się: filozoficznie, mój drogi, filozoficznie! Etymolodzy niemieccy wywodzą to słowo od „*viele Strohwisch,*" co znaczy wiele wiechci słomianych. Należy tylko ostatnie „*e*" w słowie „*viele*" zamienić na „*o*", „*stroh*" czytać jak „*so*", zamiast „*w*" wymawiać „*f*" i słowo „*philosophisch*" zostanie w sposób wysoce niefilozoficzny, ale za to prawdziwie filologiczny wyeksplikowane i wydedukowane.

KOWAL, udając, że go zrozumiał.

Bardzo słusznie, panie bakałarzu! Wydedukowane! Tu siedzi zając w pieprzu, owdzie kot z garnczka wygląda. Zaś oficer to znowu coś zupełnie innego. — Oho, my kowale nie jesteśmy głupi, my kowale nie jesteśmy głupi!

Wychodzi.

BAKAŁARZ, nakładając szlafrok.

Późna już godzina. Dla wzmocnienia żołądka naleję sobie jeszcze kieliszeczek, a potem czemprędzej pod pierzynę. — Hola, ktoś puka jeszcze? Proszę!

Wchodzą TRUTKA i MOLLFELS.

TRUTKA.

Jużeś się pan do snu układał, panie bakałarzu? Bardzo nam przykro, że przeszkadzamy. — Nie znasz pan jakiego środka na samobójcze zapędy? Pan Mollfels cierpi na tę dolegliwość.

BAKAŁARZ.

Gdybym śmiał doradzać, zaproponowałbym nieomylną w takich razach dryjakiew z ośmiu lub dwunastu butelek wina; te przynajmniej odwloką nieco zło.

TRUTKA.

Bene, panie bakałarzu! Tuzin butelek wina! Żywo! Okiennice zamknąć! Urządzimy sobie dziś wesołą nockę. Zgoda, panie Mollfels?

MOLLFELS.

A, niech się piekło raduje! Męka jest lustrzaną podlewą radości, zrobię dziś taki użytek z mego bólu. — Bakałarzu — wina! Oto pieniądze. — Jeżelibym mimo wszystko chiał uparcie wytrwać przy swych zamiarach, mam jutro dosyć czasu, aby wykonać to, czegom dziś zaniechał.

BAKAŁARZ, stając się nagle ruchliwym jak fryga.

Hejsa! Hopsasa! To były męzkie słowa, panie Mollfells. Zaś mojem hasłem będzie: — wino sprowadzić. Biegnie do alkierza. Bogumiłku, Bogumiłku, wyłaź z łóżka. Raz,

dwa! — Wdziej latarnię, zapal spodnie. Wyłaź z łóżka! wyłaź natychmiast! Pójdziesz ze mną do karczmy, pomożesz mi nieść wino.

BOGUMIŁEK, wyłazi z alkierza, nawpół senny, w grubym negliżu; mruży oczy płaczliwie.

Hi, hu, hi!.. Izba dymi... Turki trąbią...

BAKAŁARZ.

Cóż ty, hultaju? Klepki ci się w głowie przewróciły? Na, masz, wetrzyj-że sobie wody w oczy! Żywo! żywo! Gdzie masz spodnie, gdzie kamizelkę? Na, wdziewaj mój tużurek! Tak! Widzisz, jak majestatycznie leży na tobie? Jak czarna aksamitna suknia z ogonem. Wyglądasz jak teatralna królowa! Chodź, chłopcze, chodź, chodź! Wybiega z Bogumiłkiem.

MOLLFELS.

Ha! ha! Trutka, tę scenę możesz pan wsadzić żywcem w jedną ze swoich komedyj!

TRUTKA.

Panie Mollfels, czyś pan niespełna rozumu? Taki trywialno-komiczny występ? Komizm musi być dziś subtelnym, tak subtelnym, że go się zgoła już nie spostrzega. Gdy widz mimo to coś zauważył, cieszy go wówczas, nietyle sztuka, ile własna bystrość, która tam nawet coś znalazła, gdzie nic zgoła nie było. Wogóle niemiec jest zanadto wykształcony i rozsądny, aby znosić zuchwałą, tęgą wesołość.

MOLLEELS.

Oj tak, niemiec nie śmieje się, póki nie ma pewności, że będzie mógł najformalniej zdać sobie sprawę, z czego się śmiał.

TRUTKA.

Wierz mi pan, gdyby dziś ktoś napisał sztukę, aż do najdrobniejszych szczegółów opartą na wyższych zasadach, gdyby odważył się przeprowadzić idee swe śmiało i oryginalnie, przeważna część publiczności zapoznałaby go dla tego właśnie, nie mogąc śród gąszczu drzew dojrzeć lasu.

MOLLFELS.

Pan-eś się pewno przewalił z taką komedyą, napisaną w imię wyższych zasad?

TRUTKA.

Ach, nie mów pan „przewalił“, — to brzmi zbyt twardo. Powiedz pan raczej „upadł“, — jest to, bądź co bądź, wyrażenie łagodniejsze.

MOLLFELS.

Czy mogę panu służyć radą? W przyszłości pisz pan wyłącznie tragedye. Jeżeli tylko zdołasz nadać im należytą mierność, upoisz się poklaskiem. Przedewszystkiem, plan sztuki musi być odpowiednio błahy i płaski, w przeciwnym razie gotów niejeden krótkowzroczny łeb barani całości nie ogarnąć. Następnie, nie powinieneś w najmniejszym drobiazgu polegać na rozumie i badawczości czytelnika; a jeżeli nieszczęście chciało, że w całość wplątała się jaka wybitna scena, powinieneś wnet potem najstaranniej zaznaczyć, co ona ma na celu i w jakim stosunku do całości należy ją pojmować. Przy tem, na miłość Boską, ugniataj wszystko na miękko, gdyż, co miękkie, podoba się, choćby to było tylko mokre łajno. Upodobania dam miej zawsze przed oczyma, jako pierwszą wskazówkę, gdyż — mimo iż żaden prawy poeta nie uznał ich za powołane do sądzenia w rzeczach sztuki — są one obecnie w jej kró-

łestwie najwyższą instancyą apelacyjną. Rzeczą pozostaje nierozstrzygnioną, co je powołało na to wysokie stanowisko: słabowite nerwy, czy też zręczność w skubaniu szarpii. Natomiast pewnem jest, panie Trutka, że jeśli masz pan dosyć potęgi, aby przełamać jedną z powyższych reguł, zostaniesz niebawem okrzyczany jako na ślepo gdzieś pędzący, szalony, surowy fantasta, który w dzikim rozmachu smaruje do kupy piękno z potwornością. Gdyby Szekspir i Homer powstali dziś z grobów ze swemi dziełami, należałoby oczekiwać krytycznych wyroczni, w których Iliadę nazwanoby bezsensowną mieszaniną, zaś Lear'a bombastycznym chlewem. Niedość tego! znaleźliby się prawdopodobnie recenzenci, którzy udzieliliby Homerowi życzliwej i delikatnej wskazówki, aby próbował drogą pracy i naśladownictw wedrzeć się na wyżyny „Zaczarowanej róży", a Szekspirowi nie oszczędzili rady, aby, studyując pilnie powieści *Helminy von Chezy* i *Fanny Tarnow*, nauczył się z nich znajomości ludzi.

TRUTKA, **chrząka co chwila podczas powyższych słów Mollfelsa i gestami okazuje, iż nie godzi się na jego sądy.**

Moje zasady nie pozwalają mi całkowicie potakiwać pańskim wycieczkom satyrycznym przeciw wszelkim regułom. Reguły wydają mi się niezbędnemi; są one niejako spodniami geniuszu. Na czemże ma się opierać artysta, po czem poznać siebie samego, jeśli, w stosunku swoim do krytyków, nie —

MOLLFELS.

Artysta winien się wspierać tylko na własnym geniuszu, poznawać siebie tylko po spokojnej i jasnej samowiedzy twórczej. Co się zaś tyczy jego stosunku do krytyków, należy pamiętać, że krytycy mozolnie budują tamy na przestrzeni tak szerokiej jak ich mózg, a więc bardzo

wązkiej; zjawia się geniusz, widzi żałosną naokół ciasnotę, burzy tamy i rzuca je krytykującym panom na głowy tak energicznie, że wyć zaczynają. Gdy pospolity tłum usłyszy te wrzaski, powiada sobie w prostocie ducha: oni krytykują.

TRUTKA.

Hm, tym sposobem, każdy niekorzystnie skrytykowany poeta miałby w panu żarliwego obrońcę.

MOLLFELS.

Jak daleki jestem od czegoś podobnego, świadczy bodaj to, żem niejednokrotnie wyrzucał rządom okrucieństwo względem publiczności, wzywając je, aby bez wahania powiesiły dobrą kopę poetów za ich nikczemne poezye.

TRUTKA, w niepojętym niepokoju.

Nie! Nie! Tego byłoby zanadto! Wieszać! Sprawiedliwe nieba, co za okropny pomysł... Henryk Doering, Fryderyk Gleich, Metuzalem Müller, Karol Stein... o, zęby mi dzwonią, dalibóg zęby mi dzwonią. Wzdycha z ulgą widoczną. Ach, nareszcie powraca bakałarz z winem!

BAKAŁARZ z BOGUMIŁKIEM, obaj obładowani butelkami wina.

BAKAŁARZ, śpiewa.

Vivat Bachus, Bachus górą,
Bachus był to tęgi mąż!

Do Bogumiłka:

Śpiewaj-że razem, głupi knocie!

BOGUMIŁEK, piskliwie.

Vivat Bachus, Bachus górą,
Bachus był to tęgi mąż!

MOLLFELS.

Bogumiłku, skrzeczysz tak, że kamienie chciałyby mieć uszy, aby je módz pozatykać.

BAKAŁARZ.

Hehe? Czyż ten chłopczyna niema milutkiego głosiku? Mam w biurku już 22 listy od Syren; pragną go zaangażować do swego chóru; odpisuję jednak za każdym razem, że chłopiec jest jeszcze za młody.

TRUTKA.

Długonosy arcyzrzędo, dość tego świszczypalskiego mielenia językiem. Szklanki na stół!

BAKAŁARZ, stawiając je na stole.

Oto są!

TRUTKA.

A teraz, nalewać!

BAKAŁARZ.

Cierpliwości! cierpliwości! Małą chwileczkę!

Biegnie do łóżka, zrywa prześcieradło i owija niem sobie głowę.

MOLLFELS.

Co znaczy, do pioruna, ten kaptur waryacki?

BAKAŁARZ.

Drobna przezorność, panie Mollfels, tylko przezorność! Mając na względzie obalenie się na ziemię, upijam się rad z owiniętą głową.

MOLLFELS.

O światły, doświadczony praktyku! Jako twój po-

korny uczeń, naśladuję cię natychmiast co do tych środków bezpieczeństwa!

TRUTKA.

I ja również!

Obaj zrywają prześcieradła z łóżek i owijają sobie głowy.

BAKAŁARZ.

Dalibóg, moi panowie, nasze trzy głowy w tych potwornych prześcieradłach wyglądają jak trzy nieszczęśliwe muchy, które wpadły w sagan mleka!

MOLLFELS.

Opowiedzcie, bakałarzu, jaką historyjkę z waszej młodości.

TRUTKA.

Oj to, to! coś z waszej młodości. Zasiadają przy stole i nalewają wino.

BAKAŁARZ, pije.

Fuimus Troes! Minęły złote, cielęce lata! — Bogumiłku, gdzieżeś ty? — Otwórz dziób, dudku! Łyk zgermanizowanego szampana nie może zaszkodzić twemu patryotyzmowi. — A więc, moi panowie, opowiadanie z *tempi passati* dla pedagoga, który pragnie zachować należyty respekt u swych elewów, oraz dla małżonka, którego nęka żona zazdrością, jest przedsięwzięciem bądźcobądź drażliwem.

MOLLFELS.

Bez wstępów! Kochałeś się pan! Zdać więc raport ze swej pierwszej miłości!

TRUTKA.

Hu, jakim dreszczykiem wstrząsa chudego pedagogicznego kozła wspomnienie pierwszej miłości!

BAKAŁARZ.

O wy piękne, marzeń słonecznych pełne, nieodwołalnie minione dni, kiedym... Panowie, trąćcie się ze mną: — niech żyje Hanusia Miodziuś!

MOLLFELS i TRUTKA.

Niech żyje!

BAKAŁARZ.

Wybaczcie, proszę, cenię to dziewczę tak nieskończenie, że nie mogę zadowolnić się jedną szklanką, pijąc za jej zdrowie. Wypija po kolei sześć kieliszków.

MOLLFFLS i TRUTKA.

Brawo, bakałarzu! I my potrafimy cenić Hanusię. Wypijają również po sześć kieliszków.

BAKAŁARZ.

Skorośmy społem uczcili Hanusię w należyty spoób, mogę opowiadać dalej. Lube dziecię było aniołem, zaś jej ojciec podinspektorem w szkole miejskiej, a nadto nędznym *filou.* Nosił perukę z harbajtlem, za którą od rana do północka uganiały się wszystkie psy i koty, biorąc ją widocznie za gniazdo wodnych szczurów. Jego skórzane, wycieńczone długim żywotem spodnie stały się kiedyś przedmiotem sporu między naszymi historykami, którzy debatowali o najdawniejszych śladach stosunków handlowych plemienia niemieckiego z obcymi narodami; zdeterminowano podówczas te spodnie jako pogrobowy zabytek fenicki.

MOLLFELS i TRUTKA.

Hoho! Pogrobowy zabytek! Piją.

BAKAŁARZ, do Bogumiłka, który stoi bezczynnie w kącie.

Ty złośliwy, zazdrosny, zimnokrwisty, podstępny kundlu ty! — czemuż stoisz jak kołek w kącie i wargą nie ruszysz? Chcesz zostać trzeźwym, aby módz potem wyśmiewać nasze pijaństwo? Wypijesz mi *stante pede* tę butelkę, albo każę ci odgryźć sobie kciuk lewej ręki! Bogumiłek porywa butelkę i zabiera się do niej radośnie.

BAKAŁARZ, zwracając się ponownie do Mollfelsa i Trutki.

Podinspektor był więc drapieżnikiem, my uczniowie nienawidziliśmy go równie serdecznie, jak szczerze kochaliśmy jego córkę. Ponieważ byłem rozwiniętym chłopcem, a on, nudząc się w długie wieczory zimowe, podczas których nigdy nie zapalał światła, poszukiwał skracającego czas towarzystwa, miałem więc u niego dobrą notę, i musiałem go odwiedzać codziennie, jak tylko mrok zapadł. Siadywałem z nim i z jego córką w ciemnym pokoju, jego mając po lewej stronie, ją po prawej. Recytując przed nim jak papuga ustępy z jego edycyj Pliniusza, ściskałem rączkę córki, a gdym poczuł uścisk wzajemny, zachodziłem dalej: otaczałem ramieniem jej wdzięczną szyję, skubałem żabocik na piersiach, szczypałem w karczek. Na moje nieszczęście stary zajął raz jej miejsce; nie zauważyłem tej zamiany i zacząłem jak zwykle manewrować ręką. Wprawdzie uderzyło mnie, że Hanusia ma na sobie szczególną, wielkiemi stalowemi guzami ciasno opiętą suknię, lecz zaślepiony miłością, nie zwracałem na to uwagi. Pan Inspektor, oddawna już wdowiec, przyjmował te moje pieszczoty z błogiem widocznie uczuciem, gdyż nie ruszył nawet palcem i milczał jak ryba. Dopiero gdym mu na ucho szepnął: „Hanuś, Hanuś, cóżeś ty dziś taka płaska,

pomarszczona, sucha i brzydka", — oburzony widocznie tem zelżeniem swej piękności, wpadł w pasyę i zbombardował mnie potężnym pogębkiem, który nietylko wyrwał mnie ze złudzenia lecz nadto sprawił, że nazajutrz wszyscy wypytywali mnie, czym nie kazał sobie przypadkiem zaszczepić naturalnych policzków.

MOLLFELS.

Cudowne, bakałarzyno, cudowne! Starego inspektora szczypać w kamizelkę! O rozkosz! rozkosz! rozkosz!

BAKAŁARZ.

Niech żyje szczypanie!

MOLLFELS.

Wiwat! Piją bez miary.

BAKAŁARZ.

O rety, panie Mollfes, jakże Trutce oczy puchną!

TRUTKA, chwyta po pijanemu bakałarza za piersi.

Mów, czyż nie? czyż nie? Czy moje wiersze nie są oklepaną, jałową bazgraniną, na którą napluć warto?

BAKAŁARZ.

Są one akurat tyle warte co poezye *Elizy von Hohenhausen,* z domu *Ochs.*

TRUTKA.

Zmiażdż mnie, bakałarzu, zdepcz mnie! Jestem robakiem, jestem nędznym półgłówkiem! Moje wiersze nie mają w sobie mocy i jędrności, moje myśli nie mają sensu. Jestem robakiem, jestem nikczemnym robakiem! Rzuć mnie w bagno, bakałarzu, rzuć mnie w bagno!

BAKAŁARZ, pijąc wciąż i powoli tracąc również przytomność.

Nie płacz, Truteczko, i mów cicho, aby stróż nocny nie usłyszał! Wpadłeś w *rage!* — Czyż nie, Mollfels?

MOLLFELS, rzuca się bakałarzowi na szyję.

Ach moja Liddy, moja Liddy!

BAKAŁARZ, dziewiczym głosem.

Pognieciesz mi żabocik na piersiach, drogi Karolu. Wskazując na Bogumiłka, który z pustą butelką w ręku wytacza się z kąta. Ale ukryj się czemprędzej, ukryj, najdroższy! Bo oto zbliża się ojciec.

MOLLFELS.

Tyś chyba cokolwiek pijana, moja Liddy?

BAKAŁARZ.

Niestety, drogi Karolu, podochociłam sobie coś nie coś.

TRUTKA, waląc się na ziemię.

„Niedorzeczności, — ty zwyciężasz, a ja zginąć muszę.“ Zasypia.

BOGUMIŁEK, wdrapuje się bakałarzowi na kolana i mówi mu prosto w twarz.

Niepoczciwy bakałarzu, ty! Biłeś mnie, tłukłeś mnie, kląłeś na mnie! — Jestem pijany. Teraz ja cię biję, ja cię tłukę. A widzisz!

BAKAŁARZ.

O czcigodny mój ojcze! Przebaczenia! Nie mogę inaczej: albo wyjdę za Karola, albo umrzeć muszę. O nie bądź tak okrutnym, najwspaniałomyślniejszy z ojców! Na kolanach cię błagam, nie bądź okrutnym: nie zabijaj twej nieszczęsnej córki! *Pardonnez moi, Monsieur!*

MOLLFELS.

O tak, panie Baronie, nie zabijaj nas, nie burz naszego szczęścia doczesnego i wiecznego.

Bogumiłek stacza się na ziemię.

BAKAŁARZ, radośnie.

Zwycięztwo! zwycięztwo! On przebacza, on na ziemię się stacza. Karolu, Karolu, chodź w moje objęcia! Wolno nam się kochać!

MOLLFELS, przypatruje się uważnie Bogumiłkowi.

Gdy się tak pani ojcu dokładniej przyjrzę, wydaje mi się dyablo małym w porównaniu z tem, jakim był dawniej.

BAKAŁARZ.

Przechodził ospę, mój najdroższy!

MOLLFELS.

Uh! Uh!

BAKAŁARZ.

Boże, czemuż tak wzdychasz?

MOLLFELS.

Biada mi! biada! Boję się, że zlecę ze stołu.

BAKAŁARZ.

Na to niema innej rady, jak abyś nań wlazł czemprędzej.

MOLLFELS wdrapuje się na stół, aby z niego nie zlecieć, i spada na ziemię.

BAKAŁARZ, uderza w krzyk przeraźliwy, załamując ręce na głową.

O doloż, dolo, nieubłagana dolo! Żadna mądrość

ludzka ciebie nie uchyli, żaden śmiertelny tobie nie ujdzie! Mimo że Mollfels na stół się wdrapał, jednak musiał z niego zlecieć! O ty okrutny, jak marmur twardy potworze!

MOLLFELS.

Czyż mi nikt nie pomoże powstać na nogi? Bakałarzu! Liddy! Gdzieżeście się podzieli?

BAKAŁARZ.

Zayre, vous pleurez? Boli mnie to. *Ma parole,* to mnie boli! — *Venez, ma chère!* Na dworze ciemno jak w piekle! Pójdźmy do kościoła, zagramy sobie na organach. Ujmuje Mollfelsa pod ramię, i wytaczają się razem za drzwi.

SCENA II.

Łąka o świcie. Baron MORDAX wychodzi na przechadzkę, spotyka trzynastu krawczyków, zasłania sobie piersi serwetką i zarzyna ich wszystkich po kolei.

SCENA III.

Wygon we wsi. Wchodzi CZTERECH NATURALISTÓW z okrwawionemi głowami; każdy z nich ma w ręku potężny krzemień.

WSZYSCY RAZEM.

Oto krzemieniami rozbijamy sobie umyślnie głowy na to tylko, aby dojść wreszcie, czem jest ów, tak zwany kanonik, co wtyka palce w ogień! I ani rusz! O! O! O!

JEDEN Z NICH.

Tylko nie wątpić, panowie! Nauka nas wzywa! Spróbujmy jeszcze raz. Odwagi! Raz jeszcze połammy sobie głowy!

RAZEM.

Tak jest. Jeszcze raz połammy sobie głowy! **Tłuką się kamieniami po głowach, aż skry lecą; nie dochodzą do żadnych rezultatów i oddalają się wśród klątw.**

Wchodzą — BAKAŁARZ, MOLLFELS i TRUTKA.

BAKAŁARZ.

Szalona to była noc! Szalona noc! Gdym się zbudził, leżałem ku swemu zdumieniu obok pedału organów kościelnych.

MOLLFELS.

Jam siedział jak turek z podwiniętemi nogami na jednej z trumien rodzinnego grobowca baronów.

TRUTKA.

Ja zaś, bakałarzu, spałem pod waszem biurkiem; tuż obok chrapał Bogumiłek jak borsuk.

BAKAŁARZ.

Podług mej, oczywiście nie miarodajnej propozycyi, byłoby nieźle zjeść wspólną przekąskę ranną; powinna ona złagodzić popołogowe bóle pijaństwa, albo powiedziawszy z niemiecka, przepędzić katzenjammer.

TRUTKA.

Przykro mi, że nie mogę wam towarzyszyć; mam niecierpiące zwłoki polecenie do baronówny. **Odchodzi.**

MOLLFELS.

Idę z panem, panie bakałarzu. Chodź pan! Mam potężny apetyt. **Wychodzą.**

SCENA IV.

Pokój na zamku. Wchodzą TRUTKA i LIDDY.

TRUTKA.

O, niech pani nie odmawia mej prośbie; proszę dać się namówić na tą przejażdżkę. Schallbrun jest jednym z najpiękniejszych zakątków ziemi: jak chata pasterska z *pastor fido* Guariniego, stoi leśniczówka w samotnej zieleni dębowego lasu; niby dwa długie i płynne słowiki ćwierkają dwa szemrzące strumienie w ciszy okolnej; pątnicy zaś, jak się wyraża uczuciowo pewien hrabia i skrzętny zarazem poeta, pątnicy kwitną tam wśród zieleni i szeleszczą cicho swe pacierze w słodkiem ustronnem rozmodleniu leśnem.

LIDDY.

Składnie przedeklamowane, panie Trutka! Jak daleko ztąd do Schallbrunu?

TRUTKA

Niespełna mila, droga prowadzi przez uroczą okolicę, pośród wzgórz lesistych i kwietnych łanów.

LIDDY.

Bądź pan więc na pogotowiu i niech woźnica zaprzęga. Za godzinę pojedziemy do leśniczówki w towarzystwie wuja. Wychodzi wraz z Trutką.

SCENA V.

Podszyty gęsto las. Wieczór. Wchodzi Bakałarz, dźwigając na plecach olbrzymią klatkę.

BAKAŁARZ.

Słońce zaszło, znużony świat wdział gwiaździstą szlafmycę, jedna połowa ziemi zda się martwą, złe marzenie straszy z po za kotary bezbronny sen, czarownictwo rozpoczyna swą straszną służbę u bladej Hekaty, wystraszony przez wyjącego stróża nocy wilka, skrada się mord olbrzymiemi krokami bandyty, by rozpocząć swe krwawe dzieło, kowal ukuł mi klatkę, tu w gąszczu ją postawię, zdala echo donosi uderzenia siekiery, to dyabeł kradnie drzewo, bardzobym się mylił, gdyby magiczny wpływ trzech części Jakóba Casanovy de Seingalt, wydanych przez Wilhema von Schuetza, nie zwabił go tutaj! Dla pewności, wzmocnię efekt pośmiertnemi pismami nieboszczyka Althinga i położę je na Casanovie, niby zły pieprz na szynce wieprzowej.

Ustawia klatkę w zaroślach, otwiera drzwi, kładzie wewnątrz Casanovę i pośmiertne pisma Althinga, sam zaś ukrywa się na uboczu. Pauza. Wchodzi dyabeł i węszy.

BAKAŁARZ.

Aha, już się zjawił! I jakże go to w nos kłuje!

DYABEŁ.

Węszę tu dwojaką strawę: z lewa coś wstrętnego, sprośnego, — z prawa coś opiłego, chłoszczącego dzieci.

BAKAŁARZ.

Tam do licha! byłżeby to przytyk do mojej osoby?

DYABEŁ, idąc w stronę Casanovy.

Sprośność wabi mię potężnie, zawracając w stronę Bakałarza: ale opilstwo nęci mnie w równej mierze. Zatrzymuje się wpośrodku Żeby tylko wiedzieć, co z dwojga jest bardziej niemoralne? Węszy jeszcze mocniej.

BAKAŁARZ.

Oj do kata, moje sumienie!

DYABEŁ.

Mam wreszcie! Tamto, nawskroś przepite i dzieci przytem chłoszczące, jest stokroć gorszem; najobrzydliwsza rozpusta jest w porównaniu prawdziwą niewinnością. Biegnie w stronę bakałarza.

BAKAŁARZ, umyka przed nim wkrąg, ukrywając się za pniami drzew.

Psiakość, a tom wlazł w ładną kaszę! Niepomyślała o tem dusza moja, że jest bardziej grzeszną, niźli Pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt i pośmiertne pisma Althinga! Bo też to jest tylko potwarzą złośliwego pana Mefistofelesa! — Bogu dzięki, mam oto w kieszeni kawałek konfesyonału, com go wczoraj w nocy po pijanemu zagarnął. Trzeba mu to pokazać, to go spłoszy natychmiast. Czyni, jak powiedział.

DYABEŁ, parska i odskakuje w tył.

Tfu! Opilstwo umoralniło się wiórem z konfesyonału. Tfu! — No, wobec tego, zwrócę się lepiej do rozpusty, choć ona jest moralniejszą.

Wskakuje chciwie do klatki; w chwili gdy wziął Casanovę do ręki przybiega bakałarz i zatrzaskuje za nim drzwi.

DYABEŁ, zrywa się z krzykiem.

Przekleństwo, zamknięto mnie, jestem uwięziony! Wstrząsa gwałtownie sztabami. Daremnie, daremnie! Sztaby wiązane

są na krzyż: nic tu nie poradzę. Spostrzegłszy bakałarza: A więc to ty, szelmo, łajdaku, łotrze jeden — nie, nie! chciałem powiedzieć: więc to ty, luby, uprzejmy, dobry człowiecze! O, wypuść mnie, wypuść mnie, poczciwa duszo!

BAKAŁARZ.

Prosit, smacznego! Na sadło łapie się myszy, na Casanovę i Althinga łowi się dyabła.

Bierze klatkę na plecy i wynosi dyabła.

Baron MORDAX wchodzi z opryszkami.

Baron MORDAX, odchrząkuje, spluwa i rozpoczyna mowę.

Panowie opryszki! Baronówna Liddy przebywa obecnie w leśniczówce w Schallbrun. Ile że wspomniana osoba po dobrej woli mych dziewosłębów akceptować nie życzy, zmuszony jestem porwać ją *par force.* Czyście zczesali grzywy na swe fizyognomie szubieniczników, abym sobie przez was wstydu nie narobił?

OPRYSZKI.

Tak jest, zczesaliśmy.

Baron MORDAX.

Pięknie. Wychodzą.

MOLLFELS, wchodzi z trzema uzbrojonymi służącymi.

Wałęsają się tu po lesie podejrzane bandy. Panna Liddy jest w Schallbrunie — obawiam się, że jakiś zamach knuje się na nią. Nabijcie broń! nadarzy się może sposobność wypalić w łeb jakiemu łotrowi.

Nabijają pistolety i wychodzą.

SCENA VI.

Uboga izba w leśniczówce Schallbruńskiej. Wchodzą: BARON, LIDDY i TRUTKA.

LIDDY.

O, panie Trutka, zawiodłeś nas pan strasznie. Jeżeli tu jest romantycznie, w takim razie... Hu, wujaszku drogi, grozą mnie tu wszystko przejmuje. Każ zaprzęgać, aby uciec jaknajprędzej z tej nory zbójców.

BARON.

Dziewczyno, ty drżysz! — Cóż u Boga, to nie w twoim zwyczaju?

LIDDY.

O, błagam cię, każ zaprzęgać, każ czemprędzej zaprzęgać!

BARON.

Hej tam! Gospodarzu! Wchodzi gospodarz. Nakarmiłeś moje konie?

GOSPODARZ.

Nie karmię cudzych koni. Wychodzi.

LIDDY.

Stary niedźwiedź!

BARON, wybiegając za nim.

Zuchwały łotrze! Masz je nakarmić!

LIDDY.

Wuju, dokąd? — Nie słucha! — Pędzi na dół po scho-

dach. — I żeby choć trochę światła w tym ponurym pokoju — ! Panie Trutka, gdzież pan jesteś?

TRUTKA, zdławionym głosem.

Ja, łaskawa pani, ja —

LIDDY.

Boże, co to jest? Co za szmery pod podłogą?

TRUTKA, dzwoniąc zębami.

O, to pewno mysz tylko przebiegła.

LIDDY.

O, drżę niemal na odgłos własnego oddechu. Takiego niepokoju, jak żyję, nie zaznałam! Ach, nareszcie! Wuj wraca ze świecą.

BARON, ze świecą w ręku; gwałtowne jego ruchy świadczą o wielkiem wzburzeniu.

Pokaż mi pan oczy, panie Trutka! Świeci mu w twarz. Nie, pan nic o tem nie wiesz! Uwalniam pana od odpowiedzialności.

LIDDY.

Na miłość boską, co to wszystko znaczy!?

BARON.

Gospodarz jest zdradzieckim łotrem. Wpuszcza gromadę zbójów do domu i odmawia mi koni.

LIDDY.

Jezus Marya! Jesteśmy zgubieni!

BARON.

I gdybyż tylko szło o pieniądze, ale zamiary rabusiów dotyczą ciebie, Liddy, ciebie!

TRUTKA.

O jeśli tak, ratuj nas pani, ratuj nasze życie! Tonący brzytwy chwycić się musi. Jeśli pani zechcesz dowódcy tej bandy, w prywatnej audyencyi, której możliwe skutki dadzą się łatwo ukryć w tak zwanej podróży do wód —

LIDDY.

Milcz, nędzny rymokleto, i ukryj się za piecem wraz z mizernem swem życiem! Wyrywa szpilkę z włosów. Zanim który z tych łotrów ręki mej dotknie, szpilka ta dziesięćkrotnie pierś moją przebije. Dalejże, drogi wuju, barykadujmy drzwi! W niebezpieczeństwie, najsłabszy bywa nieraz najsilniejszym.

BARON.

Szlachetne, bohaterskie dziecko! Zatarasowują drzwi.

LIDDY.

Stołem je zastawić!

BARON.

Za ciężki.

LIDDY.

Sama go przeniosę.

BARON.

Liddy, Liddy, piersi sobie zgnieciesz tą deską olbrzymią! — Na litość boską, zkąd tyle sił bierze się w tobie?

LIDDY.

Weź tę szpadę, a mnie daj swój nóż myśliwski. — Ha, oto zbliża się banda!

Baron Mordax i jego opryszki szturmują do drzwi i wywalają je po kilku uderzeniach; Liddy rzuca w nich nożem myśliwskim; banda waha się przez mgnienie oka; po chwili słychać głos Mollfelsa, padają strzały, napastnicy uciekają w popłochu, wpada Mollfels, za nim służba jego, prowadząc uwięzionego barona Mordaxa.

LIDDY.

Jesteśmy uratowani! Mdleje i słania się w objęcia Mollfelsa.

MOLLFELS, do Barona wszazując na Mordaxa.

Oto jest sprawca nikczemnego napadu. Dwaj służący wprowadzają von Wernthala: Ten zaś oto, którego znaleźliśmy w pobliżu, otrzymał za baronównę, według zeznań barona Mordaxa, 20000 talarów; przyczem naładował przezornie obie kieszenie cebulami, aby sobie niemi łzy żalu wyciskać.

Służba wywraca kieszenie pana von Wernthal; mnóstwo cebul wypada na podłogę.

LIDDY, przychodząc do siebie.

Więc pan, panie Mollfels, narażałeś dla mnie życie? Jeśli ma ręka wynagrodzić pana może, — oto ona!

MOLLFELS.

Uszczęśliwiony, chylę się do nóg pani —

LIDDY.

O nie! Taki człowiek, jak pan, nie powinien się schylać przed żadną kobietą. Radośnie wyciskam pocałunek na ustach, które tak często sam pan wyszydzałeś!

BARON.

Doskonale! Błogosławię wasz związek.

TRUTKA.

A ja zgotuję epitalamium weselne.

LIDDY, z uśmiechem.

Oj, panie Trutka, jakiż z pana wstrętny tchórz!

TRUTKA.

Jestem poetą, łaskawa pani.

BARON, do Wernthala i Mordaxa.

A wy, nędznicy, hańbo szlachty, otrzymacie bezlitosną karę, na jaką zasłużyliście obaj. Jak najpospolitszych złoczyńców, każę skuć was razem w dyby i wśród białego dnia zawieźć do miasta.

Baron MORDAX, wpada w pasyę.

Mord i śmierć! to przechodzi już moją cierpliwość. Transportować mnie w dybach do miasta! Więc to jest nagroda za to, żem tak bosko zagrał swą rolę? Sądziszże pan, panie teatralny baronie, iż nie wiemy, że jesteś tylko aktorem W.....skim, i że nic mi zrobić nie możesz? Dalejże, panie von Wernthal, złaźmy do orkiestry, do muzykantów; to są moi serdeczni przyjaciele, pośród nich włos nam z głowy nie spadnie.

Baron Mordax i pan von Wernthal złażą do orkiestry. Wchodzi Bakałarz, niosąc na plecach klatkę z dyabłem.

BAKAŁARZ.

Gratuluję, panie baronie, żeś się z siostrzenicą szczęśliwie wydobył ze szponów barona Mordaxa.

BARON.

Czym ja zmysły postradał, bakałarzu? Wszakże to kanonika dźwigasz pan w klatce na plecach?

BAKAŁARZ, stawiając klatkę na stole.

Hm, jeżeli dyabeł jest księdzem, to może być również

kanonikiem i nawet biskupem, bo ten zmarzły kominiarz jest całe życie szatanem we własnej osobie.

WSZYSCY OBECNI, nie wyłączając Barona Mordaxa i pana Wernthala w orkiestrze, wołają zdumieni:

Co takiego? Szatan? O cudzie!

BAKAŁARZ.

Tak jest. Po raz drugi oto zbawiam od niego uciemiężony glob ziemski i jako wróbla przekażę go w klatce rodowi ludzkiemu dla dowolnej obsygillacyi.

DYABEŁ.

Panie Baronie, zaklinam pana, wyswobódź mnie z klatki, wybaw mnie od tego bakałarza. On drażni mnie bez końca, przejeżdża się po mnie bez litości, łaskocze długiemi pokrzywami, sypie mi trzy razy na minutę drobny piasek na głowę —

BAKAŁARZ.

To dyabeł, panie Baronie, to dyabeł! Zasłużył na to! Niech pan spojrzeć raczy: spróbuję wykonać mój główny eksperyment. Każę mu zjeść modlitewnik i podać potem łapkę. Podaje mu modlitewnik. Jedz! Dyabeł wzdryga się. Żryj, psie plemię! Dyabeł wzdryga się jeszcze gwałtowniej.

SŁUŻĄCY, we drzwiach.

Jakaś młoda, piękna dama, w ciepłem futrze, zjawiła się w sieni, niewiadomo zkąd.

DYABEŁ, rzuca się radośnie w klatce.

O, to moja babka! to moja babunia! Wdziała futro, aby się nie przeziębić.

TRUTKA.

Pan się mylisz, panie szatanie. Służący mówi nie o pańskiej babce, lecz o damie młodej i pięknej.

DYABEŁ.

Jesteś cielę! Jakgdyby moja babka mogła być starą i brzydką! Czyż nie wiesz, że my, nieśmiertelni, pozostajemy wiecznie młodzi? Jeżeli mimo to zestarzałem się i dostałem zmarszczek, winny temu moje specyalne zgryzoty z powodu wynalezienia zupy rumfordzkiej.

Wchodzi BABKA DYABŁA, kobieta piękna, kwitnąca, w modnym kostyumie zimowym, i wita obecnych niemem skinieniem głowy.

BABKA DYABŁA.

Panie bakałarzu, proszę wypuścić mego wnuka z klatki! Możesz pan w zamian żądać uprzejmości, jakiej tylko zapragniesz.

BAKAŁARZ.

A więc, Ekscelencyo, niech on poda mi łapkę.

BABKA DYABŁA.

Podaj łapuchnę! Dyabeł podaje bakałarzowi łapkę, poczem ten wypuszcza go z klatki. Więc tak, drogi wnuczku..! Bądź wesół, chłopcze! — Szorowanie skończyło się w piekle. Możesz natychmiast ze mną powracać. Gorąca kawa, która cię, biedaczku, rozgrzać powinna, czeka już na stole.

DYABEŁ.

Doskonale, wybornie, babuniu! Ale przy kawie rad coś czytam. Panie bakałarzu, nie masz pan przypadkiem przy sobie pism *profesora Kruga,* zwłaszcza traktujących o najnowszem stadyum sprawy greckiej?

BAKAŁARZ.

I owszem, przysłano mi właśnie dzisiaj paczkę zgniłych śledzi. Wyciąga kilka paczek z kieszeni. Mogę panu również służyć opowiadaniami *Van der Velde*'go *), zbiorowemi pismami topielicy *Luizy Brachmann* i, jeśli się nie mylę, nawet zachodnio-wschodnim Dywanem oraz Latami wędrówki Wilhelma Meistra przez Goethego.

DYABEŁ.

Ho, jakież stosy zadrukowanej bibuły! — Wzięłaś ze sobą, babuniu, służącego, aby to wszystko zaniósł za mną?

BABKA DYABŁA.

Oczywiście, cesarz Neron przyszedł ze mną. Stoi w tej chwili na schodach i czyści twe buty rajtarskie, które z sobą przywiozłam.

DYABEŁ, woła:

Neron! Neron!

Wchodzi rzymski cesarz NERON w lokajskiej liberyi, niosąc w ręku buty rajtarskie dyabła.

NERON.

Jaśnie pan rozkaże?

DYABEŁ.

Dawaj buty. Naciąga buty; do Nerona: Cóż porabia twój kamrat Tyberyusz?

NERON.

Leży na blechu i suszy swą bieliznę.

---

*) „Niegdyś niezmiernie czczony, dziś przebrzmiały zupełnie w Niemczech autor powieści historycznych w guście Walter Scotta.“

DYABEŁ.

Mądrze czyni! Mój poczciwy Neronie, weźmiesz pod lewą pachę najnowsze stadyum sprawy greckiej, pod prawą dzieła poetyckie Luizy Brachmann i poniesiesz to za mną.

NERON.

Do usług, jaśnie panie.

DYABEŁ, **zwracając się do towarzystwa z szelmowskim uśmiechem.**

Do widzenia, moi państwo!

Dyabeł, jego babka i cesarz Neron wychodzą, obładowani książkami.

BAKAŁARZ.

Co to było, panie Baronie?

BARON.

Ja pana o to pytam, panie bakałarzu?

TRUTKA.

Błyska mi idea do naiwno-szalonej balady pod tytułem: „Neron czyści dyabłu buty rajtarskie“!

BARON.

A ciebie, Liddy, nie zdumiewa to wszystko?

MOLLFELS.

Panna Liddy i ja nie zwróciliśmy uwagi na to, co się działo.

BARON.

To się wam chwali; tak przystało zakochanym. **Do wchodzącego lokaja.** Czy powóz nasz bardzo uszkodzony?

LOKAJ.

Nikt go nie tknął.

BARON.

A więc przynieś z pod kozła kosz butelek. Lokaj wychodzi. Orzeźwimy się nieco kilkoma szklankami ponczu.

BAKAŁARZ, jakby z nieba spadłszy.

O panie Baronie, jakiż z pana rozsądny człowiek!

Lokaj wnosi kosz wina.

TRUTKA, przy oknie.

Ale któż to tam jeszcze chodzi po lesie z latarką? Bodaj że ku nam tu zmierza!

BAKAŁARZ, podbiegając do okna.

A niech cię kaci zduszą! I wałęsa się takie oto chłopisko o późnej nocy po lesie, na to tylko, by zupełnie zbytecznie pomagać nam przy żłopaniu ponczu! — A toż to ten przeklęty Grabbe, albo jak go właściwiej nazwać powinienem: ten karłowaty krab, autor tej komedyi! Głupi jak cielęce kopyta, wymyśla na wszystkich pisarzy, a sam nic nie wart; ma nogi pokraczne, zezowate oczy i małpią fizyognomię. Panie Baronie, zamknijmy przed nim drzwi, zamknijmy drzwi!

GRABBE, za drzwiami.

O ty przeklęty bakałarzu! Ty bezdenny worze łgarstw!

BAKAŁARZ.

Każ pan zamknąć drzwi, panie Baronie, każ pan zamknąć drzwi!

LIDDY.

Bakałarzu, bakałarzu! jak można być takim rozgoryczonym na człowieka, który pana napisał! Ktoś puka do drzwi. Prosimy!

Wchodzi GRABBE z zapaloną latarką.



PRZEŁOŻYŁ
Wacław Berent.

Chr. D. Grabbe.

Hymn św. Franciszka z Assyżu.



Bądź pochwalony, Rozdawco cierpienia!
Ręce-ś mi przekłół i nogi,
i krew mi cieknie z głowy,
a oto z Krzyża
zstępuje ku mnie w przechwalebnych ogniach
biały Serafin,
i radość w serce mi leje,
i z duszy śpiewne wytwarza narzędzie,
ażebym śpiewał i grał,
ażebym sławił i wielbił
Rozdawcę bolesnych stygmatów,
z których się rodzi wesele
i Miłość...
I śpiewam i gram
do wtóru anielskich zastępów,
mogących patrzeć w oblicze
Twórcy...
I śpiewam: bądź pochwalony!
A wy, stworzenia boże, słuchajcie mej pieśni
i chwalcie razem ze mną Tego, co was kocha.

Ty, słońce przedewszystkiem, zestrój swoje blaski
w hymn płomienisty,
albowiem przezeń nam świecisz
i przezeń siewców rozbudzasz,
ażeby ziarno siewali
na sytny chleb Ducha...



Długomci-ć czekał na przedwieczne Słowo,
jakkolwiek we mnie było i poza mną,
we wszystkich drzewach i we wszystkich trawach,
w wszystkich jasnościach i w wszystkich ciemnościach,
w róży i lilii,
w robaku i płazie,

w głębinach wody i w górach pustynnych,
w płaczu, nadziei, w uciesze i trwodze.
Długomci-ć czekał, albowiem me plecy
okrywał jedwab, i pasem błyszczącym
były ściągnięte me biodra,
i drogocenne trzewiki
chroniły stopy me,
aby ich piasek nie zbrudził,
po którym stąpa — człowiek.
Długomci-ć czekał, o Panie,
żądny się oprzeć na Twojej światłości,
albowiem w ręku moich była laska,
w kosztowny metal okuta,
a zaś w marzeniach sięgałem po berło,
by rozkazywać wszystkiemu, co żyje.
A oto dzisiaj spłynął na mnie zdrój
Łaski,
iż mogę patrzeć w Krzyż
z wyciągniętemi rękoma
i z ran rozkosznych przelewać
Krew.
I widzę twarz Serafina,
całą w ognistych rozbłyskach,
i słucham wiewu, któryś dał nam, Panie,
abyśmy przezeń rozumieli tchnienie
Twojej Istoty!..
I słucham szeptów, któreś dał nam, Panie,
w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego bytu!
I słucham dzwonu, jak dzwoni
w sferach powietrznych, pełnych Twego Ducha,
wzywając ludzi i głazy,

*i ryby w rzece, i ptactwo,
nim jeszcze zaśnie po gniazdach,
i muchy na dachach, i zielsko w szczelinach
zwalonych bramic i schodów,
i te różowe cyprysy
na świętem miejscu umarłych,
i kości złożone w ziemi,
aby ci bracia moi i me siostry
zmówili pacierz wieczorny,
aby na jego rozbrzmieniach,
na śpiewnych rozlewach dzwonu,
płynęli duchem ku Tobie...
Raduj się, serce, weselem
Swojego Zbawcy!
Dzwoń, szumij i szeptaj poszumem,
szeptem i dźwiękiem okręgów,
boś oto cząstką ich serca,
bo oto przyszło ku tobie
ocknienie!
O miasto, z zimnych zbudowane głazów,
na których zorza przygasa!
Ciepło jest w tobie i ogień,
albowiem w twojem ubóstwie
kryje się Miłość!..
O moi bracia i siostry
z jarzmem na plecach,
z ciężarem konwi na głowie!
Już ja w rzemiennem przepasaniu swojem
nie mam-ci złota ni srebra,
już ja rzuciłem laskę i trzewiki
i śpieszę ku wam, ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co mnie przy słońca zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw,*

wyrwało z obieży zła.
Już ja się nie gnę przed blichtrem i próżnią,
lecz idę ku wam, aby jarzmo wasze
wziąć na swe barki
i, konwie wasze dźwigając na głowie,
nierozerwalny zawrzeć ślub
z wyzwalającą miłością!
Zbliżam się ku wam, pragnąc razem z wami
i razem z wszystkiem rodzeństwem,
co kwitnie, pełza, i świeci, i gaśnie,
mężnie anielską oślepiwszy bronią
Centaura pychy,
zaśpiewać pieśń tę jedyną:
Bądź pozdrowione Cierpienie,
gdyż z ciebie rodzi się Miłość!..



O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
Świecicie nad mrokami mojej siostry ziemi,

co, mając jutro przed sobą,
nie umie zasnąć w łasce i spokoju,
a tylko w myślach się wije,
jakby, powstawszy rano,
rozpuścić wszystkie swe żądze...
I zazdrość się zerwie,
i będzie zazierała pod okna sąsiada,
żali nie bielszy chleb na jego stole...
A potem przeklinając dzień, który ją zrodził,
pod fartuch schowa garnek z rozżarzonym węglem
i pójdzie go podłożyć między snopy zboża...

O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
chwalcie wraz ze mną Miłość,
ażeby chciwość
nie wyciągała pokurczonych palców
po kruszec drogi, schowany w piwnicach
zamków, ujętych w parów i ostrokół...
Albowiem wszystko jest marność,
i blichtrem i próżnią
potęga możnych,
a błogosławion li ten,
który w rzemiennem przepasaniu swojem
nie nosi złota ni srebra,
lecz bosy, z odkrytą głową,
idzie pomiędzy swą brać...

O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
na lśnistych waszych drogach, w tęczach waszych blasków
rząd apostołów i świętych,

proroków i pustelników,
i zachwyconych dziewic,
oczy utkwiwszy w krzyż,
wyrzeczeń nuci psalm.
I słodkość mają w oczach,
na głowach kwiaty lilij,
krew z nich strumieniem ciecze,
a ręce ich oparte
na przewiązanych słupach,
na rozżarzonych rożnach,
na kołach żelazistych,
na mieczach i toporach,
a z warg im uśmiechniętych
wypływa zbożny psalm.
Zaś tutaj, w mrokach ziemi, śród pałacu Zbytku
na stopniach bazaltowych, pod urną z porfiru,
ciężki zasypia Przesyt...
O zwisłe piersi oparł
obrzękłą twarz i śpi...
Dłoń jego ściska puhar,
z niego się wino leje
na róże, pozrywane w wirydarzu wiosny!

O róże, siostry moje, o najmilsze dzieci
kochającego Twórcy,
co posiał was, by upleść niebiańską koronę
dla Przenajświętszej Panny:
przebaczcie, że was ręce dotknęły nieczyste!
O zbudź się, grzechu grzechów, i patrzaj: tam Szatan
na barki wziął Rozpustę,
zbiegłą z uścisków twych,
i, skrzydła rozpostarłszy, wzniósł ją nad twój gmach,

i rzuca z wysokości, sięgającej niebios,
na wieków wiek zamkniętych, w straszne widmo Sądu.

Słyszę —
anielskie huczą trąby —
widzę —
umarli wstają z grobów,
kłąb ciał w śmiertelnych kurczach
przeklina, ryczy, wzdycha
westchnieniem, od którego ślepnie przerażenie...
Potworne sznury wężów
wpiły się w potępieńców,
a czarny Szatan-zwierz
rozrywa ich widłami
i strąca w piekielny ogień.
A nad ostatnim szczeblem
drabiny Jakubowej,
na chmurze spłomienionej
siadł sprawiedliwy Sędzia,
i sądzi złych i dobrych,
i sądzi tak przez wieki, długie, straszne wieki.

Zasię Bóg-Człowiek,
krzyż dźwigający w jednej,
a drugą na swe blizny wskazując otwarte,
cierpienia wzywa głosem,
aby ukochać Miłość,
gdyż ona-li odwlecze
dzień Sądu...
A na maleńkiem ziarnku,
dokąd dotychczas nie dotarły jeszcze

grzmoty anielskich surm,
wykwita kwiat ostatniej,
najhaniebniejszej zbrodni:
tam chciwość, pycha, zazdrość
do walki bratobójczej pogania plemiona.

Widzę —
leje się krew człowieka,
wilk, szakal i hyena
rzucają legowiska.
Łuna za łuną bije,
sieroty płaczą głodne
i matka pierś rozrywa!

Widzę —
kalekom z rąk wyschniętych
na ziemię lecą krokwie,
a starce, bez podpory, daremnie oczyma
szukają oślepłemi, gdzie znaleźć kęs chleba.
A dżuma, owinięta w szary, długi całun,
przebiega z kosą w ręku zagon za zagonem
i kosi resztę kłosów, których nie stratował
szalony, miłosierdziu wrogi tabun wojny.
O biedni staruszkowie! o słabe sieroty!
O matki zrozpaczone! do was li ja idę!
O ziemio, siostro moja, rodzicielko winy,
do ciebie ja przychodzę bez złota w rzemieniu,
pokorny i ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co dziś przy słońca zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw,
stało się dla nas orędziem pokoju!

O ziemio, siostro moja, żądna krwi i hańby,
do ciebie ja przychodzę,
bosy, z odkrytą głową,
i jarzmo twe i grzech twój i wszystką twą grozę
chcę dźwigać razem z tobą,
i razem z tobą śpiewać
przedziwny hymn Miłości,
boć ona li odwlecze
dzień Sądu...

O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
O róże, które dłonie zrywają nieczyste —
chwalcie wraz ze mną i z wszystkiem stworzeniem,
z mym drogim bratem ogniem,
i z siostrą moją wodą,
z wszystkiem, co rośnie i pełza i kwitnie,
z wszystkiem, co szumi i szepce i dźwięczy,
z wszystkiem, co płonie i gaśnie —
chwalcie! chwalcie! chwalcie
sprawiedliwego Sędzię,
który odwlecze dzień Sądu
przez Miłość...

Ręce-ś mi przekłół i nogi
i w bok mi włócznię wbiłeś,
a biały twój Serafin
zstępuje ku mnie z krzyża,
zaś na promiennym obłoku
ptaszęta wiją gniazda
i nucą...



Uciszcie się ptaszkowie! brat wasz pieśni chce
albowiem serce mu rośnie, [śpiewać,
że może cierpieć cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...
Że wyciągnąwszy ramiona
i zapatrzony w tę jasność,
opływającą ciernie
zwite na krzyża wiązaniu,
może dziś słuchać wiewów,
któreś nam dał,
abyśmy przez nie rozumieli tchnienie
Twojej Istoty —
że może słuchać tych szeptów,
któreś nam dał
w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego bytu!..
Lub nie! śpiewajcie wraz ze mną
hymn, jaśniejący jak słońce,
gdy pada na tę łąkę, na złomy te stare,
na moje miasto rodzinne,
na grzbiety tych mgławych gór!
Chwalcie Go razem ze mną,

boć On wam dał skrzydła,
abyście mogły kąpać się w błękitach!
On to wam krągłe dał oczy,
abyście mogły patrzeć na ten krzyż,
na Serafina twarz!
On wam dał bruzdy i miedze,
krzewinę głogu i wierzchołki drzew,
abyście miały gdzie spocząć!
On-ci tak swoim każe świecić żarom,
iżby się ziarna kruszyły
na zapas dla waszych śpichlerzy!
Śpiewajcie, braciszkowie, i ty siostro pszczółko,
i ty mój świerszczu polny,
i ty moja muszko,
i ty mój kwiecie rumianku,
i ty daleki a głęboki szumie
mojego brata wiatru,
i ty jedwabny promieniu,
który oprzędzasz ten stok!
I ty, siostro Klaro,
którą wybrałem między niewiastami,
albowiem wdzięczna jesteś i zachodna,
a zasię dusza twa
jest jak przedziwne zwierciadło,
odbijające świętą wolę Twórcy!
W wysokiej, białej wieży
zamknęłaś swe dziewictwo,
a święci aniołowie
znoszą mu kwiaty hołdu.
Strzeże go czystość i męztwo,

wszystko się przed niem kłoni,
i jam cię nie obraził
choćby najmniejszem drgnięciem
przyczajonego grzechu.
Zaś patrząc w twoje oczy,
w ciche, głębokie oczy,
w których się zamknął raj,
nim jeszcze zdradny wąż
owinął w swoje kręgi drzewo zła i dobra,
miłości czuję prawdę,
jeżeli jest jak oddech,
którym poranna zorza
owiewa tron niebieski w dzień Wniebowstąpienia.
A oto wczoraj w nocy,
gdym legł na garści słomy,
kusiciel, wszedłszy do mnie,
celę mą zmienił w kościół.
O Sędzio, przebacz grzech!
Księża siedzący w stallach
śpiewali Miserere,
a każdy dźwięk się stawał
czerwoną lub białą różą
i padał na marmury.
O Sędzio, przebacz grzech!
W kosztownych kadzielnicach
paliły się kadzidła,
a na opalach dymu
słały się chóry świętych,
pomiędzy nimi Szatan.
O Sędzio, przebacz grzech!
A kiedy zaśpiewali:
„Wieczysty spokój, Panie,
racz dać tej grzesznej duszy!“
z pomiędzy grona świętych,

na drodze róż i blasków,
tyś zeszła ku mnie naga —
O Sędzio, przebacz grzech!
I kościół się przemienił
w kosztowny pałac zbytku;
świat wszystek się rozszalał
jak tabun dzikich koni
bez uzdy i wędzidła.
Wino się strugą lało,
gięły się srebrne stoły
od pozłocistych zastaw.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w pląsach:
świat wszystek się rozszalał
jak tabun dzikich koni
bez uzdy, bez wędzidła.
Sam szatan mu przygrywał,
i suknie zdzierał z kobiet,
i warkocz im rozplatał,
i rzucał je pijane
w szalony tłum pijanych.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w pląsach:
świat wszystek się rozszalał,
jak tabun dzikich koni —
sam Szatan mu przygrywał...
A ja, zluźniwszy rzemieńca,
pełnego srebra i złota,
ległem pod urną z porfiru,
na stopniach bazaltowych.
I twarz skłoniwszy obrzękłą
na tłustą pierś satyra,
z jedwabiów odsłoniętą,
ledwiem udzierżył puhar.



Z niego się wino lało
na róże podeptane,
a z objęć mych uciekła —
wyrwała się Rozpusta,
mająca twoje oczy...
I raj się w nich zamykał
z oślizłym wężem zdrady,
kiedy już w swoje kręgi
owinął zło i dobro.
Uciekła przesycona —
Szatan ją wziął na skrzydła
i uniósł nad mój gmach,
w którym się świat rozszalał
jak tabun dzikich koni...
Do wysokości niebios,
na wieków wiek zamkniętych,
wzniósł ją na swoich barkach
i rzucił w widmo Sądu.
Anielskie grały trąby,
świat wszystek jęczał, płakał,
klął, wił się, ryczał, wzdychał,
że od tych westchnień strasznych
oślepło przerażenie...
Zaś na maleńkiem ziarnku,
leżącem u mych stóp,
wykwitał kwiat ostatniej,
najhaniebniejszej zbrodni:
to pycha, chciwość, zazdrość
do walki bratobójczej popchnęła plemiona...
Ale nad srogi Twój rozgniew
możniejszą, Sędzio, Twa litość,
co, z straszliwego zbudziwszy mnie snu,
kazała iść między ciernie
i żądze wytarzać w ich kolcach...

I popłynęła ma krew,
i ciernie zakwitły różami,
ażebym razem z niemi
i razem z tobą, o siostro ma Klaro,
mógł sławić i wielbić Twórcę!
Ażebym razem z wonnym kwiatem róż
i razem z duszą twą
mógł dziś zaśpiewać hymn,
że miłość idzie przez ciebie,
miłość niewinna i czysta,
która zwycięży nas!
O nućcie razem ze mną, braciszkowie moi,
ptaszęta, na promiennym siedzące obłoku!..
Serafin stoi przy mnie,
i patrzy jej oczyma,
i rodzi się Miłość —
i świat się obsypuje kwiatem i zielenią!
O nućcie, braciszkowie, i ty siostro pszczółko,
albowiem rodzi się Miłość,
i dźwięk płynie po ziemi, nigdyć niesłyszany,
gdy życie było li ciałem!
O nućcie, me ptaszęta, i ty siostro muszko,
i ty mój świerszczu polny,
i ty mój bracie wietrze,
i ty mój ogniu, wiekuisty ogniu,
albowiem Miłość się rodzi,
i pokolenia idą w imię Ducha
do walki z przemocą i zdradą!
A w bohaterstwo okuta ich pierś —
we wielkiej idą procesyi,
w śmiałym szeregu,
a czystość wieńczy im skroń,
a hasło: Zbawienie przez Miłość!..

Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
żeś ręce mi przekłół i nogi,
że krew mi z boku ciecze,
że mogę patrzeć w krzyż,
że mogę cierpieć cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...

Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
że Twój Serafin biały
śmierć już prowadzi ku mnie:
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie na to ją stworzyłeś,
aby nam była zniszczeniem,
tylko w łagodnych jej oczach
patrzących na mnie błękitną światłością
źrenic mej siostry Klary,
potęgę-ś zamknął zbawczą,
przez którą człowiek się staje
szczęśliwym uczestnikiem
nieśmiertelnego Żywota!
Ręce-ś mi przekłół i nogi
i w bok mi włócznię wbiłeś,
a biały Twój Serafin
zstępuje z Twego krzyża
i w blaskach promienistych
Śmierć już prowadzi ku mnie —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie szukam-ci ja ulgi,
bom na to jest, by cierpieć,
a tylko-m wielce spragnion
wiekuistego Żywota,

którego bramy, pełne chwały Twej,
otwiera mi w tej chwili
siostrzyca ukochana,
przednia śród Twoich córek —
Śmierć!



Bądź pochwalony
przez jej wybawczą moc!
Bądź uwielbiony
przez ukochanie Śmierci!

Oto spogląda na mnie
głębią łagodnych źrenic
twojej wybranki Klary,
a świeżych ust dziewiczość
szepcze mi słodkie słowa,
że już się zbliżył utęskniony czas
tych moich z nią zaślubin...

Krew sączy mi kroplami
z przekłótych rąk i nóg,
strumieniem krew mi cieknie
ze zranionego boku,
a ciało przebiega dreszcz...
Kleją się ciężkie powieki,
bezwładnie opadają
ponad gasnącą jaśnią moich ócz,
które za chwilę, za chwilę
blask ujrzą przewspaniały
Twojego majestatu.

O wschodzie nowego bytu!
Płonie już moja góra,
pali się ogród róż,
anieli na skrzypcach grają
u wejścia Porciunkuli,
ptaszęta wyśpiewują,
oliwek liście szepczą
poranny cichy pacierz,
a korni braciszkowie
na prostych niosą marach
to grzeszne ciało moje,
owite w czarny habit...

Serafin schodzi z krzyża,
i Śmierć spogląda ku mnie
łagodną głębią źrenic
Twojej wybranki Klary —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć..

. . . .

. . . .

Jan Kasprowicz.

Próchno.



ch, Boże! — myślała Borowska — od czasu jak dostał te książki od Jelsky'ego, nie wychodzi wcale z domu. Zamyka się w pokoju, mruczy, deklamuje i chodzi, bezustanku chodzi: równo, miarowo, jak wahadło. I pije. Znowuż!"

Zajrzała przez dziurkę od klucza. „Tużurek włożył na siebie. Po co? Zapięty i sztywny chodzi jak żołnierz na warcie. Staje przy biurku, prawa dłoń na piersiach: czeka dumnie na coś. — O czem on myśli?"

— Właduś? — szepnęła w szparę.

Spojrzał wyniośle w stronę drzwi, odwrócił się i nic nie odpowiedział. Znowuż chodzi.

— Władek, ja nie chcę! — poczęła szarpać się u drzwi.

A gdy ją wpuścił do siebie, rzuciła badawcze spojrzenie na biurko i przeniosła na niego czujne, niespokojne oczy.

— Wiesz, dla czego mieszczka książek nie lubi? — pytał cierpko.

— Wiem. Bo tamte — mówiła, wskazując na książkę — są zawsze w balowej toalecie we wszystkiem, co mówią, czują, myślą, bo tamte są fałszywe, wszystkie bez wyjątku, — te *napisane* kobiety.

— A więc zazdrość? — szeplenił mąż, wyciągając twarz w hrabiowski grymas. — *Vous tombez dans la risée du monde,* margrabino! — zagrał jej na poczekaniu. I wnet potem, ujmując ją za łokieć:

— Zosieńka — zmanierowałaś się coś niecoś na małżeństwie.

— Piłeś? — zapytała wobec tego niespokojnie.

— Nie, nie piłeś! Teraz będzie Volksstück, — co?

— Och! — westchnęła ciężko.

— Klempusia! — mruknął pod nosem i zagwizdał jej głośno w odpowiedzi. Wtłoczył ręce do kieszeni i chodził z kąta w kąt, przelewając się z nogi na nogę. Ona osunęła się na kanapę, zwyczajem swoim zatopiła dłonie we włosach i zapatrzyła się smutnie na niego.

— Kochasz? — szepnęła po chwili.

— Którego?, — odparł, zatrzymując się przy niej w zwrotnym piruecie.

— Władek! — żachnęła się gniewnie.

— Względem czego?

Zochna rozpłakała się bezradnie.

— Ciupuś ty! — rozpromienił się mąż nad tym płaczem. Odgarnął jej włosy z czoła, odjął ręce i kazał sobie podać pyszczek. — Nie płakam, nie! — Pocałować męża. Przeprosić za malutkie zmanierowanie się w małżeństwie. Tak! — Już się na kolana ładujemy. Oczywiście! — Oko? — nadzwyczajne! Mięciusie, wilgotne spojrzenie!

— Kochasz!?..

— Mhm! — Borowski potrząsał głową.

— Ugryzę!

— Gryź... Zocha! — I dałby to kto wiarę? — Toż boli... Oj, kot, kot! — już się tuli, już zwija w kłębuszek.

— Jak ja ciebie lubię, Właduś!..

Zaparło się westchnienie w piersiach Zochny.

— Ale nie chodź tak, Władek, całemi dniami po pokoju: — to takie smutne.

— Zupełnie tragiczne — hę? To wskazuje, że mąż jeszcze myśli.

Drgnęła mu czujnie w ramionach, odrzuciła w tył głowę i wpiła się w niego trwożnem wejrzeniem. Borowski sięgnął po papierosa i ukrył się niebawem w chmurze dymu. Siedzieli tak w milczeniu; on ćmił papierosa i machinalnie, niemal automatycznie głaskał ją po włosach.

— Rozpleć...

Miękkim ruchem ramienia dotknęła ciężkiego zwoju na potylicy, potrząsła głową: jasne pęki rozprysły się same. Zapachniały włosy.

Wyrwała mu z ust papieros i odrzuciła precz.

— Nie chcę, żebyś palił!..



— I znowuż chodzisz? — szeptała potem cicho, łzawo, wtulona w kącik kanapy.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał jej wcale. Potem, zatrzymując się nagle przed nią, wołał gorączkowo:

— Widzisz, tam u nas, w budzie, najczęściej tak bywało, — w spektaklach niby. W czarnym szlafroku i ze świecznikiem w ręku wpadam jak bomba na scenę, rzucę się o prawą kulisę i wrzasnę: „Ojcobójca!“ A że fajerwerk zapalą, więc się spłoszę i buch o lewą kulisę. „Bratobójca!“ I tam fajerwerk, — więc walę we drzwi: —„Ojcobójca! Bratobójca!“ — i buch w szlafroku na ziemię! A tu kulisa się wali, ognie dymią, kamienie obracają się w beczce... A ludzie ryczą. Im aby fajerwerki, aby aktor wył, aby konie na scenie... Tfu!

A nie, to familiendramy! Pijesz kawę z pustej filiżanki, jesz gęś papierową i ględzisz i pleciesz przez pięć zbytecznych aktów. I kucharki się szwendają i gospodynie sapią; dzieci nękają ojca, ojciec nęka dzieci, ponieważ pierwsze nie wiedzą, czego chcą, a drugi dusi pieniądze: zamiast kupić szczęście sobie i innym, dobija siebie i otoczenie. Synków takich przewinąłbym przez kolano, skąpca papę okradł zaraz w pierwszym akcie: — i niema familiendramy! Co tu grać? A nie, to kupuj lakiery, pożyczaj tużurek, pucuj zęby i rób hrabiego! „Dokąd-że to pan?“ — zapyta zazdrosna żona. — „Do klubu, hrabino.“ — „Żegnam!“—„Pani!..“—„Hrabio?..“ — westchnie. Zwracasz się więc ode drzwi i kładziesz cylinder na krzesło: „Pani?“ — „O nic, nic! — do widzenia, hrabio.“ — Zdejmujesz wobec tego rękawiczki i całujesz. Wchodzi lokaj, więc mówisz smutnie: „Każ odprzęgać, mój biedny Pawle. I każ posłać łóżko, mój biedny Pawle.“ — I taką małpę bez krwi, bez myśli, bez sensu, bez krzty człowieka w sobie robić musisz przez 3 godziny. A jak się oblizują recenzenci! „Co za bajeczna rzecz! Paryż, Paryż — kultura! Jak to zrobione, jak wycyzelowane! Co za maestrya machy!“ — Dziwię się, żem żadnego recenzenta jeszcze nie pokopał w życiu. Albo te adwokaty, te doktory nasze i ich klempy ospałe po łożach. Cholerna publika!

— Tęsknisz tam Władek?..

Zamiast odpowiedzi rzucił się do biurka i porwał książkę.

— Wiesz, tu jest tak! — Zbankrutował. Runęło wszystko tak, że te gruzy, wiesz, aż w celi więziennej go zasypały. A potem jeszcze gorzej. Z gruzów wypełzły żmije, wiesz: ludzka krzywda, złość, podłość, i ułożyły mu się tam, pode drzwiami; nie dopuszczają ludzi. Samotny! Przychodzi tylko jakaś klempa bębnić mu na fortepianie. Ale przez tylne drzwi, od bocznej kulisy. Do niej nawet się nie pali: już mu wszystko nic! A żonę ma podłą! Biłbym przecie szelmę, że aż!.. I widzisz: — chodzi. Słuchaj, co mówię! Tam na dole kobieta, która się zestarzała w miłości ku niemu: taka wielka, bolesna miłość! Ona tam na dole z tą szelmą żoną rozmawia. — A potem cisza. Smutek wspomnień się zrobił, daleki smutek młodości. A tam u góry: łup! łup! łup!.. Widzisz, — chodzi! Chodzi jak lew po klatce, ten lew jej młodych marzeń. W klatkę życie zamknęło! A na scenie cisza, cisza... Zaś ludziom tam w sali, który lepszy, tu coś pod gardło... Widzisz, Zochna, — nazywa się Ibsen. Autor niby. Z Norwegii będzie, powiadał Jelsky... Z Norwegii... będzie... powiadał...

Zochna zaniepokoiła się i powstała z kanapy.

— Właduś, co tobie?

— Powiadał Jelsky... — Borowski skrzyżował ręce na czole i wciskał dłonie w oczy. A gdy go żona objęła troskliwie, pocałował ją szybko w rękę i, odsunął od siebie. Poczem sięgnął po papierosa i, ukrywszy się w dymnicy, znowuż biegał po pokoju.

— I wiesz, ciągle czeka, — mruczał przez pół do siebie. — Co kto na schodach się ruszy, on...

Borowski rzucił się do biurka i stanął we wspaniałej pozie dumnego wyczekiwania.

— A! — wyszeptała żona, teraz dopiero zrozumiawszy jego zachowanie się w ciągu ostatnich kilku dni. — O, tego nikt na świecie tak nie zagra, jak ty! — westchnęła prawie bezwiednie. — Chodź tu, Właduś, siądź przy mnie. Weź za ręce i tak opowiadaj.

Usiadł posłusznie.

— Widzisz, Zochna, — potem przychodzi tam do niego robak zdeptany przez życie. Wygniotło mu ono z duszy wszystko, prócz tego, co w młodości kiedyś napisał: dramat, czy licho. Nosi się z tem wszędzie; — wszyscy drwią. Przywlókł się więc do najbardziej wzgardzonego. Gęba potwornie żałosna, ruchy chwytne: obrzydliwość i łzy... Wielki złamany czyn i robacze, jak plwocina nie dające się zdeptać marzenie!

— Powiadał Jelsky, — zaczął po chwili i zwiesił głowę. — Jelsky mówił... Jezus Marya, nie módz grać! nie módz grać!!..

Zochna westchnęła i wsparła mu jasną głowę na piersiach. Oddychała głęboko w zamyśleniu.

— Władek, — mówiła z trudem wielkim, marszcząc jasne czoło i przysłaniając oczy rzęsami, — Władek, jeżelibym ci kiedy na drodze stanęła...

— To co, Zocha?

— To zdepcz!

I nagłym ruchem osunęła się przed nim na kolana. Chciała coś mówić, lecz słów nie znajdując w przepełnionej duszy, wsparła bezwładną głowę na jego piersiach. Podjął z ziemi, przytulił twarz do jej policzka: pomięszały się łzy obojga. A gdy ją potem coraz to mocniej do siebie przygarniał, wysilił się z po za tych łez uśmiech błędny i ogromnie zmęczony...



— I znowuż chodzisz? — grymasiła, wydymając wargi, i z dwóch poduszek pluszowych wyściełała sobie przytulne gniazdko w kącie kanapy.

— Opowiedz co, — uprzedzała z bezwiedną chytrością jego ciężką zadumę. — Co tam jest więcej w tych książkach?

— Tam? — Dużo, bardzo dużo: świat nowy! — Wróg ludu, — rozumiesz? Chodzi tam o jakieś kąpiele... Ale co mi! Widzisz, — tłum, tłum wielki i jednostka, która czegoś pragnie... Poczekaj, ja ci zaraz...

— Nie pij, Właduś...

— Ach, daj mi pokój!.. Widzisz, jednostka! — jedno małe drgające serce ludzkie, — a tam wielka bierna masa: nazywa się kuryerek, gazeta, publiczność. Chciał czegoś, pragnął, kochał, cierpiał... Patrz! widzisz, idzie przez ulicę. Tam u nas po Nowym Świecie. A za nim tłum. Widzisz, Zochna, — tłum.

Skoczył w kąt, przyparł się do ściany, zebrał się, stulił w sobie, ramiona łokciami do się przycisnął, wskazujące palce dłoni z żarłoczną ciekawością przed się wystawił i zrobił straszną maskę: zabijał kogoś złośliwym, jadowitym śmiechem.

— Tłum!! — wołał. — ... On idzie tam przez ulicę, a tłum za nim! „Patrzcie! — syczał Borowski jak żmija, — patrzcie, to idzie ten, o którym w gazecie stało, któremu pożerająca ambicya tak niepotrzebnie roztworzyła głupią gębę... Patrzcie, jak on idzie, jak się rusza .. Widzieliście kiedy taki nadzwyczajny egzemplarz durnia? — A czytałeś ty, co tam właściwie w gazecie było? — Nie. — No, można być łotrem, — to nikogo dziś nie zdziwi; ale, mając takie nieczyste sprawy za sobą, jeszcze gębę otwierać, wynurzać się jak piskorz z błota ludziom pod nogi, — na to trzeba być czemś więcej: osłem kapitalnym.

„Patrzcie, patrzcie, jak on idzie! jak się rozkracza On jest słaby na żołądek! Widzicie, widzicie, jak się ukłonił, jak się w pałąk zgiął! Jaki szczęśliwy, że stróż przed nim czapkę zdjął. On tego stróża w udo z wdzięczności pocałuje!..“

Ha! ha! ha! — tłum się śmieje!

Tu Borowski zatrząsł się tak potwornym śmiechem, że Zochna drgnęła na kanapie.

— Właduś, — nie!..

— Stój, ty, proroku! — wołał tymczasem mąż. — Stój, apostole o wykrzywionych kamaszach. Stój! — swój człowiek cię woła... Nie wierzy! — On już nikomu nie wierzy... Stój, opowiedz: czy bardzo palą ci grzbiet te odprowadzające na ulicy spojrzenia? Ale ty życia jeszcze nie znasz, proroku!.. A znasz ty te nagłe milczenia, gdy wchodzisz? te szepty i gawędy najpospolitszych kretynów? te po kątach parskania niepowstrzymanego śmiechu, skandalizujące nawet twoich wrogów?.. Tyś pewno zakochany? Taki doktryner bywa zwykle zakochany?.. Bój się Boga, człowieku, i ty śmiesz walczyć z tłumem!?.. A znasz ty ten wyraz niesmaku u kobiety, co cię wczoraj jeszcze kochała? Kobieta pokocha łotra, lichwiarza, handlarza żywym towarem, szpiega. — Ale nie było jeszcze kobiety, którаby umiała zachować miłość dla człowieka ośmieszonego przez tłum!.. A wiesz ty, ile jadu jest w udanem zainteresowaniu życzliwych? A wiesz ty, jaką wściekłość wzbudza współczucie głupich? A znasz ty niemoc dumnych? A znasz ty niezaradność choć trochę szlachetniejszych natur?.. Chcesz zrozumieć oszołomionej wiewiórki bezwład? Chcesz poznać potęgę wężowego spojrzenia najbrutalniejszego łotra, gdy się czuje w posiadaniu twej tajemnicy? Ale jakiej? jakiej? Ty nie masz tajemnic! Wiesz, jakim kałem obrzucić cię pragną wokół? Już

słyszysz! — już czujesz! — już tę hydrę za łeb chwytasz!— A jednak — nie! Nic nie wiesz, nie masz nic prócz smutku i przygnębienia twoich najbliższych. „Co tobie? — pytają — Co tobie!?..“ Pochwycisz pierwszego szakala z brzegu za bary i krzykniesz mu: „Człowieku, ja prawdy, tylko prawdy w życiu chciałem!“ Pryśnie ci śmiechem w twarz: „Waryat!“ — Naokół widzisz tylko oczy! — oczy! — oczy! — I na piersi spada ci ciężar: — czujesz się winnym zbrodni.

Taką jest potęga motłochu. — Ha! — ha! — ha!

Ten śmiech mrozem przebiegł Zośce po krzyżach. Podbiegła i przytuliła się do męża.

— Właduś, przestań... Boję się.

— Idź precz! — wołał jak opętany i odtrącił ją od siebie. A potem powracając do swej wizyi:

— Proroku z prowincyi polskiej, stój! Twój człowiek do ciebie mówi: w każdym proroku jest i musi być trocha aktora. Czy ty nie wiesz, że tam gdzie niema publicznego życia, gdzie „młynek na strudze miele plewy swoje i cudze,“ tam gazeta poranna przynosi ludziom szemat myśli na cały dzień? że tam *spiritus flat ubi* reporter *vult?* że tam człowiek, który ma coś do powiedzenia, czego szemat ten nie ogarnie, nazywa się chaotycznym umysłem? że ledwo usta otworzył, już się w oczach ludzi śmiesznością okrył, a ledwo je zamknął, już się maniakiem dla nich stał? że już mu czapeczkę z dzwonkami na czoło wcisnęli? Widzisz, o tej czapeczce z dzwonkami zapomnieli Ibsenowie. A to jest rzecz bardzo ważna, bardzo współczesna! Dla tego drobiazgu, proroków nawet w powiecie być nie może, nawet tych skromnych, co to chcą czystej wody w studniach i czystych rąk przy publicznych sprawach. Każdy, każdy bez wyjątku czapeczkę dostanie! — Czy ty masz dość mocne nerwy, Samsonie, wobec

wojska podejrzeń? wobec ciżby złej woli? wobec tłumu ciekawości? Jak mucha w pajęczynie, owikłasz tylko, oplączesz i zamotasz ducha swego nienawiścią... A znasz ty proroku, szpitalne cele puste? A znasz ty tę w samotności aż do bezkresów rozrosłą nienawiść, która w rozbolałej duszy już się nie mieści? O, bo do nienawiści tłumu trzeba potęgi ducha!.. Więc się rzucasz opętany szałem nienawiści: chcesz kąsać, szarpać, dusić... Ale ściany wybite już materacem, a w pokoju niema nic więcej prócz siennika. Ujrzysz może jeszcze tylko w małym otworze drzwi parę wydłużonych kretyńskim uśmiechem oczu dozorcy.

Ha! — ha! — ha! — proroku...

Zochna stała wsparta o framugę drzwi; oczy rozszerzyły jej się i zwilgotniały; źrenice pogłębiły się, blada była na twarzy: — wciągnął ją w wir chaotycznych swych myśli. Bezwiednie grała już z nim razem! — grała niemo, trwożnem biciem serca.

— Nie trzeba się było dać, Właduś! — próbowała dorzucić swoje i rumieńce wytrysły jej w jednej chwili na policzki. — Mężczyzna nie da się! — zawołała, prężąc się dumnie, wyrosła, spotężniała w jednej chwili. — Mężczyzna zdepcze, zabije bodajby nawet tłum!..

Rzucił na nią zdziwione, przelotne spojrzenie i ocenił natychmiast zarówno siłę ekspresyi i metaliczny, szczery dźwięk tego kobiecego wybuchu.

— Dobrze zrobione, — rzekł mimowoli.

Niebawem powrócił jednak do swoich myśli.

— A było takich proroków po wszystkich guberniach tylu! — tylu! — tylu! — Osunął się na kanapę, rozkrzyżował ramiona na jej oparciu i z pochmurnym uporem zapatrzył się gdzieś w pułap.

— A jednak, — westchnął po chwili ciężko, — pójdź do mnie, tłumie, abym cię umiłował!

— Nie, Władek!..

— Zlituj się, Zochna, przecież ja o nim tylko marzę, przed nim korzę się w myślach.

— Właduś, nie! nie! nie! — wołała, tuląc się do niego w bezwiednym, instynktowym strachu. Usłyszał, wyczuł to kołacące się serce ptaka i zdjęła go litość wielka. Posadził ją sobie na kolanach i głaskał obie jej dłonie.

— Pamiętasz, coś mówiła przed chwilą?

— Co, Właduchna?

— Zdepcz, powiedziałaś.

— Ty tego nie uczynisz.

— Wierzysz mi?

— Kocham.

— Nie płacz, nie płacz, Zocha... Wiesz, dla czego, — pytał, ocierając jej palcem łzy z pod oczu, — wiesz, dla czego nasze życie jest takie smutne? takie bardzo smutne?

Uniosła mu się w ramionach jak dziecko, popatrzała uważnie, pilnie i po chwili potrząsła bezradnie głową.

— Nie wiem, — szepnęła.

— Pokazać ci raz jeszcze ten ziejący śmiechem potwór?

Zochna zaczęła dygotać na całem ciele.

— O, ty możesz mnie i bez tego swemi urojeniami na śmierć zamęczyć. — Ja słaba jestem, coraz słabsza. Nie widzisz tego, Właduś?.. Pamiętasz, jaką dawniej byłam?.. Patrz, jakam ja chuda!..

Powiódł dłonią po czole, jakby siłą nawracając myśl w stronę, dokąd ona ją ciągnęła. Ujął żonę za ramiona, odsunął nieco od siebie i przypatrywał jej się długo, badawczo.

— Zbrzydłam?

Nic nie odpowiedział, tylko nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Nie! — szarpnęła się kapryśnie i zatargała go za czuprynę. — Ty nie myśl, Włada, żebym ja znowuż tak schudła. Piersi mam jeszcze...

— Ach ty! — Zamknął jej usta mocnym, długim pocałunkiem. — Przecież ty chyba nie wątpisz, że ja nie za to tylko?.. Zlituj się, Zocha!..

Potakiwała pośpiesznie głową, przeważnie na to tylko, aby ukryć łzy tryskające do oczu.

— No więc?.. I czemuż znów płaczesz?

— Sama nie wiem, Właduś... Nie gniewaj się.

Pochwyciła jego rękę i przycisnęła przelotnie do ust.

— Coraz słabsza jestem. Czasem całemi dniami tylkobym płakała.

Borowski schwycił garściami pęki swych włosów na ciemieniu i targnął je z całych sił.

I stał się pieczołowity, spokojny, dobry dla niej.

— Poczekaj, położę cię tu na kanapie, okryję... Albo, wiesz, do łóżka już cię ułożę. Gorączkę masz, biedactwo?.. Zochuta moja!.. Co to za aktorka z niejby była! Jak to ona bić i zabić tłumy nakazywała!.. Duszo ty moja skrzypcowa! Spać już... Spa-ać... „A a! — koty dwa, szare bure obydwa...“

Zochna wyprostowała się nagle żwawo, senność strzepnęła ręką z czoła.

— A chciałbyś...?

— Nie chciałbyś, — odparł jej kwaśno, domyślając się pytania. — Ja mam Zochę i mnie to wystarcza. Teraz zaniosę do kołyski. Hop! — Zimno w nożyny? Dajże tu jedną, — w kułak schowamy.

Po drodze, gdy ją w czoło całował, przymykając mimowoli oczy, rzekł nagle złamanym, bezsilnym głosem.

— Wiesz, Zocha, com ja w tej chwili ujrzał?

— Co, Właduś?

— Ach, — szarpnął się, — i to twoje bezdennie naiwne zaufanie! „Co Właduś?“ — przedrzeźniał jej spokój... — Ujrzałem tego potwora, ziejącego śmiechem, i zdawało mi się, że ciebie w tej oto chwili wprost z ramion jemu w paszczę...

Rozpacznym ruchem ramion oplotła go w jednej chwili jak powój. „Trzymaj mnie!“ — chciała, zda się, krzyknąć. Pochwycił, utulił, przygarnął...

— Litości! — Zmiłowania! — wyszeptały jedne usta wspólną myśl.



Leżał na wznak. Światło czerwonej ampli u sufitu sączyło ckliwą, duszną, jakby wonią miękkich perfum przesyconą mgłę. Rozsnuwały się w niej leniwie i grzęzły długie, kręte taśmy dymu od papierosa. I zdawało się Borowskiemu, że te sine taśmy oplatają go siecią pajęczą, obezwładniają powoli i przykuwają do kanapy. Na tyle głowy, tam gdzie się nią o poduszkę wspierał, czuł mocne, lecz coraz to powolniejsze uderzenia pulsu. Oczy błądziły po suficie, patrząc jakby w przyczajone gdzieś w kącie olbrzymie cielsko kosmatego pająka, co kolczastemi łapami grzebie, snuje i przędzie swe jadowite nici...

Miękkie uczucie bezwładu zatapiało myśli w bezgraniczną bierność, kołysało wszystkie zmysły w rytmikę nieuchwytną, senną, coraz to łagodniejszą; zasnuwały się pajęcze nici, kłębiły różowe mgły... Słodka, lepka, haszyszowa woń rozchylała usta w leniwej niemocy; roztapiały się niemal członki.

„Sen?..“ „Śmierć?..“

Puls już bić przestał... Uderzył przecie raz jeszcze mocno, jakby młotem, w tyle głowy. Rozchylił powieki. Tuż ponad nim żarzy się zieloną głębią para oczu... Płoną i wpijają się w niego okrągłe, wielkie, ciemne oczy!..

— Zocha!?..

Poczuł długi, wilgotny pocałunek na wargach.

— Zapomniałeś? — wwionęła mu niemal w usta.

Skinął głową. „O czem ja zapomnieć miałem? — przyszło mu do głowy. — O czem ja myślałem wprzódy?“

— Już nie jesteś smutny?

I znów głową skinął.

— Myśl o mnie, Włada. Myśl zawsze *tylko* o mnie.

Po raz trzeci chciał skinąć głową, lecz zamiast tego westchnął głęboko i zarzucił dłonie na twarz.

— Duszno!.. Ciężko!..

Słuchał... Po za oknem turkot zwykły; ciągły, bezustanny; toczą się fale życia, szumią i pędzą, pędzą w dal... I nagle ta dziwna chwila wieczoru, kiedy w łoskot i pogwary uliczne spada nagła cisza niby czarny ptak.

Borowski drgnął i otworzył szeroko oczy.

Tam na ciemnej toni skrzy się niespokojnie mrowie gwiazd. A cisza krzepnie, ciężarem wali się na piersi, skrzypi w uszach jak miliony drobnych nocnych świerszczy po łąkach.

Pajęczyna tuż przed oczyma staje się połyskliwą, złotą, wonną. Bije ten zapach...

— Zapleć włosy, Zochna. Zapleć... I nie patrz tak!.. Idź, zostaw mnie. — Idź, otwórz okno... Posłuchaj, — majaczył na w pół senny. — W takie kryształowe noce, gdy cisza znienacka opada, słychać czasem... Nie widać, tego nigdy nie widać! — Głosu po nocy nigdy nie wydadzą... Ale z góry, z pod gwiazd, łopotanie skrzydeł czasami ucho pochwyci... Żórawie ciągną... Wiosna!

Przegięła się leniwie w tył, — upinała włosy. Poczem powstała cicho i odeszła jak cień.

— Zgaś to światło!

Drgnęła. I ją jakby przestraszyło w tej chwili to czerwone, ckliwe światło. Gorączkowym, niechętnym ruchem ściągnęła na dół amplę i zgasiła ją czemprędzej.

Otworzyła okno. Borowski, nie oglądając się, czuje, jak stoi tam biała we framudze okna i w obnażonych ramionach ukrywa twarz. Po chwili spytał sennym, znużonym głosem.

— Płaczesz?..

Milczy, nie chce odpowiadać. „Zocha?“ — szepnął po raz drugi.

— Toś ty!.. ty! ze mnie taką uczynił!..

I zerwało się w jej drobnych piersiach serdeczne, bezradne łkanie...





ochna stała wciąż jeszcze przy oknie i tłumiła z wysiłkiem płacz. Mąż zaciął się w pochmurnem zapamiętaniu; nie mówiąc ani słowa przygotowywał się do wyjścia. Wdział już palto i rękawem czyścił kapelusz, gdy ona wydała cichy okrzyk i cofnęła się czemprędzej w głąb pokoju. Borowskiego i to nie wyprowadziło z równowagi; zbliżył się powoli do okna i wychylił się na ulicę.

— Dureń! — mruknął przez zęby. — A ty ubierz się, lub idź do łóżka, bo się zaziębisz!.. Powiedz-no mi, czemu ten Kunicki woli tam pod oknami marcować, zamiast tu do nas na górę przyjść? Oj, ci doktrynerzy!.. Jakież te ich uczucia i afekty są nieszczere, podziemne. Brr!.. On ci pewno broszurki i tendencyjne powieści przysyła. Co?

— Daj mu pokój, — szepnęła cicho.

— Pro-oszę! Rozrzewnił?..

— Dawniej bardzo go lubiłam. Brak mi go było poprostu. Miał taki spokój, taką dobroć bezinteresowną... O, i my kobiety potrzebujemy czasem przyjaźni, tylko przyjaźni! Ale wy mężczyżni tego nigdy nie zrozumiecie.

— Bagatela! Żona potrzebuje przyjaciół. Daruj, ale to już operetką trąci.

— Oj Władek, myśmy zaprzepaścili przyjaźń wzajemną.

— No, a Müller? Czy i on?..

Przymrużyła oczy i zagryzła wargi jakoś boleśnie.

— Bardzo mi go żal.

— A Jelsky? — indagował mąż.

— Jego się boję.

— Och, ba!.. Ty ich wszystkich możesz jednem skinieniem sobie pod nogi...

— Władek!..

— No?

— Czy ty nie czujesz, że to jest wstrętne, co mówisz w tej chwili?

Wzruszył ramionami.

— Mam oczy, — widzę. Do zazdrości nie mam tymczasem powodów, ale takie rzeczy mszczą się — flirt, niby.

Nerwowym ruchem poczęła nagle dłońmi twarz i czoło sobie wycierać; a potem jakby z ramion, z rąk coś zetrzeć, zmyć pragnęła.

— Idź już, idź! Tyś się mną dziś już przesycił i zaczynasz mnie traktować jak... — Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Zatrzymał się na progu i, spoglądając uważnie na żonę, wydymał wargi. Wreszcie aktorskim gestem narzucił kapelusz na tył głowy.

— Non capisco! — mruknął, zwrócił się na pięcie i wyszedł. Za chwilę jednak był z powrotem, niosąc w ręku luźną garść kwiatów.

— Na słomiance w sieni leżało... Na Müllera coś bardzo patrzy. Białe lilie!.. To afekt suchotnika. — Cisnął kwiaty niedbale na kanapę.

— Primadonny hołdy to,
Za jeden kwiat ploteczek sto,

zanucił na poczekaniu kuplet, ze złośliwym śmiechem odbijając każdą zgłoskę.

Ale żony nie było już w pokoju.



O piętro niżej spotkał się oko w oko z Jelskym.

— *Da ist er ja!* — ucieszył się przebiegle Jelsky, rad niby, że nie potrzebuje się fatygować o piętro wyżej. — Jak się masz, Borowski, — wołał podając mu rękę szeroko, po burszowsku, z niemiecką dobrodusznością.

„Będziemy pili!“ — pomyślał nie bez zadowolenia Borowski, który w mowie ludzkich gestów czytał jak w otwartej księdze. „Od niego bije zawsze glans, jak od oficerskiego buta,“ — dodał w duchu na widok starannej toalety Jelsky'ego oraz jego cylindra. Tego stroju głowy Borowski nie znosił, uważając cylinder za „złe copcysko.“— Przed tygodniem wypili obaj z Jelskym na braterstwo, to też fraternię akcentowali teraz usilnie, dodając do każdego „ty“ nazwisko.

— O wilku mowa, a wilk tuż, — witał go Borowski głośno. — Przed chwilą mówiłem o opinii publicznej.

— Opinia wzywa cię do swego warsztatu. „Rudy kot,“ — nasz stół... Będzie, uważasz, mecenas: można liczyć reńskie; burgundzkie, sekt krajowy; — oraz młoda wasza, polska sława... etranżerek, młodziuchny autor dramatyczny..: — kalkuluję szampan. Idziesz?

Borowski zwiesił wargę.

— Autorkowie dramatyczni mnie dotychczas szukali.

— O, on prosił cię, bardzo prosił, chciał poznać, — łagodził Jelsky. Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. — Cuda o twojej grze tam w kraju opowiadał.

Gdy skręcili w boczną ulicę, spostrzegli po drugiej stronie Kunickiego. Nastawiał kołnierz i starał się obejść ich kołem jak dzik.

— Szacunek doktorowi!..

Skrzywił się i powitał ich niechętnie.

— Opowiadają sobie ludzie, że doktór przenosi się ztąd, wyjeżdża do Szwajcaryi? — rozpytywał Jelsky. — Tegom nie przewidział, — zaśmiał się, nie dając mu dojść do słowa. — Przeszkody wprawdzie nie przeskoczył, ale się pod nią podkopie i wygrzebie się przecież na prawowitą drogę rozsądku i karyery.

— Pańska złośliwość zaimponowała mi raz tylko w życiu, w dodatku po ciężkiem winie, — odciął się cierpko Kunicki. — Co porabia Müller? — zwrócił się do Borowskiego.

— Pluje krwią, pije i pisze.

— Bajeczną, potężną rzecz, — dorzucił Jelsky z naciskiem.

— Wiem. I dla tego robię wszystko, aby przedłużyć to krótkie życie, póki się da.

Borowskiemu rozpromieniła się twarz. — „A wiesz, jak-eś to doktór byczo powiedział! Jakie to spokojne! akie męzkie ogromnie! jakie mocne!.. Czemu on nie jedzie do Davos?“

— Środki znalazły się dwukrotnie. Przepił.

— Zuch! — ucieszył się Borowski.

— Mówi, że go tu coś trzyma, alkohol w gardło wlewa i że mu się w tej rozpaczy lepiej pisze.

— Widzisz pan!.. — Borowskiemu rozszerzyły się nozdrza. — I to jest bycze, potężne z tym Müllerem! Wielka dusza!

Kunicki wzruszył ramionami. „Smutna,“ — poprawił.

— My z żoną lubimy go bardzo.

Kunicki podniósł na niego oczy. — „Co się z tym człowiekiem stało! — przemknęło Borowskiemu przez myśl. — Pod nudnem połyskiwaniem okularów tego kreta kryją się sarnie, żałośliwe oczy.“ On tymczasem otwierał już usta, ale zdecydował widocznie inaczej, gdyż machnął niedbale ręką.

— A może tak jest dobrze, — mruknął. — Może tak być powinno.

— Co takiego? — zainteresował się Jelsky.

— Ot, cały ten smutek życia! Może on jest konieczny? Może ten jest potężnym, kto go hojną dłonią sieje? Może z tych właśnie nasion wyrastają najszlachetniejsze kwiaty?

„Inaczej to brzmi niż wówczas na przedmieściu,“ — pomyślał Borowski i nie czuł już do niego ani cienia niechęci. Miękkie, szerokie jego wargi, wyrażały w tej chwili tkliwe, kobiece prawie, współczucie.

— Chodź pan z nami! — krzyknął, chwytając go odruchowo pod ramię. I wraz z tem dotknięciem wyczuł instynktem aktora, że tego człowieka smutek wtrącił w jakąś niezmierną bierność, że gotów iść wszędzie, robić co mu każą.

— Mogę, — odparł. — Ja już od dwóch tygodni nie pracuję wcale i po mieście się wałęsam.

— Chodź pan do „rudego kota.“ Pójdziemy potem gromadą na Yvettę.

— A któż to jest Yvetta?

— Jakto, nie wiesz doktór? Szansona — bycza! Yvetta Gilbert.

— Ach! Tynglówka?

— Fenomenalna, nadzwyczajna, boska! — krzyczał Borowski tubalnym głosem. — Księżna cynizmu współczesnego! pani ostrych zgrzytów!.. Wiecie, jej cynizm pada podobno, bryzga, chlapie wprost w gęby słuchaczów i widzów, — a ona czysta zostaje. Czysta, dumna, karząca, — jak sztuka. *Cela veut dire quelquechose,* — co?.. Rękawice nosi aż po pachy, — czarne, okropnie czarne i połyskliwe.

Suknia — wiesz doktór — ni za długa ni za krótka jak na szansonę: matematycznie jakby wykreślony ten właśnie największy smaczek... I brzydka! — tą właśnie fascynującą brzydotą, potężną jak kaprys mistrza. O, to zaciekawia, rozdrażnia, bierze! Nie wiem, ilu ludzi w łeb sobie dla niej strzeliło, ale gruba, gruba liczba... Jednem słowem, boska, nadzwyczajna kobieta! *Le génie du sexe! Das kategorische Imperativ!* Nosi czarne majteczki.

Jelsky schwycił go w pół.

— Kapitalne aktorzysko! — wołał ze śmiechem. — On to sobie tymczasem z moich reklamek wykoncypował. Jesteś wdzięcznym czytelnikiem, Borowski!

Minęli tymczasem zaułki i wydostali się na bulwar. Uderzył ich w uszy huk i zgiełk, przed oczyma roztoczył się świat jaskrawy i rojny. Wpadła w ucho muzyka, zrywająca się co chwila w skoczne tempo i tonąca w turkocie ulicznym. W takt jakby tej muzyki, pod świeżą zielenią drzew bez cienia, ostrą, dziwną i jakby zastygłą w jaskrawem przepojeniu sztucznem światłem, roił się i przelewał czarny tłum. Na ciemnem tle męzkich sylwe-

tek kołysały się mieniące i barwne kapelusze kobiet, szumiał jedwab, szeleściły suknie. Wzdłuż ulicy pędziły jak wichry długie jasno oświetlone wagony tramwajów elektrycznych, dorożki snuły się w nieskończonych szeregach.

Jelsky zbliżył się do Kunickiego i, ssąc cygaro, szeptał mu na ucho.

— *Horror vacui*... wiesz doktór, — w fizyce średniowiecznej. Warto tę siłę wskrzesić dla wytłómaczenia współczesnych dusz. I potęgi kobiet dzisiaj. Kobiety stawały się zawsze potężne wtedy, gdy idee się kurczyły i zasychały w doktryny. Dla czasów i ludzi żywych mają one tylko wartość markietanek na postoju nocnym.

— Jelsky cytuje oczywiście Müllera, — wtrącił Borowski, posłyszawszy ostatnie słowa. — Wogóle, radzę bliżej poznać Müllera. Odkryjesz doktór źródło elokwencyi i erudycyi wielu dziennikarzy —

— Potwarz! — oponował Jelsky i wetknął Borowskiemu cygaro w usta na znak, by milczał.

— ...Oraz niewyczerpany skład sentencyj tyczących się kobiet, — mówił mimo to Borowski. — Wielki, lecz dziwaczny łeb siedzi na tem suchotniczem ciele. — Kobiety, — mówił, naprzykład, mej żonie, — są jak żuki: składają najpłodniejsze nasiona w to, co próchnieje i gnije. — Prusy, — mówił innym razem, — są dla tego najpotężniejsze w Europie, ponieważ pruskie kobiety są najgłupsze na świecie. — Müllerek, choć niemiec, nie cierpi prusaków. Albo raz, pamiętam: kobiety dawniejsze perfumowały się ideą, ciągnęły do żelaza i wszystkie razem cuchnęły krwią; — dzisiejsze spryskują się sztuką, ciągną do złota i wszystkie razem śmierdzą prostytucyą... *Novissima gloria cupido,* — mówił dziś o Yvecie, — jest kobieta artystka, kobieta droga i cuchnąca jak wszystkie ścieki ży-

cia razem wzięte... Müller, — kończył Borowski, — nienawidzi kobiet ponieważ jest erotomanem.

Kunicki parsknął suchym śmiechem na tę ostateczną i najgłębszą sentencyę. Ale śmiech jego zerwał się nagle i uciął jakby pośrodku. Na twarzy jego odbiło się takie ogromne cierpienie, że Borowski nachmurzył się, a Jelsky skrzywił z niesmakiem.

— To jest otchłań, — rzekł.

— Kobieta?

— Nie, ona jest najczęściej kałużą, — tylko nasze myśli i uczucia dla niej.

— I to jest niezłe, — notował w myślach Jelsky.

Kaprys wspomnień stawiał Kunickiemu przed oczy tę chwilę z przed kilku dni, kiedy Borowska, widząc smutek w jego oczach i kierując się tym ciepłym, kobiecym instynktem dobroci, uścisnęła mu mocno obie dłonie. Wówczas chciał jej powiedzieć wszystko. Ale oto rozległ się dzwonek w przedpokoju. Ona wybiegła i powróciła zawieszona na szyi męża. Było w tym ruchu takie całkowite, niepodzielne oddanie się, taka łączność tych dwojga ludzi, że Kunicki zrozumiał odrazu wszystko. Lubiła go jak się w chaosie bezładnego życia lubi ludzi spokojnych i pewnych siebie; — odpoczywała przy jego równowadze. — Ale w chwili gdy ją ujrzał na szyi męża, zapalił się w nim cały żar piekła, rozpętała się nienawiść, niepomna siebie, ludzi i świata, odwołująca się na ślepo do ostatniej instancyi praw jednostki, — do siły fizycznej! „I ja mam prawo do pełni życia! Patrz, oto mam mocne mięśnie, pierś szeroką!..“ Zwierzę zaryczało. — Ale jak nagle płomień ten buchnął, tak też szybko wytlił się pod popiołem nawyknienia do ładu, spokoju i trzeźwości. Pozostał tylko smutek, bezwład duszy i bezczynność ogromna. Rozumiał, że w życiu jego nastały te szare, ciężkie, mroczne dnie, co zwiastują nieszczęście. Rozumiał i to,

że ten ból ryje mu na czole straszne słowo: *improduktyw!* — I nie miał nawet sił złorzeczyć.

— Dziwny ten Müller!.. — mruczał tylko, postępupując obok Jelsky'ego.

Tramwaje elektryczne śmigały po asfalcie z suchym pluskiem, w równych rzutach, jak łodzi parowe po zaskrzepłej powierzchni stawu. Dzwonki grały. Powozy biegły lekko i równo; miarowy grzechot kopyt końskich wybijał się ponad krótkie okrzyki, dzwonki, świstki, gwar i huk tłumu. Kiedy niekiedy zadudniała głucho trąbka i z niecierpliwem warczeniem potwornego żuka przeleciał jak strzała dygocący automobil.

Z ciężkiej machiny omnibusu wywinął się chłopak w dżokiejskiej czapce, stosem gazet jak chorągiewką mignął i wrzasnął:

— Katastrofa w Nowym Yorku!.. Zamach anarchistów!

I tem wołaniem jakby echo zewsząd zbudził. Wzdłuż i wpoprzek ulicy rozbiegła się krzykliwa banda kamlotów.

— Katastrofa w Nowym Yorku!..

Skłębił się, zwichrzył, poplątał tłum na trotoarach.

Porywał ten gorączkowy wir, ten kierat pełny zgiełku, krzyku i tumultu; krew żywiej krążyć poczynała, ruchy stawały się w tłumie giętkie, elastyczne. Czaiły się zmysły. — Muzyka w sąsiedniej kawiarni grała coś z Carmen.

„To-re-ador! To-re-ador!“ — brzęczało w uszach jak natrętna mucha.

— Katastrofa w Nowym Yorku!.. Straszna katastrofa!..

Ponad rynsztokiem posuwał się zgarbiony, ogromnie obojętny i głuchy na wszystko starzec: — szukał w ścisku odpadków od cygar.

— Patrzcie, — wołał Kunicki, — oto jest człowiek w mieście, który dziełem swojem żyje.

— Dobry! — aprobował krótko Jelsky i rzucił starcowi dymiący jeszcze ogarek.

Kupili gazetę. Kunicki wetknął w nią nos na długo, Jelsky przebiegł ją oczyma i oddał Borowskiemu, ten spojrzał od niechcenia i oddał któremuś z przechodniów.

— Słuchaj, Jelsky, czy ten nasz autor dramatyczny... czy on mnie widział w „Kupcu weneckim“?

— Widział. Tam się dopiero kotłować musi w New-Yorku!

— A w „Pietro Caruso“?

— Widział, wszystko widział. Chciałbyś, Borowski, być kiedy świadkiem czegoś social-pyrotechnicznego?

— A co mnie te hece! A w „Ryszardzie“?

Ktoś im się ustawicznie w drodze nawijał. Przed oczyma przesuwał się jak mewa wielki, biały kapelusz, rzucała się natrętnie w oczy fioletowa spódnica pod jasną suknią, buchały niemal czadem duszne perfumy.

— Idź, duszo, precz, idź!..

Wskoczyli do kawiarni.

Wionęło na nich parnym oddechem tłuszczu i zadudniało w uszach od pogwarów ludzkich. Jelsky'emu i Kunickiemu zapotniały w jednej chwili binokle. Borowski rozglądał się niecierpliwie w toni światła i ostrych refleksów od złoconych ram, kryształowych żyrandoli, purpurowych kanap i jaskrawych fresków.

Tuż za nimi, wskoczył kamlot, wysadził się na środek i okrzyknął jak herold:

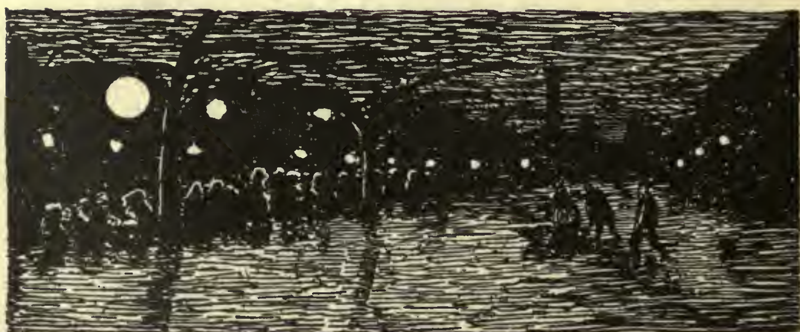
— *Extrablatt!*.. Najnowsze depesze z katastrofy!.. 200 osób zabitych i rannych... Teatr wysadzony w powietrze!.. *Extrablatt!*

A muzyka grała.

— To-re-ador! To-re-ador!

Borowskiemu rozszerzała się pierś, wyrywał się z niej wielki okrzyk radości:

Życie! życie!..





kłaniając głowę przed obcemi twarzami, mruknął kilkakrotnie swe nazwisko. Kilkanaście par oczu patrzało na niego, podniecało to Borowskiego ostatecznie; a że czuł się w pierwszej chwili nieco zażenowanym, zrobił więc nonszalancyę. Rzucił się w głąb' kanapy pod ścianą i, nie zdejmując kapelusza, zsunął go na tył głowy.

— Co się pije? — spytał.

Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy rozprawiali krzykliwie o zamachu w New-Yorku.

— Co słychać w kraju? — zwrócił się tedy po polsku do pana w długim tużurku, nader obfitym krawacie, jasnych kamaszach i w cylindrze na głowie. „Inaczej, —

myślał, — nie może przecież wyglądać młody autor dramatyczny.“ — Co słychać u nas? Pan dawno?..

— W kraju?.. Młodzi poeci piszą nowe wiersze, starzy krytycy pieszczą się staremi wierszami. Tyle w ruchu społecznym. Pan X w „Dzwonku codziennym“ przepisał artykuł z *Presse,* zaś pan Y w „Dzwonie tygodniowym“ rozprawkę z *Contemporary Review,* czem ożywili ruch umysłowy na cały tydzień. Zresztą tygodniki zjawiają się co tydzień, co tydzień bywa „czarna kawa“ i co tydzień „herbata“; to wszystko uśpiłoby ruch umysłowy beznadziejnie, gdyby go nie orzeźwiały poniekąd pojedynki, przytrafiające się co tydzień. Przelewa się to jak piasek w klepsydrze z niezmierną dokładnością 52 razy do roku.

„Aha, — myślał śmiejąc się Borowski, — takiś ty numer!“ — A pan zkąd obecnie, jeśli spytać wolno?

— Jaa?.. Z Paryża.

— Pisał pan co?

Autor zasłonił się dłońmi jak przed osobistym atakiem.

— Nic! Nic, panie! Żyłem tylko memi nerwami artysty... — I strzeliwszy dymem cygara w sufit: — Zresztą, moje „Przeznaczenie“ będzie grane w Paryżu. Czytał pan moje „Przeznaczenie“?

— Nie zdarzyło się.

— Zna pan Coquelina młodszego? — pytał pan Turkuł, nie zmieniając głosu ani o pół tonu.

— Napluć na Coquelina! — obraził się niespodzianie Borowski. — Coquelin i Coquelin! Mało aktorów bywa na świecie!

Zdziwił się niepomału, usłyszawszy po za sobą również polską mowę.

— To pan jest Borowski? — wołał ktoś krzykliwie, w pół go obejmował i niemal że w ramię całował. — Ja pana widział w kraju, na scenie... O, to jest gra! Na-

pięcie, siła! — wołał, wymawiając forsownie, lecz miękko te mocne słowa. — Ja pana szanuję, panie Borowski. Oni wszyscy falsetem biorą, pan piersiami, sercem!.. Ja jestem malarz — Pawluk... Oni jak lisy — *wiliajut* — a ogonem zatrą. A sztuka to jest siła, panie Borowski!

I wyciął pięścią w stół. Borowski nie wiele zrozumiał z tych wylewów temperamentu; nie wiedział, kto i po co merda ogonem i po co zaciera. Mimo to pan Pawluk chwycił go za serce.

— Wiesz, pan Borowski, ja chcę namalować anarchię. Pan to zrozumie. Ot — teatr wysadzili, — sztuku zrobili! — Ha? Tak zrobię, uważasz, — rozłożył ramiona, gotując się do szerokich gestów, przyczem odepchnął bez ceremonii sąsiadów po obu stronach. — Miasto!.. Wieczór!.. Ciemno. — Domy, domy, domy!.. Błyski chlapnę tu! tu! — tam! — Wieże. — Kominy. Dymi się. Kłębi! Czujesz, jak się kłębi?.. Zasnuło wszystko, wszystko! Nic nie widać; — ciemno. A na niebie gwiazdy. (Rozłożonemi palcami dłoni rzucał gdzieś przed siebie gwiazdy na imaginacyjne tło). A tu na przodzie — on — morda!.. Już ja ci, bracie, dam mordu! — Złość, nienawiść, szał! Siiła być musi! I... (z przymrużonemi oczyma chwytał coś z powietrza w niespokojne kułaki)... podpiszę „Anarchia“ — zakończył wreszcie i odsapnął. — Bo u mnie, widzisz, pan Borowski, farba ma blask! połysk — a!.. Ja robię tak: asfalt, berlinerblau i — zuch!— śmiało trzeba... Farba trzęsie się, świeci!.. Bo nasi malarze to *izwoszczyki*, nie artyści.

Ogłuszyły Borowskiego te twórcze erupcye rodaka; nie wiedział, co na nie odpowiedzieć. Z drugiego końca stołu odezwał się tymczasem głos cudzoziemski, spokojny i niedbały:

— Pawluk maluje oczywiście językiem! Nie męcz ty

ludzi i zwilż lepiej język, bo farbie twej zabraknie wnet blasku.

Mówił ktoś, kogo Borowskiemu przedstawiono jako pana von Hertensteina. Siedział na kanapie niedbale, w pozycyi wpół leżącej, białemi dłońmi unosił kolano i z wyrozumiałą cierpliwością na twarzy słuchał opowiadań jakiegoś czerstwego młodzieńca o tłustych policzkach. „Mecenas“ — zgadywał Borowski i „poprawił“ czemprędzej twarz, jak ktoś, co, wchodząc do salonu, poprawia krawat i mankiety. Tenże instynkt starego nawyknienia sprawił, że Borowski począł nieznacznie, boczkiem, podsuwać się na kanapie w tamtą stronę.

Młodzieniec opowiadał o czemś gorączkowo, ustępy widocznie bardziej intymne szeptał na ucho; przyczem z miną i zwinnością wiewiórki obgryzał żarliwie paznokcie.

— Fenomenalna histeryczka,—rzekł wreszcie pan von Hertenstein. — Ty zaś jesteś wybitnym szelmą... Nota bene, jeśli to wszystko jest prawdą.... Napisz to, napisz, — kończył, klepiąc go po ramieniu.

Młodzieńcowi przerwał Pawluk, który przewinął się szybko między stołem i kanapą, znalazł się na drugim końcu, przysiadł, a raczej przykucnął przed panem v. Hertensteinem i wgadywał się gorączkowo w jego sympatyę.

— Pan drwi sobie z moich kompozycyj. No, zobaczycie kiedyś!.. Do dyabła, ja czuję, że oni wszyscy nie to malują, nie to, co trzeba. Czuję — o! (począł się bić kułakami w piersi). Mnie nie szkoła, a życie uczy. Ot co!.. Mnie trzeba jeszcze was literatów zgryźć, przeżyć i... i wypluć potem.

— Bardzo ujmujące! — odparł pan v. Hertenstein i odsunął go łagodnie od siebie. — Ty lepiej ich nie gryź i wypluj czemprędzej, bo się nimi już dławić poczynasz.

Pawluk szarpnął się oburącz za włosy.

— Nie rozumieją flegmatyczne niemcy!

Pan v. Hertenstein począł się rozglądać po obecnych. Zmęczony jakby dotychczas i opieszały, ożywiał się w oczach, patrząc na Borowskiego. Nagle zerwał się i nalał mu wina do kieliszka. — Borowski miał ochotę cmoknąć sobie na pochwałę: „Wziąłem go milczącą gębą — na odległość!“

— O panu słyszałem, — mówił pan v. Hertenstein. — Zmanierowano mi chłopca, — nawiązywał natychmiast rozmowę, wskazując bez ceremonii na czerstwego młodzieńca. — Ale przedstawiam panu obiecującego autora konfiskowanych za pornografię nowel. W konkursie „coups de grâce“ pobiłby go może Prevost, natomiast w rekordzie „coups de force“ znuży najbardziej łakomego czytelnika... Spojrzyj-no pan proszę na te tryskające zdrowiem policzki.

Śmiech chóralny nie dał młodzieńcowi dojść do słowa.

— Mój kochany, — perswadował mu spokojnie Hertenstein, — nie rób ty z siebie literatury: nie każ nam wierzyć, że twoja literatura ma cośkolwiek wspólnego z twem życiem. Gdy staniesz się naprawdę cynicznym, będziesz pisywał rzeczy sentymentalne i poczniesz rozdzierać szaty nad zepsuciem — w sztuce... My wiemy, co to jest literatura młodych ludzi.

— To jest siła! — krzyknął malarz i wyskoczył z krzesła jak z procy, aby pobiedz do Hertensteina.

— Literatura młodych jest jak młode wino, — rzekł, a raczej ziewnął Jelsky. — Cały smaczek w pierwszej fermentacyi.

— Literatura jest jak kokota, — bąkał niewyraźnie Müller, żując w zębach papierosa. — Kiedy jest przezorną i dalekowidzącą, nosi się skromnie, dba o opinię i stara się o ciche względy starszych panów. Gdy jest młoda i płocha, lubi nadto modne stroje, nosi zbyt wielkie de-

kolty, naraża się opinii; czem zyskuje entuzyastyczne sympatye młodych ludzi.

Jelsky załamał ręce.

— Zlituj-że się, Müller, ty niedługo cały świat pojęć osolisz sobie erotyzmem.

— Literatura neo-romantyczna, — odezwał się autor dramatyczny i uniósł się na krześle, aby go dobrze widziano, — literatura neo-romantyczna, zerwawszy wszystkie związki z życiem, stała się alembikiem na książkach i dziennikach; poezya, tego alembiku destylatem. Dramat jedynie pozostał prawem dzieckiem życia.

— Dramat jest łatanym kostyumem w rekwizytorni! — parsknął Borowski. — Wtedy coś wart, gdy się dobry aktor w niego ubierze. U nas, bywało, w teatrze, na dramatach smażyliśmy sobie befsztyki!

Wszczął się więc spór o pierwszeństwo poezyi, dramatu czy powieści. Wśród wrzawy, krzyku i brzęku kieliszków obrzucano się modnemi nazwiskami, cytatami i naprędce kleconemi aforyzmami niby garściami confetti. Pan von Hertenstein, leżąc niemal na kanapie, pieścił w dłoniach swe kolano i raczej patrzał, niż słuchał; bawiły go, zda się, bardziej gesty i okrzyki niźli treść zdań, i niemniej od tych, co się sprzeczali, ci, co milczeć potrafili.



Ale dziennikarz Jelsky krzywił się czegoś i grymasił nad winem. Dla niego były to zbyt ograne melodye. „Albo pić lepsze wino, — myślał, — albo dowiedzieć się

czegoś nowego! — Jest tu trzech polaków, niechby o swoich tam śmieciach coś powiedzieli. Da się może zrobić artykuł.“

— Mój Borowski, — zaczął tedy wytrawnie, zdaleka, — u was podobno niema kawiarni?

— Niema.

— Bój się Boga!

— Czy to źle?

— I ty pytasz? — Tam, gdzie niema kawiarni, wszystko, co twórcze, a samotnem być nie potrafi, wkurczy się, wgrzęźnie, da się wnękać w obmierzłe idealiki mieszczaństwa... No, a tyngle macie?

— Jest jeden.

— Strzeżcie go, by nie upadł!.. No, i cóż wy tam jeszcze macie? Kobiety ładne...?

— Są.

— To się wie. Jeżeli który z panów twórców, — zwrócił się do obecnych, — życzy sobie zaznać nadzwyczajnych transów, radzę zakochać się w polce. (Tu Jelsky poczuł z prawdziwą satysfakcyą ostre spojrzenia Kunickiego, Müllera i Borowskiego.) — Pomyślcie tylko! — największe imiona wielkie raczyły robić tu reklamę: Byron, Shelley, Heine, Lenau, Napoleon, Szopen, Mickiewicz, Balzac...

— Millöcker, — zadowolił się krótkiem odcięciem Borowski, i zanucił na poczekaniu aryjkę z *Bettelstudenta.*

— No, a teatr? Aktorów musicie mieć nadzwyczajnych?

— Tylko repertuar przynoszą nam raki z Europy, — wtrącił autor dramatyczny. — Nad rakami czuwają augurzy dziennikarscy. Muza komedyi, zestarzawszy się we Francyi, przyjęła u nas funkcye guwernantki i wyprowadza za scenę dziecinny dramat. Szekspir, zmęczywszy się sztucznym entuzyazmem Berlina, przychodzi od czasu do czasu prze-

spać się na scenie warszawskiej. Szekspira grywają u nas rzadko, ponieważ autor nie bywa na „czarnej kawie“ — *very well!*

Jelsky ożywiał się jak rtęć i wyciągał już notes. —

Borowski zerkał bokiem na mecenasa i rozumiał, że jemu milczeć tu nie należy. Gotował się więc i on.

— No, a literatura? — indagował Jelsky z ołówkiem w ręku. — Co robią nasi pisarze?

— Leją przeważnie w puste miechy współczesnych dusz tęgie stare wino, — odparł Borowski, przygotowując twarz do mimiki. — To też przeszłość przypomina się nam żywo, „rozszerza piersi.“ Czasami — rozszerzy piersi i przypomni się zanadto, jak to zwykle bywa po winie. Ale my to wszystko połykamy z powrotem, ponieważ cenimy tradycyę jako sakrament. — Po za tradycyą dozwolone są tylko myśli o biedzie i połączone z nią sentymenty, ponieważ charakter narodowy tych poematów odczuje nietylko głowa ale i kieszeń, która jest zawsze najbardziej narodową i sentymentalną. Recenzent siądzie na książce i wie, że ma do czynienia z tendencyą sympatyczną, która, jak czuć najwyraźniej, nikogo nie uraża, nikogo nie kole. „Nie wnosi przeto rozterki między warstwy społeczne. Aby spokój, aby harmonia! Bo oto czyha na nas hakatysta! Zbijmy się do kupy jak owce, — nie połknie nas dzieciożerca. A jeśli połknie, nie strawi gromadą...“ Łagodni słowianie, przywykliśmy od wieków bronić się przeciw zachodniej kulturze płodnością. Już w uniwersytecie zaopatrujemy się w róg obfitości i — co za tem idzie — w dumę i ostrożność ojca rodziny. Jeśli się potem jakie myśli w nas rodzą, zanosimy je wnet ze skruchą pod małe nóżki tłustego bankiera.

— Więc bogate mieszczaństwo nie lubi u was nowych myśli?

— Tego nie można powiedzieć. Widzisz, Jelsky, pieniądz rusza się u nas żwawiej niźli nauka i sztuka, nic dziwnego, że i myśl ruchliwszą przy nim się staje. Mieszczaństwo nie lubi tylko samodzielnych, zwłaszcza miejscowych porodów myśli i, gdzie może, urządza sztuczne poronienia z namiętnością starych akuszerek. Nie przeszkadza to tym panom opiekować się instytucyą dla porodów fenomenalnie już twardych i uciążliwych, dzięki którym przychodzą na świat wielkie i ciężkie kobyły rasy germańskiej, machiny wytrzymałe, juczne i bezpłodne jak muły! — Jest i nauka w kraju, wbrew prasie i naprzekór społeczeństwu! Złośliwość tę zawdzięczamy finansom.

Jelsky skoczył z krzesła i nalał Borowskiemu wina.

— Co za aktor kapitalny!.. Ze wszystkich etranżerów najbardziej lubię polaków, nikt tak namiętnie nie szkaluje stosunków swego kraju jak oni... Mój Borowski, a kto tam u was zajmuje się właściwie literaturą, czytuje książki?

— Krytycy i panienki.

— A kokoty nie?

— Kokoty boją się jej, ponieważ jest zanadto cnotliwa. Gotowe się nawrócić i wykoleić w życiu.

Pan v. Hertenstein wtulił się w kąt kanapy i patrzał rozmarzonym wzrokiem na Borowskiego i Jelsky'ego.

— Jelsky, jestem dumny z twej przyjaźni. Chcesz się czego napić, Jelsky? — pytał raczej z przyzwyczajenia, gdyż na stole stała pełna butelka.

Ale Jelsky'ego pochłaniał już całkowicie interview.

— Skończyliśmy zatem z literaturą i nauką, — odliczał na palcach. — No, a malarstwo? Co tworzą malarze?

— Oni nie tworzą, lecz malują pilnie to, co stworzył kto inny.

— Mianowicie kto taki?

— Krawiec.

— Aha! Portreciści mają się zwykle świetnie.

— Bogać tam! Krzątają się wprawdzie, jak mogą. Wyprawili kolacyę „w kraju i dla kraju“, naspędzali posażnych panien do „zaczarowanego lasu,“ pokazali społeczeństwu łydki w „turnieju rycerskim“... Ale indyferentyzm ogółu!.. Zresztą, u nas mało kto nosi szatę godną wykwintnego pędzla artysty.

— No, a cóż robi szlachta dla sztuki?

— Każe portretować swe konie, co posłuszniejsze; przyczem sądzi się być wolną od zarzutu nieuleczalnego marzycielstwa. Pochodzi to ztąd, że konie polskie, według znanego estetyka, powinny posiadać charakter syntetyczny.

— Więc końscy malarze są niejako syntetykami ducha narodowego?

— Tak dowodzi estetyk... Boże, jak ci końscy malarze świetnie się mają! W rozmowach krytykujemy ich obficie, ponieważ zemsta jest jedyną rozkoszą naszych biednych bogów na nudnym Olimpie.

— No, a świeże pomysły w malarstwie?

— Są. Panoramy!

— O jerum! — westchnął Jelsky.

— „Nietylko malowano, ale i prawdziwie: z fonem na przodku,“ — z piaskiem, żwirem, drabiną i starym kamaszem.

— Co oznaczają te symbole?

— Wojnę.. Na wszystkich cykloramach przedstawiane są mianowicie bitwy. — Jest to przeważnie gust warstwy, która tak szybko wchłania narodowe tradycye, że w krótkim czasie znienawidziła — żydów. Ztąd pochodzi antisemityzm, bo dotychczas mieliśmy tylko pisma antisemickie.

— A propos pism... Czemu-ś zbladł, Borowski?.. Czy łatwo, czy tanio robi się u was opinia?.. No, mówże!

— My Polacy nie boimy się wroga, nie boimy się Boga, nie boimy się sumienia, ale boimy się Kuryera! — Nie będę nic gadał!

— Opinia, znaczy, robi się u was łatwo i tanio.

Tu Jelsky powstał i ostentacyjnie poprzez stół uścisnął rękę Borowskiemu.

— Dziękuję ci, Borowski!.. O nazwiska cię nie proszę: niedopowiedzenia i domyślniki są bardziej pożądane w dziennikarstwie. Natomiast musisz mi opowiedzieć jeszcze kilka najświeższych plotek: bez plotek niema publicystyki!.. Chcesz się czego napić, Borowski?

Pan v. Hertenstein, leżąc wciąż w rogu kanapy, nie spuszczał rozmarzonych oczu z Jelsky'ego.

— Jelsky, ty jesteś arcywzorem aktualności, modelem dziennikarza.

Wszyscy porwali się z miejsc. „Niech żyje Jelsky!“ Jelsky trącił się ze wszystkimi kieliszkiem, poczem chrząknął znacząco.

— Silentium! — Jelsky chce powiedzieć speech.

— Krótki, panowie. Przypomnę wam tylko: „Gdym szatana mego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki. Naprzód, zabijmyż ducha ociężałości!“ — Panowie, niech żyje...

— Sztuka, — pisnął ktoś nieśmiało.

— Głupiś! — szepnął mu z góry Jelsky. — Banalne zwierzę!.. Panowie, niech żyje paszkwil!

Na wszystkich podziałało to jak objawienie; ludzi porwał szał radości.

— Wiwat! Niech żyje!



Pan v. Hertenstein zwrócił się do drobnej milczącej figurki w pelerynie francuzkiej.

— Mały, napisz-no jaki kuplet przepotężny i zaśpiewaj go nam.

— Brawo! — krzyczano. Towarzystwo było już po tylu kieliszkach wina, że wszystko je cieszyło. — Pisz, Müllerek, pisz.

Mały błysnął złośliwemi oczyma; miał widocznie gotową myśl. Pochwycił podaną sobie kartkę papieru i począł szybko pisać. — Borowski tymczasem rozglądał się po kawiarni. Ujrzał kilka sztywnych panienek w atłasach, co sznurując usta zerkały boczkiem na pannę Lili i towarzyszki. Pociągnął nosem z aktorska, skrzywił się i zmrużył oczy.

— Mieszczaństwo czuję! — rzekł, uderzając się po nosie.

— Brawo, Borowski! — (Przy stole pito już tylko i krzyczano „brawo!“)

Jelsky wezwał czemprędzej kelnera.

— Każ pan orkiestrze grać kankana.

Kelner rozłożył ramiona i wskazywał oczyma na poważną publiczność w sali.

— Poczekajmy trochę, — prosił. — Niech się przerzedzi w kawiarni.

— Myśmy nie gimnaziści, panie zahlkelner, aby nas kankan sam przez się radował, — rzekł z grymasem pan v. Hertenstein, bardzo niezadowolony z tego, że go kelner zmusza do mówienia. — Nam to właśnie sprawi satysfakcyę, że tamci panowie i tamte panienki go usłyszą.

Wobec powagi słów pana v. Hertensteina kelner skłonił się tylko.

— Ale, — wołał za nim autor dramatyczny, — przy sposobności każ pan przysłać kilka butelek szampana.

Kelner skłonił się panu Turkułowi.

Turkuł wcisnął się plecami w oparcie kanapy; rozrzuciwszy szeroko poły tużurka, ukrył podbródek w obfitym swym krawacie i wystawił niby kieł zgasły papieros; zimnym wzrokiem przyglądał się otoczeniu. Po chwili zwrócił się półgębkiem do pana v. Hertensteina:

— Dam im szampana, bo chcę zobaczyć, jak to bydło wygląda po pijanemu.

Na bladej i zimnej twarzy pana v. Hertensteina ściągnęły się lekko brwi, syknął po cichu, jak gdyby go na odcisk nadeptał. Uśmiech niesmaku skrzywił mu lekko wargi.

— Zbyteczne koszta, — rzekł po chwili spokojnie. — Oni panu dadzą gratis sposobność do jego głębokich studyów psychologicznych.

W kawiarni rozległy się lekkie, skoczne dźwięki muzyki. Przy dalszych stolikach zgoła inne towarzystwo zabawiało pannę Lili i towarzyszki. Ztamtąd doszła niebawem nieśmiała, przytłumiona zgiełkiem nuta pospolitej brukowej piosenki:

„Siehst du, das ist ein Geschaeft,
„Das bringt noch was ein,
„Doch es mus verstanden sein...“

Pan v. Hertenstein klasnął w ręce.

— Nastaw uszy, Jelsky! — tam już kokoty śpiewają hymn na cześć paszkwilu. Kłaniaj się, kłaniaj się czemprędzej! —

Dotychczas ociężały, zerwał się nagle sprężyście, przewinął zwinnie między krzesłami i przysiadł do Jelsky'ego.

— Kocham cię, Jelsky!—wołał, obejmując go w pół,— kocham cię za to, że tak gruntownie drwisz sobie z całego świata, że możesz na zawołanie być lirykiem, satyrykiek lub reporterem; — kocham cię za tę przedziwną lekkość tanecznicy, nazwaną talentem, a którą ludzie nietylko

rozrzewniać się, ale i roznamiętniać dają. O, jak cudownie potrafiłbyś ty roznamiętniać tłumy! — Kocham cię, żeś jest tak ogromnie dzisiejszą duszą!.. Niechci żyje paszkwil! niech wam żyje, serdeczni! On jest ostatniem słowem współczesnego talentu, pieśnią twórczej niemocy!

Jelsky zerwał się z miejsca i chciał coś obwieścić, lecz zagłuszył go piskliwy głos Müllera. I on ocknął się teraz dopiero: zrzucił z ramion pelerynę i, bębniąc w stół kościstemi rękoma, zanucił jakąś zwrotkę; pochwycił ją natychmiast cały chór i w szybkiem tempie galopki odbijał na nutę kankana:

Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
W tem cały życia sens!

— A wam, panowie, — przerwał im na samym początku Hertenstein i schwycił za kieliszek, — wam niech żyje kawiarnia, — ta kwarantanna cierpliwych, ambitnych a bezpłodnych! Tu możecie dowoli pisać, malować i rzeźbić językiem. Bo wszak my wszyscy tak bardzo oszukiwać się pragniemy! Wymawiamy „sztuka“ to, co się pisze: „*vanity fair,*“ — „szał miłości,“ co się pisze: „obskurny heteryzm,“ — „przyjaźń,“ — co każdy pisze „zawiść,“ — czytamy „indywidualista,“ gdzie rozsądek pisze „zbłąkany filister.“

— O!.. O!.. — wszczęły się szemrania przy stole.

— Jest tu człowiek małoduszny, co drwić z siebie nie potrafi! — huknął Müller i uderzył pięścią w stół, aż się kieliszki zatrzęsły.

— Bądźcie mi bardziej szczerzy! — prosił Hertenstein. — Wszakże wy wszyscy, ilu was tu jest, piszecie po nocach na wyścigi paszkwile na swych przyjaciół i swe otoczenie. Taką jest dziwna psychologia „*amitié de bohême*“.

Niezmordowany Müller zanucił powtórnie:

Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak!

— Panowie, — huczał już v. Hertenstein na całą kawiarnię, — oto znalazł się między nami przypadkowo sławny autor „Przeznaczenia.“ — „Nasz!“ krzyczmy, choćby on w każdem słowie swojem był zaprzeczeniem wszystkiego, czego mybyśmy pragnęli; „nasz!“ krzyczmy tem głośniej, im większą będzie jego popularność. Bo wszak on nasz byt usprawiedliwia. — Sztuka jest, prócz dla tych, którzy się dla niej rodzą, jeszcze tylko dla próżniaków, z których potem traf, kobieta, redaktor wyławiają tak zwane talenty, zaś policya, przytułki i szpitale — tak zwane męty...

— Silentium! — uderzeniem kułaka w stół zgłuszył Müller szemrania.

— ...Panowie, przed nami stoi, — źle mówię! — przed nami siedzi człowiek, któremu słuszna pycha wzdyma krawat i rozpiera kamizelkę... W porę przynoszą szampan! Autorowi „Przeznaczenia“ niedość widzieć nas trzeźwymi, on chce nas upić; podobnie, jak kazałby nas pławić w kałuży, gdyby to było w jego mocy, — nas, mierzwę swego życia, nas, cośmy go swoim bólem wykarmili, pierwsi odgadli, pierwsi odczuli!..

Zaszurano krzesłami.

Turkuł zerwał się dopiero teraz na równe nogi. W długim aż po stopy tużurku, ze wzdętym krawatem, z wypiekami, co w jednej chwili wytrysły mu na policzki, — wyglądał jak indor gotowy do ataku.

— Precz z tem winem! — wrzeszczał tymczasem malarz.

— Cicho, Pawluk! — ty stokroć brutalniej rozkoszować się nami będziesz za lat dziesięć. I więcej takich

znalazłoby się tutaj. Ten człowiek, — Hertenstein z niezmąconym spokojem wskazał na Turkuła, — ten człowiek może mnie odpychać jak zimny metal, a jednak — on jest dla sztuki stworzony! Zapytajcie się waszej zawiści, ona jest najszczerszym głosem artystycznego sumienia.

Turkuł osunął się z powrotem na kanapę i ze wzgardą odrzucił od siebie niedopałek papierosa.

— ...Zapytajcie go, ile on uczuć przemódz, przesilić, zniewolić w sobie musiał, a zrozumiecie może jego niechęć ku nam. Jego pycha naszą miękkość czuje. Nie pytajcie się natomiast, ile ten człowiek szczerych, prostych, ludzkich uczuć potratował w życiu. Gdzie jest zwycięzca, tam muszą być ofiary, gdzie tryumfuje czyn, tam musiało być zdeptane uczucie!.. A ja poprzez męty uczuć waszych sentyment, biedni, widzę!..

Tym razem zaroiło się poważnie przy stole; ktoś ze złości stłukł kieliszek, kilku porwało się z miejsc.

— *Nicht waehnen, Hallunken! — ich sei einer von den ihrigen.* Przepadniemy!.. A teraz, kto z was nie jest najnikczemniejszym filistrem, kto nie drży przed losem, jaki sam sobie zgotował, ten za kieliszek pochwyci. Niech przepada słabość, — niech żyje sztuka! Niech ginie bezpłodność, — niech żyje czyn! — Wiwat autor „Przeznaczenia“!!..

I wszystkich, ilu ich tu było, porwał ten szał dziwnie sprzecznych, nawpół pijanych uczuć. *Pereat mundus, fiat ars!..* Zapienił się szampan, zabrzęczały kieliszki.

— W górę go! — krzyczał i miotał się Pawluk, wymachując rękoma jak wiatrak. Daremnie bronił się Turkuł. Za chwilę znalazł się w górze na kilkunastu parach ramion, jak wódz zwycięzki na tarczy.

Jak szampan w kieliszkach, tak pieniły się lekkie, zwinne, kocie skoki rozpętanej w swawolnym rytmie mu-

zyki. W takt tych skocznych tonów, tempem szalonej galopki nucił niebawem zgodny chór:

Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
Naszego życia sens.

Ale i tym razem zagłuszono kuplet Müllera, bo od dalszych stolików, gdzie siedziała Lili i towarzyszki, zerwał się śpiew głośniejszy, już śmiały i czelny, już swawolny i cyniczny. Odbijając twardo kułakami na stolikach, śpiewano wodzowi na tarczy:

Siehst!.. du!.. das ist ein Geschaeft,
Das traegt noch was ein,
. . . .
Doch es muss verstanden sein...

Zewsząd rozlegać się poczęły gniewne syki i niecierpliwe dzwonienia w naczynia.

— Kelner, płacić!.. Płacić! — huczały basowo ochrypłe od oburzenia głosy tłustych, solidnych obywateli.





o tynglu, panowie!

Pan v. Hertenstein wyprowadzał swą drużynę na ulicę. Pawluka szukano napróżno: gdzieś się zawieruszył między stolikami, gdzie siedziały kobiety. Chciano już wychodzić bez niego, gdy Borowski przyłożył dłonie do ust i w głośny gwar cudzoziemskiej mowy huknął nagle mazurskie:

— Chodź ino, cho - odź...!

Gdzieś z pośród tłumu wyskoczyła nagle głowa o rzadkiej nastroszonej czuprynie; zaśmiały się zdaleka małe skośne oczy.

— Ide, idee..! — poniosło jak po stepie.

Pan v. Hertenstein zatykał sobie uszy. „Na litość Boską, — toż nie polska stodoła!“

Pawluk wywinął się tymczasem z tłumu, rad i uśmiechnięty, niby jamnik z borsuczej nory. I zakręcił się koło Borowskiego jak fryga.

— I niemce mają kobiety! — wołał — Won hań siedzi cielista! i biała, biała! A oczy ma cza-arne!... Włosów na głowie jak Magdalena Ribeiry. Pławić się można w tych włosach jak w stepowej trawie... Lili się nazywa... Kaby miał hroszy, toby się i wypysznił!...

— Nie wrzeszcz! — strofował go pan Hertenstein.

Ale Pawluk już go wpół chwytał i w kółko nim obracał; potem jak dziecko przytulił mu się do ramienia.

— Czemu nie lubisz słowiańskiej mowy? Wolisz francuzki kankan? Hę — baron Hertenstein?

— Co ten kozak plecie? — pan Hertenstein rzucił ramionami.

— *Wisz go* — prus! A ty, bracie, do nas przyjedź. My tak ciebie polubim! U nas dusza *na razpaszku!*

Objął go za nogi i podniósł jak piórko z ziemi. Pan v. Hertenstein zżymał się, gdy stanął z powrotem na nogach. Otrzepując starannie spodnie, mruczał niechętnie:

— No, jak się polska dzicz upije, — *da hört die Gemuetlichkeit auf*!

Jelsky był widocznie innego zdania, gdyż, przecierając chustką binokle, uśmiechał się pod wąsem. Gdy wraz z Borowskim, zamykając hałaśliwy pochód gromady, wychodzili na ulicę, spojrzeli równocześnie na Kunickiego, który szedł samotnie tuż przed nimi.

— I ten także! — mruknął Jelsky.

— Co takiego?

— Dziki!... Bo to się czuje przecie, że ten człowiek spiął się tylko w obręcze doktryn, pracy, obowiązków. Europa na tym karku ciąży. U nas doktryner wiadomo, co znaczy: — wiór! — u was tylko: — Europy się nałykał... Powiedz mi, Borowski, po co właściwie przyjeżdżacie do Europy?

Borowski wzruszył ramionami.

Wataha skręciła z bulwaru w cichy zaułek. Dysputując krzykliwie, szła środkiem ulicy. Tuż za nimi jechał stępa powóz pana Hertensteina. Pawluk tymczasem zawieruszył się znowuż; widać go było zdala, jak wprasza się uparcie do towarzystwa dwóch przechodzących kobiet.

— Ten się nam zgubi dzisiaj, — rzekł Jelsky. — Na niego gwizdać trzeba, — czy jak? — I naśladując wcale nieźle Borowskiego, huknął w ulicę: „Chodź, ino cho-odź!„

— Ide, idee...!

Jelsky'emu opadły binokle na sznurku; począł je znowu czyścić i mruczeć coś pod nosem. Po chwili nacisnął cwikier z rozmachem i zwrócił się do Borowskiego najniespodzianej w świecie po polsku.

— Wy Borowski... z samej Polski bendziecie?

Borowski stanął jak wryty.

— A zkądże mam być? — odparł machinalnie.

— Bo ja jezdem ze Ślonska, *aus Oberschlesien nähmlich.*

— Chryste panie!.. Jesky, toś ty się oszwabił?!..

Dziennikarz uśmiechał się dobrodusznie.

— *Wasserpolacke, — was?*... Ja *hochpolnisch* niedobrze gadam... Uczyła mnie *pańjenka (oder wie sagt man denn?)*... ze dwora, — Marynia.

Jelsky'emu znowuż opadł cwikier i domagał się gruntownego czyszczenia. Z zaskrzepłym na wąsach uśmiechem mruczał coś i opowiadał; gaworzył jak dziecko z samym sobą.

— Co dzień się spotykali... „*Mojen! Mojen!* Jak spala?..." — „Mówi się: dzień dobry pani." — „Dzin... dzien... *Das Patschhändchen her!..*" — „Fe, brutalny prusak! Mówi się: proszę pokornie o podanie rączki..." „Pokornie rączki... rączki... rączki..." *Gott dies Kind!*

Niebawem spochmurniał i nasrożył się Jelsky, wąsa

szarpał i milczał. — „*O la!*“ — krzyknął wreszcie i wyrznął laską w bruki. I tym okrzykiem przeciął wspomnienia. Wysławiając się z trudem, — mówił dalej poważnie.

— Po co wy przyjeżdżacie do nas? Niedawno ja widział chodziki... *Sachsengaenger*. Wszystko! jeden jak drugi! (Jelsky machnął ręką). To Europa daje. — „Wy — chciał widocznie powiedzieć — przywozicie coś podobnego w duszy, w sercu do swego kraju“, lecz zamiast tego zaplątał się wraz z naiwnemi słowami narzecza w jakiś bezradnie naiwny krąg myśli. Żachnął się wreszcie niecierpliwie i dokończył twardo, po prusku:

— *Intellektuelle Sachsengaengerei!* — To z was uczyni nową odmianę Wasser-polaków: *germanisierte Wasserintellekte!* Spojrzyj-no pan na tych żarliwie po polsku się modlących patryotów poznańskich. Czy tam wyrasta choć jeden nowy kiełek waszej duchowej kultury?

— Widzisz, Jelsky, bo ciebie tam niema, — syknął mu w odpowiedzi Borowski, — boś ty w wielkiem morzu niemieckiem rozwodnił duszę i...

— Ja jestem „dobrym europejczykiem“, — żachnął się Jelsky niecierpliwie.—Może to pojęcie zabłądzi do Polski za lat 200.—Po chwili, krzywiąc się niechętnie w rozmowie z samym sobą: W afektach *das überschaumend Temperamente,* w polityce *das verflucht sentimentale: das Polackische*... Co się waszą gazetę do rąk weźmie, to ckliwo się robi. *Nee!* to już nie dla mnie.

— Jelsky, mnie się coś widzi, że ty z twą europejskością w powietrzu wisisz. Tyś poprostu ten temperament i sentyment poprzestawiał na inne pola i zostałeś kosmopolitycznym dziennikarzem. A ten zgermanizowany *Wasserintellekt*... Patrz! — wołał, wskazując na Pawluka. — O, ja jego stokroć bardziej wolę!... Pytasz się, czemu my tu przyjeżdżamy? Gdybyś ty, Jelsky, wie-

dział, jakbym ja chętnie uciekł tam na wschód i pokazał się twej Europie *en face* z części zachodniej!

— Po coś ty właściwie z wojska uciekał?

— Dla niej.

— Ba! — Jelsky miał ochotę splunąć. — Czy tam wciąż jeszcze nie nauczyli się stawiać sobie pytania: co jutro?

— Widzisz, Jelsky, nietylko to... Myśmy wtedy nie mieli nic, nic, prócz tej wielkiej chęci do życia. — W kasie teatralnej...

Jelsky chwycił Borowskiego brutalnie za ramię i zwrócił go twarzą w stronę najbliższej latarni.

— Pokaż-no ty się! — O takich polskich bohaterach zdarzało się już nieraz pisać. — Mrużąc oczy, przyglądał mu się wzgardliwie; po chwili parsknął śmiechem i odepchnął go zlekka od siebie. — Cokolwiekby ludzie mówili, wszelka ofiara dla kobiety jest ostatecznie ofiarą dla własnych zmysłów, lub długą i nudną skruchą za krótkie chwile wątpliwego szczęścia. Trzeba być bardzo... konsekwennym, ażeby dla takich powodów uczynić się dobrowolnie zerem.



Drużyna pana Hertensteina szła bezładną kupą przy kakofonii gwizdków, śpiewów i wrzasków. Chwilami przycichała wrzawa; wówczas dolatywało do ich uszu czystsze, głębsze nucenie. Borowski wlókł się na końcu. Kapelusz niósł w garści i, wymachując rękawami szero-

kiego płaszcza, szedł środkiem ulicy jak po wiejskim gościńcu.

— Śpiewaj, Borowski!

Rzucając bezładnie długie nuty, minął całą gromadę, nie rzuciwszy nawet okiem na nich; szedł w głębokiej, upartej zadumie. Na tych ulicach spało już miasto. Dobiegające zewsząd gwary skłócały się tu ze sobą pośpiesznym, jakby stłumionym szeptem i biegły czemprędzej dalej na ludne i rojne bulwary. Gdy Borowski wziął nieco wyżej, wówczas jakieś śpiewne echa i szmery błąkać się zaczęły bez końca po pustych zaułkach. On zasunął wreszcie kapelusz za pazuchę, dłonie splótł na czole, oczy sobie niemi przysłaniał i, idąc szeroko jak po polu, śpiewał sobie, myślom i wspomnieniom swoim:

Niescenśliwe te pokoje,
O-jo-jo-jojoj!
Ka nas było tylo dwoje —
O Bożeć ty mój!

Ludziom zaskoczonym znienacka wysokością i czystością tonu lekki dreszcz po ciele przebiegał. Jelsky nawet zdjął cylinder i dłonią w rękawiczce powiódł po włosach.

— Ta-ak! — wyrwało mu się z ust.

Inni słów nie pojęli, rozumiano jednak, że to skarga ludzka z tchnieniem zmroku po polach idzie, że wsłuchuje się w nią wśród poszumów zboża wieczorna cisza na szerokich rozłogach.

Ludzie czuli coraz bardziej, że ta piosnka zabłąkała się w te obce mury zdaleka i dalekie smutki młodości ze sobą niesie. Ale Borowski urwał i szedł coraz to prędzej, wiodąc za sobą zbitą i milczącą gromadę.

Pawluk rzucał się między ludźmi, jak piskorz, sapał i powtarzał bez końca:

— U nas, jak za duszę chwyci, rady nie ma. Nie mogę nie chcieć! *Ne mahu!* Choć zabij, wyśpiewać się musi.

Jakoż Borowski zmienił melodyę i zaczął na bardziej jeszcze rozlewną nutę. — Ludzie, nie rozumiejąc czuli, że ta krzywda ludzka na rozdrożu pod krzyżem stanęła i skarży się samotna:

„Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem
„Druchny płakały,
„A nad twoim złym copcyskiem
„Wrony krakały.

Na samym końcu, wyprzedzeni znacznie przez innych, postępowali Jelsky i Turkuł. Kroki ich stawały się powolne i ociężałe, głowy w cylindrach chyliły się coraz niżej. — „*O la!*" — westchnął Jelsky i uderzył laską w bruki. Turkuł próbował gwizdać, lecz zagłuszono go niebawem.

A ludzie czuli, jak krzywda ludzka w wielką pustkę nagich pól ramiona wyciąga, ku krwawemu słońcu, co w kłębach rdzawych tonie chmur; jak jesienne wichry po sinych skibach i rudych ścierniskach kołem się niosą, żółtemi liśćmi sypią i wirem je pędzą, jak w przydrożnych badylach dziewanny świszczą i wokół wierzb suchych zawodzą a płaczą.

„Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem
„Przedmowa było,
„A nad twoim złym copcyskiem
„Sucysko wyło...“

Jelsky i Turkuł przystanęli w tyle. Nagle strzepnęli obaj zadumę z czoła i spojrzeli na siebie. W tejże chwili odczuli jakby niechęć wzajemną, gdyż przyśpieszyli czemprędzej kroku. Pan v. Hertenstein dogonił Borowskiego, przedstawił mu się zupełnie zbytecznie po raz drugi i wyściskał go serdecznie.

— Czuję, choć nie rozumiem, czuję wszystko! Żal i skarga za dawnem, szczerem, prostem, ludzkiem; — za temi czasy, kiedy to dusza chyliła się do duszy, jak kwiaty na słońcu, kiedy tu na piersiach biło nam trwożnie czyjeś szczere, proste serce... Czy tak, panie Borowski?

Borowski skinął głową, uśmiechnął się doń i schwyciwszy z góry jego rękę potrząsł nią silnie.

„*Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem...*"
łkało jeszcze ponad głowami całej gromady...

Lecz oto wysunęły się z poprzecznicy dwie szerokie sylwetki potężnych drabów w połyskujących mosiężnych kaskach na głowie. Dwa mrukliwe basy nakazywały ciszę.

Pawluk wyrósł tuż obok nich jakby z pod ziemi.

— Bij w pysk, kto w Boga wierzy!

Ale tym razem zawiódł się fatalnie. Borowski tylko, oraz Turkuł i Kunicki podrzucili odruchowo głowy i nastawili uszu. Panowie zaś, co przed chwilą burzyli wszystkie łady i składy na świecie, co kankanem wystraszali łyków z kawiarni, zeszli teraz ze środka ulicy, jakby tam rzeka nagle wystąpiła; szli dalej po trotoarze w spokojnej i cichej rozmowie. — Jelsky wybrał drogę pośrednią: szedł suchym rynsztokiem. Mruczał coś do siebie, wzdychał; od czasu do czasu cienką trzcinową laseczką uderzał hałaśliwie w bruki, jakgdyby pośród tych obcych ludzi on jeden odczuwał nieświadomą ochotę bicia.

Borowski natomiast wędrował jak wprzódy środkiem ulicy, niby po wiejskim wygonie. W szerokim swym płaszczu wydawał się zdaleka niby sylwetka wielkiego ptaka. Wymachując kapeluszem jak dróżnik latarką, wywiódł całą gromadę na bulwar i wprowadził niebawem w jaskrawą toń światła pod białe arkady teatru.

Tu Jelsky odzyskał, lub też zapragnął odzyskać humor. Wysforował się naprzód i obwieszczał głośno:

— Kłamstwem jest, aby ludziom w pewnym wieku i stanie cywilnym pozostawała po za pracą i tak zwaną ambicyą jeszcze tylko knajpa, dom publiczny i cudza żona. Panowie, jest jeszcze — tyngiel!... Kwiat zaś społeczeństwa, artyści, posiadają passe-partout i skorzystają dzisiaj z mojej loży dziennikarskiej.

Stanął we drzwiach, zdjął grzecznie cylinder i prawą ręką wskazał na połyskliwe od marmuru, lśniące od luster i purpurą wysłane schody.

— Zapraszam!...

Po za nimi zaszeleściała w szybkim chodzie jedwabna suknia i roztworzyły się z impetem drzwi wiodące za kulisy. Wionęły na nich miękkie, tłuste zapachy perfum i szminki. Borowskiemu rozchyliły się nozdrza, uniosła pierś. Coś jak uderzenie prądu przebiegło mu wskroś przez ciało i zakłóło w palcach dłoni. Chwycił się za poręcz.

— Panie, świeć nad jego duszą!...

— Co, pan Borowski? — Pawluk wytrzeszczał oczy. — Taż nie kościół?!

— Ojciec mój!... Wiesz, — szeptał Borowski, ściskając dłoń Hertensteina jak w kleszczach, — wiesz, to był wielki, szczery artysta! Ogromnie kochał sztukę... I dlatego zadusił go ten potwór!

Pan v. Hertenstein spojrzał bystro i pochmurnie w oczy Borowskiego; poczem zdjął kapelusz i pochylił nizko głowę.

— Cześć poległym!

I weszli do tynglu.





üller nie mógł patrzeć na scenę. Coś jakby migotanie zwierciadła odrywało uwagę, drażniło oczy i zwracało mu je ustawicznie na prawo. W czerwonej ramie firanek, na zwierciadlanem tle wnętrza, w błyskach niespokojnych refleksów, rysowała się wysmukła sylwetka kobiety; na purpurowem tle parapetu świeciła jak śnieg biała, od brylantów połyskliwa i smukła jej dłoń. — Zaś tam na dole, — pod nią, wśród zastawionych stołów, tworzyły męzkie cylindry rojny, zgiełkliwy i bezpłodny kiermasz.

Z pod smyczków skrzypcowych wysnuwała się melodya cicha, dyskretna i kłębiła się sennie po widowni. Na scenie tańczono. — Sypki, miarowy i melodyjny szelest, jakieś miękkie szmery kobiecych głosów, westchnienia niespodziane, stłumione i lekkie. Szelest, szmer i zapach kobiet wiewem szły na widownię i niosły ze sobą melo-

dyę walca!.. I szeptał jedwab. Tuż ponad kinkietami sypało się jakieś barwne kwiecie, drobną zmąconą falą przelewał się wzdłuż błękitny jedwab; drgał, mienił się i musował, rzucając głębszą, lżejszą jeszcze pianę białych tiulów i koronek.

Daisy!.. Daisy!.. — dygotała niema piosnka na tej zwiewnej fali; drżały lekko struny skrzypcowe, opowiadał pieściwie flet.

Migały przed oczyma bystro i zwinnie czarne, wiotkie nogi w płytkich pantofelkach, rysowały się śmiałe, lotne linie ich konturu. Górą, na barwnych falach jedwabiu świeciła żywo ciepła biel ciała na ramionach, uśmiechały się [kobiece główki w złotych kapturach, drżących niby dzwonki loków. Czasami zniecierpliwienie zaśmiało się psotnie na tych rozkołysanych główkach i ciche szepty jak szmer liści jesiennych mieszały takty.

Śpiewał, szumiał, grał i tańczył falisty jedwab błękitnych sukien.

I rzucał na salę kłęby miękkich, sennych perfum.

Pieścił się flet, drżały struny skrzypcowe.

Zaś w górze, na parapecie loży, na pełnej, soczystej purpurze, spoczywała, niby śniegu biała kiść, smukła, od brylantów lśniąca dłoń. Na lustrzanem tle wnętrza, w przyćmionem świetle, wśród niespokojnych refleksów, rysowała się zimno, nieruchomo i dumnie sylwetka pięknej kobiety.

Na dole rojny, zgiełkliwy kiermasz męzkich głów.

Daisy!.. Daisy! — rozśpiewały się drżące struny harfiane, rozpieszczał i rozmarzał flet.

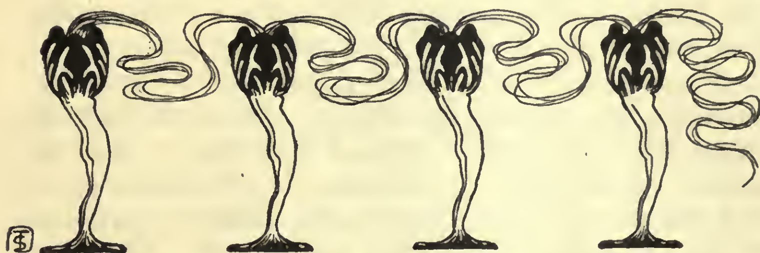
Zdawało się, że gdzieś w głębi, po za jasnemi kwiatami tych śmiejących się główek, — tam u tylnej kulisy, gdzie zwieszają się ciężkie, syte słońcem liście palm i kielichy orchidei, tam, w chłodzie cienia leży kobieta, do śniadej piersi pęki kruczych włosów ciśnie i wzdycha głęboko.

— Aa..! — słyszało się niemal to westchnienie.

Nagle pada strzał; za nim w nagłym pośpiechu — drugi, — trzeci, — czwarty: jak w tyralierce. Strzelał szampan! — Klaskania niedbałe, przeciągłe, oraz rechotliwe, pełne nonszalancyi wołania:

— Brawo, brawo, brawo, — bis!

Café chantant!



— Dobre! — pochwalił Jelsky protekcyjnem skinieniem dłoni w stronę sceny. — Błękitny kankanik amoretów, — komentował swemu otoczeniu. — Niema jak angielki!

— Siiły w tem brak, — kaprysił Pawluk.

Müller, skulony dotychczas pod swą peleryną, zrzucił ją nagle z ramion i energicznym ruchem zgarnął włosy z czoła. Jelski powiódł okiem śladem jego spojrzenia i mruknął tylko: „aha!“

— Oj, Müller, — westchnął za chwilę.

Müller żachnął się i chciał coś odpowiedzieć, lecz w tejże chwili zakaszlał strasznie.

— A widzisz!.. *Memento mo... — moralitatem* chociażby.

Müller zwinął w kłąb pelerynę i rzucił mu ją na głowę.

— Ty żurnalisto!

— Uszanuj kapelusz, jeśli nie szanujesz powołania!

— Szanuj stimmung tynglowy, jeżeli niczego już uszanować nie potrafisz! — i oszczędź mi dzisiaj swego sentymentu oraz opieki.

Jelsky wskazał oczyma na Borowskiego. „Jeżeli tam pójdziesz, obgadam cię przed nią.“ Müller poczerwieniał nagle i zwrócił się do Jelsky'ego tyłem. — Borowski siedział gdzieś w najciemniejszym kącie loży i wsparł ciężką głowę na obu dłoniach. Gdy przycichło na scenie, uniósł się wreszcie i rozejrzał błędnie po widowni; oczy przyćmione i mętne zapadły mu jakby w głąb': czuć było, że widzą przed sobą jakieś inne, obce światy. — „Nie dla mnie! — nie dla mnie!“ — szeptał. Po chwili znów opadł na fotel i ukrył twarz w obu dłoniach. „Było! — myślał — było!.. Tak zamiera młodość, w takiej cichej agonii kona czyn. Całe moje życie już tylko było! Boś przyszła ty!..

„Czyniąc sobie tron i łoże
„Z upadłego mego ducha,
„Żem skut z tobą, marny tworze,
„Jak galernik do łańcucha!..“

Uciszono się w teatrze, oczy wszystkich zwrócone były na lożę dziennikarską, gdzie wybuchał w tejże chwili chóralny śmiech. „Brawo, Borowski! — wołał Jelsky. — Jeśli chcesz koniecznie, możemy między jednym kankanem a drugim posłuchać nawet dramatu. Brawo!“ — On skoczył z fotelu i rzucił okiem na kurtynę; lecz w tejże chwili cofnął się znowu i wparł w najciemniejszy kąt loży.

— Nie dla ciebie, stary, — co?..

Podniósł na nich oczy i zadygotały mu wargi jak u dziecka. A gdy oni śmiać się nie przestawali, wpił się palcami w ubranie na piersiach i szarpnął je nagle.

— Grać chcę!! — huknął na cały teatr.

— Cii..! — sykano zewsząd na sali.



Z za kulis wyfrunęło czerwone stado dziewcząt z kastanietami w rękach. Pochyłe deski sceny zagrały jak jeden wielki bęben pod wartkiem uderzeniem kobiecych stóp. Tańczono czardasza. Kobiety rzucały iskry łyskaniem czarnych oczu, uśmiechały się sprężystemi rzutami i przegięciami ciała, biciem kastanietów, zaczepnem przytupywaniem i kiedy niekiedy swawolnym okrzykiem rzuconym na widownię; rozplatały się ich szeregi we wstęgi, snuły się jak ruchliwe wieńce i girlandy, biegły pod tylną kulisę, ustawiały się rzędem i z dzikim impetem pędziły przed się, po rampę, niby rozhukany tabun źrebców.

Oczy Müllera skierowały się znów na prawo, gdzie świeciła w półcieniu biała dłoń na parapecie loży. Kobieta nie drgnęła nawet od tego czasu. I wydało mu się w tej chwili, że tam na oparciu loży siedzi sęp, ostrą głowę w puszysty kołnierz wgarbił i zamarł nieruchomo; — czasami tylko senne powieki uniesie, szklanne ślepia leniwo przewraca, zamyka i czeka, zimny, na padlinę.

Z brzękiem ostróg, łoskotem i tupaniną, wyrzuciła się na scenę gromada mężczyzn. Połączyły się pary i poczęły się wikłać w coraz to dzikszym tańcu. Za chwilę było już tylko widać czerwone plamy, białe kłęby koronek i czarne wiry oraz koliska od wyrzucanych wysoko ponad sąsiednie głowy nóg. Huczały ponad tem wszystkiem trąby, bębny i piszczałki, z łoskotem waliły cymbały, odrzy-

nały twardo rytm tańca basowe struny wiolonczeli. Długie ramiona kapelmistrza, wyciągając się w kierunku wirujących nóg, wołały jakby: „wyżej!“ — a wymachując rozpacznie ponad orkiestrą, krzyczały niecierpliwie: „prędzej!“— Ten zawrotny chaos buchnął jakby ze sceny na widownię i porwał, zdało się, wszystko ze sobą: oko chwytało tylko pęd, ucho szaloną kakofonię dźwięków! Ponad tym sabatem tanecznym królowały tylko i śmigały w powietrzu czarne nogi; wszystko wpadło w jakiś idyotyczny, jak zmora senna dokuczliwy pęd i wir: świat zburzył się, zwichrzył, oszalał, wściekł!..

Wyżej, prędzej! — prędzej, wyżej!..

Urwała się wreszcie muzyka i runęła kurtyna.

Błysk światła, oklaski, bicia lasek o podłogę...

Tyngiel - tangiel!



— Dobre! — chwalił po raz drugi Jelsky życzliwem skinieniem w kierunku sceny. — Czerwone, węgierskie kankanisko! — tłómaczył swym przyjaciołom.

Pawluk zapatrzył się tępo na kurtynę.

— Tfu, czort! — splunął nagle, zerwał się z krzesła i począł krzątać się ruchliwie po loży.

Jelsky'ego przyszły odwiedzić dwie artystki: witały się piskliwie z obecnymi.

— Nie rozumiem... — odezwał się po raz pierwszy Kunicki.

— Jeszcze pan czegoś nie rozumiesz?! — przerwano mu śmiechem.

— Nie rozumiem, — mówił nieustraszony Kunicki, — co w tej całej kakofonii robi Bizet, Liszt...

— Co robią? Dostali bzika i cieszą się, — odpowiedział Jelsky.—Tam na dole,—tłómaczył poważnie,—siedzą panowie, którzy mają dosyć tragedyi w życiu i — w swych głowach. Panowie żądają wesołości; nie dowcipu ludzkich głów, bo to już dziś nuży, lecz humoru kobiecych nóżek. To jeszcze bawi tymczasem. Jeżeli ewolucya pójdzie dalej w tym kierunku, należy się spodziewać, że przy ulepszonych dekoracyach wejdzie, naprzykład, na scenę wieża katedry kolońskiej, stanie dęba i zatańczy kozaka... Myśl z wieczora nuży ludzi pracy, ludzi wielkomiejskich!

— Ale w takim razie, co wy tu robicie? — niecierpliwił się Kunicki. — Gdzież konsekwencya!?

— Młodzieńcze, zrujnujesz się na konsekwencyę! — huknął z kąta basowy głos.

— Ależ logika!?

— Pan masz świetne zadatki na bakałarza!

— Więc sens? Sens! Głowa moja! — krzyczał Kunicki, ściskając dłońmi skronie.

— I panicz chce zostać literatem?..

Müller i Jelsky prostują pomyłkę; towarzystwo chce być grzecznem i kiwa smętnie głowami, na znak widocznie, że i takie fachy być muszą. Bas tylko szepcze niechętnie do sąsiada: „Co ta racyonalistyczna hołota między nami robi? — lekarze! przyrodniki!“

— Czyż nie mam racyi? — zwrócił się głośno do jednej z dam.

Ona, patrząc na niego szklanemi oczyma, wydęła usta w dziobek, brzdąkła wargami i wybębniła jak pozytywka:

Ich bin nicht von Prag, nicht von Wien,
Ich bin eine fesche Ungarin.

— Osoba udziela się wyłącznie ze strony artystycznej, — komentował ją poważnie Müller.

Kunickiemu zdawało się, że jest pijany; chwytał czemprędzej za czapkę.

— Więc stanowczo do Szwajcaryi? — zaczepił go jeszcze Jelsky.

— Tak jest.

— Kłaniaj się pan tam pięknie studentom z Zurychu.

Salwy śmiechu zgłuszył nagły wrzaskliwy pisk z głębi teatru.

Światło gaśnie, unosi się kurtyna; scena pusta, a z za kulis drą się ostre, przeraźliwe głosy. Wreszcie wypadają trzy pstrokate potwory w spiczastych czapkach, przypadają do rampy i uderzają się nawzajem w twarz. Olbrzymie karminowe pyski na kredowych maskach wykrzywiają się szeroko i wyrzucają z siebie ochrypły, gardłowy śmiech.

— Hehehe..!!

Posypały się oklaski.

— *The fashionables,* — odczytywał Jelsky w afiszu.

Kunicki trzasnął drzwiami i przygłuszył na chwilę wybuchy śmiechu w loży.

— Wina! — krzyknął nagle Müller. — Stimmung jest zbyt głupi, aby go można wytrzymać po trzeźwemu. Jeżeli nie będziemy pili, lada chwila beknie tu jakaś owca sentymentem.

— Hertenstein, — wina! — wina! — krzyczano, bębniąc laskami w podłogę.

Z kąta loży podniósł się Borowski, skrzyżował ramiona i patrzał na nich z podełba.

— „Jeżeli masz zostać młodą
I być taką, jak ta, co dziś żyje,
I być ochrzczona tą piekielną wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije...“

— Co jemu się stało? — wołano.

— Niic, — bagatelizował Jelsky, — wpadł tylko w delirium teatralicum, cały repertuar klasyczny wymruczał już tam w kącie. Co, zresztą, nie przeszkadza mu w tej chwili zazdrościć klownom, że są na scenie.

Ktoś, komu jeden koncept zmanierował humor na cały wieczór, powtórzył niespodzianie:

Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
Naszego życia sens!..

— Hehehe!!.. — darły się błazny na scenie.



Borowski przeniósł się do ciemnej loży w kącie; wnet za nim wyśliznął się i Turkuł.

— Niedościgły imitator, iluzyonista biograficzny, profesor van der Clerk, — rekomendował Jelsky podług afisza

jakiegoś pana na tle lustrzanego kramu ustawionego na scenie. Profesor krzątał się przy swej cudownej szafie, narzucał na siebie jakieś szmaty i peruki i z batutą w ręku zwracał się jak fryga do publiczności.

„Brawo, Liszt! — Liszt!“ — krzyczały wszystkie usta, klaskały wszystkie ręce. — Na radość tłumu patrzała siwa, trzęsąca się głowa starca, o wielkich guzach po całej twarzy; niedołężna ręka ledwo trzymała batutę. Muzyka grała 3-cią Rapsodyę.

— „Brawo, Beethoven! — Beethoven!“ — krzyczano po chwili. — Na szerokie śmiechy tłumu odwróciła się starcza, brzydka, potężna głowa wielkiego twórcy. Kapela tynglowa próbowała grać „Eroikę,“ zagłuszyły ją oklaski.

W loży Pawluk porwał się z miejsca.

— Choćby zdjąć głowę z karku, rzucić ją wam pod nogi i pójść sobie precz; — mnie i głowa już na nic. — Oj dokuczyło! — I splunął w kąt.

Profesor w kilku zwinnych ruchach przedzierzgnął się ponownie. Przed rampą stanął wysmukły młodzieniec w eleganckim fraku, niedbałym ruchem trzymał w ręku batutę, zerkał na kobiety i uginał się na słabych nogach. Publiczność śmiała się, lecz nie umiała odgadnąć; ktoś z galeryi krzyknął wreszcie: „Szopen!“

I zagrzmiały oklaski.

— Brawo Szopen!.. Jeszcze raz Szopen!

W loży odsunął ktoś gwałtownie krzesło: pan v. Hertenstein porwał się z miejsca. Coś jakby kurcze wstrętu przebiegły mu po bladej twarzy.

— Niech ta małpa zaprzestanie!..

— Cii, Hertenstein, — obrażasz profesora! Co u Boga!.. beczysz?!..

— Toż te małpy ośmielają się grać *Scherzo H-mol!..* Zaprzestać! — huknął na cały teatr.

Pawluk rzucił się ku niemu.

— A co, pan Hertenstein? — twoje pańskie nerwy nie wytrzymały naporu głupstwa? Pękło coś — ha? A widzisz, — patrz, jak won tam na dole się bawią: publika, — ha?

Jelsky wzruszał ramionami.

— Nie rozumiem ciebie, Hertenstein? Przecież te błazny przed chwilą i profesor, na którego patrzymy, są sztuką aktorską *au fond,* jej absolutem bez przypadkowości twórczych pierwiastków, które pochodzą bądź co bądź zawsze od kogo innego. Tęsknota Borowskiego jest w swej nieświadomości szczerszą od twego sentymentu... Zaś to, — tam na dole... no, to jest... jakżeby to powiedzieć... *c'est le public,* co laury rozdaje. Wniknij w to, Hertenstein, i skrusz się na duchu... Dasz nam kiedy koncert szopenowski lub może własny, — ci sami przyjdą! A ty rzucisz im pod nogi wszystko z rozbolałej duszy Szopena i ze swej własnej!!.. Zlituj się, Hertenstein, kto z was jest większą małpą: profesor van der Clerk, czy ty?

— Mógłbyś z równą racyą zapytać: twój profesor czy Szopen.

Towarzystwo wybuchnęło pijanym śmiechem. Hertenstein wyprostował się nagle jak struna i tupnął nogą.

— Bydło, nie śmiać się!..

Blada jego twarz wydłużyła się natychmiast i zaskrzepła, jakby w przestrachu nad własnem uniesieniem i brutalnością; siatka sinych żył zatętniła na skroniach; zaświeciły się oczy, i dwie wielkie łzy, — łzy zdziwienia, — zawisły na środku białych policzków. Pochwycił pierwszą rękę z brzegu, uścisnął i wyśliznął się na korytarz.

Obecne w loży damy próbowały kobiecym taktem załagodzić przykre zajście: nastroiły się brzdąknięciem warg i zaśpiewały zgodny duet:

Jam nie z Wiednia, jam nie z Pragi,
Jestem sobie z Budapesztu!..

Kurtyna zapadła z szelestem. — Hertenstein wlókł się jak pijany przez korytarz: zdawało mu się, że jakiś natrętny rój much krąży mu nad głową, brzęczy i bzyka w uszy. To publiczność rozochocona podczas antraktu śpiewała chórem w takt muzyki:

ta-ra-ra-bumdera!

ta-ra-ra-bumdera! — śpiewał, gwizdał, huczał cały teatr...



— Niema gadania, — powróci! — uspokajał Jelsky przyjaciół. — I on zechce usłyszeć Yvettę. Reklama, co wznosi karłów i obala olbrzymów, drwi sobie z ludzkich kaprysów.

Jakoż Hertenstein zawrócił ze schodów, lecz nie do nich, tylko do ciemnej loży z brzega, gdzie ku swemu zdziwieniu zastał dwa nieruchome cienie. Przysiadł się i on do Borowskiego i Turkuła. Nie zdziwili się wcale, nie unieśli nawet głów przy jego wejściu. Cisza, półmrok i jakieś ponure skupienie panowało w tej loży. Krzyki i wrzawa ze sceny nie dochodziły tu, zda się, nawet.

— Panie Hertenstein, — szepnął po dłuższym czasie Turkuł, — kiedy pan dasz koncert?

— Nie wiem.

— Trema?

— Tak.

Ktoś westchnął, ktoś drugi zawtórował, trzeci poprawił się na krześle i chrząknął. Milczeli znowu.

— Pan powiedział, — zwrócił się po chwili Borowski do Turkuła, — że, gdzie tryumfuje czyn, tam musi być zdeptanem uczucie.

— Ja tego nie mówiłem.

— Prawda, to Hertenstein!..

— O, Hertenstein cudzego uczucia urazićby nie umiał, a cóż dopiero zdeptać własne!.. Niech się pan nie gniewa, — ja czuję pana... Taki rozdaje tylko uczucie, wziąć go sobie od kogoś nie umie: za słaby lub za mało brutalny. Taki — nic sam nie burzy, jemu życie wszystko niszczy. Czyscowe dusze!.. Takim musiał być Szopen, — prawda, panie Hertenstein?

Hertenstein żachnął się nerwowo:

— Nie mówmy tu o Szopenie!

— Przepraszam.

I znów milczeli.

— Pan mnie zapewne do jakiego dramatu chce wkleić? — zagadnął Hertenstein z cierpkim grymasem.

— Wkleję.

— Czy pan już żyć jako człowiek nie umiesz?

— Nie, — odparł Turkuł twardo i jakby z dumą.

— Czuć to. Pan cuchniesz atramentem... Zresztą, pańskie sztuki mogą być doskonałe, ale grać powinien aktor z genialnym nerwem życia. Ot, Borowski naprzykład!

Borowski podniósł oczy i zasapał ciężko jak miech. Poczem podniósł się niezgrabnie, potknął pociemku, zbliżył się do Hertensteina i pocałował go w rękę.

Turkuł przytupywał niecierpliwie nogą. „Dobrało się dwóch!... Lubię ja takich mężczyzn!..."

Śpiewki, tańce i błazeństwa ze sceny dochodziły tu dalekim przytłumionym gwarem: niby wrzaskliwe nakrzykiwanie pastucha pod wieczorną zorzę, co się w cichem powietrzu roznosi i kołysze, harmonią spokoju owiewa

i echem pieśni do uszu dolata. Tu w głębi ciemnej niszy żył, drgał i tętniał teatr: wszystko inne roztapiało się w harmonii.

Turkuł nie spuszczał z oczu Borowskiego.

— Jedź pan ze mną! — rzekł nagle, — grać moje „Przeznaczenie.“ Dają za trzy dni; jadę tej nocy jeszcze.

Borowski drgnął i spojrzał jakby z przerażeniem na niego.

— Wsadzę pana na debiut do „Wielkiego.“

— Co!? — Borowskiemu krew uderzyła do głowy i przysłoniła nagle wszystko przed oczyma. — Co pan powiedział? — pytał po dłuższem milczeniu.

— Do „Wielkiego.“

— Boże mój!..

Turkuł śmiejąc się wyciągnął rękę, aby w nią Borowski na zgodę uderzył.

— Biorę pana na swój koszt, — czem sprawię naszej publiczności prezent królewski.

Borowski patrzał bezradnie w oczy Hertensteina, jakby od niego oczekując otuchy, czy też namowy.

Ktoś szarpnął drzwi: do ciemnej loży wtoczył się pijany Pawluk.

— Pan Borowski, dawaj żonę! — krzyczał, waląc mu się prosto na szyję. — Tam oni cuda prosto opowiadają! Radby popatrzeć, — namaluję może... Tam oni wszyscy opowiadają, — bo my się tam upili... Winem winogronowem upił się i ja... Ty, pan Borowski, nie gniewaj się! — a żonę tu sprowadź, — ot co!.. Rączkę wycałujemy, — uczciwi będziemy... Wiadomo: — cudza żona! Trzymaj się!..

Borowski odpychał go od siebie ze wstrętem i strachem jak złą zmorę. Hertenstein skoczył wreszcie i chwycił Pawluka za bary.

— A ty, pan Borowski, pożal się nad Müllerem i wyrzucaj go won od siebie. U pijanego, wiadomo, — dusza

przez gębę lezie! Powiada, że jeśli w łeb sobie strzeli, to tylko dla onej to Zośki twojej... A Jelsky jest na kobiety drań! — *Czuju!!*

Pan v. Hertenstein, nie rozumiejąc nic, zżymał się na ten ochrypły, pijany i natrętny głos.

— Idź precz, kozaku, idź precz!..

— Ja liustra szukał i was nalazł. Liustro zbić chcę!.. *Spiegel zerschlagen,* baron Hertenstein!

— Tłucz, rób, co chcesz!

— Zbiję!.. A ty, pan Hertenstein, po co tu przyszedł? Modlić się, — ha? Wiadomo — duszę zapomnieć!.. I ja — i mnie, — bełkotał, czepiając się każdego z nich po kolei, — i mnie tu ciasno w waszej Europie... Pójdziesz do akademii: — „tfu, jak wszyscy umieją!"; pójdziesz do galeryi: — „Boże ty mój, co ludzie już arcydzieł namalowali," — przytłoczy, zgniecie, zdepcze. — Pójdziesz do kawiarni: łeb jak dynię rozedmie. Mądrzy wy, mądrzy! Wiek słuchaj, nie nauczysz się!.. A sam ja co? Tfu! I artystą chciał zostać!.. Zapłacze dusza! — *Dawaj, — zapiju!* — Przyjdziesz hań gdzie zapomnieć: — głupstwo na głowę wskoczy, w czuprynę się wczepi i — *paszoł!* — hajda, galop! — U was wszystkiego za dużo w Europie waszej, za dużo, za dużo!.. Miejsca dla duszy niema!..

— *Nima, nima!* — skarżył się i żalił, gdy go za drzwi wypychano. — A ty, pan Borowski, żonie małą to rączkę wycałuj pięknie ode mnie, — wołał poprzez głowę Hertensteina. — Kobiety wyby mnie dali, dobrej, poczciwej!.. Buchnąłby na kolana, stopy całował i beczał, beczałby!.. Tobie, pan Borowski, żony przez to nie ubędzie, a ja duszę zleczę, wymyję łzami, wyczyszczę z błota!.. Na wykształcenie pluję! oddam panu Turkułowi: dramat zrobi; wszystko inne tam — mężowi, — niechaj! A mnie serca trochu kobiecego... Baby, baby mi dajcie! ta dobrej baby!..

Wypchnięto go wreszcie za drzwi. Tam począł niebawem wrzeszczeć jak sroka; zataczając się od ściany do ściany, darł się ochrypłym głosem:

— Nad moim *wiencom*
Druchny płakały...

— Cicho, Pawluk, bo cię na ulicę wyleją!

Lecz on wparł się niebawem gdzieś w kąt i tłukł głową o ścianę.

— Uch, *padlec, padlec!..* Przedał jak Judasz!.. Za *sztuku,* padali; — za ono won drańştwo, za publikę przedał!..

Wreszcie ucichło wszystko; w sali tylko gwarno było przy spuszczonej kurtynie. W ciemnej loży milczano.

Jakieś swarliwe głosy na korytarzach, potem raptowny trzask i brzęk, co z łoskotem metalicznym potoczył się jakby po kamieniach, echa szklane we wszystkich kątach teatru zbudził, nagłą ciszę wszędzie wyczarował i utonął niebawem w ogólnej wrzawie, krzyku i tumulcie.

— Zbił! — rzekł Borowski.



Pod koniec antraktu orkiestra starała się grać poważnie, kelnerzy snuli się majestatycznie, na głośniejsze śmiechy sykano gdzieś z kąta. Ludzie byli już podnieceni i podddawali się biernie tym nieokreślonym, niewiadomo zkąd idącym nakazom. Wreszcie dzwonienie. Długie, powolne, proszące o skupienie.

Numer główny programu!

Przed kurtynę wyszedł jegomość w tużurku i obwieścił żałobnie, iż panna Yvetta Gilbert w drodze powrotnej do Paryża raczy wystąpić raz jeden tylko.

„Dobrze robią ciekawość," — aprobował Jelsky w duchu. — Oto chwila brzemienna, — zwrócił się z powagą do przyjaciół. — Reklama wyzywa tłum w szranki i potęgę swą mierzy. Przyjrzyjcie się, dzieci, „co może dziennikarz!"

Ludzie tymczasem wlepiali już oczy w kurtynę i nastawiali uszy; sykano na nieproszone gawędy. Jelsky zakaszlał głośno dla eksperymentu: zakaszlano na widowni jak w owczarni. „Skupienie jest!" — wnioskował. I czuł się panem trzody swojej.

— Stań się, — rzekł, jak kapłan, gdy zasłona unosiła się powoli ku górze.

I stało się!... Tam, przed rampą stała ona! — jak wskrzeszona legenda, jak wyczarowana z gazet, ogłoszeń, wersyj i plotek. „Czarną ma na sobie suknię i żółte wstęgi, — mówią sobie ludzie. — I te wielkie, lśniące czarne rękawice na ramionach, te same, co do anegdoty już niemal przeszły." Ona! „Nieładna!... Brzydka!... Wspaniała!" — „Ciekawym, czy też prawda, co o niej piszą", — myślą wszyscy, a każdemu już serce bije, każdy jest już najpodatniejszym do przyjęcia takich wrażeń, jakie mu w oczy i uszy rzucą.

Stoi, dłonie splotła i uśmiecha się... „Dziwny uśmiech!..." Szczupła, giętka, wysmukła... „Ależ te oczy, te oczy!..."

— *Wisz, hadiuka* czarna...! — rozlega się na cały teatr tuż ponad głowami Borowskiego i Turkuła. — (Pawluk wywinął się na razie z rąk policyi).

Wreszcie, ona przechyla się giętko, — o posłuch prosi: „*A young boy gave me his heart*" — zaszeleściało jak liście. Ludzie nieprzygotowani byli na angielski ję-

zyk. „Młody chłopiec dał mi serce swoje“ — tłómaczono sobie pośpiesznie, podczas gdy artystka wyciągnęła przed się ramiona i trwożnie, pieczołowicie ujmowała, zda się, coś subtelnego w dłonie. — I zdawało się ludziom, że w tych czarnych rękach drży lękliwie ciepłe ludzkie serce. — Zagrała muzyka śpiewnie i łagodnie. Padły pierwsze słowa — francuzkie. „Dla czego taka wieża Babel?“ — dziwił się ten i ów, lecz każdy wypłaszał czemprędzej z myśli to niewczesne pytanie.

Napięcie tak wzrosło, że pierwsze te słowa były dla ludzi niemal ulgą fizyczną. Głos niżki, lecz śpiewny i jakiś ogromnie kobiecy. W naprężeniu początkowem każdy puszczał mimo uszu melodyę i śpiew, czatując natomiast na treść, na słowa, na gesty. I oto dowiadywały się chciwe uszy, że ... młody chłopak, gdy łzy wszystkie na rozstaniu wypłakał, piersi swe roztworzył, serce z nich dobył, u jej stóp złożył. „Weź — do ciebie wszak należy. Mnie już nic potem!“ A w czarnych dłoniach drga, zda się, pulsuje i tętni to serce, niby ptak ofiarny; i krwią widocznie ocieka, gdyż ona tak ramiona przed się wyciąga, jakby się suknię poplamić czemś bała. W tem sercu, jak na dnie purpurowego kielicha, leży biała lilia pierwszych uczuć, nowa młodość, nowego życia wonie i blaski! I pieszczą, i tulą coś te czarne dłonie, niby ptaka przeznaczonego na rzeź; a potem „zwróć mi! — daj!“ — śpiewają usta, a długie, ruchliwe czarne palce oplatają coś jak ssawki mątwy, wpijają się niby ostre i cienkie pazury w coś, co drży, łopoce się i precz z rąk wyrywa. Wreszcie krótki, cichy okrzyk! — ludzie westchnęli na widowni, tu i owdzie krzyknęła kobieta.

Rozdarła serce!

I śmieje się... Lecz w tejże chwili zbiera się w sobie, odskakuje nagle w tył, ramiona przed się rozpacznie

wyrzuca i pręży długie palce. Jakiś lęk potworny wykrzywia jej twarz.

I ludziom się zdawało, że widzą u jej stóp żmiję!

A ona krzepnie w trwodze, drętwieje w przestrachu, długie czarne ramiona wyginają się jak węże, prężą się ruchliwe, cienkie palce. Ludzie słów wciąż jeszcze nie rozumieją, ale każdy czuje, że żmija dosięgła jej stóp, oplata nogi, po biodrach się ślizga. A muzyka gra śpiewną zwrotkę. Piosnka prosta, co do połowy wiersza opada, od połowy w górę wysokim tonem sięga, — i donosi, jak echo skargi dalekiej:

Zgorzała już miłość,
Tęsknota nie mija,
Z białych uczuć kwiatu
Pełznie czarna żmija.

Ona przechyla się, słania i opada niemal w giętkiem przegięciu ciała. A skarga ta dziwna wciąż dalekiem śpiewa echem:

Jadem ciało-ć ślini,
Jadem cię plugawi,
Mego ducha gruzy
Jadem marzeń trawi,

Jakiś nieludzki, blady ból kurczem obrzydzenia wykrzywia jej twarz, brzydką w tej chwili jak u czarownicy.

Nietoperze ro-ojem,
Resztę krwi mej piją.

Czego chcesz ty?!..

Na twej białej piersi
Skonać czarną żmiją!...

I padły te słowa, jako zgrzyt pękniętej struny. Te blado i bezwładnie rozchylone usta, ten nieuchwytny wyraz, niewiadomo: smutku kobiety, czy cynizmu aktorki!...

Osunęła się zasłona.

I cisza była. Na korytarzach tylko, gdzieniegdzie warczał gaz, i dziwnie odbijał się echem turkot powozów na ulicy. Zdawało się, że tamtędy ciągną jakieś kondukty pogrzebowe.

„Co to było?“ — pytał samego siebie ten i ów trzeźwiejszy. Lecz oto pada pierwsze klaśnięcie jak strzał,— oklaski bić zaczęły gradem o pułap, toczyły się jak grzmoty: — runął łoskot, wszczął się krzyk i tumult. Gdzieniegdzie ponad tłum wyrzucały się rozpacznie ramiona ze złożonemi do oklasku dłońmi, lub ukazywała się głowa z okrągłemi oczyma i szeroko, jakby w przestrachu, rozwartą gębą. Ryczała, pieniła się ta szalona fala przypływu gromadnej duszy. Czuć było pot ludzki, — tłum śmierdzieć poczynał.

— Jezus Marya, Borowski?! — krzyknął nagle Hertenstein i rzucił się na brzeg loży, by go w pół pochwycić. — Bój się pan Boga, kto słyszał tak się wychylać!?...

Jelsky stał na froncie dziennikarskiej loży, nawprost sceny. Kiwnął przyjaźnie dyrektorowi teatru, i wyjąwszy machinalnie gazetę z kieszeni, uderzał nią o parapet loży, spoglądając niedbale na kłębiący się u nóg jego tłum.

— Przepotężna! — zaśmiał się z tryumfem i rzucił numer gazety na głowy inteligentnego motłochu.





sparty na ramieniu Jelsky'ego wlókł się ciężko do domu; co chwila przystawał i oglądał się trwożnie po za siebie. „Pluń na te zmory!“ — uspokajał go kilkakrotnie Jelsky.

Zagrodziły im drogę długie, ślizko wydeptane stopnie, wystające z równego szeregu kamienic. Borowski zapatrzył się na potężne, omszałe kolumny i na barokowe posągi w niszach.

— Nie pójdę! — zawołał nagle i przysiadł na stopniach kościoła.

— Chciałeś, żeby cię do domu odprowadzić?

— Bodajbym był przeklęty!

— Eh! — skrzywił się Jelsky. — W taki melodramat wpija się pierwszy lepszy cham gorzałką.

— Ja jestem trzeźwy.

— No chodź!.. Ambicyę cenię nawet u pijanego.

— Bez ludzkiej ambicyi i głupoty ty byłbyś zerem.

— Obaj, obaj, Borowski.... Ale wstań z tych stopni, bo to jest śmieszne i bluźniercze.

Zamiast odpowiedzi przylgnął ustami do kamiennych schodów i trzykrotnie w piersi się uderzył.

— Płakać nie mogę, — szeptał, ujmując Jelsky'ego pod ramię. — To mi piersi chyba rozsadzi!..

— Tacy jak ty umieją już tylko na scenie płakać.

— Ja na scenie szczerzej się modliłem, niż teraz.

— Każdy z nas, Borowski, każdy z nas dzisiejszych ma taką scenę, na której z powodzeniem szczerość odgrywa. Ja tylko w druku umiem się jeszcze szlachetnie oburzać.

— Ja chcę się modlić!

— Widzę jedyną drogę wyjścia: wstąpić na scenę.

— Boże, Boże mój, cośmy z życia zrobili!.. Widzisz, kto tam był, tego próg kościelny nawet odtrąci.

— Gdzie?

— W tynglu, w teatrze, w sztuce — to jednego dyabła panowanie. Twoje to, Jelsky, królestwo, twa moc i chwała.

— Pan gardzisz sztuką?

— Tłum widziałem, twoją potęgę pojąłem... Gardzę sobą, nienawidzę swego życia!

— Ale sztuka, pytam?

Borowski zwiesił głowę i milczał. Jelsky roześmiał się krótko: „Oj, to słówko, to słówko fatalne!“

— Czyś pan co postanowił?

— Wyjeżdżam dziś jeszcze.

— Hm!.. A żona?

— Ja zbieg, ja złodziej, powrócę tam bez własnego imienia, bez przeszłości, bez żony, bez celu, treści i przywiązania do życia, tylko z tą jego klątwą!..

— Ze sztuką? — skrzywił się Jelsky. — A kto cię tam będzie lansował? Macie u siebie porządnych dziennikarzy?.. Ale przedewszystkiem, co zrobisz z żoną?

— Pozostawię ją Kunickiemu.

— Jakże to „pozostawię“? I dlaczegóż koniecznie jemu?

— Ponieważ ze wszystkich łotrów, jakich znam, ten karyerowicz wydaję mi się najuczciwszym.

— Hm..! — Jelsky wydął wargi. — Żenią się, — chcesz powiedzieć... A no! poświęconą została sztuce, niechże z kolei poświęcą ją karyerze. Poświęcanie się jest losem kobiety.

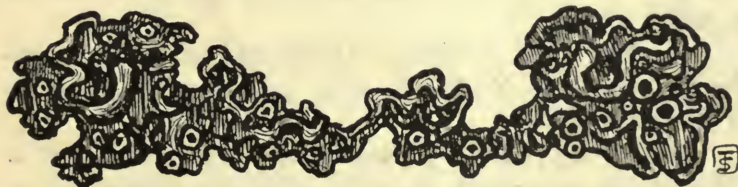
— Müller!.. — przypomniał sobie nagle Borowski i nachmurzył się. — Jego mi żal: — młody! On się o tę przeszkodę gotów rozbić w życiu... Ale gdzie się podział Müller?

— Poszedł z tą... rączką, z loży. Widziałeś ją?

Borowski splunął.

— Niech was wszystkich piekło pochłonie!

— Dla takich mniej więcej poświęcają się kobiety.. I one znają to słówko: „sztuka“!..



Przy bramie opuścił jednak Borowskiego spokój. Wargi dygotać poczęły, ręka czepiała się kurczowo ramienia Jelsky'ego. Pociągnął go ze sobą na górę. „Chodź! dam ci list do Kunickiego. Boję się o tę pierwszą chwilę dla niej. Chodź!“ Kazał mu jednak oczekiwać w sieni; Jelsky rzucił ramionami, siadł jednak flegmatycznie na scho-

dach i począł się bawić woskowemi zapałkami. Borowski wśliznął się do mieszkania na palcach.

Przyćmiona lampa pod abażurem pali się na stole. „Jak zawsze *w takich* razach,“ — przemknęło przez myśl Borowskiemu. — Ta cisza, lampa z czerwonym abażurem, ostry cień na ścianie: długi, czarny i taki dziwnie niespokojny! — Czuł, jak za każdym krokiem traci władzę woli, jak to fatum znanej gorączki poczyna kierować jego ruchami... Skrada się na palcach, czai, własnego cienia płoszy i wzdryga... Przez chwilę zapomniał jakby, po co tu przyszedł; — spojrzał na biurko i rzucił się do niego... Przerzuca kartki, przypada na krzesło i kreśli jakieś słowa bezładne, gorączkowe: — ostatnie pożegnanie. Rzuca pióro i — roztwiera z hałasem szufladę!.. Nie, — nie to! nie to!.. Chce biedz do drugiego pokoju, lecz wzrok jego pada raz jeszcze na biurko. I zdawało mu się w tej chwili, że ze wszystkich ciemnych kątów pokoju rozlega się potworny, złośliwy chichot...

Na stole leżała biała czysta karta: nie napisał ani słowa! — Wiódł piórem górą, ponad papierem, jak zawsze w *takich* razach.

— Boże mój! — jęknął. Opadł na krzesło, ręce zwisły bezwładnie. — Boże mój, więc ja naprawdę nie mam sił do życia!?..

Zmógł się przecie i pisał z wysiłkiem wielkim: — „Wśród nas wszystkich ty jeden tylko nie zgniłeś do reszty, ty jeden kochasz może prawdziwie. Ona jest bierną jak każda kobieta: miłości potrzebuje, pokocha tego, kto ją kocha. Broń i strzeż! Jestem najpodlejszym człowiekiem na świecie.“

Ale gdy drzwi uchylił i w półmroku ujrzał jej jasną głowę na poduszkach, uczuł, że nogi uginają się pod nim. Coś szczerego uderzyło go tym razem jakby obuchem w głowę i rzuciło do jej nóg. „Ty święta ofia-

ro..!" — zaczęło mu się już w myślach na wysoką nutę, lecz łkanie wtłoczyło mu te słowa nazad w piersi. Chłód jej stóp, które do czoła cisnął, wyzwolił mu łzy z oczu. Płakał jak dziecko, mając jedną myśl tylko, że to źródło łez jest dla niego jedynem już źródłem szczerości i prostoty: mocy życia!

— Właduś! — szepnęła we śnie. Uniosła się na poduszkach, zgarnęła włosy z czoła i znowuż opadła na posłanie.

„Śpi, — myślał, — oczu nie otwiera."

— Włada, zostaw mnie, — zostaw mnie już dzisiaj. Sił brak! Ciała już nie czuję, duszy nie mam...

— Jezu! — krzyknęło coś w Borowskim; — Zocha, nie! — ja nie to...

— Piłeś znowuż, Właduś?

— Matko Boża... Zochna, Zochna, za coś ty mnie kochała?!

— Ja cię zawsze, Właduś, lubię, ale dziś idź już, — idź!..

Borowski podniósł się ciężko z kolan.

— Idę już, Zocha, — idę!.. A niech cię Bóg...

Czucie instynktowne przepłoszyło ją w tym półśnie. Porwała się z poduszek i siadła na łóżku. Nerwowym, niespokojnym i sennym jeszcze ruchem przygarniała włosy na tyle głowy.

— Nie, Władek, wróć się lepiej, bo ja się czegoś boję.

Borowski wysunął się cichaczem do sieni. Jelsky siedział na schodach; urządzał sobie iluminacyę z woskowych zapałek i wygwizdywał piosnkę Yvetty o rozdartem serduszku.

— Jelsky?

— No?

— Władek! — wołał z wewnątrz kapryśny, senny głos.

— No, — Jelsky gasił po kolei świeczki, — to było do przewidzenia, że ty efektu nie darujesz.

Podsłuchiwali pode drzwiami: miękki plusk bosych nóg o podłogę, a potem nagły krzyk:

— Władek!!..

Borowski biegł na dół, przeskakując po kilka stopni. Jelsky stał w sieni i nadsłuchiwał; rozrzewniało go to pluskanie bosych nóżek o podłogę. „W koszulinie biedaczka biega.“ I znowuż krzyk, tylko tym razem cichszy, niespokojny, poczuciem samotności lękliwy. „Gotowa sobie co złego zrobić,“ — pomyślał Jelsky. — „Właściwie, wystarczyłoby w tem miękkiem serduszku zbudzić anarchię uczuć, aby...“ — Usłyszał w tej chwili ciężkie osunięcie się ciała na ziemię.

Ujął za klamkę: drzwi stały niedomknięte.

— A no!.. — mruknął. — Zgasił zapałkę, zdjął grzecznie cylinder i wśliznął się na palcach do przedpokoju.



Końca tej drodze nie widać! Nogi drętwieją, grzbiet w pałąk się zgina, głowa ciężko na piersiach zwisa; — ciało się nie dowlecze... Żółta smuga blasku od kinkietów zastygła jakby i omartwiała w ciszy, — i ta ścieżka tuż przed rampą — długa, równa, nieskończona... I dokąd ta droga wiedzie?.. Pary czarnych, lśniących w ciemności, wielkich, okrągłych oczu... „Ile ich tu jest dzisiaj‘“ — dziwi się Borowski. — Dech ich zaparty, pierś ciekawością przytłoczona... I oczy! — setki, tysiące oczu

wlepia się w niego żądnie, chciwie, i ssie mu z piersi krew serdeczną... Idzie wciąż, wlecze się bez końca; dźwiga na sobie jakiś ciężar, co go lada chwila o ziemię rzuci... Padnie, zwali się!.. Wszak te oczy wszystkie na to tylko czekają: — padnij! padnij!.. zwal się i krwią nam w oczach zabrocz!

I dokąd wiedzie ta droga?.. Przez kłamaną scenę życia na serdeczną scenę... Boże mój, Boże litościwy!..

Nagle głuche łkanie wyrzuciło się zkądciś echem i padło mu jak kamień pod nogi. — Potknął się!.. Zmógł się i dalej idzie... Oczy! oczy! oczy!.. „Władek, Władek mój!“ — załkało po raz drugi. — Potknął się!.. W kamiennej ciszy wyczekiwania napięta struna gromadnej duszy ludzkiej już huczeć poczyna: pęknie lada chwila. Oczy! oczy!.. „Władek, ci artyści uczynią ze mnie dziew..!“ — Potknął się, zatoczył i runął na ziemię!

Brawo, Borowski!.. Bis!..

I wre, huczy, przelewa się ten zgiełk. A potem sykania: „Cii..! — Dosyć, Borowski! Niech błazny teraz idą!“ — I wpada ta trójka w spiczastych czapach, o kredowych pyskach i wielkich karminowych wargach: wrzeszczy, skamle, szczeka i przeskakuje przez niego ze śmiechem: „Hopp!..“ Oklaski, brawa i śmiech błaznów:

— Hehehe..! —

Ocknął się i dźwignął ciężko z ziemi. Pusto było na trotoarach. Podwójny szereg żółtych latarni zamykał się klinem, hen, w dalekiej perspektywie. Ponure, senne mury wyrzucały na cichą ulicę nie samotne echa jego kroków, lecz za każdem stąpnięciem głuche stłumione łkanie.

Płacz, Zocha, — płacz!..

Ponad miastem, na chmurach, drgała krwawa, żywa, tętniąca łuna pożaru, zasnuwały ją czarne kłębiska buchającego dymu. A jednak cisza i pustkowie naokół, — wielka cisza panowała o tej porze na mieście.

...A tam — znowuż scena! Tym razem gdzieś w ciemnych wyżynach, pod gwiazdami, hen! Ten oślepiający żar kinkietów, ta płonąca blaskiem plama na tle czarnej, gęstej, przepaścistej głębi nocy! — I oni wszyscy zwlekają się tam po kolei — żywi, jaśni, promienni, — pławią się w blaskach!.. Oto wloką się bez celu oni — młodzi! — smutni, błędni, z krwawemi przepaskami na oczach, z wyrazem niemocy na bladych twarzach; bezsilne ręce przed się wyciągają. „I tyżeś nas opuścił, Borowski! — ty, piersi naszych jęku, niemocy naszej głosie!..“

Przeszli — minęli — ... Tam w głębi kłębią się ciemne dymy i krwawią łuny pożogi; długim grzmotem mijają ciężkie hufy pancerne, słychać nieustanny suchy trzask mieczów o krzyżackie pawęże, huk straszny i trąbki ciche, natarczywe granie. Marsz! marsz!.. I oto „leci z szablą pan mój stary — złoty jak kudłaty lew...“ Zasnuły go dymy, pochłonęła kurzawa... Z dymu wyłania się starzec, krwawego trupa na lewem ramieniu dźwiga, prawą ręką lirę do piersi tłoczy. „Gdzie walki jego echo? gdzie czynów jego spiżowy dzwon?..“ — I minął starzec, jak mija przeszłości krótkie wspomnienie... — Lecz oto wpada drugi, rozwichrzonym włosem twarz przysłania, stryczek tylko na szyi widać. Poznał go Borowski i jękiem powitał. „Synu, gdzie życia mego ślad, gdzie głos i skarga tych, co umarłych wskrzeszają, z żywymi cierpią, a przez sennych tratowani — giną? Gdzie są tłumu dzisiejsze ofiary? gdzie mojej, gdzie twojej, gdzie naszej doli skarga i bunt? — Synu! synu! — synu mój!“

I zdawało się Borowskiemu, że to jaśnienie w górze błogosławieństwo promienne na potępioną głowę mu zsyła; tęsknota poczuciem mocy piersi mu rozszerza i ptakiem rwie się w górę, — tam do nich! Prostują się zdrętwiałe skrzydła, szeroko zagarnęły sięgi, — oto z ziemi się

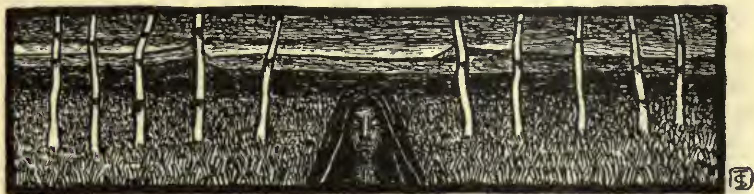
podrywa, w powietrze bokiem się kołysze i orłem do nich leci.

„Właduś, Właduś! Władek mój!“

— Słyszę cię, Zochna, słyszeć będę póki życia...

„bo w sercu mem, choć je ukoję,
„brzmieć będą drogie łkania twoje,
„jak bęben, gdy gra do ataku!.., —

Ponad miastem gorzała łuna pożaru.



Kroki wywiodły go na ślepo przed oświetlone wejście hotelu. Turkuł oczekiwał już w westybulu. W wązkim gumowym płaszczu i w małej wełnianej czapeczce na głowie, krzątał się o walizki: ptak przelotny gotów był do wędrówki.

— Jesteś pan? — witał Borowskiego niedbale, zajęty bardziej swą walizką i portyerem.

Na Borowskiego mrowiem powiało od tej twarzy. Przed chwilą jeszcze oczekiwał tego spotkania, jak wyzwolenia; zdawało mu się, że wycieńczony padnie w czyjeś ciepłe ramiona, co go obejmą, wesprą, sił i otuchy dodadzą.

— Panie, jak oni tu zdzierają! — skarżył się Turkuł. — ...Rzeczy pojadą omnibusem; my mamy czas, pójdziemy pieszo, opowiem panu po drodze jego rolę w „Przeznaczeniu.“

Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. Płacąc napiwek groomowi, rozpoczynał swą opowieść:

— Widzisz pan, w mojem „Przeznaczeniu“ główną rolę ma młody artysta. Pan czujesz miłość artysty? *Bon!* sztuka-kobieta? — problem! — (Przyparł łokcie do siebie i ścisnąwszy mocno kułaki balansował niemi w napięciu). — *Voyons!* — pasuje się. — (Otwartą dłonią przeciął w powietrzu jak siekierą). — Przepołowił serce! Połową kocha, połową tworzy. Czy pan potrafisz oddać tę połowiczność, tę szczątkowość we wszystkiem, co człowiek myśli, kocha, czuje, tworzy? Te... te niepodociągane struny, te zgrzyty, tę atmosferę ułudy... *Bon!* — I zjawia się, widzisz pan, ta fatalna nuta bezwiednego fałszu w stosunku obojga. Projekty! projekty! Czy wiesz pan, jak potężnie marzą improduktywy?.. Zaczyna pić, zaczyna kochać mocniej, *cela veut dire:* namiętniej. A potem ta tęsknota do harmonii uczuć, myśli, marzeń, czynu; ta potrzeba złączenia, zlania, stopienia w jedną całość sztuki - kobiety, — *voyons,* mój problem!.. Zaś ona — taka mała polska kobietka. Pan zna ten *genre*'ek. *Bon!* — Otóż...

— Otóż, — przerwał niecierpliwie Borowski, — ten pański artysta porzuca kobietę.

— Nie. On ją tylko połowicznością swej natury i lepszą cząstką swego ja wprowadza bezwiednie w świat smutku, rozmarzenia, potrzeby ofiary. — Ona dobrowolnie ustępuje z drogi.

— Dokąd? — Borowski zatrzymał się na ulicy.

— W grób.

— Jezus Marya!..

— Mocne w koncepcyi? — co? O, ja zawsze mocno piszę. — Turkuł nie zdawał sobie sprawy, że człowiek, do którego mówi, jest tak własnemi ranami obolały, że każde dotknięcie kurcz trwogi wywołać w nim musi.

— Widzisz pan, — tłómaczył Borowskiemu dalej, — przeznaczenie powiodło go kołem i rzuciło nawpół żywego tam, gdzie go mieć chciało. I teraz dopiero — tworzy!

Z kolei zatrzymał się Turkuł i wyrzucił dłoń w górę.

— *Ars triumfans!* — wołał.

Borowski zaśmiał się gorączkowo.

— Panie Turkuł, czy tak mocno stoi się w życiu na trupie? — Ręce splótł na głowie i w gorączkowym śmiechu zataczał się na ulicy. — Ludzie, do czego wy dziś dochodzicie!

— Jakto do czego? Kapitalne wnętrza ludzkie wyciągamy!

Borowski śmiał się wciąż.

— O, ja to panu zagram! Ja to świetnie zagram. Ha! ha!.. Panie Turkuł, jakże to Müller śpiewał w kawiarni? — „W tem naszej sztuki smak, naszego życia sens!“ Ha! ha! — Borowskiemu spazm gardlany zerwał śmiech. — Panie, jakie krwawe te nasze wnętrza, w których pan piórem dłubiesz po nocach, powróciwszy zapewne z tynglu lub zamtuza... I ja, i ja już wstąpiłem nogą na czyjeś piersi! Tylko jeszcze mi się to rusza, jeszcze drga i żyje! Jeszcze mnie te drobne ręce rozpacznie... Boże mój..!

Turkuł wtłoczył ręce w kieszenie i spoglądał na niego z podełba.

— Panie Borowski, — rzekł po chwili, — nieszczęścia, tak zwane, życiowe...

— To nie jest nic literackiego! — ofuknął Borowski.

— Otóż to! Nieszczęścia tak zwane życiowe, to starcia naszej upartej woli z naszem przeznaczeniem. Wierzaj mi pan, najwięcej zła, krzywdy, szkody sieje w życiu ten, co z przeznaczeniem swem walczy. A wiesz pan, co on z posiewu swych najlepszych chęci zbiera? Fałsz i kłamstwo na każdym kroku. Trzeba mieć odwagę powiedzieć

„nie!“ nawet na obowiązek. Ale na to lwiej pono potęgi potrzeba. Należy mieć ten zmysł prostoty w sobie, aby najistotniejszej cząstce ducha swego przyznać słuszność w życiu. Lecz na to dziecka pono potrzeba.

Łoskot uliczny przycichł nagle, — stał się głuchym, podziemnym, ciężkim: droga wywiodła ich na most. Przed oczyma Borowskiego zaświeciła mętnym, ciemnym połyskiem woda, nurzająca w swych falach długie i żółte języki blasków od nadbrzeżnych latarni. Huczał i dudniał most, — a tam na dole szum i zgiełk mrukliwy i jakby odwieczny w swej ciężkiej monotonii. Ponad miastem, w bok, mrugała wciąż niema łuna cichego pożaru.

Szli wolno. Kiedy niekiedy Borowski przystawał i wspierał się na baryerze, Turkuł poddawał się, milcząc, jego woli.

— Wspominaj pan najgorsze chwile swego życia: to sił dodaje. Czy nie poniżałeś siebie, aby swej dumie boleść sprawić? — pytał nieswoim, namaszczonym głosem.

— Tak, — odparł Borowski, zapatrzony w pęd ciemnej wody i czując, jak sam w wir jakiegoś pędu wpada.

— Czy chorym będąc nie odsyłałeś pocieszyciela? Czy nie zawierałeś przyjaźni z głuchymi, którzy nigdy nie pojmą, czego pragniesz?

— O, tak!

— Czy nie podawałeś ręki upiorowi sumienia, który cię straszyć chciał?

— Tak.

— Czy nienawidziłeś tego smoka, co woła przed każdym krokiem twoim: „musisz!“ — i potężną łapą do ziemi cię tłoczy? Czy nie zrywał ci się w duszy okrzyk: „chcę!“

— Tak.

— I jako świętość pokochałeś swe „musisz!“ Teraz obłęd dobrowolnego szału znajdujesz nawet w swej naj-

większej świętości. Rabujesz sobie wolność ze swego ukochania.

— Tak.

— Dobrze, iż mi „tak“ odpowiadasz: to jest mowa dziecka... I oto, Borowski, — kończył Turkuł i wpół go obejmował, — nazwałem ci trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem był, lwem się stał, w dziecko się zmienił...

— Zkąd pan to..?

— Słuchaj! — Na zimną twarz Turkuła strzeliły rumieńce; recytował z przejęciem, z piersi te słowa wygłaszał. — Słuchaj!.. Bo niewinnością jest dziecię i zapomnieniem. — *Zapomnieniem,* — Borowski! — Jest nowopoczęciem, jest grą, jest toczącym się pierścieniem, pierwszym odruchem, świętego „tak!“ mówieniem! O, do gry tworzenia, bracia moi, należy święte „tak“ nauczyć się wymawiać: swej woli pożąda duch, świat swój odnajduje, kto świat swój utracił!

— Zkąd pan to?.. Czy jest taka czarna księga, coby mnie potępionemu rozgrzeszenie dała?

— Takiej niemasz. Jest natomiast inna, która ci dumę daruje. Przeczytasz — i staniesz na scenie jak bóg olimpijski!

— A ona?.. Zochna?..

— Śmierć — życie, ból — sztukę rodzi.

— Ale nie podłość. Zlituj się pan, ale nie podłość! Zdeptać to, co z całem zaufaniem u nóg nam się wiesza... O, na tę zbrodnię także dziecka tylko potrzeba!

Turkuł tupnął nogą. — I gadaj tu z nim!..

Borowski przechylał się przez baryerę: patrzał na wodę, wsłuchiwał się w jej szmery głuche... „Władek, Władek! — ci artyści zrobią ze mnie swą dziewkę!..“ Czuł, jak ten pęd przed oczyma rzuca w przeciwnym kierunku, ponosi coraz to prędzej, coraz to gwałtowniej.. Huczał i dudniał mu most ponad głową...

— Stopp!..—Turkuł w samą porę schwycił go za bary i zerwał z poręczy.—Panie Borowski, bój się pan Boga! — Jeszcze żaden mężczyzna nie topił się z niezdecydowania.

Borowski patrzał na niego błędnie przerażonemi oczyma i cofał się tyłem.

— Co panu!?..

— Nic, — już nic! — minęło. Wtedy... zanim to uczyniłem, spojrzałem — i te oczy!.. te oczy pańskie zimne rozżarzyły się w jednej chwili jak węgle. Myślałem, że mnie prowadzi...

— Kto taki?

— Dyabeł!..

— W imię Ojca i Syna!.. Oj, źle, Borowski! słabyś duchem, wróć się lepiej tam — w łoże małżeńskie, w wyrzuty sumienia i w obowiązki.

— Nie mogę: stało się! Nie wiem, czy źle czy dobrze robię, nie wiem nawet, dlaczego tak uczynić muszę, — ale wracać już nie mogę!

— Przeznaczenie! — objaśnił Turkuł. I ruszyli dalej.

Turkuł, zaplątawszy się w krąg jednych myśli, nie mógł z nich wybrnąć: ustawicznie coś wspominał i recytował. Wreszcie objął Borowskiego serdecznie i przygarnął do piersi: — „Kocham tych, których dusza głęboka jest, nawet gdy od ran serdecznych ginie, kogo drobne przejście zniszczyć może! — albowiem ci są, którzy przez most przechodzą!“

Stanęli wreszcie na brzegu przeciwnym i, oparłszy się o balustradę, raz jeszcze spojrzeli na miasto. Z ciemnego zwaliska murów wyrastały w czerwień płonącego nieba kościelne wieże, niby czarne i nieme upiory. Cicha łuna pożaru drgała wszerz na ciemnem niebie.

— Tam! — myślał Borowski.

— Tu! — wmuszał weń Turkuł, ściskając mu dłoń jak w kleszczach. I aby odwieść mu myśl w inną stro-

nę: — Pożegnaj pan rekinów, westchnij do przyjaciół z kawiarni i tynglu.

Borowski opadał coraz bardziej.

— Panie, — mówił słabym głosem dziecka, — może to wszystko prawda, co pan mówił, — możem i ja umęczony mem szczęściem i niedolą, mą miłością i obowiązkiem, mą cnotą i winą! Może i ja na to tylko szamotałem się, aby mnie przeznaczenie tam wreszcie rzuciło, gdzie mieć mnie chciało!.. Ale gdy pomyślę, gdzie to wszystko dojrzewa i bólem uświęca... Łoże rozpusty, — kawiarnia, — tyngiel, — dziewki, — błazny, — zidyociałe tłumy wielkomiejskie, — prostytutki uliczne!.. A! — wszystko to takie małe, drobne, brudem cuchnące!.. Ha, ha, ha! „sztuka!“

Odrzucił się od baryery, dłonie w czoło wciskał i śmiał się. Śmiech ten padał w bezdeń, leciał w czarną przepaść, aby gdzieś, w głębi od skalnych odbiwszy się czeluści, wrócić ku górze krzykiem rozpaczy... Turkułowi dreszcz poprzez ciało przebiegał. Nastawiał uszy, poruszał chrapami jak wyżeł: czuł sztukę!..

— Śmiech taki wart życia, — rzekł. — Ten śmiech z pod piwnicznych wierzei grobów dochodzi: tak się śmieją dawne wielkie trupy nad dzisiejszem życiem... O, kto śmiech taki usłyszy, ten sam śmiać się przestanie!.. Ciebie, Borowski, widoma łaska Boża opromienia. Ty z Bożą łaską śmiałeś walczyć... A tamto wszystko, ten nawóz sztuki, — gardź nim! Wszystko, co nasze, co młode, co dzisiejsze — to nikczemność, to brud i rozkosz żałosna! Ale my jeszcze nienajgorsi, — skoro śmiać się tak umiemy — z życia, z ludzi, z samych siebie... Śmiej się, Borowski, śmiej! Ten śmiech będzie tryumfem naszej szczerej sztuki nad naszem kłamanem życiem!..

Szumiało miasto i gadała rzeka. Drgająca łuna rozrzucała się po niebie coraz to szerszym płaszczem. Gwia-

zdy gasły. I trzepotała się ta łuna na chmurach jako wielki krwawy ptak; cicha i nięma, próbowała jakby zniewolić do ratunku obojętny huk, zgiełk i gwar pustego życia miast wielkich. Czarne wieże kościołów strzelały w tej krwawej topieli coraz to wyżej i wyżej: zapomniane od ludu, same nieba sięgały, Boga wzywały na ratunek.

Turkuł spojrzał na Borowskiego... „Przecież on spłynie tęsknotą jak krwią, — pomyślał. — Przecież on z tęsknoty za nią powiesi się najdalej za dwa, trzy lata. Tacy nie strzelają się nawet.“

I nie potrafił tej myśli opanować:

— Wiesz ty, że tym razem na śmierć idziesz?

— Wiem, — Borowski machnął ręką.

Po wiaduktach między murami biegł pociąg, skakał z łoskotem po zwrotnicach, wypadł zdala na nasyp, gwizdnął i pędził przed się w obce, dalekie światy... Pozostał po nim ten pęd i rozmach w powietrzu, to rozpierające piersi pragnienie lotu...

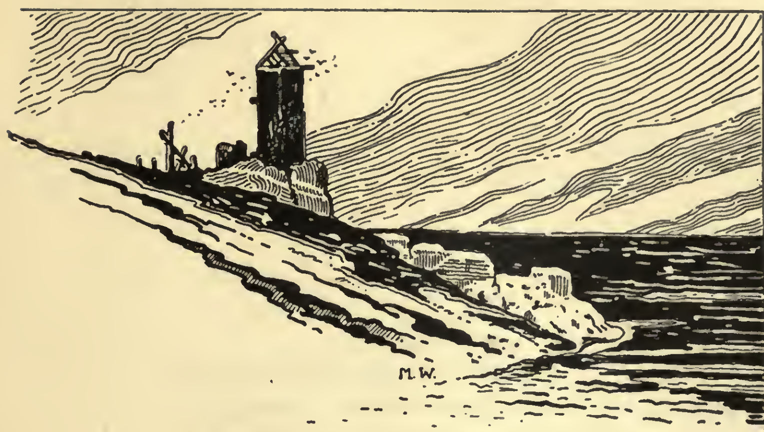
— Pora nam!

— Pora.



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.

Skrzydlate ognie.



Śnij, dumne serce me, snów twoich złotą łódź
Po ciemnych głębiach mórz złowieszcza gwiazda wodzi;
Skrą błędną w mrokach tleć, skry błędne z siebie snuć,
To los twój, serce me, i los twej złotej łodzi.

Miesięczne światło drży na ciemnej toni,
Jak białe kwiecie z kruczych włosów Wiosny,
Co do tej górskiej, pustynnej ustroni
Przychodzi jasna pod omszone sosny,
Aby się przyjrzeć w stawu cichej wodzie
Swej dzikiej, bujnej, dziewiczej urodzie.

Ponad przepaście świerki się pną,
Po głazach pną się śmigłe,
Z głębokich dolin, zawianych mgłą,
Na granitową igłę.

Jak srebrne tarcze, jeziora lśnią,
Jak słońca lśnią wystygłe.
Pyłem klejnotów świecą i mżą
Oddale niedościgłe.

Tak martwo szklą się czarne wody rzeki
W mętnej, przyćmionej, miesięcznej przezroczy,
Jakby przed chwilą zagasły na wieki
Twe oczy, wczoraj całowane oczy.

Tak głucho huczy w mrokach dzwon daleki;
Dal taka zimna, ołowiana, pusta,
Jakby przed chwilą zastygły na wieki
Twe usta, wczoraj całowane usta.

LIMBA.

Na widnokręgu złota jaśń wykwita
Szkarłatnym pąkiem z lilijowych cisz.
Kędyś daleko, tumanem zakryta,
Szumi kaskada w głębi skalnych nisz.

W kotlinie, stawu zamarzłego płyta
Połyska niemo jak błyszczący spiż.
Nad nią samotna i wichrami bita
Wyrasta limba, w przezrocz, w błękit, wzwyż.

Tę limbę ziemia wydała nieżywa,
Tuliła żałość i groza straszliwa
I mroźnem tchnieniem smagał śnieżny szczyt —

A ona z nocy mgieł i zasępienia
Wyrasta dumnie w błękitne przelśnienia,
W przeczysty, złoto-purpurowy świt.

ARTUROWI GÓRSKIEMU.

W ODWIECZERZ BLADĄ.

W złocistym, świetnym pąsie
Słonecznych, bladych lśnień
Wierzchołki turni tlą się
I zamierzchają w cień.
W wieczornych mgieł zalewie
Majaczą się modrzewie.
Jak białe stado mewie
Nad stawem obłok zwisł.

Na rzece blask się kwieci
Zanikających róż
I w pomrok z falą leci
Jak puch z okwitłych zórz.
Pod siną mgieł zawieją
Martwotą bezdnie zieją.
Już noc wypełza knieją
Z rozpadlin, z skalnych rys.

Z tej mgły, co się rozpyla
Na przestwór gór i niw,
Tęsknota się wychyla,
Jak z boru leśny dziw;
Jej głos przez głuche ciemnie
Przyzywa mnie tajemnie. —

Ach, otchłań patrzy we mnie,
Jak ja spoglądam w nią...

DUSZA.

Dusza jak jasny kwiat z bezmiarów świata chłonie
Słoneczność białych dni i modrych nocy wonie,
Majestat ciemnych mórz i lśniących gwiazd harmonię.

Z wszechświatów siła w niej, co nakształt srebrnej czary
Dziewiczą rzeźbi pierś, a męże w moc obleka;
Z nich wszelkie piękno jej, i miłość w niej bez miary,
Co toczy twórczą myśl, jak złoty kruszec rzeka.

Wieczności całej ból ogarnia w sobie ona,
I cały ogrom zła i wszystkich istnień nędze;
Jak wszechświat wielka jest, jak wieczność nieskończona
W bezsilnym smutku swym i w twórczej swej potędze.

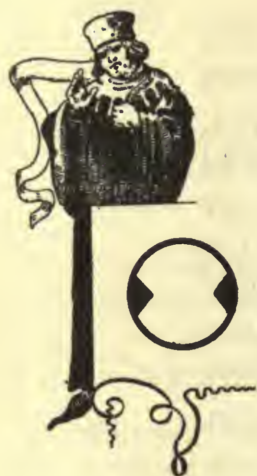
Dusza jak gwiezdna skra wśród mroków tajni płonie,
Jak dźwięk w przezroczach drży, jak tchnienie w burzy
A włada jako Bóg w Chaosu mgławem łonie. *[wionie,*



Stanisław Wyrzykowski.

Krucyata dziecięca.

CIRCA IDEM TEMPVS PVERI SINE RECTORE SINE DVCE DE VNIVERSIS OMNIVM REGIONVM VILLIS ET CIVITATIBVS VERSVS TRANSMARINAS PARTES AVIDIS GRESSIBVS CVCVRRERVNT, ET DVM QVAERERETVR AB IPSIS QVO CVRRERENT, RESPONDERVNT: VERSVS JHERVSALEM, QVAERERE TERRAM SANCTAM... ADHVC QVO DEVENERINT IGNORATVR. SED PLVRIMI REDIERVNT, A QVIBVS DVM QVAERERETVR CAVSA CVRSVS, DIXERUNT SE NESCIRE. NVDAE ETIAM MVLIERES CIRCA IDEM TEMPVS NIHIL LOQVENTES PER VILLAS ET CIVITATES CVCVRRERVNT.



POWIEŚĆ GOLIARDA. Ja, goliard ubogi, nędzny klecha, błądzący po lasach i drogach, aby żebrać, w imię Pana Naszego, o chleb powszedni, widziałem zbożne widowisko i słyszałem słowa dzieci maleńkich. Wiem, że żywot mój nie jest bynajmniej świątobliwy, i że ulegałem pokusom pod lipami dróg. Bracia, którzy dają mi wina, widzą dobrze, żem nie nawykł do niego. Ale nie jestem z sekty owych, co okaleczają. Są źli, którzy wyłupiają dzieciom oczy, obcinają im nogi, krępują ręce, aby potem wystawiać na pokaz ich kalectwo i wzbudzać litość. Oto dla czego lęk mnie zdjął na widok wszystkich tych dzieci. Zapewne Pan Nasz osłoni je. Mówię bez ładu i składu, bo pełen jestem radości. Uśmiecham się do wiosny i do tego, co widziałem. Mam umysł niebardzo mocny. Otrzymałem tonsurę kleryka w dziewiątym roku życia, i słowa łacińskie dawno uciekły mi z pamięci. Podobien jestem szarańczy, bo skaczę, to tu,

to tam, i brzęczę jak ona, i otwieram niekiedy barwiste skrzydełka, a drobna ma główina przezrocza jest i próżna. Powiadają, że święty Jan żywił się szarańczą na puszczy. Trzebaby chyba jeść jej bardzo wiele. Ale święty Jan nie był przecież takim samym człowiekiem jak my.

Mam wielkie nabożeństwo do świętego Jana, bo i on był błędnym pątnikiem i wymawiał słowa bez związku. Zdaje mi się tylko, że powinny były być łagodniejsze. Wiosna jest też łagodna w tym roku. Nigdy nie było tak dużo kwiecia białego i różowego. Błonia są jakby świeżo umyte. Dokoła, krew Pana Naszego połyskuje na żywopłotach. Pan Nasz Jezus Chrystus ma barwę lilii, ale krew jego jest czerwieniuteńka. Dla czego? Nie wiem. O tem stoi pewno w jakim pargaminie. Gdybym był biegły w naukach, miałbym pargamin i pisałbym na nim. W ten sposób jadałbym do sytości co wieczór. Chodziłbym po klasztorach modlić się za zmarłych braci i zapisywałbym ich imiona na swoim zwitku. Przenosiłbym ten swój spis nieboszczyków z jednego opactwa do drugiego. Braciszkowie nasi lubią to. Ale nie wiem imion zmarłych mych braci. Może Panu Naszemu również nie chodzi wcale o to, aby je wiedzieć. Wydawało mi się, że wszystkie te dzieci nie mają imion. A przecież pewnem jest, że Pan Nasz Jezus Chrystus ukochał je nad innych ludzi. Zapełniały drogę jak rój białych pszczół. Nie wiem, zkąd szły. Byli to maleńcy pątnicy. Miały kostury z leszczyny lub z brzeziny. Na ramieniu każde miało krzyż, a krzyże te były kilku kolorów. Widziałem zielone, które były pewnie zrobione z liści zeszytych. Są to dzieci zdziczałe i ciemne. Wędrują błędnie, nie wiem ku czemu. Mają wiarę w Jeruzalem. Ja myślę, że Jeruzalem jest daleko, a Pan Nasz musi być bliżej nas. Nie dojdą do Jeruzalem. Ale Jeruzalem przyjdzie do nich. Tak, jak do mnie. Kres wszystkich rzeczy świątobliwych jest w radości i weselu.

Pan Nasz jest tutaj, na tym pokraśniałym głogu, i na mych uściech, i w ubogiem mem słowie. Bo myślę o nim, i grób jego jest w myśli mojej. Amen. Położę się tu na słońcu. Jest to miejsce święte. Stopy Pana Naszego uświęciły wszystkie miejsca. Prześpię się. Niechaj Jezus da przespać się wieczorem wszystkim tym białym dziecinom, noszącym krzyż. Zaprawdę, powiadam mu to. Spać mi się chce ogromnie. Powiadam mu to, zaprawdę, bo może nie widział ich, a powinien czuwać nad dziecinami drobnemi. Godzina południowa cięży mi na głowie. Wszystkie rzeczy są białe. Niech tak będzie. Amen.



OPOWIEŚĆ TRĘDOWATEGO. Jeżeli chcecie zrozumieć, co wam opowiem, wiedzcie, że noszę na głowie kaptur biały i potrząsam kołatką z twardego drzewa. Nie wiem już, jak wygląda twarz moja, ale boję się moich rąk. Chodzą przede mną jak dwa potwory łuskowate i sine. Chciałbym je uciąć. Wstyd mi przed tem, czego dotykają. Mam wrażenie, że rumiane owoce, które zbieram, omdlewają za ich zbliżeniem, a nędzne korzonki, które wyrywam, zdają się więdnąć pod niemi. DOMINE CETERORVM LIBERA ME! Zbawiciel nie zmazał mego grzechu bladego. Jestem zapomniany aż po zmartwychpowstanie. Jak ropucha zamurowana przy zimnie księżycowem w podłym kamieniu, pozostanę zamknięty w moim żylniku odrażającym, gdy inni wstawać będą z jasnem swem ciałem. DOMINE CETERORVM, FAC ME LIBERVM: LEPROSVS SVM. Jestem samotny, a odraza mnie przejmuje. Zęby me tylko zachowały

swą białość przyrodzoną. Zwierz dziki przeraża się na mój widok, i dusza ma chciałaby pierzchnąć. Dzień odwraca się ode mnie. Oto dwanaścieset i dwanaście lat upłynęło, odkąd Zbawiciel zbawił innych, a nie zlitował się nade mną. Nie tknęła mnie włócznia krwawa, która bok Mu przebiła. Być może, iż krew Pana innych uzdrowiłaby mnie. Śnię często o krwi: zęby moje mogłyby gryźć; czyste są i niewinne. Skoro On nie zechciał mi jej dać, pałam żądzą tej, która do niego należy. Oto dla czego czyhałem na dzieci, które zstępowały z krainy Vendôme ku tej puszczy nad Loarą. Miały krzyże i były poddane Jemu. Ciała ich były Jego ciałem, a On nie dał mi uczestnictwa w ciele swem. Blade potępienie otacza mię na ziemi. Czatowałem, aby wyssać z szyi jednego z Jego dzieci krew niewinną. ET CARO NOVA FIET IN DIE IRAE. W dzień grozy, ciało me nowem się stanie. Za innemi szedł dzieciak świeży o rudych włosach. Zauważyłem go sobie; skoczyłem nagle; zatkałem mu usta straszliwemi memi rękoma. Odziany był tylko w zgrzebną koszulę; nogi miał nagie, oczy jego zostały pogodne. Przyglądał mi się bez zdziwienia. Wówczas, wiedząc, że nie będzie krzyczał, zapragnąłem usłyszeć raz jeszcze głos ludzki i zdjąłem ręce z ust jego, a on nie otarł ust nawet. Oczy jego zdawały się być kędyś daleko.

— Kto jesteś? — spytałem go.

— Johannes Teutończyk — odpowiedział. Słowa jego brzmiały czysto i zbawczo.

— Dokąd idziesz? — rzekłem jeszcze.

A on odpowiedzał: — Do Jeruzalem, by zdobyć Ziemię - Świętą.

Wówczas zacząłem się śmiać i zapytałem go: — Gdzie jest Jeruzalem?

A on odpowiedział: — Nie wiem.

I rzekłem jeszcze: — Jakże tam dojdziesz?

A on rzekł mi: — Nie wiem.

I rzekłem jeszcze: — Cóż to jest Jeruzalem?

A on odpowiedział: — To jest Pan Nasz.

Wówczas, zacząłem śmiać się znowu i zapytałem: — Cóż to jest ten twój Pan?

A on rzekł mi: — Nie wiem; jest biały.

Słowo to wtrąciło mnie we wściekłość, wyszczerzyłem zęby pod kapturem i pochyliłem się ku jego świeżej szyi. Nie cofnął się ani o krok, i rzekłem doń: — Dla czego nie boisz się mnie?

A on rzekł: — Dla czegóż miałbym bać się ciebie, biały człowiecze?

Wówczas płacz wielki wstrząsnął mną, i padłem na twarz, i całowałem ziemię straszliwemi memi wargami, i krzyczałem: — Bo jestem trędowaty!

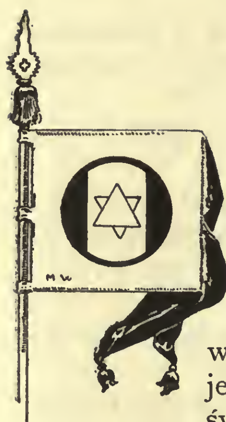
A dzieciak teutoński przyglądał mi się, i rzekł jasnym swym głosem: — Nie wiem.

Nie lękał się mnie! Nie lękał się mnie! Potworna białość moja była dla niego podobną do białości Pana jego. I wziąłem garść trawy, i wytarłem usta jego i ręce.

I rzekłem mu:

— Idź w pokoju do białego Pana twojego, i powiedz mu, że mnie zapomniał.

A dzieciak spojrzał na mnie i nie rzekł nic. Odprowadziłem go do skraju tych czarnych borów. Szedł bez drżenia. Widziałem, jak rude jego włosy nikły w oddali w słońcu. DOMINE INFANTIVM, LIBERA ME. Niechaj głos mej kołatki drewnianej dojdzie do ciebie, jako czysty głos dzwonów. Panie tych, którzy nie wiedzą, wybaw mnie!



POWIEŚĆ PAPIEŻA INOCENTEGO III. Zdala od kadzideł i ornatów, mogę łacno mówić do Boga w tej próżnej pozłot izdebce mego pałacu. Tutaj to przychodzę rozmyślać o mej starości, nie podtrzymywany pod ramiona. Podczas mszy, serce moje wznosi się, a ciało spręża; migotanie wina świętego napełnia me oczy, a drogocenne oleje zdają się wilżyć myśl moją; ale w tym samotnym zakącie mej bazyliki, wolno mi ugiąć się pod znużeniem ziemskiem. ECCE HOMO! Albowiem Pan nie musi w istocie słyszeć głosu kapłanów swych poprzez okazałość listów pasterskich i bull; i ani purpura, ani klejnoty, ani malowidła nie dogadzają mu zapewne; w tej wszakże małej celce lituje się, być może, nad bełkotaniem mem niedoskonałem. Panie, jestem bardzo stary, i oto w biel odziany stoję przed Tobą, a imię moje — Inocenty, i Ty wiesz, że nie wiem nic. Odpuść mi papieztwo me, bo zostało ono założone, i muszę je zno-

s ć. Nie ja postanowiłem godności i dostojeństwa. Wolę widzieć słońce twe przez tę szybkę okrągłą, aniżeli w świetnym przeblasku mych barwistych witraży. Pozwól mi uskarżyć się, jak każdemu innemu starcowi, i zwrócić ku tobie to blade, zmarszczek pełne oblicze, które z wielkim trudem unoszę ponad falami nocy wiekuistej. Pierścienie ześlizgują się wzdłuż mych palców wychudłych, a ostatnie dni mego życia dobiegają kresu.

Mój Boże! jestem namiestnikiem Twym tutaj, i wyciągam ku Tobie błagalną dłoń, pełną wina czystego Twej wiary. Są wielkie zbrodnie. Są bardzo wielkie zbrodnie. Mamy moc rozgrzeszać je. Są wielke herezye. Są bardzo wielkie herezye. Mamy obowiązek karać je bez miłosierdzia. W tej oto chwili, klęcząc, w bieli, w tej białej celce o zatartych pozłotach, niepokojem wielkim dręczę się, Panie, bo nie wiem wcale, czy zbrodnie i herezye należą do okazałej dziedziny papieztwa mego, czy też do tego małego okręgu światłości, w którym jakiś starzec z prostotą składa ręce. I gnębi mię nadto niepewność co do grobu Twojego. Niewierni otaczają go dotąd. Nie umiano im go odebrać. Nikt nie kieruje krzyża Twego ku Ziemi-Świętej; pogrążeni jesteśmy w odrętwiałości. Rycerze odłożyli oręż, a królowie nie umieją już przywodzić ludom. A ja, Panie, oskarżam się i biję się w piersi; jestem zbyt słaby i zbyt stary.

A teraz, Panie, posłuchaj drżącego szeptu, który wzbija się z tej małej celki w mej bazylice, i wesprzyj mię radą. Służebnicy moi dziwne zewsząd przynoszą nowiny, od rubieży flandryjskich i niemieckich aż po miasta Marsylię i Genuę. Nieznane dotąd sekty zrodziły się w dniach ostatnich. Widziano biegające po miastach nagie kobiety, które nic nie mówiły. Bezwstydne te niemowy palcami wskazywały na niebo. Wielu szaleńców przepowiadało na placach zagładę. Pustelnicy i klerycy wę-

drowni pełni są głuchych wieści. I nie wiem, przez jakie czarnokzięstwo wywabiono z domów rodzicielskich przeszło siedm tysięcy dzieci. Siedm tysięcy ich wędruje po drogach, z krzyżami na ramionach i kosturami w ręku. Nie mają co jeść; nie mają żadnej broni; niezdolne są do niczego i robią nam wstyd. Nie wiedzą nic z istotnej religii. Służebnicy moi rozpytywali je. Odpowiadają, że idą do Jeruzalem, aby zdobyć Ziemię-Świętą. Służebnicy moi rzekli im, że nie będą mogły przebyć morza. Odpowiadały, że morze rozstąpi się i wyschnie, aby dać im przejście. Dobrzy rodzice, pobożni i mądrzy, starają się zatrzymać je. Ale one łamią w nocy rygle i wydostają się przez mury. Pomiędzy niemi wielu jest synów ze szlachcica i nierządnicy. Żal wielki przejmuje na ten widok. Panie, wszystkie te niewiniątka staną się łupem morza albo czcicieli Mahometa. Widzę, jak sudan Bagdadu czyha na nie ze swego pałacu. Drżę, aby marynarze nie zawładnęli ich ciałami, chcąc je zaprzedać.

Panie, pozwól mi mówić do Ciebie według formuł religii. Ta krucyata dziecięca nie jest dziełem zbożnem. Nie odzyska ona dla chrześcian Grobu Świętego. Zwiększy jeno liczbę włóczęgów, błądzących na okrajach wiary prawomocnej. Kapłani nasi nie mogą jej popierać. Powinnością naszą jest wierzyć, że Zły Duch opanował biedne te stworzenia. Idą one gromadnie ku przepaści, jak stado pasące się na górze. Zły Duch porywa chętnie dzieci, jak sam to wiesz, Panie. Niegdyś, wziął na się postać szczurołapa, aby gędziebnemi dźwiękami swej piszczałki pociągnąć wszystkich malców miasta Hammeln. Jedni powiadają, że biedne istotki te potopił w rzece Wezerze; drudzy, że zamknął je w łonie jakiejś góry. Nie lękasz-że się, aby Szatan nie poprowadził wszystkich naszych dzieci ku mękom tych, którzy nie mają naszej wiary. Panie, Ty wiesz, iż niedobrze jest, aby przedmiot wiary się zmieniał. Jak

tylko objawił się w krzaku ognistym, kazałeś zamknąć go w przybytku. A gdy wymknął Ci się z ust na Golgocie, postanowiłeś, aby wyosobnion był w cyboryach i monstrancyach. Ci mali prorocy wstrząsną budową Twego Kościoła. Nietrzeba im na to pozwolić. Zechcesz-że, na urągowisko swym pomazańcom, którzy w służbie Twej zużyli alby swoje i stuły, którzy niezłomnie opierali się pokusom, aby Ciebie pozyskać, — zechcesz-że przyjąć tych, którzy nie wiedzą, co czynią? Winniśmy dozwalać przyjść do Ciebie maluczkim, ale na drodze Twojej wiary. Panie, mówię do Ciebie według postanowień Twoich. Te dzieci zginą. Nie daj, aby pod Inocentym nastąpiła nowa rzeź Niewiniątek.

A teraz, odpuść mi, Boże mój, żem o radą Twą prosił pod tyarą. Drżenie starości ogarnia mnie nanowo. Spojrzyj na biedne ręce moje. Jam człowiek bardzo wiekowy. Wiara moja nie jest już jako wiara maluczkich. Czas zużył złoto na ścianach tej celki. Białe są. Krąg Twego słońca jest biały. I suknia moja biała jest również, i wyschłe moje serce jest czyste. Powiedziałem według reguły Twej. Są zbrodnie. Są bardzo wielkie zbrodnie. Są herezye. Są bardzo wielkie herezye. Głowa moja chwieje się z osłabienia; być może, iż nie trzeba ani karać ani rozgrzeszać. Życie przeszłe każe nam wahać się w postanowieniach naszych. Nie widziałem nigdy cudu. Oświeć mnie. Jest-że to cud? Jakiż znak im dałeś? Nadeszły-ż czasy? Chcesz-że, by starzec zgrzybiały, jak ja, równien był białością swą niewinnym Twym dziecinom? Siedm tysięcy! Aczkolwiek wiara ich błędna jest, chciałżebyś karać obłęd siedmiu tysięcy niewiniątek? I ja także jestem Inocenty, czyli niewinny. Panie, i jam niewiniątko, jak one. Nie karz mnie u schyłku starości mojej. Długie lata nauczyły mnie, że temu stadu dzieci nie *może* się udać. A jednak, Panie, jest-że to cud? Celka moja spokojna jest i cicha, jak podczas innych rozmyślań. Wiem,

że niema potrzeby błagać Cię, abyś się objawił; ale ja, z wyżyny mej bardzo wielkiej starości, błagam Cię i zaklinam. Naucz i oświeć mię, bo nie wiem, Panie. To są twoi maluczczy, twoje niewiniątka. A ja, Inocenty, nie wiem, nie wiem.

POWIEŚĆ TRZECH MAŁYCH CHŁOPCÓW. Trzech nas, Mikołaj, który wcale nie umie mówić, Alan i Dyonizy, wyszliśmy na drogi, aby pójść ku Jeruzalem. Idziemy już kawał czasu. Głosy to białe wezwały nas śród nocy. Wzywały one wszystkie małe dzieci. Były jak głosy ptaków ginących podczas zimy. I naprzód widzieliśmy mnóstwo biednych ptaków leżących na zmarzłej ziemi, mnóstwo maluchnych ptaszyn o szyjkach czerwonych. Potem widzieliśmy pierwsze kwiaty i pierwsze liście, i upletliśmy sobie z nich krzyże. Śpiewaliśmy przed każdą wsią, jak to mieliśmy we zwyczaju robić co nowy rok. I wszystkie dzieci biegły ku nam. I posuwaliśmy się jak wojsko. Byli ludzie, którzy przeklinali nas, nie znając widać Pana. Były kobiety, które zatrzymywały nas za ręce, i wypytywały nas, i okrywały nasze twarze pocałunkami. I były także dobre dusze, które znosiły nam w miseczkach drewnianych ciepłe mleko i owoce. A wszyscy litowali się

nad nami. Bo oni nie wiedzą, dokąd idziemy, i nie słyszeli wcale głosów.

Na ziemi są gęste bory, i rzeki, i góry, i ścieżki pełne ciernia. A na skraju ziemi jest morze, które musimy przebyć wkrótce. A na skraju morza znajduje się Jeruzalem. Nie mamy ani dozorców, ani przewodników. Ale wszystkie drogi są nam dobre. Chociaż nie umiejąc mówić, Mikołaj idzie jak my obaj, Alan i Dyonizy, i wszystkie ziemie są jednakie, i jednako niebezpieczne dla dzieci. Wszędzie są gęste bory, i rzeki, i góry, i krzaki ciernio· we. Lecz wszędzie głosy będą z nami. Jest między nami jedno dziecko, które ma imię Eustacyusz, i które urodziło się z zamkniętemi oczyma. Idzie ono ciągle z wyciągniętemi rękoma i uśmiecha się. Nie widzimy już nic prócz niego. Jakaś mała dziewczynka prowadzi je i niesie jego krzyż. Nazywa się ona — Allys. Nie mówi nigdy i nigdy nie płacze; trzyma oczy ciągle utkwione na stopach Eustacyusza, aby go podtrzymać, gdyby się potknął. Kochamy ich oboje. Eustacyusz nie będzie mógł ujrzeć świętych lamp grobu. Lecz Allys weźmie go za ręce, aby dotknął płyt grobowca.

Oh! jakież piękne jest wszystko na ziemi! Nie pamiętamy nic, bo nigdy nie uczyliśmy się niczego. Widzieliśmy jednak stare drzewa i skały czerwone. Niekiedy musimy przechodzić przez długie ciemności. Niekiedy idziemy aż do wieczora pośród łąk jasnych. Krzyczeliśmy imię Jezusa w uszy Mikołajowi, i zna on je dobrze. Ale nie umie go wymówić. Cieszy się razem z nami tem, co widzimy. Bo usta jego otwierają się dla radości, a rękoma głaszcze nas po ramionach. To też nawet oni nie są wcale nieszczęśliwi, bo Allys czuwa nad Eustacyuszem, a my, Alan i Dyonizy, opiekujemy się Mikołajem.

Mówiono nam, że moglibyśmy spotkać w lasach czarowników i wilkołaków. To są kłamstwa. Nikt nas nie

przestraszył; nikt nam nie zrobił nic złego. Pustelnicy i chorzy przychodzą patrzeć na nas, a stare kobiety zapalają dla nas światła w chatynach. Biją dla nas w dzwony kościelne. Wieśniacy podnoszą się z bruzd, aby wyglądać za nami. I zwierzęta patrzą na nas i nie uciekają wcale. Odkąd idziemy, słońce zrobiło się gorętsze, i zbieramy nie te same już kwiaty. Ale wszystkie łodygi dają się splatać w te same formy, i krzyże nasze są ciągle świeże, I pełni jesteśmy wielkiej nadziei, i wkrótce ujrzymy błękitne morze. A u kresu błękitnego morza jest Jeruzalem. I Pan dozwoli przyjść do swego grobu wszystkim dzieciom maluczkim. I białe głosy rozradują się śród nocy.



POWIEŚĆ FRANCISZKA DŁUGOLICEGO, PISARZA. *Dziś, dnia piętnastego miesiąca septembra, roku Pana Naszego dwanaście set dwunastego, po Wielkiej Nocy, przyszło do oficyny mistrza mego Hugona Kutego wiele dzieci, żądających przeprawy przez morze, aby oglądać Grób - Święty. A ile że wymieniony Kuty nie ma dość łodzi kupieckich w porcie marsylskim, polecił mi udać się do mistrza Wilhelma Odyńca, aby uzupełnić liczbę. Mistrze Hugo Kuty i Wilhelm Odyniec poprowadzą łodzie aż do Ziemi - Świętej dla miłości Pana Naszego Jezusa Chrystusa. W chwili obecnej, zebrało się dookoła miasta Marsylii przeszło siedm tysięcy dzieci, z których wiele mówi narzeczami barbarzyńskiemi. I Panowie ławnicy, obawiając się słusznie ogłodzenia, zgromadzili się w domu miejskim, kędy, po naradzie, przyzwali rzeczonych mistrzów naszych, aby napomnieć ich i błagać o wysłanie naw co najrychlejsze. Morze nie jest w chwili*

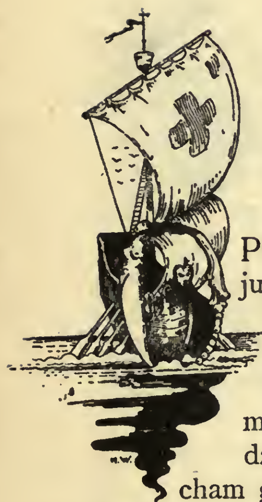
obecnej bardzo pomyślne z powodu porównania dnia z nocą, uważyć wszakże należy, iż napływ tak tłumny mógłby się stać niebezpiecznym dla naszego dobrego miasta, tem bardziej, że dzieci te są wygłodniałe po długiej wędrówce i nie wiedzą, co czynią. Kazałem okrzyczeć w porcie powołanie marynarzy, i ładować okręty. W godzinie przypływu można będzie zepchnąć je na wodę. Główna ciżba dzieci nie jest w samem mieście. Przebiegają one wybrzeże, zbierając muszelki na znak podróży, i — jak powiadano — dziwią się gwiazdom morskim, myśląc, że spadły one żywcem z nieba, aby im wskazać drogę Pańską. A o niezwykłem tem wydarzeniu oto co mam do powiedzenia: po najpierwsze, iż pożądaćby należało, aby mistrzowie Hugo Kuty i Wilhelm Odyniec wywiedli co żywo z granic miasta naszego burzliwe to zbiegowisko cudzoziemskie; powtóre, że zima była bardzo ciężka, zkąd przyszło latosie zubożenie ziemi, o czem dobrze wiedzą panowie kupcy; po trzecie, że matka nasza Kościół nie był wcale powiadomiony o zamiarach tej hordy przybyłej z Północy i nie wmiesza się w tę niedorzeczność wojska młodzianków (turba infantium). *A przystoi też pochwalić mistrzów Hugona Kutego i Wilhelma Odyńca, jednako za miłość, którą żywią dla naszego dobrego miasta, i za uległość względem Pana Naszego, z jaką wysyłają okręty swe, sami im towarzysząc w tej dobie nocorówni, i w wielkiem niebezpieczeństwe napaści niewiernych, którzy korsarsko uganiają się po naszem morzu na długich, wązkich swych statkach z Algieru i z portu Konstantyny.*



POWIEŚĆ KALANDARA. Bogu cześć! Pochwalon niech będzie Prorok, który dozwolił mi być ubogim i błądzić od miasta do miasta, wzywając Pana! Niech będą potrzykroć błogosławieni święci towarzysze Mohameda, założyciele zakonu boskiego, do którego należę! Albowiem podobien jestem Jemu, gdy został obrzucony kamieniami i wygnany z bezecnego miasta, którego nie chcę nazwać wcale, i gdy schronił się w winnicy, kędy niewolnik chrześcianin ulitował się nad nim, i dał mu winne grono, i poruszony został słowami wiary o schyłku dnia. Bóg jest wielki! Przeszedłem miasta: Mossul, i Bagdad, i Basrah, i poznałem Sala-ed-Dina (niechaj Bóg ma jego duszę), i sułtana, jego brata, Seïf-ed-Dina, i oglądałem Władcę Wiernych. Żyję bardzo dobrze trochą ryżu, którą sobie wyżebrzę, i wodą, której mi ludzie nalewają w mą tykwę. Utrzymuję w czystości swe ciało. Ale największa czystość siedzibę ma w duszy. Napisano jest, że Prorok,

przed posłannictwem swem, padł na ziemię w głębokiem uśpieniu. I dwaj ludzie biali zstąpili po prawej i po lewej stronie jego ciała, i stali tam. I człowiek biały z lewej strony otworzył mu pierś nożem złotym i, wydobywszy serce, wycisnął z niego krew czarną. A człowiek biały z prawej strony otworzył mu żywot nożem złotym i, wydobywszy jelita, oczyścił je. I włożyli z powrotem wnętrzności na miejsce, i odtąd Prorok czystym był i mógł głosić wiarę. Taką jest czystość nadludzka, która bywa przeważnie udziałem istot anielskich. I dzieci jednak są także czyste. Taka była czystość, którą zapragnęła spłodzić wróżka, gdy ujrzała jaśnienie naokół głowy ojca Mohameda i gdy próbowała zespolić się z nim. Ale ojciec Proroka wszedł w obcowanie z żoną swoją, Aminą, i jaśnienie znikło z jego czoła, i wróżka poznała, że Amina poczęła istotę czystą. Chwała niech będzie Bogu, który oczyszcza! Tutaj, pod przysionkiem tego bazaru, odpocznę sobie i pozdrawiać będę przechodniów. Tam oto, bogaci kupcy tkanin i klejnotów siedzą kołem w kucki Oto kaftan, który wart przynajmniej tysiąc dynarów. Ja nie potrzebuję wcale pieniędzy i jestem wolny jak pies. Bogu niech będzie chwała! Teraz, gdy jestem w cieniu, przypominam sobie początek swojej przemowy. Naprzód, mówiłem o Bogu, po za którym niema Boga, i o naszym świętym Proroku, który objawił wiarę, bo to jest źródło i początek wszystkich myśli, czy to wychodzących z ust, czy kreślonych za pomocą trzcinki. Na wtórem miejscu, zastanawiałem się nad czystością, którą Bóg obdarzył świętych i aniołów. Na trzeciem miejscu, rozmyślałem o czystości dziecięcej. W istocie, widziałem niedawno wielką liczbę dzieci chrześciańskich, które zostały kupione przez Władcę Wiernych. Widziałem je na wielkiej drodze. Szły jak stado baranów. Powiadano, że przyszły z ziemi egipskiej, kędy wysadziły je okręty Franków. Szatan opętał

je, i próbowały przebyć morze, by dostać się do Jeruzalem. Bogu niech będzie chwała! Nie dozwolił on, aby tak wielkie okrucieństwo się dokonało. Bo biedne te dzieci pomarłyby w drodze, bez pomocy i bez pożywienia. Są to niewiniątka zupełne. Na ich widok padłem na twarz i uderzyłem czołem o ziemię, głośno wychwalając Pana. A teraz oto, jak wyglądały te dzieciny. Odziane były biało, a na szatach miały wyszyte krzyże. Zdawały się nie wiedzieć wcale, gdzie się znajdują, i nie znać było na nich zmartwienia. Wszystkie miały oczy ciągle zwrócone w dal. Zauważyłem pomiędzy niemi jednego chłopczynę, który był ślepy i którego mała dziewczynka trzymała za rękę. Wiele dzieci miało włosy rude i oczy zielone. Są to Frankowie, należący do cesarza rzymskiego. Czczą oni błędnie proroka Jezusa. Błąd tych Franków jest oczywisty. Przedewszystkiem dowiedzione jest przez księgi i cuda, że niemasz innego słowa po za słowem Mohameda. Następnie, Bóg pozwala nam codzień wysławiać Go i żebrać na życie, a wiernym swym nakazuje osłaniać nasz zakon. Wreszcie, odebrał On jasność widzenia tym dzieciom, które, skuszone przez Iblisa, wyszły z krajów dalekich, i nie objawił się, aby je ostrzedz. I gdyby nie były, na szczęście, wpadły w ręce Wiernych, zostałyby porwane przez czcicieli ognia i skute w łańcuchy w podziemiach głębokich. I ci przeklęci złożyliby je w ofierze swemu obmierzłemu i pożerczemu bożyszczu. Niechaj będzie pochwalon Bóg nasz, który robi dobrze wszystko, co robi, i który osłania nawet tych, co go nie wyznają. Bóg jest wielki! Pójdę teraz poprosić o swoją cząstkę ryżu w sklepie tego złotnika i okażę w ten sposób wzgardę swoją dla bogactw. Jeśli spodoba się Bogu, wszystkie te dzieci zostaną zbawione przez wiarę.



POWIEŚC MALEŃKIEJ ALLYS. Nie mogę już dobrze iść, bo jesteśmy w kraju ognistym, dokąd zawiedli nas dwaj źli ludzie z Marsylii. I naprzód morze miotało nas pod czarnemi chmurami, pośród ogni niebieskich. Ale mój mały Eustacyusz wcale się nie bał, bo nie widział nic, a ja trzymałam go za obie ręce. Kocham go bardzo, i przyszłam tutaj dla niego. Bo — sama — nie wiem, dokąd idziemy. Tak dawno już, odkąd wyszliśmy z domu. Inni mówili nam o mieście Jeruzalem, które leży u kresu morza, i o Panu Naszym, który miał być tam, aby nas przyjąć. I Eustacyusz znał dobrze Pana Naszego Jezusa, ale nie wiedział wcale, co to jest Jeruzalem, co to — miasto, co — morze. Uciekł z domu, słuchając się głosów, a słyszał je co noc. Słyszał je w nocy z powodu milczenia, bo zresztą nie rozróżnia nocy od dnia. I wypytywał mnie o te głosy, ale ja nie mogłam nic mu powiedzieć. Nie wiem nic, i martwię się tylko

z powodu Eustacyusza. Szliśmy koło Mikołaja, Alana i Dyonizego; ale oni wsiedli na inny statek, a kiedy słońce wzeszło z powrotem, nie wszystkie statki były już razem. Niestety, co się z nimi stało? Odnajdziemy ich, gdy dojdziemy do Pana Naszego. Ale to jeszcze bardzo daleko. Mówią o wielkim królu, który kazał nas przyprowadzić do siebie, i który dzierży w swej mocy miasto Jeruzalem. W tej krainie wszystko jest białe, i domy, i odzież, a twarze kobiet okrywa zasłona. Biedny Eustacyusz nie może widzieć tej białości, ale mówię mu o niej i cieszy się. Bo powiada, że to jest znak końca. Pan Jezus jest biały, w kraju białym. Mała Allys jest bardzo znużona, ale trzyma Eustacyusza za rękę, aby nie upadł, i nie ma czasu myśleć o swem zmęczeniu. Odpoczniemy dziś wieczorem, i mała Allys spać będzie, jak zazwyczaj, koło Eustacyusza, i jeżeli głosy nie opuściły nas, spróbuje posłyszeć je śród jasnej nocy. I będzie trzymała Eustacyusza za rękę aż do białego końca wielkiej podróży, bo musi mu pokazać Pana. I, z pewnością, Pan ulituje się nad wytrwałością Eustacyusza i pozwoli, aby Eustacyusz go ujrzał. A wówczas, Eustacyusz ujrzy może i małą Allys.



POWIEŚĆ PAPIEŻA GRZEGORZA IX. Oto morze pochłaniające, a na pozór takie niewinne i błękitne. Zmarszczki jego są takie łagodne, a obrzeża je biały skraj, niby szatę bożą. Jest to niebo płynne, którego gwiazdy żyją. Dumam o niem na tym tronie skalnym, kędy kazałem się przynieść z mojej łożnicy. Leży ono zaprawdę w samym środku ziem chrześciańskich. Przyjmuje w siebie wodę świętą, w której Zwiastun zmył grzech pierworodny. Nad brzegami jego chyliły się wszystkie postacie święte, a ono kołysało przezrocze ich obrazy. Wielkie i tajemnicze namaszczone, które nie masz przypływów i odpływów, kołysanko lazurowa, osadzona w pierścieniu ziemskim niby klejnot płynny, pytam cię oto oczyma. O morze Pośródziemne, oddaj mi moje dzieci! Dlaczego-ś je zabrało?

Nie znałem ich wcale. Starość moja nie była upieszczona świeżym powiewem ich czystych oddechów. Nie przy-

szły błagać mnie drobnemi, wpółotwartemi usteczkami. Same, podobne małym włóczęgom, pełne wiary zaciekłej a ślepej, puściły się ku ziemi obiecanej i padły w zagubę. Z Niemiec i z Flandryj, z Francyi, i z Sabaudyi, i z Lombardyi zbiegły się ku twym falom zdradzieckim, o morze święte, szemrząc niewyraźne słowa uwielbienia. Doszły aż do miasta Marsylii; doszły aż do miasta Genui. I poniosłoś je w korabiach na szerokim swym grzbiecie, ugrzywionym pianami; i wywróciłoś się ode dna, i wyciągnęłoś ku nim modre ramiona, i pochowałoś je w swem łonie. A inne zdradziłoś, zawiódłszy je ku niewiernym; i wzdychają teraz w pałacach Wschodu, jeńce czcicieli Mahometa.

Niegdyś, pyszny król azyjski rózgami kazał cię chłostać i obciążyć łańcuchami. O morze Pośródziemne! któż ci przebaczy? Smutna jest wina twoja. Ciebie to, ciebie samo oskarżam, o fałszywie przezrocze i jasne, o złowrogi nieba mirażu; pozywam cię na sąd przed stolicę Najwyższego, od którego zależą wszystkie rzeczy stworzone. Morze poświęcone, co-ś uczyniło z dziećmi naszemi? Podnieś ku Niemu jasnomodre oblicze swoje; wyciągnij Doń swe drgające bańkami palce; rozszalej się niepoliczonością swych śmiechów purpurowych; dozwól mówić szumom swym, i zdaj Mu rachunek.

Nieme we wszystkich białych ustach, które przybiegają konać u stóp mych na wybrzeżu, nie mówisz nic. Mam w pałacu swym w Rzymie prastarą celkę o startych pozłotach, którą wiek uczynił czystą jak świt. Najwyższy kapłan Inocenty miał zwyczaj w niej się zamykać. Powiadają, że rozmyślał tam o tych dzieciach i o ich wierze, i że błagał Pana o znak. Ja, z wysokości tego tronu skalnego, pośród wolnej przestrzeni powietrznej, oświadczam, że najwyższy kapłan Inocenty miał sam wiarę dziecka, i że nadaremnie potrząsał znużoną swą siwizną. Jestem da-

leko starszy, niż Inocenty; jestem najstarszy ze wszystkich namiestników, których Pan powołał tutaj, a teraz dopiero zaczynam rozumieć. Bóg nie objawia się wcale. Okazałże pomoc synowi swemu w Ogrodzie Oliwnym? Nie opuścił-że go w męce niepokojów ostatnich? Jakiem-ż dziecinnem szaleństwem jest wzywać Jego pomocy! Każde zło i każda próba ma siedzibę w nas tylko. On pokłada ufność doskonałą w dziele, które zaczyniły ręce Jego. A ty zdradziłoś Jego zaufanie. Morze boskie, nie dziw się mowie mojej. Wszystkie rzeczy równe są przed Panem. Wyniosły rozum ludzki nie wart więcej, w obliczu nieskończoności, niż drobne oko promieniste któregokolwiek z twych żyjątek. Bóg tyleż dba o ziarno piasku, co o cesarza rzymskiego. Złoto dojrzewa w żyle równie nieomylnie jak mnich rozmyśla w monasterze. Wszystkie części świata są jednako winne, o ile nie trzymają się dróg dobroci; bo wszystkie pochodzą od Niego. W Jego oczach niemasz głazów, roślin, zwierząt, ludzi, są tylko stworzenia. Widzę wszystkie te czuby bielejące, które tańczą ponad twemi falami i roztapiają się wnet w twojej wodzie; wytryskają one tylko na mgnienie oka pod światło słoneczne, a mogą być potępione lub wybrane. Schyłek wielkiej starości poucza pychę i rozjaśnia religię. Mam tyleż współczucia dla tego małża drobnego w mieniącej się muszelce, co dla siebie samego.

Oto dlaczego oskarżam cię, morze pożerające, które pochłonęłoś maluczkie me dzieci. Przypomnij sobie króla azyjskiego, którego kaźń cię dosięgła. Ale to nie był król stuletni. Nie przeżył on dostatecznej lat liczby. Nie mógł też zrozumieć rzeczy wszechświata! Ja cię zatem karać nie będę. Albowiem skarga ma i twe poszumy poszłyby skonać w tej samej chwili u stóp Najwyższego, podobnie jak szmery twych kropelek przychodzą konać u stóp moich. O morze Pośródziemne! przebaczam ci i odpuszczam.

Najświętszą daję ci absolucyę. Idź i nie grzesz więcej. Podobnie jak ty, winien jestem błędów, o których nie wiem wcale. Ty spowiadasz się nieustannie u wybrzeża tysiącem twych ust jęczących, a ja spowiadam się tobie, o wielkie, święte morze, zwiędłemi memi usty. Spowiadamy się jedno przed drugiem. Rozgrzesz mnie, jako ja cię rozgrzeszam. Powróćmy do niewiadomości i czystości. Tak niechaj się stanie.

Cóż uczynię na ziemi? Niechaj powstanie pomnik ubłagalny, pomnik dla wiary, która nie wie. Wieki, które przyjdą, powinny poznać zbożność naszą i nigdy nie rozpaczać. Bóg poprowadził ku sobie maluczkich krzyżowców, przez święty grzech morza; niewiniątka zostały wytępione; ciała niewiniątek będą miały przytułek. Siedm okrętów zatonęło u skały Pustelnika; zbuduję na tej wyspie świątynię Nowych Niewiniątek i ustanowię przy niej dwunastu prebendaryuszów. A ty oddasz mi ciała mych dzieci, o morze niewinne i poświęcone; przyniesiesz je ku wybrzeżom wyspy; a prebendaryusze złożą je w krypcie kościoła; i zapalą nad niemi lampy wiekuiste, w których płonąć mają oleje święte, i będą pokazywali zbożnym wędrowcom wszystkie te drobne kosteczki białe rozpostarte śród mroku.

PRZEŁOŻYŁ
Zenon Przesmycki
(Miriam).

Marceli Schwob.



KSIĘGA II.

A na to samo uderzenie wielkich,
szerokich skrzydeł Czasu, gdy Hyperion
utonął w falach powietrznych, Saturnus
dotarł wraz z Theą do posępnej schroni,
w której Cybelę i innych pobitych
szarpał tytanów żal nad straszną kleską.
Była to grota, gdzie światło zuchwałe
nie mogło padać na ich łzy, gdzie oni
czuli swe jęki, lecz ich nie słyszeli,

bo je tłumiły grzmoty wodospadów
i ciągłe szumy ochrypłych potoków.
Urwiste granie i podarte turnie,
jak gdyby ze snu strzeliwszy do góry,
potworne swoje wysuwały wierzchy
i fantastycznych tysiącem załomów
dziwnie stosowne tworzyły sklepienie
dla tego gniazda boleści. Tytani,
zamiast na tronach, siedzieli na twardych
piargach krzemiennych, albo spoczywali
na ostrych głazach i na najeżonych
kruszcami złomach łupkowych. Nie wszyscy
byli tam razem; jednych udręczały
ciężkie kajdany, inni gdzieś błądzili.
Coeus i Gyges oraz Briareusz,
Porfirion, Dolor i Tyfon i inni,
najodważniejsi, najzuchwalsi w szturmie,
znosili karę straszliwą w regionach,
w których zamierał im oddech. Więzieni
w żywiołach mroków, zgrzytali zębami,
a wszystkie członki ich, podobne żyłom
jakiegoś kruszcu, leżały bez ruchu,
powykręcane albo wyprężone;
tylko ich serca, strasznym żarte bólem,
febrycznych ogni pełne, głośno biły
pulsem krwi wrzącej. Po świecie szerokim
gdzieś się błąkała Mnemosyne; Febe
błądziła zdala od swego księżyca;
i wielu innych nawykło wędrować
po różnych stronach, lecz dzisiaj znaleźli
schron tutaj straszny. I porozrzucane
leżą naokół te obrazy życia,
ogromne, martwe, niby druidyczne
głazy na smutnych, opuszczonych bagnach,

kiedy w posępny czas listopadowy
deszcz zacznie padać pod wieczór, a niebo
w mrok ich ołtarne otula sklepienia.
Każdy miał tutaj swoją ustroń własną
i ni spojrzeniem, ni słowem, ni jakimś
rozpacznym czynem, nie zwracał się wcale
do swych sąsiadów. Jednym z nich był Kreus.
Jego potężna, żelazna maczuga
leżała przy nim, a głaźne, strzaskane
żebro opoki świadczyło wymownie,
jaką miał w duszy przewspaniałość siły,
nim padł, zwyciężon, w smutku i żałobie.
Drugim był Japet, trzymający w garści
śliski kark węża: temu żądłowaty
z gardzieli zwisał język, zasię kręgi,
wzdłuż rozprężone, opadły zdrętwiałe:
dziś już ten potwór nie mógł bryzgać jadem
w twarz zwycięzkiego Jowisza. Tuż obok,
twarzą do ziemi, leżał Kottus, czaszką
bijąc straszliwie o krzemienne głazy,
usta z cierpkiego wykrzywiając bólu
i przewracając oczyma. Opodal
widziałeś Azyę, Kafa olbrzymiego
potężną córkę, co, chociaż niewiasta,
o wiele więcej matce swej, Tellurze,
sprawiła cierpień, niż który z jej synów.
Więcej zadumy było w jej obliczu,
niźli męczarni, gdyż wzrokiem proroczym
widziała przyszłą swą świetność: w palm cieniu
przez jej szeroką wyobraźnię rosły
na świętych wyspach Oksu i Gangesu,
współzawodnicząc w mocy i ogromie,
wielkie przybytki, wspaniałe świątynie.
Jak się Nadzieja wspiera na Kotwicy,

tak też i ona, aczkolwiek mniej wdzięczna,
stała oparta na zębie, wypadłym
przenajwiększemu z jej słoni. Ponad nią,
na stromej turni, leżał wyciągnięty,
wsparty na łokciach, chmurny Enceladus.
Dawniej łagodny był on i spokojny,
jak wół pasący się na kwietnych błoniach,
nierozsierdzony przez nikogo; teraz,
wściekły jak tygrys, jak lew, knowający,
myślał i dumał, snuł jakoweś plany;
on to niedawno rzucał naokoło
góry na góry, w długiej wojnie bogów
młodsze smagając bóstwa, że, spłoszone,
kryły się w zwierząt i ptaków postacie.
Obok był Atlas; przy nim ojciec Gorgon,
Forkus, na wznak się położył. W sąsiedztwie
był Oceanus i Tethys. W spowiciu
włosów na łonie jej łkała Klymene.
A śród nich wszystkich Themis — u stóp Opsy,
onej królowej, osłoniętej mgłami,
nie więcej oczom widzialnej, niż ciemne
wierzchołki świerków, gdy je noc głęboka
otuli w chmury. Było-ci tam jeszcze
i wielu innych, których nie wymienię.
Bo kiedy Muza wzniesie się na skrzydłach
w wyże powietrzne, któż wstrzyma jej loty?
A teraz śpiewać musi o Saturnie
i towarzyszce jego, którzy chwiejnym
wydobywali się krokiem z głębiny
straszliwej puszczy. Ponad ciemną turnią
pojawiły się ich głowy; ich postać
rosła i rosła, aż się krok ich zrównał
z poziomem szczytu i spoczął. I wówczas
Thea, ramiona rozpostarłszy drżące

wkrąg nad tem gniazdem katuszy i z boku
wlepiwszy oczy w oblicze Saturna,
ujrzała ciężką w niem walkę. Najpierwszy
z pomiędzy bogów zmagał się z wszelaką
słabością bólu, gniewu, przerażenia,
zemsty, wyrzutów, żalu i nadziei,
ale najbardziej z rozpaczą. Daremnie
walczył przeciwko tym plagom, albowiem
na głowę jego polało już Fatum
olej śmiertelny, jad, co mu odbierał
piętno boskości; i Thea, przelękła,
dała mu spokój, puściwszy go naprzód
między olbrzymów zwyciężone plemię.

Jak między nami, śmiertelnymi ludźmi,
serce, dotknięte bólem, jeszcze bardziej
rwie się i szarpie, jeżeli się zbliża
do progów domu, gdzie serca boleją
równem cierpieniem, tak i Saturn, wszedłszy
między pobitych, o mało nie upadł.
Ale się spotkał z okiem Encelada,
a wyraz mocy i czci, w niem zawarty,
przejął go niby natchnieniem. I krzyknął:
„Patrzcie, tytani, na boga waszego!“
I na to jedni zajękli, a inni
z miejsc się porwali na nogi, znów inni
ten sam ze siebie wyrzucili okrzyk,
lub wybuchnęli płaczem albo skargą,
a wszyscy z czcią się skłonili przed bogiem;
i Ops, zasłony uchyliwszy czarnej,
skroń ukazała bladą, zgasłe lica,
i wielkie łuki brwi, i głębię oczu.

Szumy powstają w ciemnych wierzchach świerków,
gdy Zima głos swój rozpuści; szmer idzie
po nieśmiertelnych, kiedy Bóg do góry
podniesie palec na znak, że w tej chwili
obciąża język swój ciężarem myśli,
muzyką grzmotów i błyskawic: szmer ten
jest jak ów poszum w ciemnych wierzchach świerków.
Gdy ten zamilknie w swoim górskim świecie,
żaden już podźwięk nie nastąpi po nim;
ale gdy tutaj, między pobitymi,
szmer ów przystanął, począł głos Saturna
rość niby organ, który wraz na nowo
brzmieć rozpoczyna, kiedy przygłuszone
przestaje drżeć już powietrze od srebrnych,
nagle urwanych brzmień poprzednich... Oto
jak głos ten zwolna wzmagał się: „W mem sercu,
które jest własnym swym sędzią, nie mogę —
nie umiem znaleźć przyczyny, dla czego
to nas spotkało. Nie mogę jej znaleźć
ani w legendzie o pierwszym z dni świata,
zawartej w księdze o stronicach z ducha,
którą Uranus gwiaździsty swym jasnym
zratował palcem od brzegów ciemności,
kiedy ją chciały lekko wzdęte fale
pogrążyć w swoich półmrokach — w tej księdze,
którą wy znacie, a którą dla siebie-m
za silny wybrał podnóżek: niestety,
jak mało silny! W znakach, ni symbolach,
ani we wróżbach żywiołów, powietrza,
ognia, i wody, i ziemi, — w pokoju,
wojnie czy sporze wzajemnym jednego
przeciw jednemu, dwóm, lub trzem, lub wszystkim,
albo gdy każdy poszczególnie walczy
z trzema drugimi, jak ogień z powietrzem

głośno się zmaga, kiedy strumień deszczu
zalewa obu i obu przyciska
do twarzy ziemi, przyczem, skoro znajdą
siarkę, poczwórna już tym biednym światem
wstrząsa i szarpie nawała, — w tej nawet
potwornej walce, z której potrafiłem
głęboką czerpać naukę, nie umiem
znaleźć powodu, przecz to nas spotkało:
Nie, nie! Choć śledzę, choć ślepię, nieomal
omdlewający, nad księgą natury,
nad rejestrami wszechbytu, nie mogę
dotrzeć do przyczyn, dla których wy, bóstwa,
wy pierwsi z widnych, dotykalnych bogów,
tak-eście marnie ulegli tej sile,
co, gdy ją z waszą porównać, nie wzbudza
żadnego strachu... A jednak leżycie
przezwyciężeni! pobici! w pogardzie!
Mówię: „powstańcie, tytani!" — jęczycie.
Mówię: „w proch z wami!" — jęczycie! Cóż czynić?
O wielkie niebo, Ojcze niewidzialny!
Cóż ja wydołam? O bracia bogowie,
wskażcie mi drogę, jak bojować mamy,
jak mamy gniew swój ukoić szalony!
Podajcie radę! łaknie jej zgłodniałe
ucho Saturna. W tobie, Oceanie,
mieszka rozwaga, szczytna i głęboka;
z podziwem patrzę, jak na licu twojem
myśl natężona rodzi pewne siebie
zadowolenie: dopomóż! dopomóż!"

Tak skończył Saturn; a wówczas bóg morza,
mędrzec-sofista, nie z gajów ateńskich

czerpiący wiedzę, lecz z mroku wód swoich,
wstał, z nieociekłym naokoło włosem,
aby poszeptem, który język jego
chłonął, w swych pierwszych wysiłkach, jak dziecko,
od tych pieniących się piasków nadbrzeżnych,
taki rozpocząć rozhowor: „Bogowie,
wy, którzy własnym dławicie się żalem,
szarpani gniewem, pożerani złością,
w kurczach ginący z tej bolesnej klęski,
przytępcie zmysły, ten swój słuch przytłumcie,
gdyż w moim głosie nie grzmi zapalczywość!
Przecież, kto pragnie, niechaj mnie wysłucha:
albowiem chcę wam dać dowód, jak chętnie
każdy się ugiąć powinien; a wiedzcie,
że w tym dowodzie niosę wam pociechę,
jeżeli czerpać chcecie ją z tej prawdy.
Prawo natury zmogło nas, nie siła
gromu lub Zeusa. O wielki Saturnie,
wszechświat atomów tyś przejrzał najlepiej,
ale żeś królem i że ślepym jesteś
właśnie przez swoją królewskość, dla tego
jedna twym oczom zakryta jest droga,
którą ja szedłem ku prawdzie wieczystej.
Więc przedewszystkiem: jak nie byłeś pierwszą,
tak też nie jesteś potęgą ostatnią
i być nie możesz. Nie jesteś początkiem
ani też końcem! Chaos to i Ciemność
stworzyły światło, ten najpierwszy owoc
wewnętrznych bojów, ponurych zaburzeń,
dojrzewających dla celów przedziwnych.
Nadeszła chwila dojrzenia, z nią światło —
i światło, z własnym skojarzone stwórcą,
wydało wszystką bezmierną materyę.
I objawili się nasi rodzice —

Niebo i Ziemia — w tej samej godzinie,
a potem świata objęliśmy władzę —
ty, pierworodny, i my, ród olbrzymów.
Teraz ból prawdy idzie, jeśli komu
będzie on bólem! Szaleństwo! Boć przecie
z spokojem znosić wszystką prawdę nagą
i wszystkie losy to szczyt wspaniałości!
Baczcie, co mówię: Jak Niebo i Ziemia
wżdyć doskonalsze, niż Chaos i Ciemność,
choć i te ongi miały panowanie;
jak zasię po nich widzimy Niebiosa
i Ziemię w kształtach potężne i piękne,
w woli i czynach wolne, a łączliwe,
oprócz tysiąca innych, jawnych znaków
czystszego życia, tak dziś w nasze ślady
wstępuje świeża, piękniejsza potęga,
z nas urodzona i na to, ażeby
wzbić się nad nami, jako myśmy ongi
zmogli chwalebnie dawną moc ciemności.
A przeto klęska nasza nie jest większą,
niż bezkształtnego upadek Chaosu,
sprowadzon przez nas. Czyż ta bryła gleby
może urągać lasom, które sama
wyhodowała i ciągle hoduje,
a które od niej tyle czarowniejsze?
Czyż może ona nie uznać przewagi
zielonych gajów? Albo czyliż drzewo
śmie gołębicy zazdrościć, że grucha
i że na śnieżnych polatuje skrzydłach,
kędy jej wola, gdzie ma rozkosz swoją?
My to jesteśmy jak te drzewa w lesie,
tylko że z naszych wspaniałych gałęzi
nie wyszły blade, samotne gołębie,
lecz złotopióre orły, co szybują

w swojej piękności wysoko nad nami
i przez to muszą panować, albowiem
takie jest prawo: Kto pierwszy pięknością,
ten ma być pierwszy i władzą. Zapewne,
przez to odwieczne prawo tak się stanie,
że nowe plemię wtrąci kiedyś w smutek
naszych zwycięzców, jaki nas dziś gniecie.
Czyście widzieli wóz młodego boga,
co moje zabrał dziedzictwo?.. Słuchajcie,
czy widzieliście to jego oblicze?
ten wóz, naokół bryzgający pianą,
zaprzężon w lotne, skrzydlate rumaki,
stworzone przezeń samego? Jam widział,
jak mknął po gładkiej, spokojnej przestrzeni,
z ogniami takiej piękności w źrenicach,
żem smutne zaraz rzucił pożegnanie
swemu Królestwu. Smutnie-m się pożegnał
i oto-m przybył, ażeby zobaczyć,
jak bezlitośne przemogły was losy
i czy nie mógłbym dodać wam otuchy
w tym strasznym bólu. Przyjmijcie tę prawdę
i niechże ona będzie wam balsamem."

A kiedy przebrzmiał szept Oceanowy,
umilkli wszyscy — z gniewu, czy dla tego,
że ich przekonał i zawstydził? Jakaż
myśl to odgadnie, choćby się najgłębiej
zastanowiła? Przecież tak się stało,
że nikt doraźnej nie miał odpowiedzi,
oprócz Klymeny, na którą nie zważał
żaden z obecnych. Lecz i ta nie na to
poczęła mówić, aby odpowiadać,

tylko, z przedziwną łagodnością w oku
na zasmuconych spoglądając bogów,
taką wargami poczerwieniałemi
zaniosła cichą, bojaźliwą skargę:
„Ojcze! jam tutaj najsłabszym jest głosem
i wiem jedynie to, że znikła radość
i że ból wpełznął do naszego serca,
aby w niem zostać, ach! może na zawsze!
Nie chcę być wróżką złego, jeśli mniemam,
że takie słabe mogłoby stworzenie
odwrócić pomoc, która się nam z prawa
od bóstw należy wszechwładnych. Pozwólcie
wyjawić przecież mą troskę, pozwólcie
powiedzieć sobie, co doszło mych uszu,
co mi wyciska łzy i przekonywa,
że nas już wszystkie odbiegły nadzieje!
Stałam na brzegu, na uroczym brzegu,
dokąd z krainy ciszy, drzew i kwiatów
zalatywały przewonne powiewy.
Wszystko spokoju pełne i rozkoszy
jak ja cierpienia — tak pełne radości
i rozkosznego, łagodnego ciepła,
że serce moje poruszyła żądza,
by lżyć samotność, aby jej złorzeczyć
pieśniami skargi, muzyką tych naszych,
nieszczęsnych bolów. Siadłam, wzięłam konchę
i jęłam szepty przelewać w jej wnętrze
i snuć melodyę — o, już nie melodyę!
Bo gdym śpiewała, głuche muszli echa
śląc nieudolnie na tchnienia powietrzne,
z przeciwnej strony, od wyspy lesistej,
oblanej wodą, dźwięk przypłynął ku mnie
z pogwarem wiatru — dźwięk tak czarujący,
że mi zagarnął słuch i porwał całą.

W piasek rzuciłam swą konchę, a fala
wraz napełniła jej wnętrze, jak moje
napełniał zmysły pogłos tej złocistej,
nowej melodyį. W każdym rajskim dźwięku
śmierć była żywa, — w każdym ich strumieniu,
które płynęły wciąż, jeden za drugim,
i znów się razem zlewały, jak perły,
kiedy się sypią z przerwanego sznura.
I potem znowu jedna pieśń za drugą
poczęły krążyć naokół mej głowy,
niby gołębie, które pofrunąwszy
z swoich gałęzi oliwnych, muzykę
mają w swych skrzydłach, zamiast piór milczących,
i o chorobę wnet mnie przyprawiły —
razem: z zadrości i bólu. Ból przemógł,
i odurzone zatkam sobie uszy,
gdy wtem, pomimo drżących rąk oporu,
przedarł się ku nim głos przenajdźwięczniejszy,
głos wołający: „Młodzieńczy Apollo!
Apollo! młody, jutrzniany Apollo!“
Chciałam uciekać, lecz głos mnie doścignął,
Głos wołający: „Apollo! Apollo!“
O ty! mój Ojcze! o bracia! gdybyście
czuli mą boleść, gdybyś ty, Saturnie,
czuł, co ja cierpię, nigdybyście moich
nie potępili słabych słów, że śmiały
mieć uroszczenie, by je wysłuchano.“

Głos jej popłynął jak potok lękliwy,
który, krzemiennem wlokąc się łożyskiem,
boi się spotkać z morzem; ale morze,
wraz go spotkawszy, zadrżało: potężny

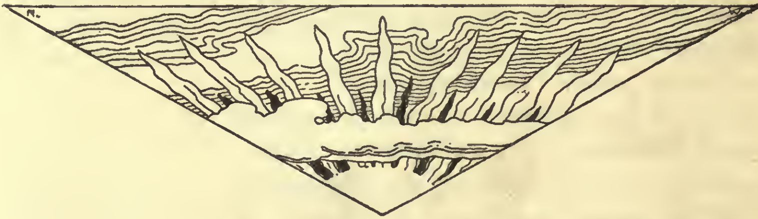
*głos Encelada wielkim wezbrał gniewem:
Jak głuchy łoskot fal w napół ukrytych
jaskiniach turnic, huczały bałwany
ciężkich wyrazów, które z swego łona
wylewał, wsparty na łokciach — nie wstawał
z wielkiej pogardy: „Mamy-li, bogowie,
słuchać tu dzisiaj olbrzymów przemądrych
czy też przegłupich? Piorun za piorunem,
do ostatniego wyrzucan z zbrojowni
zdrajcy Jowisza, jeden świat za drugim
na moich piętrząc ramionach, niewiększą
sprawił mi boleść, niż dziecinne słowa
śród tych straszliwych pogromów. Tytani!
zbudźcie się ze snu! krzyczcie! drżyjcie! ryczcie!
Zapomnieliście o tych ciszach krwawych?
O tych hańbiących policzkach? Was wszystkich
zmiażdżyło ramię dzieciucha! Słyszycie?!
A ty, wrzekomy władco wód, czy dzisiaj
już zapomniałeś płomiennych błyskawic,
które smagały twe morza? Co? jakto?
Więc z odrętwienia mogło was obudzić
te kilka prostych słów mych? O radości!
Teraz ja widzę, żeście nie zgnębieni!
Teraz już widzę, jak oczu tysiące
goreją żądzą odwetu!" To mówiąc,
wyprężył w górę swą postać olbrzymią
i, wstawszy z miejsca, tak przemówił dalej:
„Teraz jesteście płomieniami, ja was
nauczę palić, ja wam dziś pokażę,
jakby od wrogów oczyścić powietrze,
jak porozżagwiać krzywe ognia groty,
i jak spopielić wzdęty obłok Zeusa,
jak młodzieniaszka tego w jego własnym
zdusić namiocie. O, niechaj odczuje*

zbrodniczą krzywdę, którą nam wyrządził.
Bo chociaż gardzę słowem Oceana,
ja nad czemś więcej boleję tu dzisiaj,
niż nad utratą królestwa: minęły
chwile spokoju i senliwej ciszy —
chwile, tak obce niweczącym walkom,
gdy wszyscy niebios nadobni mieszkańcy
schodzili ku nam z rozwartą źrenicą
słuchać słów naszych. Było to, gdy jeszcze
nie marszczyły się gniewnie wasze czoła,
gdy usta wasze znały li jedynie,
solenne dźwięki; było to, gdy jeszcze
nie było znane skrzydlate zwycięztwo,
bądź utracone, bądź też odniesione.
A pamiętajcie, że dotąd Hyperion
nie uległ hańbie, brat nasz najjaśniejszy,
o, tak, Hyperion — oto jego promień!“

Wszystkich się oczy zwróciły ku licom
Enceladowym, i gdy z ust tytana
ku szczytom turnic popłynęło imię
Hyperiona, spostrzegły, jak bladym
przebłyskiem światła drgały jego rysy.
Nie było w rysach tych gniewu, bo widział,
że inne bóstwa tak samo płonęły
żądzą pomszczenia. Spojrzał po nich wszystkich
i w twarzach wszystkich dostrzegł promień blasku.
Ale najbardziej gorzał Saturn stary;
włos jego siwy lśnił się jako piana,
obryzgująca wokół piersi statku,
kiedy północą wjeżdża do zatoki.
I tak w tej bladej, srebrnej stali ciszy,

gdy światło jakieś, by odbrzask poranku,
przenikło naraz wszystkie strome skały,
wszystkie posępne schronie Zapomnienia,
wszystkie cieśniny, wszystkie przepadliska,
wszystkie te turnie, wszystkie czarne głębie,
żleby milczące, albo też ochrypłe
od rozhukanych, szalonych potoków.
I nagle wszystkie wieczne wodogrzmoty,
wszystkie siklawy, dalekie i blizkie,
przedtem w posępne otulone mrocza,
zalśniły w świetle w całej swojej grozie!
Był to Hyperion: jaśniejącą stopę
na granitowym postawiwszy szczycie,
ujrzał niedolę, którą światłość jego
w straszliwszym jeszcze ujawniła kształcie.
Włos miał złocisty, na wzór numidyjskich
skręcony puklów, a majestatyczna,
królewska postać rzucała olbrzymi
cień śród swej własnej jasności, by ogrom
głazu Memnona przy zachodniem słońcu,
widzialny oczom wędrowca po Wschodzie.
I jęk wydawszy, jak harfa Memnona,
i załamawszy ręce, zamyślony,
stał tak milczący w głębokiej zadumie.
Zwątpienie zdjęło powalonych bogów,
kiedy przy sobie króla Dnia ujrzeli
pozbawionego otuchy: i lice
zakrył niejeden przed tą falą światła.
Lecz Enceladus dumnem powlókł okiem
po swoich braciach, a na błysk tych źrenic
podniósł się Japet, i Kreus, i Forkus,
i wszyscy razem zwrócili swe kroki,
kędy on wielką wystrzelił postacią.
I czterej razem wywołali głośno

imię Saturna, a na to Hyperion
ze swego szczytu odkrzyknął: „Saturnie!“
Saturn zaś siedział obok Matki bogów,
w obliczu jego nie było radości,
jakkolwiek wszyscy bogowie z głębokich
poczęli wołać gardzieli: „Saturnie!“



PRZEŁOŻYŁ
Jan Kasprowicz.

John Keats.

Z utworów Wasyla Stefanyka.



DZIADEK.

Odłożył grabie, usiadł na miedzy, lulkę zapalił i jął sam z sobą rozmawiać. Z początku pocichu, a potem głośno.

— Trochę trza spocząć, bo pokaż się jeno w domu, zaraz ci znajdą robotę. Synowa, aby zdrowa, zaraz rzeknie: Nie siedźcie-ż darmo, dziadku...

— A Bóg mi świadkiem, że ledwie przebieram członkami. A ręce, patrz, jak zgrzebło, a już cały miesiąc się nie goliłem, a do cerkwi pono ścieżki zapomniałem. W czem pójdę, kiedy mi wszystko zabrali?

Głos dziadka wędrował po polu, z miedzy na miedzę. Ludzie się zglądali. A on nie przestawał się skarżyć.

— Ech, dzisiaj - ci dzieci! Ale ja, dziękować Bogu, pamięci nie utraciłem jeszcze, pamiętam-ci ugodę notaryalną. Suchutki był panisko z bródką ten notaryusz.

On-ci tak synowi tłómaczył. Dla dziadka, mówi, dopóki żyć będzie, ma zostać pościel, on ma na niej spać, wylegiwać się, aby nawet do wschodu słońca. A gdy go na ławę położycie, powiada, i ziemią przysypiecie, wtedy dopiero przenoś się ty z ławy na dziadka pościel. A dla baby, mówi, ma pozostać zapiecek, na nim niech się wygrzewa, niech się Bogu modli, a gdy ją umyjecie i ręce na krzyż jej złożycie, wówczas niech synowa na zapiecek lezie.

Jesienny wiatr igrał z siwym włosem dziadka.

— Ale niech-no notaryusz pod wieczór zaglądnie do chaty. Syn na pościeli, synowa na zapiecku, a ja ze starą na ziemi, na słomce się walamy. A to sprawiedliwie! A gdzież jest Bóg? Pono u tych ludzi niema Boga w sercu, och, niema...

Głową kiwał, że młodzi ludzie w sercu Boga nie mają.

— Gińcie, staruchy, szkoda łyżki strawy dla was. Mleczko spijają, serek zajadają, a my jak szczenięta na nich spozieramy. A ja im dał krówkę, dał owieczkę, dał pług, wszystko dał. Ludzie dają, i ja dałem. A dzisiaj oni powiadają: wy starzy, słabi — to jedzcie mało. Tak powiadają nam nasze dziatki.

Głos dziada drgnął, i dziad umilkł.

— I jak psów nas pogrzebią, dalibóg, nawet buta na nogi nie wdzieją...

Gromada bocianów zleciała na oczeret i zatrzepotała nad dziadem skrzydły, aż się przeląkł. W ciepłe kraje do odlotu się gotowały.

— Oho, już jesień. Tak, tak, niebawem będziemy mieli Boże Narodzenie...

— Chociaż ptak, ale rozumne stworzenie, tylko, że nic nie mówi. Jemu źle, i szuka sobie lepszej przystani. W zimie żab niema i zimno. A ono wie naprzód. Nie tak, jak człowiek, co musi biedować na jednem miejscu.

Wstał z miedzy, lulkę schował, wziął grabie i puścił się do domu. Jeszcze kilka razy obracał się, by popatrzeć na bociany. Wreszcie stanął.

— Nie wiedzieć, czy ze starą doczekamy, aż wrócą? Pono któreś z nas się minie, pono już bocianów nie ujrzymy.

SKON.

Gdy nadeszła głucha jesień, gdy z lasu liście opadło, gdy pole okryły czarne wrony, wtedy do starego Łesia śmierć przyszła.

Umierać trzeba każdemu, śmierć nie straszna, ale długo leżeć — męka. I Łeś męczył się. Chora wyobraźnia unosiła go w jakiś inny świat, a potem wyrzucała go z niego. A ten inny świat był boleśnie dziwny. I niczem Łeś nie mógł się oprzeć temu światu, tylko jednemi oczyma. Dlatego też owemi błyszczącemi, zmęczonemi oczyma imał się maleńkiego kagańca. Chwytał go się, trzymał, i wciąż się lękał, że powieki zamkną się, a on się stoczy w bezdenną otchłań.

Przed łóżkiem jego, na ziemi, po nieprzespanych nocach snem zdjęci, spoczywali rzędem synowie i córki. On się z wysiłkiem imał oczyma kagańca i zmagał się ze śmiercią. Powieki wciąż mu opadały, gdyby ciężar wielki.

Widział dużo dziewczątek na podwórzu. Każda trzyma wiązkę kwiecia w ręce. Wszystkie spozierają na mogiłę, śmierci oczekują. Potem wszystkie zwracają oczy ku niemu. Chmura ócz sinych, i siwych, i czarnych. Chmura ta płynie ku jego czołu, muska je i ochładza...

Przetarł oczy, chwycił między palce żyłę na szyi, bo z karku mu głowę strącała, i pomyślał sobie:

„Patrz, oto anioły przed śmiercią ukazują się.“ A gdy tak myślał, z przed oczu jego uciekł kaganiec.

Pole równe, dalekie, od słońca spieczone. Błaga wody, drży i ziele przygarnia do siebie, by się z niego wilgoci napić. Orze na niwie i rękoma nie może utrzymać czepiela, bo pragnienie go pali w gardle. I woły widać pali, bo nozdrzami ryją wilgotną ziemię. Wypuszcza z rąk czepiele, pada na niwę, a ona go spala na węgiel...

Kaganiec wywiódł go z tego świata.

„I nie raz, i nie dwa bez wody na polu ginąłem, u Boga to wszystko zapisane!“

I znowu stoczył się.

U rogu stołu siedzi nieboszczka jego matka i śpiewa piosnkę. Głos ściele się po izbie cicho i smutnie i dochodzi do jego uszu. To owa piosenka, którą mu matka jako dziecku śpiewała. I on płacze i boleje, i dłońmi łzy uciera. A pieśń matki prosto w duszę idzie, i wszystkie męki z tą pieśnią tam płaczą. Matka dąży ku drzwiom, za nią i pieśń idzie i męki z duszy.

I znowu ukazał mu się kaganiec.

„Matka z tamtego świata ma zejść, by nad swojem dzieckiem zapłakać. Takie boskie prawo.“

Chłód mrozi mu członki, chciał kożuchem je przykryć; wtem zawarły mu się powieki.

Donośne dzwony jęczą i kresami głowy jego dotykają. Głowa trzaska się, z ust zęby wylatują. Serca dzwonów odzywają się, i padają mu na głowę, i ranią go...

Powłóczył strasznemi, nieprzytomnemi oczyma.

„Ślubowałem sobie dzwon zakupić, aby we wsi o pożodze znać dawał, ale ciasne roki były... Przebacz mi, Boże miłościwy!“

I znowu stoczył się w otchłań.

Z góry, z ogromnej wysokości spadają na niego snopy jęczmienia. Padają i zasypują go. Oście lezie mu do ust, do gardła. Pali czerwonemi igłami, i zbiega się koło serca, i piecze piekielnym ogniem, i żga w samo serce...

Otworzył oczy już martwe i bezświetlne.

„Marcinowi nie dawali zarobionego jęczmienia i ten jęczmień śmierć mi sprowadza.“

Chciał dzieci zawołać, aby oddali jęczmień Marcinowi, ale krzyk przez gardło nie mógł się przecisnąć, tylko niby gorąca smoła po ciele się rozchodził. Wywiesił czarny język, wetknął w usta palce, aby wydobyć głos z gardła. Ale zęby zawarły się i ścisnęły palce. Powieki opadły.

Okna otwierają się w chacie. Do chaty wsuwa się biała płachta i snuje się bez końca i miary. Jasno od niej, gdyby od słońca. Płachta spowija go jak maleńkie dziecko, naprzód nogi, a potem ręce, plecy. Mocno. Jemu lekko, lekko. Potem włazi do głowy i łaskoce mózg, wciska się w każdy staw i miękko wyściela. A pod koniec obmotuje gardło coraz silniej, coraz silniej. Obiega gdyby wiatr dookoła szyi i obmotuje, obmotuje...

SZARA GODZINA.

Nie mógł usiedzieć: coś pędzało go od ściany do ściany. Chodził tylko wciąż po izbie. Meble i kąty zacierały się i ginęły w zmroku wieczornym. Grzebał we wspomnieniach z lat dawnych.

— To owa chwila, w której dzieci małe wybiegają z izby na łąkę i bawią się wesoło i żwawo. O tej porze

dziewczęta nie chcą pędzić bydła do domu, bo mówią, że gdy zorza wieczorna wychodzi na niebo, to głos się na rosie ściele, i śpiewają, aby głos się słał. A w zimie, matki kądziel przędą i śpiewają swe panieńskie piosenki, ale tak smutnie, jakgdyby tęskniły za laty młodemi. A dzieci kupią się, szepcą za piecem i zasypiają bez wieczerzy. Dziwną jest szara godzina.

Chodził i tarł ręką czoło, jakby w czaszce chciał zamknąć wszystkie myśli, aby mu się nie wymknęły, bo pragnął gorąco je sobie przypomnieć.

— Ciekaw jestem, co też on porabia? Takim był szczerym przyjacielem. Pamiętam dobrze, jak raz siedziałem u niego w ogrodzie. Mówił, zda się, wtedy o białych chmurkach. Biała chmurka, mówi, ze złotemi brzegami przesuwa się po niebie, gubi białe lilie, i idzie dalej, i sieje, sieje mnogo tego kwiecia po sinem niebie — a za godzinę niemasz ani chmurki, ani lilij. Tylko błękitne niebo marszczy się, jak błękitne morze. Prawda, czegoś wtedy się smucił...

Chodził. Oczy łagodniały mu jak u dziecka.

— Ach, już zapomniałem ciąg dalszy. Zapominam pieśni matczyne! A do niedawna je pamiętałem. Zaraz. Pędzałem z Marylą owce w pole, na łąkę. Maryla wyszywała sobie rękawy w fasolki. Fasolki wyszywała na czerwono, ogonki na sino, a wolną między fasolkami przestrzeń obrzucała czarną włóczką. Musiałem owce zawracać, bo Maryla starszą była. Jedna srebrzysta owca była niesforna. Żadnej grzędzie nie darowała. Zrzuciłem krajkę z siebie i spętaliśmy ją. Był spokój. Biegałem nieopasany popod wierzbami, gwizdałem i hałasowałem na całe pole. Potem Maryla mnie jeść zawołała. Jedliśmy chleb i ser z listka...

Usiadł na fotelu. Wspomnienia z lat dziecińśtwa

gnały go, jak sen, na kwieciste jakieś łąki. Mnogo kwiatów, ziela, tylko rwać, rwać...

— Potem macierz przyszła do nas. Wracała z pola, bo nosiła jeść robotnikom. Dała nam mleka i oglądała rękawy Maryli. Upominała Marylę, aby nigdy nie brała po trzy nitki, tylko po dwie poza igłą, bo fasolki będą brzuchowate. A mnie mówiła, abym nie staczał się z góry, bo podrę koszulinę, albo sobie brzuch pokaleczę. „Nie swywol, chłopcze, nieopasany, jak koń po polu, ale siedź sobie koło Maryli i owiec pilnuj!“ A ja sobie leżałem koło matuli i biłem nogami o trawę, a matula mówiła: „Czy nie możesz chwilki cicho posiedzieć?“ Wtem zleciał bocian i chodził koło nas. Matka wzięła mię na kolana i poczęła śpiewać:

Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi.

Pogrążył się w myślach, aby przypomnieć sobie dalszy ciąg pieśni, i nie mógł! Oczy mu posmutniały.

— Zaraz, zaraz. Matka poszła do domu, a jam biegał do wieczora za bocianem i śpiewał: „Oj, bocianie, nie koś siana...“

Rozpędzał się, jak chłopak, co chce rów przeskoczyć i zawsze nad samym jego brzegiem się zatrzymuje.

Pierwsze słowa pieśni wygłaszał głośno, ale dalszego ciągu nie zdołał sobie przypomnieć. Westchnął. Czarna obwódka koło oczu jeszcze bardziej poczerniała.

— Mój Boże, nie mogę uchwycić wątku tej nici, co się urwała! Urwała się już wtedy, kiedy matka myła mi nogi i wydzierała czyste onuce ze starej koszuli, a ojciec buciki czyścił. Płakaliśmy wszyscy wówczas, bo wyprawiali mię w świat na naukę. I chodziłem po świecie,

i giąłem się, jak łozina, dla kawałka chleba, i czułem na sobie setki ócz dumnych.

Ruszył ręką, jakby chcąc odpędzić od siebie te dumne oczy.

— Po latach przyjechałem w odwiedziny do matki. Ojciec już nie żył. Macierz zgarbiona z' kosturem w ręku siedziała na przyźbie i grzała się w słońcu. Nie poznała mnie. Potem witała się ze mną. „Nasza, synku, Maryla zgasła. Nie pisałam ci o tem, byś się nie martwił. Umierając, ciągle się wypytywała o ciebie. Durzyliśmy ją, że nadjedziesz. I jeszcze tego dnia, kiedy umarła, mówiła, że chciałaby ujrzeć cię bodaj przez okno, bodaj przez próg idącego. I umarła.“ Tak się ta nić urwała.

Nieświadomie powtarzał pieśń matczyną: „Oj, bocianie, nie koś siana...“ Tak z dziesięć razy powtórzył.

— Poszliśmy z matką na cmentarz. Macierz ledwie doszła. „Patrz, synku, oto grób Maryli. Już posadziłam i rutę i barwinek, i krzyż pomalować dałam, ale wisienki jeszcze nie posadziłam, aż w jesieni posadzę.“ Usiedliśmy koło grobu. Matka opowiadała mi o biednej Maryli. Mąż zły, dzieci drobne, bieda w chacie. Wiatr zdmuchiwał z wisien białe kwiecie. Kwiecie padało na grób i na nas. Zdawało się, że kwiecie zrasta się z białym włosem matczynym i że rosa z kwiecia spada na matczyne jagody. Przypomniałem sobie wówczas, jak pasałem owce z Marylą...

Łzy gorące stoczyły się na stół. Wstał i podszedł do okna. Było już ciemno.

— Potem macierz umarła. Grób jej niedaleko grobu Maryli. Kwiat z wisienki matczynej pada na grób Maryli, a z Maryli na grób matki. Raz tam byłem. Siedziałem między temi grobami i przypomniałem sobie pieśń matczyną. Tylko nie mogę przypomnieć sobie dalszego jej ciągu. Posiedziałem trochę i poszedłem

z grobu. Tylko kwiecie wiśniowe z grobów leciało za mną, jak gdyby temkwieci em siostra i matka prosiły, bym nie odchodził...

Jeszcze długo chodził po izbie i szeptał nieświadomie:

Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi — — —

PRZEŁOŻYŁ
Michał Moczulski.

DROGA.

„Idę, matko, idę.“

„Nie chodź, synu, nie idź...“

Poszedł — a droga słała mu się przed oczyma wyraźna, daleka.

Mijał nowe wrota i okna bielutkie.

Kochał swą drogę i nie zbaczał z niej nigdy.

Za dnia była bezbrzeżna jak słońca promienie, a nocą drzemały nad nią wszystkie gwiazdy.

Ziemia kwitła i kwiatem każdym śmiała się do niego. Rwał kwiaty i stroił w nie bujne swe włosy.

Każdy kwiat rzucał mu perłę pod stopy.

Wesołe oczy, a czoło jasne, czyste jak źródło przy drodze leśnej.

I spotkał ludzi.

Po kolana grzęznąc w ziemi, padali i zrywali się w bezmiernej mnogości.

Czarną dłonią pot ścierali z czoła, i potężnemi rękoma ziemi się chwytali.

Znużenie waliło ich na ziemię, dusili dzieci własne pod sobą i ryczeli w bólu.

Podnosili się i znowu padali.

A noc rzucała ich w sen, jak kamienie, jednego przy drugim, obróconych strasznemi twarzami ku niebu, niby morze głów ku morzu gwiazd.

Ziemia jęczała od uderzeń ich serc, a wicher uciekł od nich za góry.

Czytał w tych twarzach; pieśń wielką, bojową w nich wyczytał.

Z warg ich zdjął słowa, z czoła myśl przejął, z serca wyssał uczucie.

A kiedy słońce rodziło się we krwi i oczu ich pocałunkiem dotknęło — wtedy poczęła się pieśń w jego sercu.

Rozśpiewała mu się w duszy jak burza, rozkołysała się jak słowa matczyne.

I stał się dumnym, silnym. Wiatr naginał ku niemu kwiat każdy.

Szedł drogą swą dalej.

Uginała się pod nim jak płótno.

Mijał wrota i białe okna mijał.

I znowu zobaczył ludzi.

Stali ławą. Przed nimi kłosiste morze złota, za nimi dzieci w cieniu snopów.

Prażył ich ogień. Żelazo płakało w ich rękach.

Zbladłe niebios pustynie wisiały bez duszy nad nimi.

Wszyscy byli odziani biało, jak na Wielkanoc.

Ale poznikały snopy nad dziećmi i żar wgryzał się w ich płowe główki.

A oni znowu wżerali się w łany żółte.

Wyczytał ich rozpacz i niemoc.

Na czołach bruzdy tworzyły się jedna przy drugiej. Usta zsychały się, bladły. Żółć zalewała serca.

I pieśń jego duszy zgorzkniała jak ziarno zepsute.

Zmącił się wzrok, a jasne czoło było mętne jak studnia przy drodze upalnej.

Moc jego i duma upadły na twardą drogę.

Struł się.

I leciał drogą jak ptak, co skrzydeł własnych nie czuje.

Na roli młodej, pod tęczą jasną, stała jego miłość. Ziemia upajała się jej białemi śladami.

Wyciągnął ku niej ręce jak dziecko bezradne.

„Pójdź!

„Nie mogę; tyś trucizna.“

Zachwiał się, a kiedy wchłonął w siebie swój wyrok, złożył na czarnej roli okruchy pieśni i powlókł się dalej.

Szedł jak cień spróchniałego dębu o słońca zachodzie.

A droga była mu ciemna, jak niewidomemu młodemu kalece.

Aż dnia jednego potknął się o grób matki.

Z oczyma suchemi zaszlochał i padł.

Czoło zarył w mogiłę i prosił matki. aby nań zawołała dziecinnem jego imieniem.

Jedno słóweczko maleńkie niech wyrzecze.

Prosił długo.

Potem głowę oparł o krzyż i uczuł chłód jego.

Wzdrygnął się, ucałował grób matczyny i jabłoń młodą, i poszedł dalej bezimienny i samotny.

Daruj mi, Boże, resztę drogi mojej, — wszakżem niezdolny iść po niej.

I z grobu na grób przeskakiwał jak suche kwiecie ostu jesienią.

I minął sto grobów, a sto pierwszy był jego własny.

Przytulił się doń jak do łona matki.

ZWIASTUNY.

Wdowy to będą stare, i wnuki ich, i dziadowie, co się koło dzieci swych tulą i co dnia słuchać muszą, jakim ciężarem są w chacie.

Albo młode kobiety z dziećmi małemi, porzucone przez mężów, co po wielkich miastach kędyś o nich pozapominali.

Iść będą w pole czeredą, mijać będą krzyże, nagie, bez zieleni, zostawią za sobą błyszczące, gładkie drogi ubite i włóczyć się będą po ścierniskach posępnych — dzieci szukać będą kłosów, a starzy korzeni zeszłorocznych.

I stary Michał iść będzie z wnukami, z chłopcami dwoma i z Oksanką, najstarszą z rodzeństwa.

Chłopcy jak źrebięta biedz będą przed dziadem albo się w tyle zostawać daleko, a Oksana wciąż iść będzie obok.

Stary niesie nędzną brudną płachtę na plecach i pokasłuje, a Oksana trzyma kromkę chleba w ręce dla chłopców i dla siebie.

Południe stoi nad nimi. I dziad przemówi do Oksany:

— Takie słonko, dziecino, to mróz ma w sobie. —

Iść będą, iść, aż staną na niwie. Dziad zatrzyma się u miedzy. Oksana pójdzie środkiem pola, a chłopcy zaczną szukać po ziemi jam, źródeł przejrzystych, i kozików i batów, które pastuchy pogubiły.

Oksana każdy kłos podniesie, który napotka, i składać będzie do lewej ręki, a kiedy zgrubieje garstka, ułoży ją nad bruzdą, żeby łatwo potem było znaleźć. Szukać będzie po dołkach i rowkach, bo tam kłosów najwięcej. — Sto razy na minutę się schyli i wyglądać będzie jak przodownica. Z czasem zaczną jej przed oczyma biegać plamy żółte i sine, albo jedna połowa łanu wyda jej się jak zwykle, a druga cała zieleniutka. Przystanie, oczy dłonią zasłoni i postoi chwilkę, a potem nagle rękę z przed oczu odejmie, i złudzenie zniknie.

Albo piosenkę zaśpiewa: zanuci ją sobie pocichutku, ze wstydem wielkim i z wielką uciechą, że już śpiewać potrafi.

Ton do tonu i słowo za słowem kłaść będzie z niepewnem drżeniem, jak dziecko maleńkie, co uczy się chodzić i białe nóżęta stawia z radością na ziemi. A co kłos podniesie, to piosenkę przerwie i zacznie nanowo z nowym zapałem.

A dziad rozmyślać będzie, dla czego mu tam coś odetchnąć nie daje; żeby tak rozedrzeć piersi i wyrwać ztamtąd krew zapiekłą, możeby potem żyć się dało jeszcze.

I wyciągać będzie korzenie z ziemi, kasłać i odpoczy-

wać. A przy robocie myśli przychodzić mu będą o wiośnie, o lecie, o zimie.

W głowie mu się zaroi, aż o zbieraniu i kaszlu zapomni.

Jak jest czem w zimie palić, to mniej głodno. Wstaniesz raniuśko, śnieg odmieciesz z przed proga, w czapkę perzu nabierzesz, w piec rzucisz, i zaraz w chałupie weselej.

Kaśka kartofle zwarzy, powstają dzieciska, i już się znajdzie łyżka gorącej strawy dla nich, i piec ciepły, i tobie, dziadu, ciepło między niemi. Nie możesz lepiej, to niech i tak będzie. — Jak perz suchy, to bardzo przydatny. I pocznie wyrywać korzenie z ochotą i z siłą wielką. Ale myśl gonić będzie za myślą, i nie odpędzi ich stary.

Żeby choć doczekać, aż chłopcy podrosną, toby jej się wiodło, bobym to sam między ludzi porozsyłał, żeby na siebie pracowali — a baba głupia co? — co ona wie? — tylko płakać potrafi! Lepiejbym ich na drogę wyprawił niż ona.

Teraz na chłopców zawoła. Przybiegną do niego z wydrążoną dynią.

— Czemu to nie pomożecie Oksanie? Chce wam się jeść? Idźcie, bawcie się przy niej, bo jej się nudzi.

Chłopcy pobiegną do Oksany, a stary dalej snuć będzie myśli.

Zdrowe chłopcy, rosłe, żeby jeno doczekać. Młodszy zmyślny taki, jak stary. Butów się dopomina na zimę, bo, mówi, na piecu mu niedobrze. Tyle z nim pociechy, że jakby mu się zmarło, tobyśmy osierocieli.

Spojrzy na słońce, czy nisko zeszło, i na korzonki, czy ich dosyć zebrał. Potem Oksankę zawoła, aby mu pomogła znosić korzenie i z gliny je otłuc. Naznoszą na jedną kupę i zaczną bić kijami. Słup kurzu nad nimi się wzniesie: dziad się zakaszle, Oksanka oczy zamruży, a chłopcy chleb jeść będą.

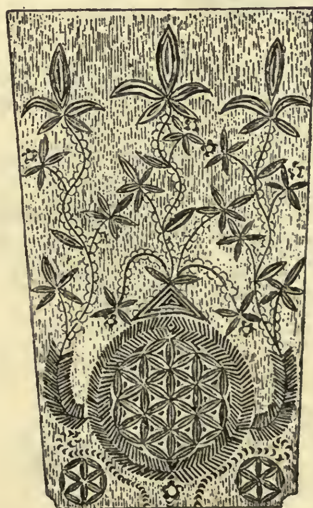
Słońce zachodzić wtedy pocznie. Z siół bliskich przypłyną na łan dźwięki dzwonów i rozścielą się wraz z rosą po rżysku, na drogach beczeć będą trzody i hukać pasterze, na polu oracze pługi z bruzd wyrzucą i do domu zabierać się będą. Szary mrok po dolinach powstanie; wrony do sadu ciągną, psy do chałup uciekają, bo przepiórek już łowić nie mogą po polach.

Stary Michał zacznie się żegnać, i otrzepywać kurz z koszuli, i głośno kasłać. Potem pełną płachtę korzeni napakuje, wnuki mu podadzą na plecy, i wszyscy wyjdą na drogę. Oksana nieść będzie wiązki kłosów, a chłopcy chować za pazuchą korzenie, co z płachty wypadną. Nim do domu dojdą, wypełnią im się pazuchy, a brzuchy od kurzu poczernieją.

We wsi spotkają się wszyscy, i ubogie wdowy, i wnukowie, i dziady, i młode kobiety, co to ich mężowie porzucili — wszyscy z perzem i wiązkami kłosów.

Zwiastuny to, że jesień nadchodzi.

PRZEŁOŻYŁ
Dr. W. M.



Towarzystwo.
(KRONIKA).



Pokój dawszy łowom,
Lew - król, na dziś syty,
Bawił się rozmową z Lisem,
Który chytrze tai
Każde trzecie słowo.
Nie przeto, by sumienie
Miał mieć od Lwa brzydsze,
Ale ot, coś w grdyce
Dławi go, jeśli duszy
Podnieść ma przyłbicę.
Może to wynika ztąd,
Że jeszcze w szkołach będąc,
[jako szczenię,
Wyczytał w jakimś Adamie zwierzęcym:
„Język kłamie głosowi, a głos myśli kłamie.“
Dogmat ten miał w cenie
I nie chciał zbytniem mieleniem języka
Łgarstw przymnażać światu.
Co do Lwa, to jego mość wielmożna,
Wiedząc, że pod winą obrazy majestatu
Nie słuchać ryku jej niemożna,
Wyrazy siała bez liku.

Gwarzyli o polowań ostatnich wyniku,
O zarznięciu świń paru i cieląt kilkorga,
O słuszności żądania od obywateli
Po zającu z morga,
I tak, gadu - gadu,
Ani się obejrzeli,
Jak na szczyty najwyższe
Weszła im rozmowa o tem:
Jak się ku stadu łań
Żerujących skradać,
Jak to serce przestaje bić
Przy lada szmerze,
Jak słodkie rozbestwienia
Widuje dąbrowa,
Jak dymi purpurowa krew
Żłopana żywcem,
Jako matni się strzeże zwierz,
Jak, ranny, chowa
Przed człekiem - myśliwcem.

Wtem w antykamerze — dzwonek.
W jaskinię Żóraw wkracza.
Słynie z poczciwości ptak ten,
Natura prostacza, każdemuby z gardła
Wydłubywał kości,
Jak to było z onym wilkiem,
Który go za to kopnął
Nieco sarkastycznie.

Tak to w życiu mądrze, choć nie ślicznie,
Urządzone: dobra kwarcie
Odpowiada tylaż miarka,
Albo i większa, złego.
Na to się sarka,
To paczy optymizmu idealne parcie,
Które nas upiększa,
Lecz — wyznajmy otwarcie —
Zali można inaczej?
Zda się, ani kapki.

— „A!“ — Lew ryknął — „jest niecnota,

Zajączki młode żrąca, żabki,
Gdy nam ssącym, wyjąwszy może kota,
Ani śni się
Komukolwiek przyśpieszać zgon
W państwie skrzydlatem, —
Czyż nie prawda, Lisie?“

Z Lisem Żóraw jak z bratem.
Bo choć raz na stypie
Lis ptakowi dał barszczu
Z dna płytkiej patery,
A Żóraw Lisa karmił
Z wązkiej szyi dzbana:
Przecie lat już cztery minęło,
Sprawa zapomniana
(Czas wszystko umorzy)
I dzisiaj żyją z Lisem Żóraw nienajgorzej —
Osobno. Tylko tu, społecznie,
Przy Lwie chcąc zaznaczyć
Przedniość swą w dowcipie,
Lis szydzi z nóg Żórawia
I w one go szczypie.
— „Możnaby u szwajcara zostawić te tyczki,
Poniekąd wyjęte z grochu lub fasoli“ —
Rzecze. — „Taka tyka,
Gdy ją ugryźć w piętę,
Uczuwa bóle w kroku zaledwie po roku.“
Ptak za te przytyczki
Kole dziobem napastnika,
Nie chcąc przy Lwie - świadku
Być na ostatku.

Tej krotochwili śmiech towarzyszył
Lwa najłaskawszy.

Po małej chwili
Drzwi gość odmyka nowy:
Wół, zniedawna mąż krowy,
A więc z byka wołem zostawszy,
Lwu przyszedł bić czołem,

Tudzież podanie wnieść najpoddańsze:
Że kiedy ojcem on, Wół, zostanie,
Niech wzgląd na jego przyszłe cielęta
Majestat mieć raczy,
Gdy jego, Wołu, pilność i piecza
Będzie zajęta cnotą swej żony,
I jeśli który z jego smarkaczy,
Niedoświadczony,
Zejdzie mu z oczu;
Lub też odwrotnie — niechaj mu krowy
Nie ukalecza Lew za podatki,
Jeżeli zdybie ją na uboczu.

Rzekł dobrotliwie Lew. — „Widzim radzi,
Żeś nie jest, jako ów Ugolino,
O którym mówi poeta Dante,
Że zjadł swe dziatki.
Dojrzeć małżonki także nie wadzi.
Owszem, *eo instante*
Zakażemy lampartom
Twojej pani czynić wstręty;
Polecimy wszystkim wartom
Psów, szakali
Straż i baczność nad cielęty.
A propos, ileż tego macie na pociechę?“
— „Nic, ale pragnę mieć przychówek spory.“
— „To ci się chwali!“ —
Oznajmił jaśnie-Lew, i wąs kręty
Zadrgał mu śmiechem,
Grzecznie pokrytym dworną radością,
Bo właśnie robić honory gościom
Wypadło innym.

Słoń baletowym zbliżył się chodem,
Jak gdyby wcale bez utrudzenia
Nóg dźwigał pale
I, niby kłodę, tułów, na którym
Siedziała Wrona.
Ta, po przywitań ceremoniale,
Najtroskliwiej zaraz czyni

Brudy na inwentarzu ruchomym jaskini.
Co widząc, Lew oświadcza wszem,
Że kona z nudy,
Że wrota każe zamknąć,
By mu niechlujna, ze swym nieładem,
W dom tu hołota
Nie nałaziła;
Lecz — że pijana
Może przystojniej zabawi pana, —
Prosi obecnych tu — na biesiadę.

Ruszyli do Wieprza
Społecznem stadem,
Gdzie wino najwystalsze,
Gdzie wódka najkrzepsza,
Gdzie najskuteczniej pęczniał zwierz,
Spit piwy.

Szli w parze: z Wroną Żóraw,
Prawiący jej o krajach dziwy,
Które poznał w przelotach był,
Za dni tułactwa.
O grze fal barworodnych plótł,
O morza woni, pędzie, wrzeniu,
Szumie wiatru w górnych lotach,
O *table d'hôte*'ach błót przygodnych,
O krzykliwem i hardem upierzeniu ptactwa
Puszcz niegwałconych, pól niedartych broną,
I o innych rozkoszach
Doznanych w wędrówce.

Wrona surowo gromiła mówcę:
Że to — powiada — morze, woń, kwiaty,
Wiatry tułacze —
Wszystko jest marność.
Najlepsza czarność, bo nie wymaga
Blasku ni mycia.
Dobra jesiennych pól szarość naga,
Gdzie mgła, osiadłszy, na trawach, płacze
I ścierwo leży w stanie pół - zgnicia.
„Dobrze jest krakać za wsią, na płotach,

Czekając zimy,
Miły też wronom zaór ozimy,
Którego lubość podzielam z Wołem.“ —

Wół z Lwem szli społem.
O cnotach mówiono rodzin,
Gnoju, trójpolówce,
O cielętach, krówce...
(Wół Lwu się zwierza, iż dzieci —
Cała poezya zwierza,
Której trwanie byłoby dłuższe,
Gdyby nie rzeźnik i wychowanie).

Ze Słoniem Lis na bakier
Wlekli się, jak stadło,
Któremu się wielbienie
Nawzajem przejadło.
Bo Słoń czci postęp, Lis — dusza dzika,
Słoń kły wyszczerza,
Lis trzyma je w paszczy,
Więc przymierza niema.

Przybyli. Tu z Wieprzem dawno
I za pan-brat już piła Hyena —
Zwierz, towarzystwu rad,
Samotności nie znosi,
W pobliżu wielkich stad się słania,
Gdzie od bójek i kochania
Ziemia się trupami kłosi,
Na trupy — kat.

— „Ja funduję!“ — Lew ryknął. — „*Veritas in whisky!*
Nuże tam, fagasa!
Śledź, ośle, mięso, picie i wety — piorunem!
I likwory z kawą,
Kto chory, ma *vichy*.
Dalej, lać wam w pyski?
Sami? Wyśmienicie!
Jeszcze kolej!.. Jeszcze!..
No cóż? Nieruchawo?

Czy tu konwent mniszy?
Hej, grajków tu! Świerszcze,
Żaby, słowiki!"

Po szóstej kolejce, biesiadniki
Językom popuszczały lejce.
Ryk się z porykiem, słowo z słowem ściga,
Ale każde ku innej bieg kieruje mecie.
Lis plecie o habicie,
Wół rzyga,
Lew mu radzi *whisky* z miętą.
— „Przerwijmy" — huczy Słoń ucięty — „picie,
Albowiem..."
— „Wiwat mówcy zdrowie!" —
Krzyknięto. Poczem pito.
— „Otóż powiem swój pogląd
Na wszechbyt, na życie...
Panowie! Świat to wielka figa,
Którąby każdy wyssał rad,
Lecz to zależne
Od zręczności trąby.
Każdy dźwiga, co uniesie,
Dola silnym sprzyja!" —
Tu Słoń wzniesie jak maczugę
Wydłużenie ryja. — „Zatem,
Hypokrytą jest, kto żyje skromnie,
W istności własnej wązkim zakresie
Widząc zasługę.
Co do mnie, to ciała mikrokosmów wielu,
Traktuję, jako losem daną mi sałatę..."

— „Powiedz pan *„tratuję,"* będziesz
Bliższym celu" — rzekł Lis.
— „Prawda, prawda święta!" —
Krzyknęły zwierzęta. — „Żyjmy chwilą!
Żyć nam niewiela dni. Hej, grać, kapela!"

W lot każdy zwierz nastraja krtań
I tnie jak z nut
Ten znany hymn społecznych trzód:

Rośnie wołowi róg,
Orłu — szpon.
Zguba nas łowi
Ze wszystkich stron.

Kto najmocniejszy, ten
Życie zgadł,
Kto słaby, mniejszy,
Czeka go mat.

Kto innych zjada, ten
Bywa syt:
Tak chce zasada
Walki o byt.

Gdy służy zdrowie, brój,
Morduj, grzesz:
Za to odpowie
Dziad twój — pra-zwierz.

Troska jedyna: rość,
Pić i jeść,
Podług Darwina —
Chwała mu, cześć!

Tu za oświaty zdrowie huknęły wiwaty,
Zdolne zbudzić nieboszczyka.
Zaczem, gronem pijanem
Owłada żądza uczonej muzyki
Ze śpiewem solo.
Więc, po przepiciu,
Proszą Hyenę, by zanuciła
Coś z fortepianem.
Koniki niechaj rzępolą pianem,
I bąk niech bzyka.

Ot co zawyła mistrzyni w wyciu:

— „Tak mi z przyrody wypadło,
Że kocham wszystkie samice,

Nie pomnąc, czyjeby były:
Owce, kobyły, oślice.

Póty wyję im najsłodziej,
Aż chwila luba przychodzi,
Że je porwę, że zachwycę.

Kocham wszystkie bez wyboru:
Cud, „tak - sobie,“ czupiradło,
Bo jedna ich cena — padło,
Którę lubię, bom Hyena.“

— „Śliczności!“ — Lew zaryczał. — „Bawię się
Jak króle.“ Żóraw z Wroną
Wytknąwszy dzioby, jak czat piki,
Słuchali (każdy ptak wogóle
Do muzyki prawo sobie rości);
Chrząkał Wieprz, rad z gości,
Tylko Lis, świętoszek,
Pień ckliwych nie znasza.

— „Bydło!“ — rzekł Lwu — „Mość Wasza
Nie znajduje, że są nasiąknięci
Do wrębów... Ten Żóraw z dziobem,
Który milą można mierzyć,
Ten Słoń, ważący, nie wiem ile kilo,
I ten hyeni śpiew o miłości!..
Do licha! Toć i moich chęci prąd
Mnie popycha do kwok, kokoszek,
I gęsiej pieczeni,
A wszelako z nim walczę,
Bo uważam za zło
Wszystko źreć zaraz, co mi w łapy wlazło.

W ogólności, rani mnie to życie,
Kołem mi stanęło w krtani,
Zbrzydło to wieczne i zdradne mamidło
Czegoś i wieczne upadki.
Dobrem jedynie bywa stan (ach, rzadki!),
Gdy się instynktu oprę pobudkom.

Lecz to trwa krótko,
I znów mnie jakieś chuci płazie schwycą.
To smutne! To boli!
Najtęższa cnota ulega skazie,
Co raz stworzone, ma być zepsutem...
Uroczość piękna więdnie... nawet nie jest
Absolutem byt, wywleczony myślą
Z nieistnienia!..
Wieprzu, bracie, dolej!..
Może za życia znajdę granicą
Sposób wiecznego trwania w ekstazie,
Gdy to nie gnębią żadne zwątpienia,
Gdy sam się czuję synogarlicą
I widzę innych z duszą gołębią...
Tak, bo w świat moje *ja* się zamienia.
Wfruwa do tego dusz gołębnika
Cały dobroci mojej pierwiastek,
Ze mnie więc znika;
W takim zaś razie —
Niechaj mi Wasza Mość zechce wierzyć —
Ja me, wcielone, może już nie żyć."
(A w myśli doda: — „No, samo przez się,
Gdy mnie, w postaci dobra, świat wessie,
To zawsze, jako ten zły ostatek,
Chyba nie szkoda w życiu się resztę
Latek przewartać.") —

— „Droga otwartać," — rzekł Lew — „lecz pytam,
Co cię tak pili już
Elizejskie błonia zazwierzyć,
O których wiedźmy wróżą napoły:
Czy jako woły tam się zobaczym,
Czy jako lwy tam będziem błądzili?
W co się przedzierzga, kto tu umiera?
Czy tam są duchy, czy pustka szczera,
Dokąd ostatnie tchnienia polecą?
Nie wiemy.
Choć żywot kruchy,
Zawsze-ć ja wolę, jak ten z Homera
Achill, na ziemi być z mięsa, z juchy,

Niżeli żyć tam, jak kaduk wie co.
Dla nieudolnych pociechą myty,
A dla nas szczęściem jest — w paru susach
Ciało rozprężyć i wkłuć pazury
W biodra gazeli;
A przy trawieniu —
Sierć prażyć w słońcu
I słuchać trzmieli brzęku w bambusach...
Żyjmy. Mrzeć — bliźnim dajmy pierwszeństwo.
Widzę, żeś Słonia jest przeciwieństwo.
Bo gdy czworonóg ten skórogruby
Świat pragnie zmienić na swoje połcie:
Ty chcesz swej zguby na korzyść świata,
Ażeby dobra był wymiar większy,
Lub mniejszy nierząd.
Czemu ten zdjął cię samowstręt jakiś,
Dziwny u zwierząt?
Śmierć nie upiększy.
Żyć łatwo, lubiąc pospołu siebie, jako też
Innych, oraz ich zdrowia pić
Jak ja Wołu..."
Tu kub wychylił:
— „Za zdrowie wasze, mój Wole luby,
Któremu miłość krowia dni mai!
Cóż, przyjacielu, powiedz, jak snadnie
Szczęśliwość w życiu
Posiąść wołową".

— „Daję wam słowo!
Ja, który-m darmo przeżuwał paszę,
Ja, który-m gził się, brykał bez celu,
I nieodbicie dążył do zguby:
Gdym ją, *ją* poznał, nibym na nowo
Rozpoczął życie,
Które wypełnia
Miłość, porządek i zdrowia pełnia.
Jeżeli ja, byk marny i w grzechu,
Dla krowy ideałem — zrozumcie — na zawsze
Zostałem, tym jedynym — zrozumcie —
No, to dla mnie tak błogim jest zachwytostanem,

Że — zrozumcie — łąka,
Gaj, wygon, wszystko wokolutenieczko,
Co nęci buhaja,
Może dla mnie nie istnieć,
Byle *nią* paść oczy!
Jeżeli żłób nas jeden w oborze spaja,
Będzie dla mnie gnojówka zdrojem,
Piasek — sieczką, słoma — sianem;
Jeżeli wspólne nas jednoczy łoże,
Jeżeli jedną ukochalim pracę
Koło zagonu,
Barłóg wspólny materacem
Nam będzie z edredonu...
O ty, moje krowiątko, ryczące,
Gdy mnie niema, gdy mnie świeża
Woń traw pogna dalej!..
A raz mi się zwierza z rumieńcem,
Że się do niej pali byk sąsiedzki,
Lecz że ona ni mru-mru...
Zrozumcie: taka wierność, taka
Dusza bratnia!..“

— „Patrzaj“ — rzekł Lew do Lisa — „jak szczęsny
Wół, który krowie los powierza.“
Tu znacząco pomruknął, przyczem uwydatnia
Kłów szereg i wzrokiem przedziurawia ścianę,
Jak gdyby za nią dojrzał od Wołu krowiątko
To umiłowane.

— „Będzie ci ona hecki wyprawiać, mój Wole
Poczciwy,“ — Wieprz powiada. — „Kto kochaniem
Działa, wierzy, wzdycha czule,
Nie zna końca zachwytom,
Temu chętnie oddają krasnule kopyto, —
Które że z sercem nie jest tożsamość,
Więc każda bez mała
Kocha na boczku byczka sowizdrzała.
Napróżno sapie Wół smętny, wychudły...
Rób jako Lwia-Mość:
Skacz, łap za kudły —
I po zabawie.“

— „Zbyt krótkiej,“ — Lis dorzucił. —
„Cóż mi za ponęta,
Jeśli zduszę kurę,
Lub kaczkę zdławię nagle,
Nim onej duszę
Zadrasnę pazurem?
Co to gadać! Drobiu duszyczka
Tak różna od naszej,
Że skok zbyt jawny tylko ją straszy,
I albo zemknie ci do kurniczka,
Lub da się zjadać
Jak męczenniczka.
Dość na to-m kuty. Póty ją stroję,
Póki właściwej nie wyda nuty.
Więc się jej chwali wszystkie koguty
(Swoich rywali), to robi zacnie
Względem kurusi, bo wtedy ona,
Chcąc mieć odrębny sąd,
Ganić musi.
Potem się uda, że tak ją biorę,
Jak chce się wydać,
Bo każda, widać, lubi się okryć
Jakimś pozorem.
Czystą udaje, cnót chłodem ziębi
Ta, która grzeszna jest jak Mefisto;
Zaś dobra w głębi, uległa, tępa,
Ma wygląd sępa i grozi szponem.
Ja do tych płonę — powiem — najbardziej.
Umykam niby, objęty grozą,
Ona, zwycięzko gdacząc, mnie goni
Ku krzom i łozom,
A tam już po niej...

I nieobłudne są też kokosze
(„Ot taką jestem i bierz mnie taką“).
No, tych nie znoszę,
To szkodzi smakom,
Bo każdy frykas wymaga pieprzu...
Dolej-no, Wieprzu!“

Po tej przemowie Wół zapadł w smętek
I przeciw krowie w duchu się burzy.
Słoń głośno chrapał.
Nie było chętek do picia dłużej.
Hyena z Wroną po kątach czkały.
Żóraw się taczał nietrzeźwym lotem.
I Lew miał w czubie. Wstał, przez pustotę
Odgryzł Wieprzowi ze schabów sadła,
I rzucił na stół trzy imperyały.

. . . .

Wracali chyłkiem, senni. Dzień wstawał.
Noc bladła. Gaszono latarnie.
Do robót śpiesznie ludzie szli,
Gwarnie wóz zaturkotał
Na targ wiozący kmiotka i jego kobietę,
I stróża postać niewiotka
Z klątw i skobli zgrzytem
Otwierała bramę.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Nadsceny.“ Każdą rzecz poważną, idącą zkądś z obczyzny, przyjmuje się u nas z niedowierzaniem i „surową“ (ale o jakże pachnącą partykularzem!) krytyką; wszystkie za to głupstwa i spekulacye zagraniczne znajdują, w warszawskich „pasterzach ludu,“ gorących wielbicieli i opiekunów. Wobec pozowania dziennikarstwa naszego na straszliwą powagę, jest to, co najmniej, dość zabawne, a tem zabawniejsze, że zazwyczaj salwy pochwał i zachwytów wtedy dopiero u nas się rozlegają, gdy w danym kraju, zkąd rzecz idzie, dawno już spostrzeżono blagę, szwindel czy niedołęstwo i należytą dano im odprawę. W dziedzinę jakiejkolwiek sięgnąć sztuki, w czasy dawniejsze czy ostatnie, — wszędzie przykładów bez liku. Przypomnijmy sobie tylko, jakiem jednozgodnem uznaniem cieszyły się u nas wszelkiego rodzaju makartyzmy, podczas gdy przedziwne, twórcze dzieła mistrzów prerafaelityzmu angielskiego dzisiaj dopiero (może przez wdzięczność za Burne-Jones'owski portret Paderewskiego, albo pod wpływem zbyt późno i z mierniejszych „pyłków“ poznawanego Ruskina) pojawiają się tu i owdzie w lichych reprodukcyach i z „wierszykami“ *ad hoc,* dzięki którym dziś nawet bez głębszego przechodzą wrażenia. — Barnumowskie reklamy firmy Sonzogno nigdzie, z wyjątkiem jednego może Wiednia, tak niesłychanych jak u nas nie święciły tryumfów. Toć wczoraj jeszcze Filharmonia, świątynia muzyki symfonicznej, muzyki *par excellence,* z uniesieniem witała, dźwiękami tkliwego *Intermezza,* twórcę niezapomnianej *Cavallerii.* Tymczasem z Wagnera, acz krytyka warszawska wiele mu już dzisiaj „wybacza,“ ciągle jeszcze kontentować się musimy Lohengrinem i Tannhäuserem, zaś Ryszard Strauss cieszy się, jak oczekiwać należało, wzgardliwem mianem dekadenta. — Czyliż potrzeba przypominać typową, niedościgłą w swej wyrazistości róż-

nicę przyjęcia, z jakiem spotkali się w prasie naszej Maeterlinck i Rostand? Na rzecz pierwszego wyczerpano wszystkie Nordau'owskie zapasy obelg i przezwisk: dekadentyzmy, zwyrodnienia, rozkłady, schyłki, obłąkania, delirya, idyotyzmy, kalectwa duchowe, — niczego nie brakowało. Drugi wywołał taki potopowy zalew hymnów i dytyrambów, że przez chwilę sądzić można było, iż na złość, Platonowi, wypędzono z Warszawy wszystkich uczonych krytyków, a zostawiono samych poetów, którzy jednym rozmachem zdystansowali panegiryczny okres naszej literatury. — Na „secesyę“ ongi, gdy nazwa ta istotnie oznaczała coś w sztuce, starał się zwrócić uwagę — rzecz prosta, nadaremnie, *surdis canens* — jedyny chyba M. Wawrzeniecki w *Przegl. Tyg.* Dziś, gdy termin stracił pierwotne znaczenie i wytarzał się po wszystkich rynsztokach tynglowych i kawiarnianych, gdy zerwały się wszystkie nici wiążące go ze sztuką twórczą, gdy rozlała się powódź bezdusznych szablonów i komunałów, stanowiących razem t. zw. „styl“ (oh!) secesyjny, — „secesya,“ dzięki prasie, stała się w Warszawie prawdziwą obsesyą. Gdzie się ruszyć, pełno jej wszędzie. Nikt dobrze nie wie, co ona ma znaczyć, ale wszyscy o niej mówią, wszyscy się nią zajmują. Nakleja się tę etykietkę na prawo i na lewo, identyfikuje się za jej pomocą sztukę i sztuczki, szczerą indywidualność i szablonowe efekciarstwo, twórczość istotną i sposobiki handlarskie, prawdziwe wartości i mizerye ostateczne. O pierwszych — objaw to charakterystyczny — mówi się nb. zawsze prawie z niechęcią, urąganiem, a niekiedy ze... zgrozą, o drugich — z nieujawnianą otwarcie, lecz łatwo wyczuć się dającą sympatyą.

Dni ostatnie przyniosły niemniej przekonywające od wszystkich wymienionych przykładów widowisko.

W chwili, gdy pod pozorem obrony i reakcyi przeciwko hakatyzmowi niemieckiemu szczepi się u nas nieróżniącą się niczem od niego zarazę wzajemnej nienawiści narodowościowej, gdy apostołowie tego hakatyzmu polskiego, próbując wnieść jego barbarzyństwa nawet w dziedziny, gdzie niemasz dla nich miejsca, proponują wyrugowanie pism i książek niemieckich, nawołują do bojkotu względem myśli, nauki, kultury, sztuki niemieckiej, i bardzo rzadko tak energiczną, jak ze strony p. Mahrburga *(w Książce),* dostają odprawę, — jednocześnie dzienniki warszawskie, z pieszczotliwą i rzewną sympatyą, popierają przesadzanie na nasz grunt jednego z najmizerniejszych, najbardziej płaskich i najczyściej spekulacyjnych produktów *niemieckich,* jakim są ueberbrettle czyli nadsceny. — W chwili, gdy z powodu jakiegoś dramatu, obrazującego z niezwy-

kłą intensywnością i w niezwykle ponurem oświetleniu odwieczny trójkąt cudzołóżczy, na szpaltach dzienników i w głosach publiczności pogrzmiewa wybuch obrażonego poczucia moralnego; gdy ludzie, chadzający tłumnie, ze spokojnem sumieniem i zupełnie wyraźną satysfakcyą, na oparte na samym trójkącie, tylko nieco weselsze lub sentymentalniejsze sztuki w rodzaju *Dam od Maksyma, Numeru o dwóch łóżkach* lub *Kontrolera wagonów sypialnych,* poczynają nagle rozdzierać szaty i wydawać krzyki spłoszonych indyków lub zawstydzonych gęsi, — w tej samej chwili, idealni krytycy i „literaci“ (?), przesyceni i znękani „posępnemi wizyami“ oraz „duszną, dręczącą, chorobliwą atmosferą“ symbolistów, pełni tęsknoty „do słońca, do płatka wiosennego błękitu, do śmiechu dziecięcego i pieśni słowiczej“ *(ah, ma chère!),* biorą w opiekę, dla ukojenia tej tęsknoty, coś, co jest zwykłem *café-chantant,* zwykłym tynglem, tylko nieco zamaskowanym, nieco obłudniejszym i skutkiem tego, na podobieństwo owych kart przeświecających, ohydnie w istocie niemoralnym. O nędzy tej sami Niemcy (naturalnie, niezainteresowani w „przedsiębierstwie,“ jak pp. Bierbaum lub Wolzogen), po rocznem doświadczeniu, twierdzą — jedni łagodniej, że „nie należy w niej upatrywać, nie już jakiegoś nowego ewolucyjnego okresu literatury, lecz nawet najdrobniejszego przyczynku do jej rozwoju“ *(Das litt. Echo,* oct. 1901),— drudzy ostrzej, że jest to „ein dreister Missbrauch mit dem heiligen Namen der Kunst“ i że „żaden sceniczny rodzaj niemiecki, żadna najmizerniejsza possa teatrów ludowych, żadna Adolf-Ernstiada, żadna najgłupsza operetka nie jest tak rozpaczliwie pozbawiona jakiejkolwiek nuty artystycznej, jak ueberbrettle z r. 1901“ (Die Zeit, № 381, 1902.) U nas tymczasem, ten zawoalowany tyngiel burżuazyjny, ten błyskotliwy dowód rozkładowego procesu dzisiejszych społeczeństw, ten owoc próchna wewnętrznego, atrofii myślowej i uczuciowej i hipokryzyi najwyższej — popiera się dziś właśnie i zachwala jako coś mającego związek ze sztuką i literaturą, więcej, jako coś mogącego je odnowić, ożywić, z więzów wyzwolić, jeszcze więcej, jako coś będącego sztuką samą, sztuką dzisiejszą, *modern,* „odpowiednią do nastroju psychologii (?) współczesnej,“ jednem słowem „poezyą stosowaną.“ Autor tego ostatniego, jedynego w swoim rodzaju, i zresztą przepisanego od Bierbauma terminu przeprowadza całą kampanię w sprawie owej nowej sztuki, odnajduje — prawdobnie dla nadania jej smaczku paryskiego — jakieś nieistniejące pokrewieństwa między ueberbrettlami i *cabaret*'ami francuskiemi, robi przegląd poetów miejscowych, szukając kandydatów na deski nadsceniczne, i gotów byłby nawet „dać firmę swoją przedsiębierstwu,

gdyby mógł sprężyny jego trzymać w ręku." Gazety powiadamiają gorliwie czytelników o wszystkich projektach, zamiarach i urzeczywistnieniach w tym kierunku; gromady smakoszów nowej sztuki pielgrzymują z nabożeństwem na pierwszą próbę „secesyjnego" widowiska (które zresztą okazało się niedość secesyjnem) w unikanym dotąd — przynajmniej jawnie — teatrzyku Fantazya; inny „inicyator przedstawień secesyjnych," mających odbywać się w gmachu Filharmonii (???), zaprasza grono literatów na sesyę, owocem której jest uchwała, że każdym z wieczorów kierować będzie inny literat, objawiając w ten sposób własne, indywidualne pojmowanie nowych kierunków sztuki scenicznej i estradowej („oczywiście — dodaje gazeta — mowa była o pisarzach znanych oraz o krytykach fachowych"); wreszcie — *summa iniuria!* — jeden z młodych autorów, który mógł i powinien był mieć więcej szacunku dla prawej sztuki, proponuje odczytywanie w takim tynglu nadscenicznym poematów Kasprowicza oraz granie utworów Schumanna!

Ten ostatni fakt zwłaszcza skłania nas do kilku uwag kategorycznych. Śmiesznem byłoby chcieć zwalczać tyngiel w taką czy inną przyodziany sukienkę: ten jest nieśmiertelny, jak nieśmiertelnemi są wszystkie płaskie instynkta w człowieku. Z góry beznadziejną byłaby chęć nawracania snobów, dających się uwodzić modom i reklamom dziennikarskim: ci są nieuleczalni. Że jednak wspomniane wyżej — bluźnierstwo (tak!), które padło z ust *artysty*, mogłoby zbałamucić nawet ludzi dobrej woli, szczerze i gorąco przejętych nowemi objawami twórczości, i — co gorzej — nawet młodych, wstępujących w życie artystów, uważamy za konieczne przeprowadzić wyrazistą linię demarkacyjną między sztuką i falsyfikatami, które pod jej święte imię podszywać się pragną.

Sztuka nie jest rozrywką, ani też sposobem zadowalania tanich po dobrem trawieniu sentymentalizmów, oraz skłonności do pieprznych czy bezmyślnych żartów i do plotkarsko-pamfletowych aluzyj. Sztuka ma na celu to, o czem myślał Michał Anioł, mówiąc: „Gdy czytam Homera, zdaje mi się, że na dwadzieścia stóp urastam w górę." To właśnie, to urastanie, to bezinteresowne, obce wszystkim przemijającym, doczesnym względom i okolicznościom, pogłębianie się i rozszerzanie wnętrzne jest najlepszym probierzem istotności zarówno wrażenia estetycznego, jak i samego dzieła sztuki. Gdzie tego brak, tam o sztuce żadnej nie może być mowy. Ale takiego wewnętrznego urastania nie możemy sobie wyobrazić bez oderwania się od życia powierzchownego, bez jakiegoś zstąpienia ku głębszym warstwom swojej istoty. Dla tego świątynia sztuki, wyma-

gającej silnego wewnętrznego skupienia, nie może być jednocześnie przybytkiem zabawy, rozrywki, polegającej właśnie na rozerwaniu umysłu, na pozbawieniu go wszelkiego skupienia, na wywołaniu — miłej może nawet niekiedy — indolencyi i beztroskiego roztargnienia.

To zasadnicze przeciwieństwo, tę niewspółmierność sztuki i rozrywki czuli — wszystko jedno, wiednie czy bezwiednie — francuzi, wytwarzając jakgdyby dwie różne i nie mające ze sobą nic wspólnego kategorye: piosenkarstwa — i poezyi, *cabaret*'ów — i teatrzyków sztuki *(théâtres d'art.)* Rozrosła we Francyi XIX wieku tak bujnie, jak nigdzie snadź i nigdy, piosenka śpiewana *(chanson)* jest hybrydycznym rodzajem, nie mającym żadnego prawie związku ani z twórczością pokrewnych imieniem *chansonniers* starodawnych (żonglerów, truwerów i menestrelów), ani — dajmy na to — z Verlaine'owskiemi *chansons sans paroles,* ani z poezyą wogóle. Jest to jakaś *poesis vulgivaga,* odbijająca bezpośredniem echem przemijające, codziennne zdarzenia i uczucia i chcąca bezpośredni, natychmiastowy znajdować w tłumie odzew. Rzecz prosta, że wobec tego wyrzeka się ona wszelkich rzeczy głębszych czy subtelniejszych, a co do treści poświęca się wyłącznie bądź rzeczom praktycznym (społecznym, politycznym, karykaturze obyczajów), bądź rozrywkowym (tanim sentymentalizmom, łatwym bohaterstwom, mniej lub więcej pieprznym czy brutalnym dowcipom, kalamburom i aluzyom.) Aczkolwiek też ma ona już dość bogate dzieje, szukać wszakże tych ostatnich należy w osobnych książkach (Avenel'a i innych): w historyach literatury czy poezyi francuskiej XIX wieku, *ostatnim wzmiankowanym* „piosenkarzem“ jest Béranger. O poźniejszych Piotrach Dupont, Gustawach Nadaud, a tem bardziej o jeszcze późniejszych Jouy'ch, Mac-Nab'ach, Arystydach Bruant, mimo znacznego częstokroć ich rozgłosu, nie wspomina się już zupełnie, jako o nie mających nic wspólnego z poezyą. Urodziła się ta nowego rodzaju piosenka w postaci towarzyskiej zabawy w t. zw. *caveaux,* na zebraniach odpowiadających niemieckim posiedzeniom przy *Stammtisch*'ach. Później opanowały ją wszelkiego rodzaju tyngle i *café-concert*'y, znęcone jej powodzeniem. W ostatnich czasach, twórcy piosenek, bądź zniechęceni szablonową rutyną i kabotynizmem wykonawców tynglowych, bądź zapragnąwszy wejść w bezpośrednią styczność z publicznością, bądź wreszcie zwabieni większym zyskiem materyalnym, jęli zakładać własne *cabaret*'y i śpiewać czy recytować w nich po dyletancku, ale z zacięciem indywidualnem swoje utwory, uzupełniając te produkcye familiarnie rzucanemi dowcipami, humorystycznemi czy satyrycznemi cieniami chińskiemi i tym podobnemi rozrywkami. Było w tych

karczemkach może nieco więcej smaku, świeżości i rozmachu indywidualnego, ale pozostawały one bądź co bądź zawsze tylko miejscem rozrywki, nie miały żadnej pretensyi do reformowania poezyi, ani do reprezentowania w jej rozwoju nowego okresu. Poeci przychodzili tu niekiedy, aby zabawić się, pośmiać, posłuchać piosenek i żartów, ale utworów swoich nie odczytywali w *cabaret*'ach nigdy, nawet ci młodzi, których książek — jak twierdzi protekcyonalny informator Kurj. Warsz. — nikt kupować nie chciał. *Poezya* do szynczków tych nie zabłąkała się nigdy. Miała ona cały szereg świątyniek swoich, w postaci ofiarnie i nie dla spekulacyi prowadzonych teatrzyków, z których wykluczone znowu były wszelkie efemerye, dowcipy, pieprzności, tanie sentymentalizmy, kędy przychodzono nie zabawić się przy szklance piwa lub czarce *cerises,* lecz upoić się podniosłemi wrażeniami, słuchając jakiegoś arcydzieła poezyi światowej, kędy nie żadne „nowe“ królowały „kierunki,“ nie żadne „secesye,“ lecz wszystko co potężne, głębokie, wielkie i piękne, to jest, jedyna, niezmienna, wiecznie ta sama, prawa sztuka. Trudno zaiste dość wysoko ocenić zasługi tych małych scenek, na których z całym pietyzmem przyodziewano w kształt widomy arcydzieła twórcze, przed wystawieniem których cofały się — dla zbytniej ich poetyczności lub niedostatecznej sceniczności — wszystkie teatra europejskie. Tak — *Théâtre d'Art* wystawił, między innemi, *Cenci*'ch — Shelleya, *Doktora Fausta* — Chr. Marlowe'a, *Gościa nieproszonego* i *Ślepców* — Maeterlincka; *Théâtre de l'Oeuvre* dał — najwyższe poemata Ibsen'owskie: *Brand*'a, *Peer Gynt*'a, *Rosmersholm* i *Budowniczego Solnessa,* Ford'a — *Annabellę,* Otway'a — *Wenecyę zbawioną,* Króla Sudraki — *Mrikczakatikę* (Vasantasenę), Kalidasy — *Pierścień Sakuntali,* cały szereg dzieł Björnstjerne-Björnson'a, G. Hauptmanna, A. Strindberga, O. Wilde'a i nowych poetów francuskich: Beaubourg'a, Henryka Bataille, Henryka de Régnier, Rachilde'y, M. Maeterlincka, Karola van Lerberghe'a, P. Quillard'a i innych; naturalistyczny wogóle *Théâtre Libre* ma zapisane w rocznikach swych takie poematowe utwory, jak *Braci Zemganno* — E. de Goncourt'a, *Hanusię* Hauptmana, *Elen* — Villiers de l'Isle Adam'a, *Miedź* — Pawła Adam'a, *Mgławicę* — Ludwika Dumur'a, *Dyalog nieznany* — Alfreda de Vigny; *Théâtre Moderne* pochwalić się może wagneryczną trylogią Edwarda Dujardin'a, a *Théâtre de la Rose Croix* — wspaniałym *Babilonem* J. Peladan'a; *Cercle des Escholiers* zapisał się w pamięci kilku dramatami Ibsena, *Théâtre International* — *Wielkim Galeottem* Etchegeray'a, *Théâtre des Poètes* — *Balladyną* Słowackiego, *Théâtre X* wreszcie, zawdzięczający byt swój pani Toli Dorian, — *Jesienią* Pawła Adam'a i Gabryela Mourey'a oraz

Axelem Villiers de l'Isle Adam'a. Wymieniliśmy tylko najważniejsze teatrzyki i najwybitniejsze ich widowiska, które charakteryzują dostatecznie cele, zamiary tych przybytków sztuki, oraz ogólną, panującą w nich atmosferę. Tu nie chodziło o sceniczność, o dowcip i zręczność Sardou'owską czy Dumas'owską, o tezę gromką lub o prawdę naturalistyczną, — tu chciano wielkiego, ożywczego tchnienia, prawej, głębokiej, twórczej poezyi. Tu nie ograniczano się nawet do formy dramatycznej, lecz niejednokrotnie przedstawiano, na tle odpowiedniej heraldycznej lub fantastycznej dekoracyi, poemata liryczne i epiczne, zorkiestrowawszy je na głosy i uzupełniając deklamacyę szeroką mimiką hieratyczną. W ten sposób rozbrzmiały np. ze sceny *Théâtre d'Art* — *Kruk* Edgara Poe'go, *le Guignon* Stefana Mallarmé, *Pieśń nad Pieśniami* Roinard'a, *Statek pijany* Artura Rimbaud i inne. Wygnana z wielkich teatrów, poezya, pani dusz, tutaj pod każdą postacią znajdowała schron, i cześć jej należną, i entuzyazm gorący.

Wysiłki tych małych scenek, acz niespekulacyjnych i niereklamujących się hucznie, a przytem otoczonych wrogością urzędowej krytyki, nie przeszły — na miejscu, w Paryżu — bez skutków pocieszających: kilka większych teatrów, między innemi głównie Odeon, dało się przekonać i wydzieliło poezyi skromne zresztą miejsce w swoim repertuarze; zaprowadzone, zwłaszcza w *Théâtre Libre* i *Théâtre de l'Oeuvre,* nowości w sposobie gry, recytacyi i wystawy utworów, coraz większy wpływ wywierać zaczynają; wreszcie, imponujący ten szereg wystawionych arcydzieł powiał ożywczem, krzepiącem tchnieniem na całą szczerą, entuzyastyczną młodzież artystyczną. Za granicę wszakże dobroczynne to oddziaływanie przedostać się nie mogło. Korespondenci dzienników cudzoziemskich, przyjeżdżający zwykle do Paryża jako do stolicy różnych *Moulin-Rouge*'ów, mieszali głuche wiadomości o tych znanych im przeważnie tylko ze słyszenia teatrzykach z dytyrambami na cześć *cabaret*'ów Salis'owskich czy Bruant'owskich, które olśniewały ich swą hałaśliwą wesołością, swemi pozorami zupełnej swobody i naturalności i swoją pieprzną *rosserie.* Cudzoziemscy artyści i literaci, czasowo przebywający w Paryżu, również częściej zabłąkiwali się, w towarzystwie kolegów pracownianych lub stale nad Sekwaną mieszkających ziomków, do karczemek Montmartre'skich, kędy wskazywały drogę błyskotliwe afisze, świecące szyldy i reklamy dziennikarskie, aniżeli do skromnych, ukrytych w jakichś zapadłych kątach przybytków poezyi. Niedziw też, iż za granicą, skutkiem bałamutnych wieści i pojęć, przypisano *cabaret*'om paryskim to, co było zasługą sprzecznych z niemi do gruntu teatrzy-

kow sztuki, t. j., ożywczy wpływ na rozwój literatury, i że — jak się stało w Niemczech — skierowawszy naśladownictwo pod fałszywym adresem, stworzono, w ueberbrettlach i „pstrych teatrach," pod firmą widowisk literackich, proste miejsce bezceremonialnej rozrywki, prosty tyngiel. Doświadczenie stwierdziło natychmiast, że taka mieszanina artystycznych i tynglowych pierwiastków ostać się nie może. Kilka poważniejszych rzeczy, kilka dzieł prawdziwej poezyi, wstawionych tu i owdzie do repertuarów, przepadło z kretesem, podczas gdy nieróżniące się niczem od zwykłych tynglowych kuplety, fraszki i krotochwile szalonem cieszyły się powodzeniem. I bardzo naturalnie, typ bowiem ogólny widowisk ueberbrettlowych zgromadził natychmiast odpowiednią tynglową publiczność, która chce się bawić śmiać, gwizdać, wyć, chóralnie powtarzać pieprzne refreny, a wcale nie ma ochoty podziwiać milcząco i w skupieniu „nudnych poezyj." Tak więc literatura nie zdołała podnieść i uszlachetnić tynglu. Gorzej wszakże, iż ten ostatni zdołał *styngeltanglować* poezyę i skłonić do mizernych wprost kompromisów garstkę zbogacających repertuar „pstrego teatru" pisarzy. Dość przerzucić gruby pierwszy tom Biblioteki Ueberbrettlów, zaopatrzony, zamiast przedmowy, w pomadkowy list p. Bierbauma do „kochanej, drogiej i niewymownie płowowłosej pani"... snobki. Jeżeli wyłączymy parę krzepszych akcentów u Liliencrona, Holza i Dehmela, — jakież przerażające ubóstwo treści, jaka monotonna i bezbarwna banalność, jakie oczywiste wzorowanie się na zupełnie nieliterackich piosenkach Volkssänger'ów niemieckich lub, co gorzej, na tynglowych kupletach francuskich! Toć zdarzają się nawet piosenki — dla smaczku, dla paryzyanizmu, dla elegancyi, dla szyku (oh, jakże zresztą ciężko niemieckiego!) — upstrzone dłuższemi wstawkami lub przynajmniej jednowierszowemi refrenami francuskiemi. A te, mające „robić" wesołość, rozmach i nonszalancyę, onomatopeiczne wykrzyki: te „klingklanggloribusch," „laridah," „eisasa," „trara," „juchhe," „klingelalei" — u *Bierbauma;* te „hei," „hüh," „hurrah," „hoppla," „eia" — u *Dehmela;* te „Dorlille, Doréla," „klingklarei," „teisaratand" — u *Finckha;* te „rumplumplumplum," „auau," „tidli - tidli - tidlidei," „hei, hei, hei Juchhei, knax" — u *Heymela;* te „klingkling, bumbum, tschingdada," „hali und halo" — u *Liliencrona;* te bajeczne nazwiska „Frau Zibidill," „Herr Bombardil," „Frau Malupran," „Geschwister Dimotant," Frau von Malogne" — u *Schrödera;* te „doaridi, o mei, o mei," „platschepitsch," „trippeltrab," „klippelklap," „trulala" — u *von Wolzogena;* te przerażające rollinatyzmy *Wedekinda* — — wszystko to budzi naprzód uśmiech, potem niesmak, a wreszcie politowanie. Gdy przy-

pomnimy sobie, że to nie są zwykli, nieliczeni w dziejach literatury, piosenkarze, jak w *cabaret*'ach francuskich, ale samo czoło dzisiejszej poezyi niemieckiej, jej najuznańsi i bądź co bądź najzdolniejsi, — spostrzegamy dopiero w całej jaskrawości, jak daleko zaprowadzić może kompromis ueberbrettlowy.

I ten właśnie *ueberbrettl* niemiecki, ten wyrazisty przykład, jak nawet dość mocny zaczyn poezyi rozpuszcza się i ginie bez śladu w kwasie tynglowym, to przekształcenie się poetów w klownów i kabotynów — podaje się w dziennikarstwie naszem jako wzór do naśladowania, jako sztukę, „odpowiednią do nastroju psychologii (?) współczesnej," jako luby snobom nowomodny kierunek, jako odpowiedni dla poetów podgatunek sztuki stosowanej?! — Zaiste, objaw to wprost przestraszający, bo — jak wyraził się kiedyś *Mercure de France* — jest to „une sommaire notification de l'état d'âme actuel de la société vis-à-vis des poètes." Różne gazety nasze powielekroć już oburzały się w różnych rubrykach zupełnie otwarcie, że za dużo mamy poetów. Teraz jasnem się stało, co zamiast poetów mieć pragną: — histryonów.

Kalwarye sztuki. Do Krakowa, Monachium i Paryża, gdzie „kształcą na artystów," zjeżdża się rok rocznie gromadka chłopców z 5-ej, 6-ej i starszych klas gimnazyalnych, którzy, dla wątłości zdrowia, dla braku zdolności do łaciny, arytmetyki lub innych przedmiotów, dla piątki z rysunków, zostali przeznaczeni „na malarzy" z łaski rodziców, opiekunów oraz któregoś z panów malarzy olejnych, posiadających już wyrobioną markę. Chłopcy ci nie zawodzą prawie nigdy nadziei rodziców, opiekunów oraz T. Z. Sz. P. Malują pilnie, rozprawiają szeroko, i (stosownie do milczących wskazówek T. Z. Sz. P., które udziela „głodowych" stypendyów) odżywiają się bardzo licho. Uczęszczają na „modele," wieczorami „na akty," wykłady ogólno-kształcące pomijają zasadniczo, anatomię biorą intuicyą, książek nie czytują zgoła, natomiast malują, malują i malują — szkice do rozlosowania między warszawskich miłośników sztuki. Po kilku latach dostają się wreszcie na „majsterszulę," a więc sami już wynajmują sobie modeli, sami ich usadzają i drapują, t. j., wyłącznie już sami komponują i malują swe obrazy: są, jednem słowem, starszymi malarzami, uważają się za dostatecznie „wykształconych na artystów." Czas jakiś, z przywiązania do dawnych modeli, malują „włoszki," „główki," „madonny," „mnichów przy beczce," dla odmiany „kufel piwa i obwarzanki" lub inną martwą naturę; za-

wiódłszy się niebawem na miejscowych Kunsthaendlerach, zaczynają tęsknić do kraju w „śmigusach,“ „fornalskich zaprzęgach,“ „ułańskich pikietach“ i tym podobnych „zalecankach“; wreszcie osiedlają się na stałe w Warszawie. „W kraju i dla kraju“ staje się odtąd sympatycznem ich hasłem. Młody artysta zostaje wprowadzony w świat przez salony, dzienniki, reklamy i zakupy „do rozlosowania.“ Zaczyna być płodnym, skrzętnym i ruchliwym, zawsze coś niebywałego wykończa, coś fenomenalnego rozpoczyna, wiecznie gdzieś wyjeżdża i zkądciś wraca, ustawicznie się roi, przetwiera i szwęda po szpaltach pism codziennych. W porze wakacyjnej, „kiedy niema komu pisać,“ zabiera głos publiczny w rzeczach sztuki na to, by przepisać kilka wierszy z Witkiewicza, potknąć się o nie i swoim ciężarem miażdżyć krytyków. Jest naturą artystyczną: świadczy o tem miły, ujmujący i towarzyski temperament oraz zawiesisty krawacik; jest dobrym obywatelem: świadczy o tem, prócz sympatycznego hasła, swojskość tematów i nienawiść do niemców. Zyskuje więc popularność, zostaje na początek komitetowym jakiegoś baliku, wchodzi do wydziału jakiegoś towarzystwa, czasowej wystawy, jest przypadkowym sędzią konkursu, wreszcie zostaje członkiem przysięgłego w rzeczach sztuki europejskiej jury krajowego — i już, już widzę, jak go nam zazdroszczą — węgrzy.

Do Krakowa, Monachium i Paryża ściągają rok rocznie ciche gromadki tych, co po długich nieraz walkach i zawodach dotarli nareszcie z bijącem sercem i z żarem ciekawości w gorączkowych oczach tam, gdzie wrota sztuki stoją na ścieżaj otworem, gdzie przechodzą szerokim wiewem wielkie prądy europejskiej myśli, w których duch jedynie dojrzewa całkowicie; ściągają do tych zbiorów, galeryj, bibliotek i mistrzów, którzy pouczą ich może, jak, przy pomocy narzędzia wrodzonych zdolności do pióra, pędzla i dłuta, dobyć z duszy to, co od dzieciństwa z taką mocą w nią padało, stając się w wązkich nieraz, dusznych warunkach rodzinnego i rodzimego życia tylko ciężarem ich piersi, tylko marzeń ich złudą. W szkołach i akademiach, ci są początkowo zawodni, nierówni, jakgdyby kapryśni: nieraz pracujący tak gorączkowo i twórczo, że wzbudzają poważne i ciche zastanowienie kolegów, głębokie a przenikliwe spojrzenie kierowników; to znów zniechęceni, w siły swe nieufni, kryjący się na swych poddaszach, szperający czegoś po bibliotekach; wreszcie uciekający jak od zmory od wszystkich książek, galeryj, mistrzów i modeli — gdzieś w najgłuchsze kąty natury. Ich pochłania tak całkowicie to pasowanie się ze sobą, to borykanie się z wro-

gami swego ducha, że niestać ich na walkę z życiem. Ci mają tylko jedną, bierną metodę tej walki: zwężanie swych potrzeb do minimum, do niemożebności, do absurdu, bo aż do tej granicy, gdzie rozwiewa się i znika zewnętrzna plastyczna treść życia, która jest dla plastyka racyą jego egzystencyi, gdzie wszelkie wrażenia, podniety, twórcze mocye, tę rosę niezbędną dla artysty, czerpać on musi ze wspomnień byłego życia, z coraz to wątlejszego ciała i w końcu, pić niby krew żył własnych z tych dziwnych gorączkowych dni i nocy, w których zda się anachorecie, że zdoła osiągnąć wymarzoną przemoc ducha nad ciałem — z twórczych godzin na progu głodu i ascezy. I oto dumnego czoła donkichota tyka śmierć miłosierną dłonią. „Idź inną drogą: drogą prawomyślnych, roztropnych, a sprytnych, drogą przeciętnych wymagań i łatwych zadowoleń, szlakiem naśladownictwa — aż do uznania! Inaczej życia zbędziesz: dziełu swemu poderwiesz korzenie własnemi rękoma.“ To ostrzegające tchnienie śmierci mrozi mu na razie tylko najsubtelniejsze kwiaty ducha, tylko mózg skuwa w żelazne obręcze bezwoli, tylko na skrzydła, gdy się rozprężą, rzuca pęta niemocy: — dotyka go tem kalectwem ducha, które lekarze zwą neurastenią. To upiorne licho niesie ze sobą sieć, w którą omotuje ofiarę swoją i niewoli na długie lata. Bo albo czyni człowieka fanatycznym niewolnikiem dziwacznego pomysłu, niewykonalnego zamiaru, jednej małej, ciasnej i dusznej idei, albo, co gorsza, tak mu rozdmucha, rozżarzy i rozhuka wyobraźnię, że zwiedziony rzuca się w nią jak w morze i pereł czynu szuka w marzeniach. Bo to narzędzie wyobraźni łamie się, kruszy i w pył rozpryskuje, ilekroć ręka do czynu się wyciągnie. Takim jest cichy dramat tych, co niewiadomo gdzie godziny życia swego gubią, taką jest smutna epidemia, która, omijając zwykłych ludzi, zabiera nam wokół najgłębsze nieraz umysły i dusze. Jest ona tem smutniejszą, że ludzie wciąż jeszcze wiedzieć o niej nie chcą, wciąż ją lekceważą, że dotkniętych tą niemocą spotyka wzruszeniem ramion, pośmiewiskiem i wzgardą pierwsza lepsza *bestia triumphans.* Gdy tymczasem nieraz jednej mocnej dłoni ujęcie leczy ją całkowicie i czyni z niedołęgi dzielnego człowieka. Mocnej i twardej — męzkiej dłoni przyjaciela! nie pieściwej troski kobiecej, bo kobieta może być pożądaną i dobrą w łożu i przy łożu każdego, lecz nie tam gdzie wola jest chorą.

Lekarze zwą tę niemoc duchową — neurastenią; tem imieniem zwie się dziś ryczałtem nietylko każdą chorobę woli, lecz każdy nawet opad wewnętrznego hartu. Lekarze, co z takiem zaparciem zwalczają znachorów po wsiach, lubią w wielkich miastach występować

jako znachorzy społeczni; że zaś każdy owczarz chętnie uważa się za socyologa, więc w tym wypadku słyszymy zgodny chór: „Unikajcie wszelkich wysiłków ducha, wszystkiego, co przekracza normy naszych mózgów, tę wprawdzie pospolitą i szarą, lecz zdrową codzienność, dającą dochody, apetyt, dzieci, sen, nieruchomość i poważanie sąsiedzkie.“ Czy jednak bakterye tej epidemii, przed którą oni ostrzegają, nie dojrzewają właśnie najłatwiej w letniej temperaturze mierności, wśród tych upartych, nielitościwych, prawie bizantyjskich szablonów dla dusz i umysłów, gdzie wszystko, co w te szablony wtłoczyć się nieda, tak ciężko i tak boleśnie walczyć nieraz musi, tak szybko i tak łatwo staje się ofiarą owej zarazy, którą lekarze zwą neurastenią?

Obarczeni tą niemocą przedstawiają najpodatniejszy pono materyał dla wszelkich chorób. Ona wytrąca im z dłoni ostatnią broń w walce z życiem, pozostawiając jakby na ironię złudne pozory fizycznego zdrowia, stawia ich w dziwnie żałosnym stosunku do czynnego otoczenia, cofa dumnych w całkowite osamotnienie, wtrąca w rozpacz zawodu i wiedzie nieraz w nędzę ostateczną. — I oto którejś nocy zachłyśnie się taki własnemi łzami, zakaszle i bryźnie krwią na poduszki.

O suchotach mówić można, gdy się ma na myśli tysiące; pisać o nich niepodobna, gdy się widzi jednego.

W Monachium umarł na suchoty artysta i malarz TEOFIL TERLECKI. Gdyby można było spróbować jego charakterystyki na podstawie tych licznych nieogłoszonych szkiców, pomysłów, fragmentów o charakterze linii lekkim i płynnym, gdyby wspomnieć te ołówkowe satyry, w których nie wpadał nigdy w gawędziarski ton „karykatury,“ lecz umiał streszczać się i skupiać do plastycznie niezbędnych a duchowo najistotniejszych zaznaczeń liniowych, gdyby wspomnieć, że w pociągu do tego rodzaju satyry szukał wypowiedzenia się i w słowie (pisywał po rusińsku), gdyby wreszcie... Lecz na tych niejawnych dokumentach publicznej charakterystyki opierać, niestety, niewolno. Sądzić go zaś podług tego, co po nim z ostatnich dwóch czy trzech lat pozostało (ilustracye w Tygodniku Ilustrowanym), i trudno i smutno i zawodnie, gdyż te rzeczy nie dają obrazu ani człowieka ani artysty. Na ogół odnosi się z tych rysunków wrażenie, że harmonijne i proste pomysły mącił w następstwie jakiś niepokój i niepewność, że ręką przestają kierować instynktowne odruchy talentu, że prowadzi ją pilna rozwaga, która kontury niepotrzebnie wzbogaca, linie wije i plącze, kompozycyę całą prze-

ładowuje szczegółami, czyniąc rysunek, w zamierzeniu liniowy, o charakterze stylizującym, barokową niemal ilustracyą. Nigdy wszakże nie uciekał się do tej na zimno obliczonej łatwizny obrzydliwych i tanich efektów, mającej wśród szerokiego tłumu obok smaczku wiedeńskiego walor właściwej „secesyi“ — tej z *Ver Sacrum*, kart pocztowych i bulwarowych kawiarni. — Większość ostatniemi laty opublikowanych jego rysunków była długiem spłaconym konieczności, umożliwiała tylko przeciągnięcie ciężkiego życia człowieka po za zgasły żywot artysty, aż do mety niespełna lat 30-tu. Pozostało po nim mało, zbyt mało! Gdy się jednak zważy, jak ten człowiek w początkach swej pracy szczerze i wyraźnie do pewnych artystycznych zdążał celów; że mógł i, w innych warunkach, z pewnością byłby coś pozostawił; gdy się to wszystko uprzytomni, tem niżej należy pochylić głowę przed świeżą mogiłą.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Nie bez powodu i nienadaremnie doba, w której powieść dominujące zdobyła stanowisko, zbiega się z epoką nagłego, niesłychanego wzmożenia się prasy peryodycznej. W tem sekret imponującej supremacyi ilościowej romansu nad innemi działami poezyi; w tem wyjaśnienie przerażająco małego procentu istotnych dzieł sztuki w rosnącej wciąż liczbie tomowych i wielotomowych opowiadań. Gdy punkt ciężkości czytelnictwa przesunął się z książek na gazety, autorowie, przeczuwając możność szerszego w tych ostatnich oddziaływania, sami pogarnęli się do suteren felietonowych czy innych wydzielonych literaturze kącików. Ponieważ jednak czytelnictwo zmieniło jednocześnie i charakter swój zasadniczo, stało się pobieżniejszem, jednorazowem, żądniejszem wiadomostek i rozrywek aniżeli rzeczy głębszych i do medytacyi wiodących, — więc poezya wierszowana i dramatyczna straciły odrazu wszelką możność współzawodniczenia z prozą opowiadawczą. Dramat mało kto z tych czytelników nowego rodzaju umiał i umie *czytać;* to wymaga już poniekąd zdolności do jakiegoś „wspólnictwa duchowego z autorem; ogromna większość woli zaznajamiać się z utworami dramatycznemi za pośrednictwem sceny, na której pracę wcielania wizyi autora podejmuje za słuchacza aktor. Poezya wierszowana znowu, jako wymagająca niezbędnie pewnego skupienia i nienadająca się do przed-

biurowego lub poobiedniego przebiegania oczyma, do tego zaś zajmująca mało miejsca, a kosztująca wydawcę drogo, stała się w dziennikarstwie odrazu prawie jakimś *article haïssable,* o ile nie była piosenką łatwą, humorystyką, kroniczką rymowaną, epigramatem lub kupletem. Powieść tylko zdolna była, z jednej strony, zapełniać w mierze dostatecznej niepoliczone płachty peryodyczne, codzienne i tygodniowe, z drugiej zaś, łagodnie kołysać czytelnika sytuacyami i sentymentami fabuły, nie żądając odeń koniecznie wgłębiania się aż do dna w to, co niekiedy poza niemi dawała. Ona też stała się zwolna wyłączną podporą literacką dziennikarstwa.

Wkrótce wszakże okazało się, iż, stosunkowo do coraz większej gazet ilości, powieściopisarzy i nowelistów było za mało. Poczęto tedy wydzierać ich sobie, licytować, nakłaniać dobremi ofertami do pisania więcej i szybciej, niżby mogli i chcieli, drukować rzeczy ledwie zaczęte i później z numeru na numer dokańczane, jednem słowem, przetwarzać powołanie powieściopisarza na zawód i sprowadzać wolnego twórcę do roli stałego, systematycznego fabrykanta. Następstwa były jasne. Coraz rzadszem zjawiskiem stawał się powieściopisarz-artysta, w rodzaju jakiegoś Flaubert'a czy Bourges'a, zdolny poświęcić jednemu dziełu lat kilka czy kilkanaście. Coraz trudniej było spotkać powieść dobrze zbudowaną, należycie pogłębioną, wszelkich pozbawioną zbyteczności i podpórek, i artystycznie, ze stylem jakimś napisaną. Coraz więcej zdolnych pisarzy jęło — nie raz po pełnym świetnych obietnic debiucie — osuwać się powoli ku łatwej produkcyi, *ergo* mierności. Coraz częściej znakomici nawet autorzy (jak np. Kraszewski) przyćmiewali blask doskonałych, pierwszorzędnych swych rzeczy całemi warstwami szarych robót obstalunkowych. — I ta jednak, w tak fatalny sposób spotęgowana twórczość istotnych powieściopisarzy z powołania nie zaspokajała potrzeb wystarczająco. Rekrutowano więc zajadle nowe „siły," a gdy tych niedość było, nowe niemoce. Obniżono do minimum wymagania estetyczne, zastępując je natomiast przeróżnemi względami redakcyjnemi: społecznemi, politycznemi, obyczajowemi, partyjnemi, koteryjnemi — i poczytnościowemi. Forytowano gorliwie na powieściopisarzy i nowelistów różne miernoty i spryty reporterskie, jako najlepiej znające się na modach, kierunkach, usposobieniach, gustach i słabostkach czytelników. Zachęcano do pisania najniepowołańszych doktrynami o bezpośredniej wartości obserwacyi (teorya „zbierania wzorków"), dokumentów ludzkich, zdarzeń i uczuć przeżytych. Ogłaszano konkursa, potęgując drzemiące w każdym człowieku grafomańskie skłonności ponętą rozgłosu i sutej na-

grody. Pracowano, jednem słowem, skutecznie, aby rozpasać i do stanu epidemii doprowadzić znaną już Juwenalowi jako *cacoethes*, ale dziś w dziedzinie powieści do ostatnich posuniętą granic — chorobę pisania.

Mania ta, sama przez się niewinna i, co najwyżej, zabawna, staje się — przy współudziale druku, oraz zabiegów księgarskich czy redakcyjnych — szkodliwą i groźną nawet. Corocznie wychodzą z pod pras, naprzód w czasopismach, a potem w książkach osobnych, pod nazwiskiem powieści czy nowel, całe setki (we Francyi, Anglii i Niemczech — całe tysiące) banalnych zwierzeń, płytkich pseudoanaliz, sentymentalnych lub burszowsko-rodzajowych anegdot, tez mających udowodnić to lub owo, obrazków mających być dokumentem, historyjek z kluczykiem lub bez kluczyka, opowiadań „prawdziwych," szkiców, które nie są szkicami, i nastrojów, których nastrój zamyka się w podtytule, jednem słowem, elukubracyj niemających nic wspólnego z literaturą jako sztuką, pisanych bez talentu, częstokroć bez znajomości rzemiosła nawet, a niekiedy bez umiejętności pisania poprostu. Powie kto, iż niema się o co troszczyć, iż ten potop mizernych efemeryd przeminie bez śladu, i że po krótkim czasie nikt już o nich wiedzieć nie będzie? Niestety, same one przeminą, ale ślad po nich pozostanie: w życiu. Jak ta ulewa nędz odbiera zwolna czytelnikom smak, wrażliwość i wszelką oryentacyę, świadczy dziś już — dajmy na to — jednoczesne i jednakie powodzenie Reymontów, Żeromskich, Przybyszewskich, z jednej strony, a wszelakich *Blichtrów* i gamastoniad, z drugiej. Jak ta marna „literatura" nazwyczaja do powierzchownego czytania, jak uniezdolnia do odczuwania głębszych rzeczy i do istotnego (bez snobizmu) rozkoszowania się niemi, — z łatwością również dałoby się udowodnić. Nawet czczość, banalność i niedołęstwo zewnętrzne, językowe, całej tej produkcyi odbiły się już wyraźnie w niepocieszającem bynajmniej przekształceniu się zwykłej, towarzyskiej konwersacyi warszawskiej, która jest dzisiaj zdumiewającym jakimś konglomeratem płasko-burszowskich i fałszywie-sentymentalnych, brutalnie-naturalistycznych i szczytnie (oh!)-idealnych... szablonów. — A wszystko to, przez wzajemne, powrotne oddziaływanie życia na dalszą znów twórczość, nader niepożądany kiedyś wpływ wywrze może. Zresztą, niepotrzeba nawet czekać przyszłości. Masowe te dostawy „towaru" literackiego teraz już w smutny sposób odbijają się na dobrych nawet autorach. Wytwarzając jakąś zgiełkliwą, targowiskową atmosferę, wyrywają ich z koniecznego skupienia, bez którego nie może powstać prawe dzieło sztuki, czynią ich wrażliwymi — bez wiedzy

snadź i woli — na gusta i żądania chwili, skłaniają nieraz do fabrycznego eksploatowania jakiegoś zdobytego toniku, który znalazł poklask, budzą pożądanie nieustannego, codziennego rozgłosu, pchają — gwoli jemu — do pośpiechu i rozpraszania się na częste, choćby słabsze drobiazgi, uniemożebniają przez to jakąś pełną dojrzałość dzieła, jakieś pogłębienie należyte, jakąś zupełnie skończoną, harmonijną budowę, jakieś Flaubert'owsko muzyczne czy Gautier'owsko plastyczne wykończenie aż do szczegółów, i czynią z wielu wyróżniających się utworów potężne nieraz, ale przepełnione wadliwościami i brakami improwizacye.

Zdawałoby się, że krytyka mogłaby i powinna kłaść tamę temu zalewowi miernot, przypominać utalentowanym, lecz dającym się porywać prądowi pisarzom o zadaniach i wymaganiach sztuki, wytykać wyraźne linie graniczne między literaturą a jej surogatami i oddzielać w ten sposób ziarno od plewy, kruszce szlachetne od aliażów nikczemnych? Niestety, dziś stokroć słuszniej, niż to czynił już w r. 1847 p. Alfred Nettement, przerażony „wszechwładztwem" Sue'owskich „romansów felietonowych," pytaćby można: „que fait donc la critique? où est-elle? qu'est-elle devenue?" Nawet we Francyi, tym najkulturalniejszym i pełnym wspaniałych tradycyj kraju krytyki literackiej, — niedobrze się dzieje. Wszyscy prawie spadkobiercy „poniedziałków" Sainte-Beuve'owskich w wielkich dziennikach, „ceux qui font l'opinion dans le monde des lettres," zrażeni rosnącą wciąż epidemią powieściopisarską i widząc fizyczną wprost niemożebność uporania się z nawałą wychodzących codziennie tomów, wycofali się po dłuższych lub krótszych wysiłkach z pola walki — i bieżącą krytykę sprawozdawczą w prasie codziennej zastąpiły bądź komunałowe wzmianki bibliograficzne, bądź — co gorsza — reklamowe, płatne notatki w tekście (nie między ogłoszeniami), rozsyłane przez wydawców. Odtąd, o rozgłosie powieści i powodzeniu jej u szerokiej publiczności zaczęła wyłącznie stanowić mniejsza lub większa zdolność wydawcy jako *lanceur'a*. Ale Francya, na szczęście, posiada jednocześnie sprawdzian dla tych rozgłosów i powodzeń w wytrwalszej, a nieubłaganej dla wszelkich fabrykatów, czysto estetycznej krytyce „młodych przeglądów," i nadto wtóre, rzadsze sito w tak licznych, jak nigdzie, studyach literackich, które, zajmując się już tylko utworami i autorami istotnie wartymi badania, brakują kategorycznie — przez samo pominięcie — wszelki, choćby najrozgłośniejszy „towar" powieściopisarski, a stanowiąc niejako ogniwo przejściowe między sprawozdaniami codziennemi i historyą literatury, zamykają

wstęp do tej ostatniej — jeśli nie wszystkim, to wielu przynajmniej kabotynom, niedołęgom i przemysłowcom.

U nas, gdzie niemasz ciągłej, świadomej siebie kultury artystycznej, gdzie literatura uważana jest za rozrywkę lub zbytek, o ile nie spełnia różnych innych jeszcze obowiązków, gdzie formułę „sztuka dla sztuki“ traktuje się jako absurd lub igraszkę, a żądanie, by powieść była przedewszystkiem dziełem sztuki, jako paradoks, — położenie jest stokroć gorsze. Wprawdzie bieżąca krytyka sprawozdawcza — może skutkiem stosunkowo mniejszej u nas i dającej się jeszcze ogarnąć produkcyi powieściopisarskiej — nie opuściła, jak we Francyi, stanowiska, owszem omawia każdą nową powieść czy nowelę na całych szpaltach, stronnicach i arkuszach, ale, niestety, zajmuje się wyłącznie prawie streszczaniem ich fabuły, rozrzewnianiem się nad ich uczuciowością, polemizowaniem lub zgadzaniem się z ich tendencyą, roztrząsaniem ich wartości moralnej, społecznej lub narodowej, jednem słowem, analizą idących od zewnątrz raczej i niestanowiących o wartości dzieła, oraz talencie autora, emocyj faktu lub sentymentu. Oceny z takich punktów widzenia, zacierając, zamiast uwydatniać, różnice między istotnemi, „żyjącemi“ dziełami twórczości, a przeróżnemi zaciekawiającemi, wzruszającemi lub udowadniającemi cośkolwiek „opowiadaniami,“ bałamucą nietylko czytelników, lecz i dobrych autorów częstokroć, a mogą to czynić tem bezkarniej, że wpływom ich nie przeciwdziała żaden z obu wskazanych we Francyi korektywów. Nieliczne u nas „młode przeglądy“ zajmowały się po ostatnie czasy wszystkiem raczej, aniżeli sztuką i estetyką, i w sądach o dziełach twórczych różniły się od ogółu czasopism zawsze prawie „postępowym“ kierunkiem, ale nader rzadko sposobem i rodzajem oceny. Studya znowu *estetyczno*-literackie, zwłaszcza dotyczące literatury bieżącej, możnaby, w przeciwieństwie do całej masy przyczynków i monografij historyczno- i anegdotyczno-literackich, prawie na palcach policzyć. Ubóstwo pod tym względem próbowano niejednokrotnie tłómaczyć — niemożliwością jakichkolwiek ostatecznych wniosków o autorach żyjących, a więc rozwijających się jeszcze. Zapomniano wszelako, że konkluzye dotyczące *wartości estetycznej* dzieła nie zależą bynajmniej od jakichbądź tego rodzaju psycho- czy chronologicznych względów. Powodem rzeczywistym był i jest brak koniecznych kamieni węgielnych pod takie badanie estetyczne: brak wyrobionej wrażliwości i smaku, brak otrzaskania z prądami i teoryami literackiemi różnych epok i krajów i, nadewszystko, brak jakiejkolwiek wyraźnej filozofii sztuki, jakichbądź kategoryczniejszych zasad i postulatów estetycznych. Po dziś prowadzą

się u nas poważne dysputy o różnych „kozich sierciach," jak np. czy powieść historyczna ma lub nie racyę bytu, albo o ile Rzepa i Rzepowa, jako bohaterowie powieści, wyżej stoją od Płoszowskich i Skrzetuskich, albo jeszcze o roli powieści jako „mistrzyni życia." Za to, o podstawowych, nieodzownych przy każdej ocenie kwestyach zachowuje się głuche milczenie, albo też zbywa się je uboczną, empiryczną, niekiedy sprzeczną z pozostałem rozumowaniem, a zawsze przemijającą bez wrażenia wzmianką. I to nietylko w krytykach bieżących i studyach, ale nawet w książkach specyalnie teoretycznych. Tak np. w *Teoryi poezyi* Bema, w całym rozdziale o eposie w mowie wiązanej, mówią właściwie o *istocie* powieści jako dzieła sztuki tylko cztery ostatnie wiersze na stronniczce poświęconej *Don Kichotowi*.

Taki stan rzeczy zmusza nas do kategoryczniejszego, surowszego snadź niż w innych dziedzinach poezyi, stosowania ścisłych wymagań estetycznych przy ocenianiu produkcyi powieściopisarskiej. Czas zaznaczać silniej to, o czem dawno już Michał Grabowski uważał za potrzebne przypominać: że powieść jest poezyą, że zatem, jako dzieło sztuki, nie służy ona do rozrywki, iż rzeczą jej nie jest również wzbudzać śmiech, lub łzy, ani udowadniać lub zbijać jakieś tezy czy doktryny, lecz — jak powiada Paul Adam — „accroître la vigueur de l'esprit," potęgować, rozszerzać ducha, powodować owo bezinteresowne, nieokreślne, całościowe urastanie, które odczuwał twórca Mojżesza przy czytaniu Homera. A to się dzieje, gdy powieściopisarz sięgnie wystarczająco ku głębiom, ku owym „choses merveilleuses qui se voient au-delà de l'île de Thulé"; gdy nie zadowoli się powierzchownem odtworzeniem jakiegoś oderwanego od całości, a więc martwego fenomenu, lecz da odczuć całą sieć niewidzialnych nici, pasem, ogniw, dzięki którym tenże spółpulsuje z wielką jednią bytu i jest właściwie tylko jedną z jej stron niepoliczonych; gdy—jak mówi Norwid—tak „zestosuje ustatkowany swój myślny organizm do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia monologu wiecznego," że będzie mógł „na huczące morza działalności i energij rzucić z góry onemi wielkiemi liniami, których zarysem i proporcyą zwykł był Ajschylos postacie dwie urabiać z narodów i kroci"; gdy w mikrokosmie powieści swej da nam odczuć drgania wiecznych, nieprzemijających pierwiastków bytu; gdy, jednem słowem, jak określa znowu Paul Adam, powieść jego będzie „metaforą jakiejś filozofii," albo, lepiej mówiąc, filozofią wyświtującą wielkiemi zarysami z wirów i zamętów pełnego, wibrującego, tętniącego, ścichającego i zrywającego się znów — życia. Bo drugi warunek, by powieściopisarz nietyle myślał tę filozofię, ile czuł ją w zjawisk wichurze i podawał nie wy-

łuskaną, wyabstrahowaną z życia, choćby nawet przeto miała nabrać wyrazistości większej, — lecz żywą, nieokreślnie w ruchu zdarzeń falującą, tu gubiącą się, a ówdzie znowu, gdzieśmy się najmniej spodziewali, wybłyskającą słonecznie. W tem określeniu, w tym postulacie, dość miejsca dla wszystkich indywidualności, dla wszystkich rodzajów i formułek powieściowych; głębi, ech jedni bytowej, oraz wibracyi życia — od wszystkich żądać możemy i musimy. To są wymagania od — talentu.

Co do rzemiosła, uważamy za potrzebne ściślejsze stosowanie budowy epicznej, to jest, zamiast gawędziarsko, anegdotycznie chronologicznego opowiadania zdarzeń od początku do końca, żądamy ujęcia powieści w katastroficznym, że się tak wyrazimy, punkcie wypadków i umiejętnego wplatania tego, co z faktów poprzedzających okaże się koniecznem, w dzieje ostatnich tych rozwiązań. Ztąd wynika już i reguła nieodzownej ekonomii artystycznej: co nie jest konieczne do ogólnego wrażenia, jest zbyteczne. Wreszcie, sposób patrzenia, obrazy, język — są wtedy dobre, gdy są absolutnie własne, indywidualne i *eo ipso* nowe.

Na podstawie tego oddzielać będziemy powieściowe *dzieła sztuki* od „opowiadań“ wszelakich.

Miriam.

TEATR.

Postulatem kategorycznym, od którego żadnej scenie, pod groźbą obrócenia się w prosty cyrk czy tyngiel, odstąpić nie wolno, jest *dominujące stanowisko* repertuaru. On musi być rdzeniem teatru, jego kością pacierzową, jego wyłączną racyą bytu. Celem jedynym powinno być możebnie najlepsze wcielenie utworu dramatycznego; gra artystów i wszelkie sposoby inscenizacyi muszą być traktowane tylko jako środki do urzeczywistnienia tego celu. Wszelkie „sztuki,“ niemające same przez się wartości i dające tylko pole do rozwinięcia efektów wystawowych lub okazania wirtuozyi aktorskiej, śpiewaczej czy tancerskiej, muszą być stanowczo wykluczone. Występy artystów, angażowanie sił nowych, debiuty i występy gościnne—winny być zawsze podporządkowane wymaganiom repertuaru, nie zaś naodwrót. Koniecznem jest także usunięcie wszelkiej dorywczości w repertuarze, zaprowadzenie w nim wyraźnego *ładu i planu,* a to tem bardziej, że ze względu na różnolitość publiczności uczęszczającej do wielkomiejskiego, zawodowo prowadzonego teatru

musi on być eklektycznym, nie może zamykać się wyłącznie w sferze dzieł sztuki, lecz z konieczności winien uwzględniać wszelkie rodzaje i kierunki, nie cofając się nawet przed melodramatem i wodewilem. Dla zapobieżenia złym skutkom tego kompromisu repertuarowego, dla ustosunkowania należytego tych różnych elementów i zachowania odpowiedniej równowagi, wydawałoby nam się pożądanem i poniekąd koniecznem nawet *wypracowywanie dokładnego planu całkowitej kampanii rocznej* (z zostawieniem luk na przypadkowości, jak zjawiające się nowe dzieła i t. p.) *i ogłaszanie go w pismach na kilka miesięcy przed jej rozpoczęciem.* Wytwarzałoby to pewną celowość, okazywało odrazu w pełnem świetle, czego po kierowniku repertuaru spodziewać się można, oraz pozwoliło krytykom teatralnym wyjść z banalnych ogólników i konkretniejsze w ocenach suggerować pomysły. Rzecz prosta, iż, o ile teatr chce dbać o podniesienie kultury estetycznej i wytwarzanie sobie coraz szlachetniejszej publiczności, główna uwaga przy układaniu takiego planu musi być zwrócona na dział arcydzieł, co bynajmniej nie jest takim „nienajtrudniejszym obowiązkiem,“ jeżeli nie ma być rutynicznem i nieprowadzącem do celu hołdowaniem tradycyom podręcznikowym. Do tego działu, w którym jednak cała nadzieja lepszej przyszłości, ciągnąć jeszcze trzeba pełną złych nawyknień publiczność, a więc, nie polegając na samym wpływie arcydzielności, dawać rzeczy nietylko doskonałe, lecz nadto nieograne, nieznane, zewnętrznemi nawet stronami zaciekawiające, i przeplatać wszechstronnie epoki, style, rodzaje, indywidualności. Widz przeciętny, nie mając wtedy pod ręką gotowych, wyszarzanych po wszystkich podręcznikach, komunałów do zreasumowania, lub raczej do zatarcia swoich wrażeń, będzie się może trochę wczuwał osobiście, wrażliwość jego zacznie rozbudzać się zwolna — i resztę zrobi już samo arcydzieło. — W dziale sztuk, czy to czysto rozrywkowych, czy tezowych, tendencyjnych, czy wreszcie kopiujących żywcem życie, — wybór mniejszej jest wagi. Tak czy tak, rzeczy te pozostaną zawsze tylko *malum necessarium*, chwilowo podtrzymującem teatr materyalnie, ale przeszkadzającem raczej, aniżeli pomagającem w dziele podniesienia kultury i smaku.— Przy wyborze „nowości,“ gdzie już nowość dzieła sama przez się jest atrakcyą wystarczającą, nawet dla szerokiej, niechętnej głębszym rzeczom publiczności, — jedynemi kryteryami winny być: talent autora i wartość utworu jako dzieła sztuki. Wszelkie ugania się za bulwarowo-rozgłośnemi płodami reklamy, wszelkie sympatye czy antypatye do tych lub tamtych kierunków, wszystkie płytkie „moralności“ — są tutaj zupełnie nie na miejscu.

Ogólne te uwagi stosują się jednako do repertuarów dramatu, opery i baletu. W dramacie nie wystarczy dorywcze, zdawkowe wystawianie jakichś zbyt już dzisiaj oklepanych i przeżytych *Zbójców,* jakiegoś byle jak obsadzonego *Hamleta,* jakiejś Pohlowskiej *Wasantaseny,* dla tego, że ona gdzieś tam miała powodzenie, jakichś wreszcie wiecznie tych samych sztuk Słowackiego, Fredry czy Korzeniowskiego z popisowemi dla tych czy owych artystów rolami. Tu trzeba sięgnąć ku mniej znanym rzeczom tych samych Szekspirów, Schillerów, Fredrów, Molière'ów, Słowackich, Sofoklesów, albo też: uzupełnić czy zastąpić je utworami innych członków plejady szekspirowskiej (Marlowe'a, Forda, Webstera, Beaumont'a i Fletcher'a); wprowadzić Shelley'a, Byron'a, Swinburne'a, Hebbla, Grabbe'go, Platena, Hamerlinga; zajrzeć od czasu do czasu do Corneille'a i Racine'a, którzy nie są tak zupełnie spleśniali, jakby się komu zdawało; przypomnieć sobie o teatrze hiszpańskim, starszym czy nowszym (Lope de Vega, Tirso da Molina, d'Almeida Garrett, Etchegaray), o Calderonie, o Alfierim i Goldonim; odważyć się czasem na Ajschylosa, Arystofana, Kalidasę; wydobyć wreszcie z pyłu zapomnienia większość polskich twórców dramatycznych, nie opuszczając nawet — i zwłaszcza — opuszczonych przez komisyę Magnuszewskich, A. N. Korzeniowskich, Faleńskich, Bełcikowskich i t. d. — W operze, główną uwagę zwrócić trzeba na *dramat muzyczny;* ogarnąć zwolna, nie zadowalając się Tannhäuserem i Lohengrinem, całą, zwłaszcza późniejszą twórczość Wagnera; uzupełnić ją, dalej, *Ifigenią* i *Orfeuszem* Glucka przedewszystkiem, *Fideliem* Beethovena, *Wolnym strzelcem* i zwłaszcza *Oberonem* Webera, Mozartowskiemi wreszcie *Don Juanem, Weselem Figara* i *Zaczarowanym fletem;* z nowych zaś rzeczy zwrócić główną uwagę na d'Indy'ego, Charpentiera, oraz niektórych niesłychanie zajmujących twórców belgijskich i czeskich. To powinno być jądrem repertuaru i stałą jego podstawą. Poza tem, jak najszerzej winna być uwzględniana *nowa* twórczość swojska, a ostatnie dopiero miejsce może zająć ubieganie się za *modnemi* nowościami zagranicznemi. — Balet, który w ostatnich czasach zeszedł do rzędu cyrkowo-tynglowych widowisk, największych może potrzebuje zmian w repertuarze i wogóle w całym swoim rodzaju. Balet-dzieło sztuki nie jest wystawą łydek, zlepkiem sztuk akrobatycznych i efektów dekoracyjno-wystawowych, lecz poematem ruchów i linij tak ściśle sharmonizowanych z symfonią tonów, jak słowo z muzyką w dramacie muzycznym. „La danseuse," powiada Mallarmé, „n'est pas une femme qui danse, mais une métaphore résumant un des aspects élémentaires de notre forme,

glaive, coupe, fleur, etc.“ Ciało tancerki, dodaje Rodenbach, powinno być tylko osią rytmu, od której wszystko zależy, ale która pozostaje w ukryciu. W orzeczeniach tych czuć ślady reformy wprowadzonej w dziedzinie tańca przez Loïe Fuller i przez tancerki egzotyczne, japońskie i inne, a z zajęcia się poetów, twórców — tym działem sztuki teatralnej, można dobrze wróżyć o jego przyszłości. Zanim ukształtuje się taki balet, „adjuvant et le paradis de toute spiritualité (Mallarmé), — teatr, chcący już dziś podnieść kulturę i w tej dziedzinie, winien porzucić albo na drugi plan odsunąć widowiska mechaniczno-akrobatyczne, a oprzeć repertuar baletowy na takich muzyczno-choreograficznych poemacikach jak *Gizella* Adam'a, *Coppelia i Sylvia* Delibes'a, *Korrygana* Widor'a, lub nawet uciec się w razie potrzeby do starszych rzeczy Cherubini'ego, Glucka (Don Juan), Beethovena (die Geschöpfe des Prometheus) i t. d.

Samo już podporządkowanie repertuarowi pozostałych elementów teatru wskazuje jasno, że wykonanie nie może opierać się na występach pojedyńczych solistów-wirtuozów, choćby najbardziej olśniewających, lecz na odpowiedniości i harmonijnem zespoleniu wszystkich biorących udział w danem przedstawieniu czynników: kapelmistrza, orkiestry, chórów i *wszystkich* solistów — w operze; kapelmistrza, orkiestry i *wszystkich* tancerzy — w balecie; wreszcie, *całego* personelu sztuki — w teatrze dramatycznym. Osiągnięcie takiego idealnego zespołu jest rzeczą nader trudną, o ile — jak u nas właśnie — brak odpowiedniej szkoły, w rodzaju np. paryzkiego konserwatoryum muzyczno-dramatycznego, przygotowującej ciągle nowy materyał do zapełniania luk w personelu i uzdalniającej przez należyte studya wszechstronne do pewnego stylu w grze. Balet warszawski posiada jeszcze swoją szkołę, acz do ostatnich dni bardzo źle, bo w kierunkunku akrobatycznym prowadzoną, ale opera i dramat rekrutują swe siły z najrozmaitszych stron i sfer, przeważnie takich, że dany artysta, dostawszy się na wielką scenę, musi, zamiast rozwijać swój talent i zbogacać indywidualność, pozbywać się naprzód różnych wad i złych nawyknień, gdzieindziej nabytych, lub douczać się tego, co przy wstępie na scenę powinien był umieć. Ztąd najrozmaitsze gatunki i maniery gry czy śpiewu, ztąd niepodobieństwo należytego zestrojenia się, ztąd zła wymowa, nieumiejętność mówienia wierszy, fałszywe lub banalne pozy, ruchy, gesty, ztąd absolutny brak jakiegoś stylu we wszystkiem, co przewyższa poziom dramatu mieszczańskiego, ztąd niezdolność do szerokiej deklamacyi w dramacie muzycznym, ztąd niski stan ukształcenia ogólnego i nawet kultury towarzyskiej. O potrzebie, o nieodzowności takiej szko-

ły muzyczno-dramatycznej na większą skalę pomówimy kiedyś obszerniej. Póki jej niema, cała nadzieja dla teatru w odpowiednim kierowniku artystycznym, którym może być tylko człowiek wszechstronnie ukształcony pod względem estetycznym, obdarzony smakiem wytwornym i czuciem artystycznem, umiejący wpływać ożywczo na poddany władzy jego personel i wszczepiać mu, że tak powiem, swe intencye. Dla opery, widzę, wskazanych na takiego kierownika lub kierowniczkę, — p. Bandrowskiego lub p. Kruszelnicką. Dla dramatu — trudniej kogoś zaproponować. Przeciwko przewadze żywiołu aktorskiego w rządach teatralnych walczyli niedawno wszyscy referenci komisyi — i może słusznie. Więc literat-esteta? Ale gdzież go szukać? Póki chodzi o wystawianie Schönthanów, Schnitzlerów, Lavedanów, Sudermannów, Rostandów i nawet Hauptmannów, — zgoda, że łatwo znaleźć kilku nawet kandydatów. Jak tylko pomyślę wszakże o wielkim repertuarze, o arcydziełach poezyi dramatycznej (a o te przecież chodzi najbardziej!), — zaraz przypomina mi się ten rezultat czysto warszawskiego estetyzmu, jakim był zmodernizowany (po meiningeńsku?) chór w *Królu Edypie*. I to u... „miłośników,“ nie sztuki wprawdzie, lecz sceny.

Na zakończenie, słów kilka o tak zwanej *mise-en-scène*. Zbytecznem byłoby, rzecz prosta, wchodzić, *ad usum* teatru musowo podlegającego kompromisom, w rozbiór różnych zasadniczych pomysłów, reform i żądań, dotyczących bądź inscenizacyi wogóle (Jarry, Lugné-Poe, Maeterlinck), bądź specyalnie wystawy dramatów Wagnerowskich (Appia, Bryk), lub nawet zastanawiać się nad osiągniętemi w tej dziedzinie urzeczywistnieniami *(Elisabethan Society* w Londynie, paryzkie *théâtres d'art,* teatr ludowy Pottechera.) Rozpatrzymy to kiedyindziej wyczerpująco z czysto teoretycznego stanowiska. Tu chcemy tylko zaznaczyć, że „mania erudycyjna,“ w jaką wpadły, od wizyty meiningeńczyków, i krytyka teatralna i teatr sam, doprowadziła zwolna do zapomnienia o estetycznej stronie inscenizacyi. Rozprawia się szeroko o zgodności kostyumów i dekoracyj ze stylem epoki, wyłapuje się troskliwie i gorzko reżyseryi wyrzuca każdy, choćby najdrobniejszy anachronizm, — ale za to linie i barwy w rażącym są częstokroć rozdźwięku, krzyczą wprost jedne przy drugich, ugrupowania bywają głęboko nieestetyczne, dobór figurantów ohydny, — i rzadko kto o tem słowo powie. Mniej często się to zdarza w tapicersko-meblowych inscenizacyach współczesnych; za to w operach, baletach i arcydziełach poezyi dramatycznej, gdzie właśnie najdrobniejszy szczegół nieestetyczny może rozbić czar marzenia, przytrafiają się poprostu *horrenda*. Środek na to widzimy tymczasem tylko

jeden: oddać kierownictwo inscenizacyi dobremu malarzowi. Tu nie wystarczy brać od malarzy kartony poszczególnych kostyumów czy dekoracyj; tu potrzeba ogólnego planu, skomponowanego w całości przez malarza, tu potrzeba pewnego oka artysty plastyka, aby przy wcielaniu tego planu nie prześliznęło się nic psującego harmonię ogólną. Czy jeden malarz ma zawiadywać tym działem, czy też lepiej każdą poszczególną inscenizacyę oddawać innemu, to już rzecz drugorzędna.

Z. P.

MUZYKA.

Filharmonia warszawska. Garść uwag luźnych.

Nie chcemy wchodzić w bliższy rozbiór kwestyi, czyjej zasłudze — czy szczęściu — przypisać należy szybkie i stosunkowo imponujące ukształtowanie się filharmonii warszawskiej. Pp. Młynarski i Rajchman dowiedli niebywałej u nas energii, sprężystości, oraz umiejętności organizatorskiej, zdoławszy nakłonić do spółudziału i zaryzykowania potrzebnych kapitałów cały szereg warszawskich „miłośników sztuki,“ częstokroć nader luźno i wątpliwie ją miłujących. Z drugiej strony, mieli obaj rzadkie szczęście, że napotkali na swej drodze człowieka rzeczywiście i gorąco sztuce oddanego, posiadającego wielkie środki i szafującego niemi z niezwykłą na rzecz umiłowanej sprawy hojnością. Najważniejsza wszakże, iż trafili na chwilę odpowiednią i na grunt przygotowany przez długie, niemniej wytrwałe, niemniej uznania godne, ale prekursorskie, a więc nieuwieńczone bezpośredniem w tych rozmiarach powodzeniem, wysiłki całego szeregu poprzedników. Faktem jest, iż różne czynniki — (przeszło 30-letnia zasłużona działalność Towarzystwa Muzycznego, gorliwe zabiegi osobiste kilku muzyków miejscowych, niejednokrotne, acz ostatecznie nieudane, próby stworzenia stałej orkiestry miejscowej, kilka cyklów muzyki kameralnej, koncerty symfoniczne w Teatrze Wielkim przy pomocy orkiestry operowej, wreszcie, nawet symfoniczne produkcye Windersteinowskie) — podniosły w końcu tak dalece kulturę muzyczną śród szerszych warstw ogółu, że powstanie filharmonii stało się prostą koniecznością, która nieco prędzej czy nieco później urzeczywistnienie znaleźć musiała. — To miarkuje stosunek zasług; to wskazuje zalety i wady filharmonii; to określa wreszcie (o czem kiedyindziej pomówimy obszerniej), jakiby winien być jej przyszły stosunek do Towarzystwa Muzycznego.

Filharmonia miała, w zasadzie, zadośćuczynić trzem naglącym potrzebom: dać odpowiednie pomieszczenie sztuce muzycznej, stworzyć organ wykonawczy dla najwyższego rodzaju tejże sztuki, wreszcie umożliwić obdzielanie tą sztuką szerokich warstw społeczeństwa. Przyjrzyjmy się, jak wyglądają te trzy postulata w urzeczywistnieniu dotychczasowem.

Gmach, zbudowany w 18 miesięcy, ale bynajmniej nieprzynoszący zaszczytu architektom warszawskim, pełny niewygód wewnętrznie, pozbawiony monumentalności i powagi od zewnątrz, przeładowany obcemi jego celowi ubikacyami dochodowemi, ozdobiony (?) „prawdziwemi" podobno, ale przeważnie mizernemi, a gdzieniegdzie (plafon w sali głównej) wprost sromotnemi „dziełami sztuki" (??), — nie przyczynia się wprawdzie do upiększenia miasta i każe żałować, że nie przyjęto planów Fellnera i Helmera; że wszakże zawiera dwie wielkie i wcale akustyczne sale koncertowe, więc spełnia wystarczająco swoje zadanie. — Na bezwzględne uznanie zasługują: dobór doskonałych istrumentów, przepyszny (z wyjątkiem brzydoty zewnętrznej) organ koncertowy, oraz — przedewszystkiem — skompletowany świetnie przez p. Młynarskiego personel muzyczny. Zwolennicy swojszczyzny za każdą cenę podnieśli wprawdzie lament o „zamorskich" flecistów, oboistów, waltornistów etc., ale Warszawa znalazła się nagle w posiadaniu pierwszorzędnej i na wstępnych już koncertach wcale dobrze zgranej orkiestry, której pod koniec zimowego sezonu już nawet bardzo wymagający Nikisch nic prawie nie znalazł do zarzucenia. — Niestety, doskonały ten instrument marnuje się i z czasem popsuć się może, skutkiem używania go do wszystkiego i nawet częściej do rzeczy nieodpowiednich, aniżeli do będących właściwem jego zadaniem. Filharmonia, która w podaniu do władzy o zatwierdzenie ustawy motywowała potrzebę swego istnienia tem przedewszystkiem, że „kultura muzyczna w Warszawie nie przybrała rozmiarów odpowiednich jedynie z powodu *braku systematycznie prowadzonych koncertów symfonicznych,*" i która pierwotnie miała w zamiarze głównie poważną muzykę w wyższym stylu, symfoniczną i kameralną, zapragnęła potem zmonopolizować wszelkie jej rodzaje: poważny i popularny, orkiestrowy i solowy, instrumentalny i wokalny. Wkroczono przez to w obręb działania innych, istniejących już i spełniających porządnie swoje zadanie instytucyj, a usprawiedliwiając to rozszerzenie zakresu koniecznością „szkolenia, urabiania, wykształcania publiczności," zapoznawano niesłusznie wszystko, co tamte instytucye uprzednio już dla umuzykalnienia Warszawy zrobiły, wszystko, dzięki czemu filharmonia musiała powstać i mogła

tak wielkie natychmiastowo osiągnąć powodzenie. Warszawa miała, bez filharmonii, dość muzyki solowej, wokalnej i instrumentalnej, brakowało jej tylko muzyki orkiestrowej, symfonicznej, a że chciała i potrzebowała jej, że jej do tego nie było trzeba „szkolić,“ świadczyło powodzenie koncertów symfonicznych w Teatrze Wielkim i nawet u Windersteina. Tylko nie trzeba w nią wmawiać, że przekarmienie ciężką strawą jest niebezpieczne. — Zapomniano nadto, że, nazwyczajając na koncertach popularnych szersze, potrzebujące jeszcze „szkolenia“ warstwy publiczności do utworów lekkich, a nawet „trywialnych i banalnych“ (których wykluczenie p. Grossmann na później dopiero obiecuje), nie zachęci się ich do utworów poważnych, a odbierze się skupienie i powagę należytą orkiestrze. Pierwszy to chyba na całym świecie przykład, że orkiestra filharmoniczna dawać ma jednocześnie i koncerty promenadowe. Gdzieindziej te ostatnie pozostawiono orkiestrom wojskowym i popularnym, nigdy znowu nie wdającym się w poważną muzykę. Wytwarzanie kultury artystycznej tą drogą, przerabianie w ten sposób melomanii na znawstwo jest prostem złudzeniem, a jeżeli — jak przypuszczał prof. dr. Bylicki — chodzi o robienie kasy, to wartoby się zastanowić, czy zbyt wielka ilość koncertów popularnych nie przynosi raczej szkody, i to potrójnej: demoralizując i orkiestrę i publiczność, oraz psując pośrednio interesa koncertom, jeśli nie symfonicznym, to przynajmniej filharmonijnym. — Na czem znowu polega różnica tych ostatnich dwóch typów koncertowych? — zadał sobie pytanie tenże prof Bylicki, i wnioskował bardzo słusznie, że koncert symfoniczny składać się będzie z utworów wyłącznie na orkiestrę, filharmonijny zaś z utworów wszelkiego rodzaju. „Nikt bowiem“ — dodaje — „nie będzie słuchał w skupieniu poważnego dzieła orkiestralnego, jeżeli wie, że numer następny wypełni głośna śpiewaczka, słynny pianista lub skrzypek.“— Niestety, wnioskowanie jego było mylne. Symfoniczne koncerta, dawane podobno „dla prawdziwych smakoszów,“ nietylko nie są pozbawione solistów, lecz nawet hojniej w nich zaopatrzone, niż filharmonijne. I żebyż ci soliści wykonywali przynajmniej zawsze coś poważnego, szlachetnego, mającego jakibądź związek z symfonicznością koncertu! I to nie. Na IV-ym konc. symf., p. Gemma Bellincioni śpiewa arye operowe (Puccini'ego i Boito), oraz... cały wianuszek piosenek Tosti'ego; na V-ym, p. F. de Lucia uracza słuchaczy aryą z *Werthera* i pieśniami neapolitańskiemi; na wieczorach filharmonijnych pojawiają się arye z *Hugonotów,* z *Lakme* i t. p. Smutny obowiązek podrzędnej akompaniatorki spełnia przy tem orkiestra, a tak łatwo

naźwyczaja się widocznie do tej roli, że potem tam nawet, gdzie jej przypada nie akompaniatorskie jedynie, lecz spółrzędne z solistą zadanie, zbywa dyskretnie swoje *tutti*, cofa się skromnie na drugi plan, uważa sama siebie za szare tło, na to tylko potrzebne, aby na niem w całej chwale wybłysnąć mógł wirtuoz-solista. Parę razy zaledwie, w ciągu wszystkich koncertów symfonicznych i filharmonijnych, zdarzyło nam się słyszeć mniej bierny, zaznaczający wyraźnie swe równie ważne stanowisko, wtór orkiestry: w pierwszym akcie *Walkiryi*, którego odegranie było może najwyższym *czynem* muzycznym filharmonii; podczas występów Ysaye'a; oraz — zwłaszcza — w koncercie c-moll Saint Saëns'a, odegranym przez Raula Pugno, gdzie doskonały fortepianista sam w sposób widoczny żądał od orkiestry nie akompaniamentu, lecz czynnego współdziałania. — Przewaga po stronie solistów na wielkich koncertach wywiera wpływ zły i na orkiestrę i na publiczność. Pierwsza, zajęta ciągle próbami to z tym, to z innym wirtuozem, niezawsze ma dość czasu i spokoju na doskonałe przestudyowanie samoistnych dzieł symfonicznych — i wykonanie ich niezawsze też jest takiem, jakiego po dobroci orkiestry spodziewaćby się można (przypomnimy tylko niebardzo udaną IX-tą symfonię). Dla publiczności znowu, która nie umie się oprzeć fascynacyi tego lub owego rozgłośnego solisty i skupia całą uwagę na jego popisach, orkiestrowe numery programu stają się czemś w rodzaju muzyki antraktowej, przy której się, nie słuchając, odpoczywa, i wskutek tego przemijają zupełnie bez wrażenia. I oto jak wygląda owo stopniowe kształcenie, owo powolne rozbudzanie zamiłowania do najwyższego rodzaju sztuki muzycznej! Były prezes filharmonii zwierzał się jakiemuś *interviewer*'owi, że sam „sprzeciwiał się, aby na wielkie koncerty angażować po dwóch solistów, ale *większość zdań przemogła.*" Zdań akcyonaryuszów, naturalnie, bo filharmonia jest, niestety, spółką akcyjną, „musi" płacić przedewszystkiem dywidendę i słuchać ludzi, którzy — jeśli odrzucić obowiązkowe, wyszarzane frazesy o „ideałach" — traktują ją jak interes bankowy lub przemysłowy. Ściągać publiczność! robić kasę! — oto, według nich, rzecz główna, oto co „stanowi o bycie instytucyi." A więc — *utile dulci*, i to jak najwięcej rzeczy słodkich, jak najwięcej przyjemności dla „zwyczajnych śmiertelników, niesymfonistów," bo tych jest większość ogromna, bo ci zatem prędzej mogą robić kasę. „Śmiem twierdzić" — puszcza się istotnie śmiało jeden z tych panów, gromiąc młodego muzyka za zarzuty przeciwko nadmiarowi solistów — „że niema na świecie miasta, któreby zapełniło wielką salę dla wysłuchania nieznanej symfonii początkującego kompozytora i innych *samych poważnych produkcyj.*"

Zadowolenie z siebie doprowadza czasem do szczytnych naiwności. Śmiemy uśmiechnąć się, łaskawy panie, i spytać, po co w takim razie było przyczyniać się do założenia filharmonii? czy nie lepiej, rozumniej i pożyteczniej byłoby ufundować jakąś „instytucyę dla niesymfonistów?“

Filharmonia musi zdecydować się, czy jest instytucyą, czy przedsiębierstwem, świątynią sztuki, czy miejscem rozrywki. Wolno jej być jednem lub drugiem, ale od tego wyboru zasadniczego zależeć będzie w przyszłości pogląd krytyki na jej działalność. Nie zaprzeczamy, że filharmonia zrobiła, w krótkim stosunkowo czasie, dość dużo i w kierunku artystycznym (sprezentowała cały szereg kompozytorów polskich, dała poznać w doskonałem wykonaniu kilka dzieł kapitalnych sztuki muzycznej, obudziła ruch ożywiony i umiała zogniskować go u siebie), ale przewaga strony rozrywkowo-dochodowej była tak wielka, że nie pozwoliła wytworzyć się poważnej atmosferze *sztuki*. Koncerta w filharmonii zostawiają po większej części wrażenie albo „uprzyjemnionego“ muzyką rautu, albo roztupanej, rozklaskanej, histerycznie rozszalałej, wyjącej na widok jakiejś „gwiazdy“ — sali operowej. Ciszy, skupienia, powagi i tej milczącej wibracyi całego tłumu słuchaczy, która jest jedyną oznaką istotnego podniesienia wnętrznego, — dzisiaj tam nie szukać. I tak będzie, dopóki główny nacisk nie zostanie położony na wielkie dzieła symfoniczne, albo przynajmniej, dopóki jakiś osobny cykl koncertowy nie zostanie dla nich wyłącznie zarezerwowany.

Ż

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Dante Alighieri. *Nowe życie.* Przekład G. Ehrenberga. F. Hoesick. Warszawa. — Jan Kasprowicz. *Ginącemu światu* (Dies irae, Salome, Święty Boże, Moja pieśń wieczorna). Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Jan Kasprowicz. *Miłość.* Z ilustracyami E. Okunia i E. M. Liliena. Wydanie drugie. Księgarnia Polska. Lwów. — Z. Krasiński. *Niebożestwiennaja komedya.* Pierewod i wstupitielnaja statja A. Kursinskaho. Knihoizdatieletwo „Skorpion.“ Moskwa. — Pol Levengard. *Georgina.* Préface de Maurice Barrès. P. Legendre et comp. Lyon. — Jan Rokyta. *Vidiel jsem duszi ženy...* Nakl. spisovatelovym. Praha. — Wacław Wolski. *Nieznanym.* Warsz. Spółka Wydawnicza. Warszawa.

POWIEŚĆ. — E. Brausewetter (opr. G. Plewińska.) *Finlandya w oświetleniu literackiem.* Zbiór utworów pisarzy finlandzkich. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Świętopełk Czech (przekład P. Laskowskiego.) *Jastrząb contra Hordliczka.* Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Mécislas Golberg. *Lazare le Ressuscité.* Plainte en douze épisodes. Edité par le comité Golberg chez A. Wolff libraire. Paris. — Artur Gruszecki. *Większością.* Tomów 3. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Jan Adolf Hertz. *Z teki wrażeń.* G. Gebethner i S-ka. Kraków. — Vaclav Hladik. *Trest.* J. Otto. Praha. — Tadeusz Kon-

czyński. *Śladem tęsknoty.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jan Lorentowicz. *Wybór nowel francuzkich.* Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Ks. Bolesław Maryański. *Ester.* 3 tomy. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Dagny Przybyszewska. *Kiedy słońce zachodzi..* Przekład St. Przybyszewskiego. J. Fiszer. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *W godzinie cudu.* J. Fiszer. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Poezye prozą.* J. Fiszer. Warszawa. — J. Sielski. *W pół drogi.* 2 tomy. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Pisma.* Tomy *XXXVI* i *XXXVII.* Tyg. Ilustrowany. Warszawa. — Józef Weyssenhof. *Sprawa Dołęgi.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jerzy Żuławski. *Opowiadania prozą.* T. Paprocki i S-ka. Warszawa.

TEATR. — Em. szl. z Leszehradu. *Podpora života.* Drama ve 3 jednanich. E. Weinfurter. Praha. — Maurycy Maeterlinck. *Wnętrze.* Tłumaczył Zygmunt Sarnecki. H. Altenberg. Lwów. — Stanisław Przybyszewski. *Zlatno runo.* Prijevodi iz poljskoga. (Jako wstęp: St. Słoński. — Poljski Moderniste). Zbornik pouke i zabave II - III. Vlad. Jelovszek. Prag. — Francesco Zeppa. *Les âmes inquiètes.* (Anime Inquiete, traduit de l'italien.) Drame en trois actes. „l'Oeuvre d'Art International." Paris.

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. — M. Guyau. *Zagadnienia estetyki współczesnej.* Przekład St. Popowskiego. Skł. gł. u J. Fiszera. Warszawa. — Władysław Jabłonowski. *Chwila obecna. Dążności i usposobienia.* J. Fiszer. Warszawa. — Dr. phil. Ludwig Klages. *Stefan George.* G. Bondi. Berlin. — Stanisław Przybyszewski. *Z gleby Kujawskiej.* M. Borkowski. Warszawa. — Wacław Wolski. *Wzloty na Parnas. Profile duchowe poetów współczesnych.* Serya pierwsza. Warszawa. — Stanisław Zdziarski. *Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku.* E. Wende. Warszawa.

HISTORYA. — Szymon Askenazy. *Sto lat Zarządu w Królestwie Polskiem (1800 — 1900).* H. Altenberg. Lwów. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło.* Część I i II. Bibl. dzieł. wybor. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — H. F. Amiel. *Z pamiętnika.* Tłumaczyła A. Kordzikowska. Studyum krytycznem poprzedził Wł. Jabłonowski. Stefan Demby. Warszawa. — Dr. H. Biegeleisen. *Pamiętnik Juliusza Słowackiego.* Bibl. dzieł wybor. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski.* Część I. Tom IV, zeszyt 1 i 2. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Dr. Teobald Ziegler. *Wiara i wiedza.* Przekład A. Krasnowolskiego. Przegląd Filozoficzny. Warszawa. — H. v. Helmholtz. *Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teoryi poznania.* Przekł. prof. d-ra L. Silbersteina. Przegl. Filoz. Warszawa.

KRAJOZNAWSTWO. — Ks. Antoni Macoszek. *Przewodnik po Ślązku cieszyńskim.* Towarzystwo Wydawnicze. Lwów.

ANTOLOGIE. — Dr. Radowan Koszuticz. *Primieri knjiżewnoga jezika poljskog (Wypisy polskie).* Drukarnia państwowa. Belgrad.

VARIA. — Ks. Józef Adamczyk. *Wizerunki dostojników duchownych w sali rycerskiej na Jasnej Górze.* Nakł. autora. Warszawa. — *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX.* Tom II, zesz. 1, 2 i 3. Nakł. M. Chełmońskiej. Warszawa. — Ks. Józef Londzin. *Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w księztwie cieszyńskiem.* Towarzystwo Wydawnicze. Lwów. — *Na Pogotowie Ratunkowe. Kalendarz informacyjno - encyklopedyczny* na rok 1902. Nakł. Tow. Doraźnej Pomocy Lekarskiej. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa). Listopad, grudzień 1901. — Z. Krasiński: *Listy do Reeve'a.* — T. Konczyński: *Śladem tęsknoty.* — H. Biegeleisen: *Nie-*

znany szkic literacki Józefa Szujskiego. — W. Zaremba, H. Skirmunt, J. Przysiecki, K. Tetmajer: *Rozwieszone obrazki jesienne.* — St. Witkiewicz: *Aleksander Gierymski.* — Br. Kruczkiewicz; *Kwestya języków klasycznych w szkołach średnich.* — A. Maciejowski (Sewer): *Duch czasu.* — J. Tretiak: *Ignacy Krasicki.* — W. Bogusławski: *Reforma teatrów warszawskich.* — K. Tetmajer: *Z V-ej seryi „Poezyi."* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

LA CRITIQUE INDÉPENDANTE. (Paris.) Octobre 1901. — A. Séché: *La critique indépendante.* — F. Fagus: *Critique du Théâtre (Théâtres d'hier.)* — P. Marcel: *l'Organisation matérielle des Expositions artistiques.* — J. G. Prod'homme: *Une nouvelle scène wagnérienne.* — Jan Lorentowicz: *Un livre sur la France (Félix [Jasienski], Manggha.)* — *Le mois: Chronique des poètes, Les romans, Histoire et Littérature, Les livres d'Art, les Théâtres, A propos de critique musicale, les Bibelots d'Art, Revue des Revues, Echos, Memento bibliographique.*

LA GRANDE REVUE. (Paris.) 1-er novembre 1901. — Knut Hamsun: *Victoria.* — G. Rouanet; *les Héros d'Homère.* — C. Bouglé: *La Science contre la Démocratie.* — C. Lemonnier: *les Deux Consciences.* — E. Arène: *le Mois théâtral.*

HRVATSKA MISAO. (U Zagrebu.) God. I. Broj 1 i 2. — M. Nehajev: *Moderno i narodno.* — J. Koharić: *Memoari fra Grge Martića.* — Živan: *Pita i Poldika.* — Milan Szarić: *Studij slavenstva.* — Stj. Radić: *Koliko vrijede Slovaci.* — Vl. Jelovszek: *Najnoviji literarni boj.* — *Listak.*

KRYTYKA. (Kraków.) Październik, listopad, grudzień 1901. — A. Łada: *Ocknienie. Królewna.* — W. Tetmajer: *Stowarzyszenie polskiej sztuki stosowanej.* — T. Sobolewski: *Nowe poezye.* — L. Belmont: *O Lwie Tołstoju.* — Sewer: *Kobieta.* — M. Zaruski: *Z cyklu: Morze.* — Wł. Orkan: *W Świątyni. Ku słońcu.* — J. Pietrzycki: *Chorzy. Cisza. Noc nadchodzi.* — T. Konczyński: *Ze wspomnień.* — J. Sten: *Wł. Orkan.* — A. Łada: Tłómaczenia z Verlaine'a i R. Dehmla. — J. Kasprowicz: *Marya Egipcyanka.* — P. Chmielowski: *Józef Weyssenhof.* — D-mol: *Fontes Melusinae.* — M. Olszewski: *Uwagi o sztuce japońskiej.* — F. Mirandolla: *Tęsknota.* — *Sprawozdania naukowe i literackie.*

KSIĄŻKA. (Warszawa). Październik, listopad, grudzień 1901. — A. Mahrburg: *Jeszcze o tłómaczeniach.* — St. Zdziarski: *W sprawie broszur i druków ulotnych.* — *Krytyka.* — *Kronika czasopism.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin). IV J. № 2 - 6. — W. Wolff: *Der Geistliche in der Litteratur.* — B. Lazar: *Alexius Benedek.* — A. Bettelheim: *Grillparzer in Frankreich.* — P. Seliger. *Zur Geschichte des Dramas.* — J. Schlaf: *Gerechtigkeit.* — R. Presber: *Verse.* — Fr. Lienhard: *Wo stehen wir?* — W. Golther: *Tristandichtungen.* — E. Mensch: *Ein Renaissance - Roman.* — J. E.: *Erzählende Kritik?* — R. Dario: *Der südamerikanische Roman.* — G. Adam: *Gorki in Deutschland.* — M. Osborn: *Aus der Kunstliteratur.* — E. Pötzl: *Karlweis.* — R. Hallgarten: *Neues von Grabbe.* — H. Uhde-Bernays: *Grabbe und Goethe.* — E. Meyer: *Französische Romane.* — S. Lublinski: *Künstler-und Stildramen.* — W. Manke: *Komponierbare Gedichte.* — M. Meyerfeld: *Neue englische Romane.* — G. Frhr. v. Ompteda: *Im Spiegel.* — M. Koch. *Die jüngste Litteraturgeschichte.* — E. Engel: *Neue Klassikerausgaben.* — *Echo der Zeitungen.* — *Echo der Zeitschriften.* — *Echo des Auslandes* (Polnischer Brief — *J. Flach.*) — *Echo der Bühnen.* — *Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha). Roczn. XXX, czisla 1 - 8. — G. Preissova: *Kurzata stryce Jana.* — J. K. Szlejhar: *Peklo.* — V. Hladik: *Evżen Voldan.* — J. Szumin: *Przesazene sztiepy.* — Ot. Theer: *Oczarovane miesto.* — A. Breska, H. Jelinek, J. S. Mach, J. Müldner, J. Opolsky, M. Silen, J. z Wojkowicz: *Z basni.* — *Feuilleton:* V. Mrsztik: *K soubornemu vydani Zeyerowych spisu.* — *Literatura.* — *Divadlo.* — *Hudba.* — *Vytwarne umieni.* — *Zpravy a poznamky.*

IL MARZOCCO. (Firenze.) 1902. N-r 1, 2. — G. Marradi: *l'Italianità del Car-*

ducci. — A. Conti: *La chiesa di S. Ambrogio.* — D. Tumiati: *Bajardo.* — G. S. Gargano: *l'Analfabetismo musicale.* — Il Marzocco: *Dentro la cerchia antica. Contro i fili e contro le rotaie.*—G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini.* — L. Beltrami: *I disegni di anatomia di Leonardo.* — E. Corradini: *I cavalieri del lavoro.* — G. S. Gargano: *„Parisina“ al Niccolini.* — C. Cordara: *La musica,* — L. Zuccoli: *Un nuovo teatro e un nuovo giornale a Parigi.* — Diego Garoglio: *Michelangelo poeta.* — Gajo: *La „Francesca“ alla Pergola.* — A. Faggi: *Pro Philosophia. Lettera aperta.* — Commenti e frammenti: *Il romanzo sintetico. Vandalismi.* — Marginalia: *Gli amici dei monumenti.* — Notizie. — Bibliografie.

(Dokończenie.)

VARIA.

Zeszyty 9-ty oraz 10-11-12 (potrójny) wychodzą z druku jednocześnie z niniejszym i kończą pierwszą czterotomową seryę roczną Chimery. Warunki prenumeraty nadal podajemy w zeszycie ostatnim na str. 468.

Erratum. Między str. 189 i następującą po niej bezpośrednio str. 200-ną nic nie brak w tekście. Jest to tylko, wynikła z niedbałości metrampaża, omyłka w paginacyi.

Z powodów od nas niezależnych zmuszeni jesteśmy — pomimo bogatych kolekcyj, jakie mamy do rozporządzenia — zaniechać planowanych na przyszłość wystaw.



CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KIĄŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10.— 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	**9** rb.	**12** rb.	**35** fr. **27** mar. **33** kor.
Półrocznie	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** mar. **18** kor.
Kwartalnie	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** mar. **10** kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.
w Warszawie: rocznie, **30** rb., półr. **15** rb., kwart. **7** rb. **50** k.
z przes. pocztową: „ **32** „ „ **17,50** „ **8** „ **75** „
za granicą rocznie **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu 7-8 rb. 3.

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA.
PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Druk Warszawskiego Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego.


TOM III. ZESZYT 9. WRZESIEŃ 1901.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA -- KSIĄŻĘCA 7.

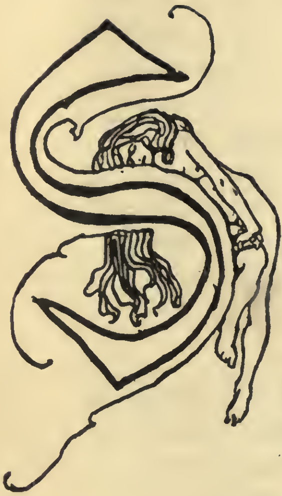
TREŚĆ.

№ 9. — WRZESIEŃ 1901.

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczem.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.
Łamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1902 года.

Babie lato.



nuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!

Pajęcza nić,
Zaklęta nić,
Czepia się łodyg zwiędłej trawy,
Ostatni maku kwiat jaskrawy
Osrebrza cały i oplata;

Tam — gdzie ostróżki fioletowe
Na złocie ścierni haft swój kładą,
Niby błyszczący szych ulata,

By tej jesieni smętnej szata
W barwy mieniła się tęczowe;

Tam, na puszystą ostu głowę,
Na koniczyny czerwień bladą
I na piaszczyste, hen, rozłogi,
I na dziewanny szare kiście —
Gdzie kwiat ostatni lśni ogniście —
Gdzie się przegonów ciągną smugi,
Gdzie się grusz starych cienie kładą,
Na ich gałęzie rosochate,
Na ten pas miedzy — wązki, długi,
Na szare stogi, sterty płowe,
Tam, na zagaje, na dąbrowę,
Aż do tej wody, do tej rzeki,
Na mokre łąki, na bagniska,
Gdzie się ta trzcina chwieje ślizka,
Gdzie tataraki, wodne ziele —
Tak się to srebro żywe ściele,
Jedna za drugą mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!
I płynie nić,
Zaklęta nić...

A śladem za nią, na ścieżyny,
Co się wśród pola bielą znaczą,
Pod tych niebiosów błękit siny,
Za bladą nicią tą tułaczą,
Nadpływa dusza —
Żalem gnana,

W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Gdzie się na miedzach oset chwieje,
Łodyg cykoryi szare pęki,
Srebrne piołuny i bylice —
Pobladłe zwraca, smętne lice,
To jej marzenia, jej nadzieje...
Uwiędłe ziele...
I tylko wiatr
Roznosi jęki,
Trawami chwieje,
I nić się snuje,
Duszę chwyta
— Taka w niej siła niespożyta —
Ta zwiewna nić, tych wspomnień nić.

Ugorem przeszły znojne pługi,
Pobłyska w słońcu ziemia czarna,
Jeden za drugim zagon długi,
Na nowe plony, nowe ziarna.

Po skibach płynie, tam, powoli...
I krwi, i potu tyle, łez,
Na tych zagonach, na tej roli...
Bez zbiorów siewy...
Znojów kres,
Już kres!
I innym trud — a żal...

Z powietrznych cichych płynie fal
— Ani jej zerwać, ani skryć —
Ta srebrna nić, tych znojów nić.

Och!
To jakiś polem przeszedł jęk,
To jakiś ziemią wstrząsnął szloch,
Daleko hen
Zatoczył krąg,
Niby na wodzie te koła,
I tam od łąk,
W poszumach trawy,
Głos idzie łzawy,
I woła,
I łka!

Z poszumem wiatru
Jedno imię
Jękiem nadleci,
Jak olbrzymie
Ziemi westchnienie — polem wieje,
Aż mu zawtórzą echem knieje,
W wierzbach zahuczy, w rokicinie,
W mgłach nieuchwytnych się rozpłynie
To jedno imię — jedno imię...

Przędziwa nić,
Pajęcza nić,
Drży tem imieniem —
Żal, tęsknica,
Zaduma wstaje bladolica,

Powraca znów...
Powraca znów
Niezapomniana jedna nuta,
Z zaprzepaszczonych lat wysnuta,
Ta nić, ta srebrna nić —
Płynie nad polem, z wiatrem leci,
W jesiennem słońcu skrzy się, świeci
Ta dziwna nić,
Ta nuta,
Z przeszłości mgieł wysnuta,
Na życie całe
— Jak pokuta
Zaprzepaszczonych dawnych dni —
Omota duszę i pochwyci:
Taka w niej siła,
Taka moc
W pajęczej wątłej nici!

Niema boleści w niej, rozpaczy,
A smętek jeno, zadumanie,
Jakieś w przeszłości rozkochanie,
Tej — promienistej, pełnej dum...
Orłowe loty,
Skrzydeł szum,
I duchów moc...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę —
Wie, pamięta:
— To było, to było już.

Od liliowych wrzosów wstaje
I płynie, płynie na rozstaje,
Gdzie krzyż spróchniały czarny stoi,
Gdzie się czerwienią brzeźniak stroi,
Kamienie wielkie leżą...
I huczy wicher po przez łany,
Niesie przędziwa szmat stargany...

O życie! biedne życie...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było... to było już...

Po tych ścieżynach, co się znaczą
I złem, i dobrem — i rozpaczą,
I słonecznemi smugi —
Nadpływa dusza...
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Cicho...
Niech płynie ugorami,
I ornem polem, i łąkami,

Gdzie się wysrebrza wstęga rzeki
W starej wierzbiny zżółkłej ramie,
Gdzie rokiciny szum daleki,
Gdzie się echową skargą łamie
Fujarki nuta;
Gdzie z kotliny
Na pole dym się wlecze siny,
I szary kamień miedzy strzeże,
I majaczeją stare wieże
W bezchmurnym, jasnym nieb błękicie.

Cicho...
Niech w dawne płynie życie...
Niech się rozświetli, niech roztęczy
Ten szlak, utkany z mgły pajęczej,
Litosnych Maryi rąk robota.
Niech się ta droga wije złota
Bez szarpiącego wspomnień jęku,
Bez krwi zapiekłej z dawnej rany,
Bez tej rozpaczy,
Tej bez słowa,
Co się w grobowem: nigdy! chowa,
Bez zgrzytu struny potarganej,
Bez żalu i bez lęku...

Cicho...
Niech drogą płynie białą —
Już przeminęło, już się stało...
Uwiędły liście...
Było... było...
Mgły się wieszają nad mogiłą,
Pogodny zachód, jasny, złoty...

I rzewność jeno, zadumanie,
I smutku powiew i tęsknoty,
I przedwieczorne zasłuchanie,
I zachód jasny, cichy, złoty...
I tych pajęczych nici sploty,
I chłodnych kilka ros na ręku,
I tylko jeszcze dumać... śnić...

Bo płynie nić,
Pajęcza nić,
Zaklęta, dziwna nić!..



Marya Markowska.

Próchno.



chwili gdy Jelsky wychodził na ulicę, łuna pożaru tliła się jeszcze na niebie. Długie wycia i skomlenia świstawek fabrycznych zwiastowały ciemnym przedmieściom świt. Ledwo dostrzegalna mgła zmywała kamienice i bruki niby deszcz ulewny. Ostra woń miejskiego poranku: zapach wilgoci, alkoholu i świeżego pieczywa. Śródmieście usnęło nareszcie i cisza legła na pustych ulicach. Gdzieniegdzie tylko oświetlone sutereny; wewnątrz, białe, jak cienie snujące się postacie, i ten ckliwy zapach ciasta i drożdży. — Jelsky wypróżniłby w tej chwili kieszenie za filiżankę czarnej kawy, ale kawiarnie były już zamknięte, czy też jeszcze nie otwarte. Czuł oskomę w gardle i obrzydliwą niemoc w członkach. Księżyce lamp elektrycznych ćmiły się ponad ulicą już tylko zrzadka gdzie-

niegdzie rdzawem, ceglastem jaśnieniem. — „Ta oszczędność magistracka! — gniewał się Jelsky. — Ludzie, — filozofował wnet potem, — powinni żyć i spać naprzemian. To regularne zamieranie życia z tej tylko racyi, że słońce zaszło, przypomina stare przesądy i jest resztką melancholii poczciwego żywota naszych dziadów.“

„Kawiarni!“ — dopominało się w nim jakieś rozprzężenie wewnętrzne.

Po za olbrzymiemi szybami narożnych wnętrży widniały jeno pociemku fantastyczne rumowiska krzeseł na stolikach. I tam tlił się, gdzieś w kącie, tylko jeden płomyk gazowy, rzucając, między te ruiny i na zgasłe, zmatowane lustra, tajemnicze żółte smugi. „*Tiens!* — Jelsky zatrzymał się bezwiednie, — w takich wnętrzach pokutować powinni samobójcy miejscy.“ Popatrzał, podumał, laseczką w bruki podzwonił i poszedł dalej. — Tuż za rogiem ulicy, wparte w węgieł, zadrzemane i jakby przylepione do muru, czyhały maruderki nierządu. „Mors syphilitica“ — przypomniało się zkądciś Jelsky'emu i stanęły mu przed oczyma ludzkie kalectwa. — Na przedmieściach wyły bez przerwy świstawki fabryczne. Jelsky'emu zdawało się, że słyszy suchy, suchotniczy kaszel wyschłych, zapracowanych kobiet, rzucających obfite pomioty żółtych, wzdętych i rachitycznych dzieci, zalegających jak robactwo przedmiejskie zaułki.

„Kawiarni!..“

Odpiął kołnierzyk i schował go do kieszeni, nastawił natomiast kołnierz sakpalta, zsunął cylinder na czoło, wcisnął ręce do kieszeni. Rój czarnych, dokuczliwych myśli przepłaszał upartem nuceniem miłosnej piosenki:

Nietoperze ro-o-jem
Resztę krwi mej piją...

„Trzeba pisać sprawozdanie o Yvetce!..“

Ryk sygnałów fabrycznych zgłuszyły odległe, ponure grzmoty. Jelsky zmieszał melodyę i zaśpiewał w takt tych łoskotów dalekich:

Et du fer pour travailler...

. . . .

„Ça ira, ira, ira!..“ — biły młoty parowe na przedmieściach.

Jelsky potknął się o coś białego. Podniósł z trotoaru wachlarz, obejrzał i powąchał go. „*Lilas de perse fleuri...* Lubię!.. której to z nich tak pachniały ramiona?.. Zaś ona pachnie z gospodarska wodą kolońską, co przypomina bóle zębów, migreny, rekonwalescencye po cięższych wypadkach porodów... Dziwię się, jak mąż mógł to znosić!“

Słychać wreszcie pierwszego przechodnia. Zbliżają się jakieś ciężkie, brutalne kroki. Jelsky, machinalnym ruchem, chowa wachlarz za pazuchę... Nie mundur wszakże, ale ubranie cywilne, co wzbudza w Jelskym grymas niesmaku.

— Gdzie się paliło?

— Nie wiem, — brzmi twardo wyniosła odpowiedź. Błysk oczu czujnych, podejrzliwych, i kroki oddalają się powoli. — „Majestat! — mruczy za nim Jelsky. — Król ciemności! Chamstwo węch ci zepsuje, nie wytropisz nic.“

Ledwo ten znikł na zakręcie, a tuż po za Jelskym, jakby z pod ziemi wyrosła, zjawia się baba w ciemnej chustce i ciągnie za sobą małego wyrostka o długich kruczych włosach. — „*Signor! signor! — c'è..!* — słyszy za sobą Jelsky włoską mowę i obrzydliwy porozumiewawczy syk. Odgadując zamiary, rzuca im krótkie: „*va via!*“ — Przypomina sobie wachlarz i rzuca go im. Matka z dzieckiem dopadają do tego kęsa jak dwa psy.

„Jak te szelmy rzeźbiarze podle opłacają swych modeli!.. Także ofiary sztuki, — *tiens!*.. Chłopczyk wyku-

ty z kamienia zdobi prawdopodobnie, jako duszyczka, mogiłę niejednego opryszka lub kokoty... *Ars longa, vita brevis*..."

Jelsky rozłożył ramiona i ziewnął na całą ulicę.

Cisza, pustka i senność wilgotna wokół, a jednak czuć budzący się gdzieś ruch; ucho nie słyszy, lecz odgaduje, z ciężkiej atmosfery oczekiwania wyławia jakieś westchnienia, szepty pacierza, prężenia zmęczonych członków; jak gdyby pod te ustawiczne obmierzłe świstki fabryczne rozbudziły się wreszcie i kamienie w brukach. Nagle...

Ave Maria, gratia plena...

Ciche, pośpieszne dzwonienie, jakby skowronkowy pierwszy wzlot przed świtem. Sygnaturka rozkołysała się, drga, bije, trzepoce się jak ptak...

Ave Maria, gratia plena...

A tam na przedmieściach walą już młoty pociemku, huczy i dudni już praca.

Jelsky zapalił cygaro, rozpiął palto, rozpiął kamizelkę, zdjął cylinder: coś tłoczy, dławi, dusi poprostu... „Przecież, u Boga, ta Borowska nie jest dziewczyną! A ja mam wrażenie, jak gdybym krzywdę dziecku..."

„Kawiarni!!.."

Na krańcach miasta rzucały pierwsze pociągi w nocną mgłę długie płaczliwe skowyty.



„Pierwsza beczka! — krzyknął jaskrawy szyld na mętnie oświetlonych drzwiach małego szynku. Jelsky, nie na-

myślając się, skoczył do izby ciasnej i cuchnącej jak słodowa piwnica. W brudnem świetle zakopconej lampki, kilka ciężkich, fałdami szerokich bluz twardo zarysowanych sylwetek. Mgła, para czy też mętna zadymka oddalała ich zaspanym oczom Jelsky'ego w głąb daleką i bezbarwną. W pośpiechu, na stojączkę, wlewali w siebie pierwszą dawkę dziennej trucizny. Jelsky siadł za stołem, dmuchnął w pianę podsuniętego kufla, skrzywił się i kazał sobie zgotować czarnej kawy.

— Gdzie się paliło? — ziewnął niedbale.

— Składy drzewa nad kanałem... Dwóch ludzi upiekli... żonatych.

— Kto taki?

— Juścić straż... A od czego ona zresztą?.. Może i tamci dwaj byli ubezpieczeni na żydowski dochód. Pożar to jest intratna rzecz. — Suchy, ochrypły i zły śmiech kilku basów, jak zgrzyt trybów w maszynach, plusk białej piany o kamienną posadzkę i ten zaduch chmielu, duszny, jadowity.

Dano wreszcie kawę, i Jelsky odnalazł myśl swoją.

„Taki ja dobry jak i Kunicki! — rozmawiał ze sobą, gryząc nerwowo ogarek cygara. — Oszczędzam zresztą jego wątłe siły nerwowe i ratuję karyerę... Ty zaś mógłbyś adresować swój testament imieniem, ad personam, a nie pisać go jako list otwarty dla ochotników... Przedewszystkiem spaliłaby się, gdyby nie ja, — przez tę lampę. Następnie, ktoby ją docucił? kto dałby niezbędne dla rozpaczy echo? kto otrząsnąłby z tego odrętwienia w tumanie nieszczęścia? z tego lęku przed skupieniem myśli? z trwogi jakby nie przed tem, co się stało, lecz, że coś podobnego stać się wogóle może?.. Ochotnik musi mieć stalowe nerwy!.. A potem to zatrzepotanie się kobiece: „pobiegnę! wstrzymam! uratuję!“ W czyichś oczach mu-

siała przecież wyczytać odpowiedź rzeczywistości: „nie wróci, nie cofnie się, wrócić nie zechce i nie może.“

Jelsky wspominał. — Gdy myśli przyniosły mu powtórzenie własnej wymowy, rozchmurzyła się nieco twarz, wyobraźnia zagrała żywiej, jędrniej, kapryśniej. Toć przemawiał jak Oktawiusz:

— „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „Ja nie przeżyję! ja żyć nie chcę!“ — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „Boże, mój Boże, co ja pocznę!“ — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.“ — „I co ja mu złego zrobiłam? za co? za co on mi życie zniszczył?!..“ — „Jednakże Brutus...“ — „O, wy wszyscy jesteście jednakowi!“

Chwała Bogu: „my“! To rozszerza pocieszająco widnokręgi. A więc my: — „My...“ Jak ona serdecznie, jak poczciwie i bezradnie płakała!.. „Pani, pani Zofio! — przyjaciele, obrońcy...“ — „O, wy jesteście..!“ Jak ona okropnie płacze! A więc znowuż „my“: — „My...“ — „Niech pan idzie, niech pan natychmiast odejdzie! Ja w tym stanie, w takiem ubraniu nie powinnam być z panem.“

Jelsky zatarł ręce. Ta literacka projekcya niedawnych wydarzeń dała mu zupełnie niespodzianie podniety i sensacye silniejsze niemal od samego faktu. „Ta scenka miała przecież w sobie kapitalne smaki,“ — przyznawał we wspomnieniach. Bawił się więc myślą, przeplatał swe wspomnienia dopuszczeniami wyobraźni:

Jak to biedactwo bać się musi samotności, jak drży na samą myśl o niej. Ta wczorajsza jeszcze Zochna, którą układano prawdopodobnie do łóżeczka, dziś sama jedna, samiutka, w tem wielkiem, obcem mieście!

Bo miasto musi wszakże być rzeczą straszną dla Zochny?

...Ulica długa, długa... pełna światła, połysków, barw... ścisk, tłok, turkot. — Nie widać nic. I te toalety!

Je-jej, jakie toalety! Tam, naprzykład, w powozie. Hm! hm! — dziwi się Zosia. — Czarnych, poważnych panów tyle, — i tych paskudnych, co kobiety zaczepiają. — O, jest „taka“ kobieta; — druga, trzecia... Boże wielki, żeby mnie kto nie wziął za „taką.“ — I Zochna poprawia pewno co rusz woalkę i kapelusz. I te wystawy sklepowe! Gdy się idzie bez męża, nie można się nawet wcale zatrzymać przed sklepem, bo zaraz wezmą za taką... O, spojrzał na mnie jeden pan, drugi, i tamten — nieśmiały. Obejrzał się raz jeszcze. I ten oto paskudny oczy wytrzeszcza. Władekby ci dał, — no?.. „Włada, Właduś, czy ja dobrze dziś wyglądam? Czy ładna jestem? Która ładniejsza: ja czy tamta w powozie?.. Lubisz mnie... A co więcej lubisz: usta, oczy, czy też?.. Patrz, jaki tam ładny szlafroczek w wystawie! O-jej!.. Co więcej lubisz, Włada: włosy moje, czy też...“ „Zocha, nie pleć!“ — „Właduś, wiesz, ja rada jestem: tak wesoło!.. Patrz-no, patrz, tam w sklepie: jaką to niektóre bieliznę noszą. Czy przyzwoita może także...? Włada, kup mi taką. Albo nie trzeba, bo pieniędzy niema. Szkoda, że niema pieniędzy! Ale kup mi za to ciastko... albo lodów... albo szampana. O, to drogie, prawda! — nie można szampana. Chcę... chcę... — sama nie wiem. Zafunduj dorożkę. Albo nie, — pocałuj mnie lepiej.“ — „Zośka, nie psoć na ulicy, bo ludzie śmiać się będą.“ — „Niech się śmieją, nie boję się wcale, nic! — woła Zośka rezolutnie i tuli się, tuli do ramienia męża. — Patrz, Włada, tamten już czwarty raz naprzeciwko nas idzie. I jak śmiesznie patrzy! Właduś, ja zrobię na niego oko, — można?.. Wiesz, Włada, co? niektórzy pewno myślą: że ja jestem taka, a ty z tych paskudnych... Widzę, że ja się tym niemcom coś bardzo podobam... Cieszysz się, Włada? Ja się cieszę!“

Takie to, — myślał Jelsky, — odkrywcze podróże w obce, wesołe światy odbywała prawdopodobnie Zośka,

spacerując z mężem po ulicy. Ale samej wyjść na miasto: „brr!“ — A teraz rozpacz i lęk samotności rysuje jej tą samą ulicę w ciemnych, ponurych i wrogich barwach. Sama jedna! Boże, co ona pocznie sama w czynnym wirze tych obcych, frasobliwych i zimnych jak metal twarzy. Tak myśli prawdopodobnie i drży jak liść osiny. „Zginę, przepadnę! Ja jestem słaba, niedołężna... O, ja jestem do niczego.“ Nie, nie tak mówić nie należy. Ona jest tylko prawdziwą kobietą. To jest takie nowe, takie wyjątkowe! takie fenomenalne! To się powinno cenić jak skarb najdroższy życia, wielbić jak... Jednakże Brutus był to dzielny mąż.

„Niedobry! niedobry!..“ Szlocha, skarży się, żali, pieści niemal tym płaczem. Z jaką bajeczną naiwnością, jak cudownie i pieściwie kocha ta kobietka samą siebie. Przecież to jest nadzwyczajny materyał na pyszną namiętnicę. Tam do dyabła! to się ceni rzeczywiście .. „Samotność dla kobiety w obcem mieście jest gorszą od piwnicznego grobu. Na bulwarach, każde męzkie spojrzenie to oczy pająka; po zaułkach jakieś mroczne, ponure życie: podejrzenia, policya, gnuśne knowania występków, areszty, cyrkuły, śledztwa. W domu zaś, po pokojach, wałęsa się duszna, złowroga cisza, z każdego kąta wypełza cień jak płaski gad i ostrem spojrzeniem pyta: co ty poczniesz? co poczniesz ze sobą?.. Jednakże Brutus...“ — „O, podły!“

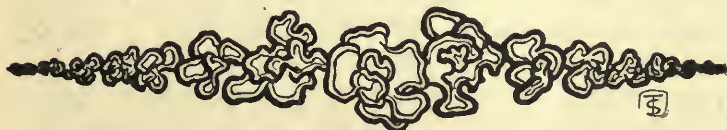
„Samotność dla kobiety jest zgoła rzeczą straszną, wszakże Oktawiusz... Nie trzeba wzbraniać przyjacielowi rączki...“ — „Ja jestem taka biedna, taka biedna, panie Jelsky!“

Chwała Bogu: „panie Jelsky.“ To zwęża pocieszająco widnokręgi. Za serce chwytający cichy żal wyczerpanego płaczem dziecka. „Pani jest dzieckiem, dobrem, najlepszem, biednem i nieszczęśliwem dzieckiem.“ — „Pa-

nie Jelsky, ja już sił nie mam... Boże, i te moje włosy. Niech pan na mnie nie patrzy." I jakby w tem bezwładnem oparciu się o niego, w poczuciu ludzkiej obecności, znajdowała nieco spokoju. „Niech pan puści rękę. Ja wiem, że pan jest dobry, zacny, poczciwy... Nie! nie klękać! Na miłość boską, co pan robi! Ja wcale nie jestem warta, żeby mnie kto!.." — Ostatnie zerwanie się głębokiego piersiowego płaczu.

„Pani, pani droga!.. pani Zofio!.. dziecko!.. biedna *Zocha.*"

„Panie Jelsky! mój panie Jelsky!.."



W ckliwej i dusznej atmosferze szynku przeciągały przed oczyma Jelsky'ego kalejdoskopowym wirem dziwnie postrzępione obrazy wspomnień. Nagle uderzył się oburącz po kolanach. — „Tiens! To jest *une scène à faire.* Przecież to jest świetne jako temat!"

— Kawy jeszcze!.. Macie tam cygara... Ognia! Dziękuję.

„Rzecz ma w sobie miłą, popularną psychologijkę, posiada sama w sobie warunki sceniczne. Zaś pikanterya sceny na tle leitmotywu rozpaczy jest wprost secesyonistyczna!.. A gdyby tak machnąć? Hm?.. *Der Fall Angelica's, eine Familientragödie von Karl v. Jelsky.* Ja, — to jest on! – czuję to, będzie narysowany świetnie. Atmosfera moralna w sztuce nie powinna być zbyt poważna: *so, so, la-la! Wienerluft!..*"

— Ja pana pamiętam, — huknął mu ktoś basem nad uchem. — Pan z gazety?

— Mniej więcej.

Robotnik przed nim poczerwieniał w jednej chwili i zaperzył się jak indor.

— Ludzkie życie więcej warto niż żydowskie drzewo! — parsknął bez bliższych objaśnień. — Ludzi żonatych... Ubezpieczenie od wypadków powinno być magistrackie albo państwowe... Ludzi żonatych... O!

Zakrztusił się impetem własnego monologu. Chciał widocznie coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zawrócił i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, że aż szyby jękły. Z gromady przed bufetem rozległ się pomruk aprobaty i potakiwania. Ten i ów rzucił jakieś zdanie w kierunku Jelsky'ego. Niebawem otoczyła go grupa robotników; posypały się gradem opowieści o pożarze. W rękach Jelsky'ego znalazł się wnet notes; pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować z błyskawiczną szybkością. Niedawne wspomnienia wraz z tematem sceny *à faire* odsuwały się coraz dalej i dalej...

— Zrobi pan co do gazety?

— Toż robię!

— A straż na przedmieściach mamy podłą, — beczki dziurawe.

— Widział który z panów?

— Ja widziałem, jak z beczki ciekło.



Gdy otwierał drzwi do swego pokoju, spłoszył z przed biurka Müllera. „Mały“ zerwał się jak oparzony, rzucił, się na łóżko i odwrócił tyłem do ściany. „Twórczość była,“ — wnioskował Jelsky. Nawiązało mu to w myślach nici zerwane przez wiadomości o pożarze. A że Müller do gawędy wciągnąć się nie dawał, filozofował sam: już sama obecność tego człowieka podniecała mu myśl i wprowadzała ją na tory paradoksów. Rozmyślał głośno o kobietach.

— Wiesz, to jest jeszcze wielki problem: kobiety uczciwe, czy heteryzm? Bo pomyśl tylko: — wywodził, krocząc z rękoma w kieszeniach po pokoju. — Kilka godzin rozpaczy i jęków, całe morze łez, trwoga samotności, lęki złych przeczuć, i — *le moment approche* — obojczyki sterczą żałośnie i proszą widza o współczucie; zaś smętny zapach wody kolońskiej gotów wprowadzić młodego marzyciela w nastrój anemicznego kwietyzmu, skompromitować go pochwałą „szlachetnej dobroci,“ oraz narazić na propozycyę „bądźmy przyjaciółmi.“

— O czem ty..? — zaniepokoił się nagle Müller.

— Chcę powiedzieć ogólnie, że kobiety w monogamii tracą zbyt łatwo właściwe kryteryum wywieranego wrażenia. Jest to los podobny do fatum poety samotnika. Kobiety w monogamii zapominają, że na impresyę składają się, prócz pełniejszych kształtów, jeszcze i fale mięciutkiego jedwabiu, obłoki koronek, lekki i dyskretny bukiet perfum, harmonijna całość w kompozycyi otoczenia, wreszcie umiejętność, umiejętność, raz jeszcze umiejętność, — bodajby nawet w uśmiechu tylko. Zupełnie zresztą jak w poezyi... Jednem słowem, uczciwe kobiety... — Jelsky strzelał niecierpliwie z palców, krzywił się, wreszcie machnął ręką i wytrząsnął jakby z rękawa: — *Ça ne m'amuse plus!*

Müller uniósł się na łokciach i zapatrzył w niego.

— Więc tamte?.. Już tylko tamte!.. Jezus Marya, Jelsky!

— Noo? — przeciągnął niedbale Jelsky, gdyż w tej chwili był już zajęty czyszczeniem paznokci. — Jesteś dziś pokutny? Hm?..

— Jelsky! Jelsky!.. Dalej zajść już chyba nie sposób, dalej już ani kroku!.. Czy tobie, Jelsky, nie pachnie chwilami własny dowcip jak lufa rewolweru?

— Tym czarnym otworkiem, — odparł flegmatycznie Jelsky, — ziewa w skroń nuda, krzyczy rozpacz marzyciela. Ja żyję, staram się żyć jak najintensywniej. Zaś ty...

— Co ja?

— Marzysz, mały, marzysz niepoprawnie; w błotku nawet po uszy siedząc, marzysz Wszelkie zło takich najłatwiej się czepia: nie dosięgnie się w życiu, omota w myślach... Albowiem popełniłeś nierozwagę, podobnie jak i my wszyscy, wybrawszy profesyę artysty. Trzeba było zostać fabrykantem, kupcem, wszechstronnym lekarzem, lub estetycznie usposobionym prawnikiem. — Ci ludzie mają równowagę w życiu! Żółw jest w porównaniu z niemi stworzeniem eterycznie chwiejnem. U nich nawet nikczemność osadza się na dno duszy ciężko, solidnie, jakby dla zrównoważenia tej pesymistycznej melancholii, jaką ich napawa filozofia Maltusa i Darwina, nawet głupstwo występuje w szlafmycy zdrowego rozsądku lub w rozdartej szacie oburzenia, nawet interes stroi się w jubileuszowy frak społecznej zasługi... Ci ludzie mają równowagę! Panowie ci posiadają czasami córki na wydaniu. Jest to jedyne źródło, z którego sztuka może zaczerpnąć równowagi u społeczeństwa, oraz kapitalna ucieczka dla tych...

— Co uprawiają profesyę artysty, — przerwał mu Müller.

— Chciałem cię tylko namówić, jak to codzień czynię, abyśmy się pożenili bogato.

— Jestem codziennem i cierpliwem uchem twoich marzeń.

— Mamy długi, Müllerku, mamy przeraźliwe długi! — Jelsky rzucił się na fotel, wyprężył ramiona i ziewnął przeraźliwie. — To jest mego katzenjammeru zwrotka zwykle końcowa i najsmutniejsza... Aa! — ziewnął po raz drugi. — Wogóle, jestem smutny; dość powiedzieć, że chcę pisać dramat... U-uch!.. Jestem zmordowany... senny... Gdybym mógł obcować sam na sam z nieskończonością (w intymnem *tête à tête* bez dozoru teściowej ironii): — jednem słowem, gdybym był współczesnym poetą, połknąłbym nawet nieskończoność... Świat bywa przeraźliwie nudnym tynglem... Uu! — jakże mnie strzyknęło w nodze!.. Aktorzyska na scenie życiowej zmanierowały się doszczętnie i przestają już bawić... I ty, Müllerku, bywasz nudny z twem twórczem milczeniem... Co do mnie, lubię gadać pod wieczór, zanim zasnę; w przeciwnym razie gada we mnie melancholia... Zważ proszę, że i wtedy coś gada, zawsze i ciągle gada... Sumienie bywa hałaśliwym młynem.

— Na małej wodzie, — mruknął Müller.

— Trafiasz tem jak w sedno w genezę współczesnej twórczości poetyckiej... Mam dla siebie, prócz szacunku, i wyrozumiałość: ja wierszy nie piszę!

— Wiesz, Jelsky..? — Müller roześmiał się nagle i usiadł na łóżku. — Sądząc z wymowy i dowcipu, musiałeś dziś popełnić nielada nikczemność. — Jelsky pochwycił poduszkę z kanapy i cisnął mu ją z rozmachem na głowę!

— Psycholog! — zaśmiał się w odpowiedzi.



Wnet potem nachmurzył się, szlifując uważnie paznokieć środkowego palca u lewej dłoni.

— Do dyabła, trzeba na jutro rano przygotować artykuł o Yvecie... Mały, powiedz co o Yvecie! Podobała ci się Yvetta?. Ale jakże ta twoja biała rączka z loży? Ona się dopełniała z Yvetką w kontraście. Słuchaj, Müller, czy to dałoby się zużyć w sprawozdaniu, — felietonowo niby?

— Można, wszystko można.

— Czy ci Yvetka nie przypominała kruka, a ta jej piosnka żerowego krakania nad padliną? Zaś ta twoja — sęp.

Müller zerwał się znowu i mówił szybko w nagłem gorączkowem podnieceniu:

— To woskowa lala szeleszcząca jedwabiem, białe ciało na plakaty mydeł toaletowych, trup z przepychem ubrany, flakon ekscytujących perfum, beczka do wlewania w nią szampana. To nie mówi wcale, uśmiecha się tylko jak automat za każdem dotknięciem. Widzisz: sęp-ścierwnik, z jego potwornym, ociężałym chłodem, z tą wstrętną sennością sytego ścierwem ptaka.

Jelsky jednym susem wyskoczył z fotelu i począł krążyć rezolutnie po pokoju.

— Chłop tylko w gorzałce smak znajduje. W takim spokoju jest bardzo coś!.. Na to mrożą szampana... Ta Galatea pozwala ci być Pigmalionem... E, Müllerku, jesteś dziecinny!

— Jelsky, porzućmy ten temacik, bo... bo ci lakierki opluję.

— Za własne grzechy?

— Jelsky!.. — żachnął się, czy też jęknął Müller i, upadłszy na poduszki, odwrócił się tyłem do niego. Ale Jelsky wpadł nagle w doskonały humor: przysiadł się na brzeg łóżka, począł łechtać Müllera i kułakować go żartobliwie.

— Dzieciuch!.. serdeczny!.. naiwny!.. Jak-eś ty się, chłopcze, uchował na tym świecie?.. Müllerku, Müllerku, nie miętoś ty sumienia, bo gotów-eś wygnieść wszystkie drożdże ze swego talentu.

— Poszedł precz!

— Bądź filozofem, poeto, i przyznaj, że bądź co bądź to są drożdże?

— Co?! Czego!?

— Sensacyi, temperamentu, a więc i sztuki. Z własnego życia należy jak z filozofii wyciągać nieubłagane konsekwencye.

Müller usiadł na łóżku.

— Kokoty?! — krzyknął i zatrząsł się suchym zgrzytliwym śmiechem.

— Uch, jakiś ty trywialny! I śmiejesz się brzydko... A oczy ci świecą jak u wilka.

Zachłysnął się tym śmiechem Müller, począł kasłać i splunął wreszcie krwią w chustkę.

— Uch, jakiś ty — przekonywający!

Jelsky sięgnął po butelkę z lekarstwem. — Roztwórz dziób!.. Wypijesz tej obrzydliwości ze dwie beczki i będziesz zdrów jak fabrykant margaryny. Kunicki mówi, że mikstura jest ostatniem słowem. Rzecz nawskroś *modern.*

— On tak tylko, dla suggestyi, — odparł smętnie Müller. Roztrząsł go i obezwładnił ten kaszel.

— Widzisz go, jaki przebiegły!

Zamilkli. Jelsky pisał felieton. Müller leżał na wznak i wpijał się wielkiemi, gorączkowemi oczyma w zwieszające się gdzieś z pod pułapu spłowiałe skrzydła wypchanego ptaka.



— Wiesz, — przerwał Jelsky milczenie, — stosuję formę do przedmiotu i piszę o Yvecie w stylu *decadence.* Zdańka krótkie, strzeliste, między słowa rzucam garść kropek i domyślników, metafory jakby żywcem wywiane z leksykonu: tu z patologii roślin, ówdzie z mineralogii, gdzieniegdzie mała niespodzianka z Maeterlincka.

Nie wytrzymał Müller i parsknął śmiechem wraz z autorem. Jelsky zaś, pisząc szybko, rozprawiał dalej:

— Wałęsają mi się po wierszach jakieś reminiscencye chaldejsko-egipskie: zawdzięczam to oczywiście asocyacyom wywołanym przez sępa... Krytycyzm mój, jak widzisz, czuwa ustawicznie: pisząc najmodniejsze głupstwo, potrafię zachować zawsze pewne pozory sennej poprawności starego dobrego stylu. Miłośnikom tradycyj narodowo-literackich może się nawet przypomnieć drzemiący przed biurkiem redaktor z tabakierą w ręku... I cóż ty na to, mały? — dopominał się, nie otrzymując odpowiedzi.

— Jeszcze-ś za mnie nie odpowiedział? — zdziwił się Müller. — Jeśli chcesz koniecznie: jesteś dekadent umiarkowany, romantyk neo-praktyczny, radykał młodo-konserwatywny, artysta indywidualno-popularny, cygan cylindrowy; — jesteś, jednem słowem, dziennikarz europejski.

Jelsky żachnął się niecierpliwie: — To wszystko razem jest gadaniem z Bożej łaski neurastenika, wieszczego improduktywa z parafialnego zakątka czystej sztuki. Bój się Boga, Müller! wyście się zdążyli naprzykrzyć już rozsądkowi, życie z was się śmieje na całe gardło... Jak wy możecie samych siebie brać jeszcze na seryo?

— Nie bierzemy, Jelsky, nie; tylko w inny, mniej wesoły sposób, niźli ty to czynisz.

— No, — przeciął Jelsky, — jeżeli nas humor tylko różni!.. — Za karę nie przeczytam ci artykułu o Yvetce.

— Czytać! — kaprysił Müller opryskliwie.

— Jednak jesteś ciekaw, co w gazetce będzie stało, — hę? Wy wszyscy jesteście jednacy: „Jelsky taki, Jelsky owaki, Jelsky nie jesteś codzień genialny,“ — a jednak żaden nie wytrzyma, żeby go nie przeczytać. — Mój kochany, znam ja swój tłumek! Inaczej nie byłbym dziennikarzem. Ja jestem nerwem waszego życia. Gdyby Jelsky'ego nie było, należałoby go stworzyć.

Müller stał już przy biurku i zapalał papierosa. Ćmił gwałtownie, chmurzył się, marszczył: widać było, że skupioną uwagą przejedzie jak ostrym nożem przez felieton Jelsky'ego. „Można lekceważyć sobie świat, ludzi, życie, samego siebie, własny talent, ale trzeba mieć talent, — zastrzegał na początku. — Inaczej, to wszystko stoi tylko na cynizmie. A ty mi się zawsze jak węgórz przemykasz.“ — Słuchał więc i chmurzył się coraz bardziej. W chwili gdy chciał przerwać Jelsky'emu, zakaszlał strasznie; ciało się zatrzęsło, twarz sponsowiała, w gardle poczęło mu rzęzić, grać i chrypieć. W miarę tego kaszlu, wzrastał w nim upór i zawziętość, jadowita złość zbierała w oczach. Przemógł się i wyrzucił ochrypłym głosem:

— Staczasz się... beznadziejnie... w przepaść banalności! — Porwał go znów kaszel z brutalną, bezlitosną przemocą: zrywał mu piersi, miotał ciałem i rzucił wreszcie o łóżko. Ciało roztrząsł, duszy wszakże nie zmógł: na zmęczonej twarzy zaskrzepł hardy upór, a w poczerwieniałych, głęboko zapadłych i jakby mgłą zasnutych oczach jakiś zimny błysk nienawiści.

— Roztarł cię ten młyn, — wykrztusił z trudem, — na pył i proch uliczny... Nie wierzyć nawet w samego siebie i nie mieć talentu... To nie można, to już wcale nie można żyć... Słuchaj, Jelsky... czemu ty... czemu ty w łeb sobie nie strzelisz?

Jelsky porwał się na równe nogi. Pohamował się jednak w tejże chwili i składając papiery przeciął chłodno:

— Poczekam, aż ty umrzesz.

— Niedługo...

Uporawszy się z kaszlem, padł Müller rękoma na poręcz łóżka, splótł je i przyległ na nie podbródkiem; gorączkowem spojrzeniem wpijał się w Jelsky'ego, wgryzał mu się duszę, wlepiał w twarz łzawemi i zaczerwienionemi od kaszlu oczyma.

— Chcesz?.. — szepnął przeciągle i dokończył wzrokiem swe pytanie. — Chcesz razem?.. chociażby zaraz?. Ja zawsze gotów...

Jelsky nie pojął odrazu, zwrócił się jednak czujnie w stronę Müllera. Zdawało mu się, że od okna powiało w tej chwili chłodem, zwiastującym świt. Wstrząsnął się całem ciałem.

— Zaczynasz swoje? — rzekł. — Dawno nie było!.. Już ci dyabeł w wilcze ślepie wlazł?..

— A wiesz ty? — odbijał Müller cichym szeptem, wciskając podbródek w splecione na poręczy ramiona — wiesz? — Zgrzybiała kokota zwątpiła któregoś dnia o własnych wdziękach i przeraziła się swej brzydoty. Zmyła puder, szminkę, karmin, i pod suchą zjełczałą skórą zarysy swej trupiej czaszki ujrzała. — My, dziatwa Apollina! — hę?.. To jest straszna klęska! — wielka klęska! — to się pomyśleć wprost nie da!.. He, he, Jelsky, — kochasz życie? Powiedz dowcip, Jelsky, zrób kalambur, rzuć paradoks! — He! — he! — he! — zatrząsł się i zabeczał ochryple jak stary kozioł. Na zakończenie prysnął w kułak sztucznym forsownym, zgrzytliwym chichotem.

Jelsky'emu rzuciła się krew do głowy; dopadł go, schwycił za ramię i wciskał z całych sił w poduszkę.

— Zgrzyta, zgrzyta, zgrzyta grzech w tobie? — bełkotał gorączkowo. — Za bary wziął się grzech ze śmiercią... Twe sumienie nie jest gadatliwe; — ryje jak kret po ciemnej duszy... Nietyle przed grobem drżysz, ile

przed tem, że weń samotny wstąpić musisz. Nietyle rozpaczy się boisz, ile tej myśli, że w swych ciemnych nocach sam, zawsze sam jeden królować będziesz. „Czuj! czuj, co się we mnie dzieje!" — tak twój strach wielkiemi oczyma krzyczy. „Pójdź! pójdź! pójdź w tę ciemną noc moją, gdzie śmierć, dyabeł i hetera sabat taneczny święcą..." Nie znosisz chłodu na cudzej twarzy, uśmiechu w cudzych oczach, pewności w ruchach nawet nie lubisz, nienawidzisz schludności w cudzem ubraniu: zgoła wszystkiego, co o jakim takim ładzie wewnętrznym mówi... Znam ja mowę twej nienawiści! — Łasisz się wtedy i merdasz jak pies, jak wąż ślizkiem pochlebstwem oplatasz, jadowitemi wargami ślinisz i ruchliwym gada jęzorem szukasz, gdziebyś żądło mógł zapuścić...

Ścisnął go jeszcze mocniej za ramiona, uniósł nieco z łóżka i puścił jak piłkę o poduszki.

— Graj mi demona, — wołał — graj! Wiem przecie: z tynglu wracasz, powlokłeś się z jakąś tam... Rozpusta ze łba dymi. Znam te ciemne drogi myśli, po których wałęsa się twa dusza bezwładna.

Müller zwinął się w kłębek na posłaniu i, zaciskając suche ręce, syczał uparcie:

— Jak ty życie kochasz! jak ty życie ubóstwiasz! Bój się człowieku Boga, czem ty się będziesz w życiu oszukiwał? Talenciku nie masz, nie masz, nie masz!

— Idź szukaj swego po..! — Jelsky przeżuwał jakieś słowo, gryzł zda się w zębach, rozgniótł i wypluł wraz ze śliną na środek pokoju. — A jeśli mi jeszcze choć raz coś z twego czarnego repertuaru zagrasz, wyrzucę precz. Zczeźnij, gdzie chcesz.

— Taak?..

— Żebyś wiedział.

Müller powstał z łóżka, zapiął flegmatycznie tużurek i sięgnął po swą pelerynę.

— Wiesz, — mówił, porając się flegmatycznie z rozdartą podszewką zarzutki, — wiesz, co mnie w życiu najbardziej upokarza? Oto że nie umiejąc zarabiać potrafię się dostawać do egoistycznej kieszeni mych przyjaciół najpospolitszym wytrychem współczucia... Ile ja ciebie, Jelsky, kosztuję miesięcznie?

Jelsky podjął ze stołu niedawno odczytany rękopis i rzucił mu go pod nogi.

— Tyle tylko... Od czasu do czasu.

— Kochasz mnie, Jelsky? — Müller ze skupioną uwagą odgryzał przytem szmat podszewki. — Wierzyłeś we mnie? bardzo wierzyłeś? Pozwoliłeś na swem dziennikarstwie pasorzytować talentowi? — hę? — aby spłacić ten dług lichwiarski zdradzie marzeń własnych... Bo przecież każdy człowiek jakiś mały procencik temu lichwiarzowi przez całe życie spłaca. ...I stała się rzecz śmieszna: przywiązałeś się, Jelsky, przywiązałeś się za to, że mogłeś przed kimś z siebie i ze świata drwić, a jednak w kogoś wierzyć, wierzyć mimo wszystko... Ten śmiech twój na gruzach wszelkiej wiary, ten otwarty cynizm w życiu i dziennikarstwie, — wiesz Jelsky, — to dziwnie szlachetna w tobie rzecz: to szczery głos duchowego bankructwa. Pan jesteś: — czuję! von Jelsky! szlachcic polski!.. Widzisz, bo są inni, którzy dla tychże przyczyn, dla tego że wiarę we wszystko już stracili, sami siebie z namaszczeniem traktują... A ty jednak... jednak wierzysz w coś. I dla czego we mnie?!.. Widzisz, to przywiązanie jest także słowiańskim szczątkiem w tobie, ale ta pozostałość pochodzi z pospolitszych owiec polskich: w braku kogo innego, przywiązałeś się do prostego wilka... A zkąd ty wiesz, czy ja nie byłem polipem na resztkach twego talentu? Może ja ci połowę duszy wyssałem i we własnej dopiero uświadomiłem tę twoją połowę?!. A wiesz ty, że ludzie wrażliwi, chwiejni, a do życia się garnący, modlić się powinni co-

dzień: chroń mnie Boże od samotników, od osobowości silniejszych, bo wiarę w siebie utracę i zmarnieję. A tyś mnie przygarnął. He! - he! - he!.. Czemu drżysz, Jelsky?.. Imponowałem ci? Przyznaj szczerze... Jak ty bledniesz! jak ty okropnie bledniesz! — Imponowały ci ludzkie o mnie gawędy i wielkie pokładane we mnie nadzieje. A może imponowałem ci tem tylko, że byłem tak odmienny od ciebie. „Jeśli nie ja, więc taki, — myślałeś. — On jest tym wybrańcem losu, pomazańcem kaprysu natury!“ Jak tobie rączki drżą, Jelsky!.. „On, — myślałeś, — dokona tego, czego mnie dokonać nie było sądzono. Ja ginę, niechże wiem choć to tylko, że fatum, co mi życie zniszczyło, jest warte życia. Sztuka, — hę, Jelsky? *Sztu-ka,* ta bądź co bądź ostatnia i jedyna nasza wiara... Jak to w tobie głęboko, głęboko siedziało! I jak naiwnie, jak niedołężnie wypowiadało się pod koniec. Przedwczoraj sprawiłeś mi parę spodni. He! - he! - he! — Jelsky! Dla sztuki? co?.. Jak twoje rączki cudownie drżą! I nóżki, także!.. Siądź, Jelsky, na krzesełku, proszę ciebie. Siądź i powiedz dowcip... Bo milczysz już za długo; wprost nieprzyzwoicie jak na dziennikarza.

Jelsky odepchnął go od siebie brutalnie i osunął się na krzesło. Müller otulał się już w swą pelerynę, nastawił kołnierz, nacisnął beret i, stanąwszy tuż nad nim jak wielki nietoperz, szepnął mu w ucho:

— Zrozum-że raz, ty niedołęgo, coś polską duszę dziecka zgubił, a piersi trocinami europejskiej kultury wypchał, jak się w tej europejskiej kulturze robi talent. Rzecz prosta, a sekret wielki. Trzeba mocno, tęgo, uparcie na własnym gruncie stać, trzeba mieć sto oczu, sto uszu i sto ssawek chciwych; do każdej duszy, która jest coś warta, trzeba jedną bańkę przyłożyć i wokół ssać, ssać i ssać! Każdą muchę wyssaną odrzucić precz i sięgać dalej, wyżej, szerzej! Pojąłeś nareszcie?! Tak się w Europie *robi*

talent! W Europie wszystko się dziś robi... W Niemczech natomiast fabrykują przeważnie etykietki. Rozjaśnij liczko, Jelsky, czerwoną chusteczką mignę ci przed oczyma, na ucho szepnę słówko, które rodzi dowcip w największym kretynie. Polip utalentowany zwie się nadczłowiek... Zrób dowcip, Jelsky! Do każdego słowa można przyczepić słówko „nad." Jeszcześ nie pomyślał, a już czytelnik się śmieje. He,-he,-he!.. Milczysz? ...Przykro, żeś stracił kontenans... Pocieszam się tylko, że jutro napiszesz paszkwil. — Ty pewno wciąż jeszcze deliberujesz nad tem, że ja, — jakże to mówi Hertenstein? — że ja „nasz byt usprawiedliwię," — mój i twój byt.!.. Marzyłeś (ho! ho! — marzyłeś! — troiło ci się, powiem inteligentnem słowem dowcipnego dziennikarza), troiło ci się, że w ciemne kąty naszego życia padną te jasne promienie, co wszystko rozświetlą, że na naszym śmietniku zakwitnie ten mistyczny kwiat, co ślepem zrządzeniem losu raz na lat setki z najbrudniejszych bodaj wyrasta kątów. Marzyłeś o cudownym kwiecie, co nawet ślinę dziennikarską bez szkody znieść może, bo za niego ludzie kiedyś wszystko przebaczą, wszystko wyrozumieją i jeszcze z błogosławieństwem wspomną. Tak-eś marzył. I zawiodłeś się!.. Widzisz, takie kwiatki na śmietnikach trudno się udają, one z piersi ludzkich wyrastają. I nie gnojem się żywią, lecz krwią swego twórcy... Zrozumiałeś?.. Krwi sztuce potrzeba, krwi, bólu!.. He,-he,-he! — biedny Jelsky, biedny! I głupi! Bądź wesół, Jelsky, i pielęgnuj dowcip. Jużeś mi więcej — niepotrzebny!..

Jelsky bladł, bladł przeraźliwie; dygocące wargi międły wraz ze śliną jedno krótkie słowo.

— Łotr! — spadło wreszcie z ust.





elsky pozostał sam. Wokół cisza była i pustka; dudniało tylko miasto gwarem swym monotonnym i szumiało w uszach. Gdzieś na wieży wysokiej ocknął się zegar prastary, zazgrzytał ciężko i nową, nikłą godzinę dziejów głucho wydzwonił. Grały zegary w ciszy nocnej, płynęły echem ponad miastem, — wysoko, coraz wyżej, niby żórawich lotów podniebne skargi, i wlokły za sobą cały czasu płynącego smutek: i nadzieje zawodne, i troski rozpaczne, i żale spóźnione, i wspomnień krótkiego szczęścia ostatnie przebłyski. A zbierały zewsząd śmierć!

Jelsky czuł, jak dławi go w tej chwili nieobjęty wprost ogrom własnej i cudzej niedoli, ta straszna niemoc ludzkiej rozpaczy, której losy nie użyczyły głosu; — czuł, że jego skarga niema pada w otchłań czasu, niby te godziny, co się górą poniosły, ciągnie ponad tem potwornem mrowiskiem ludzi krwawa i milcząca i wlecze za sobą połamane skrzydła.

„Jam już dokonany!“ — pomyślał.

Na ulicy potoczył się z łomotem ciężki, ładowny wóz i przyniósł ze sobą głuchą, szarą trzeźwość jawy.

Próbował mimo wszystko poprawić felieton o Yvecie, ale ta praca sama z rąk mu wypadła. Już się do snu zamierzał układać, gdy spostrzegł na stole kilka zeszytów pozostawionych przez Müllera. Pochwycił je chciwie. Na okładce pierwszego rzuciło mu się w oczy grubemi literami wypisane zdanie:

Nonumque prematur in annum.
Horacy.

W pierwszej chwili te słowa uderzyły go w pierś, niemal jak głuchy wyrzut; lecz niebawem otrząsł się i mruknął: „Ba..!“ — Wziął do rąk drugi zeszyt. „*Nonumque prematur...*“

„Ha! ha! Takąś ty, Müllerze, pułapkę na samego siebie zastawił?.. Dla Horacego ta formułka była prawdopodobnie tylko figowym listkiem nieszczerej skromności, dla ciebie stała się górą, przed którą stawałeś jako wół z bajki. Dziewięć lat, — bagatela! Inne, inne dziś czasy! Dziś nawet Horacy pisaćby musiał kuplety. Wiele zmieniło się od czasu Horacego. Oto Kopernik ziemię wyważył, gdzieś w ciemny kąt wszechświata strącił i w wir codziennego biegu rzucił; a gilotyny rewolucyi francuskiej zaśpiewały jej kankanową piosnkę: „dziś! dziś! dziś!“ — inaczej: „grosz! grosz! grosz!“ — Co brzmi po francuzku:

allons enfants de la patrie,
le jour de gloire est arrivé!

Inne czasy!..“

Rzucił okiem na pierwszą kartkę i czytał:

Trzeba mieć lotne nogi, by przez lat 9 z życiem się ścigać i nie pozostać w tyle, trzeba mieć dobre

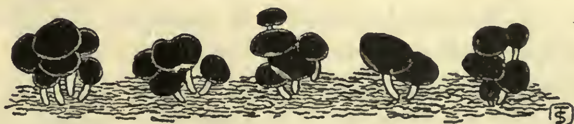
śpichrze, by przez lat 9 świeżość myśli w nich zachować, trzeba daleko patrzeć, by przez lat 9 módz tylko zasiewać, trzeba mieć dużo lekceważenia dla tych, co po cudzych śpichrzach chleba tylko szukają, wiele wzgardy dla szkodnych szczurów i myszy, co, cudzym niedostatkiem głodne, w samo serce się nieraz wgryzają.

Mnie nogi moje z pośpiechem w grób niosą, nieczystych dłoni zasiewy w duszę mi padały; — wdarł się grzyb w śpichrze moje: pleśń je niszczy, rdza pożera i sporysz wyplenia! A wzgarda moja zawiścią się stała: życia-m zbył w samotności!

Do mnie żadne słowo zrozumienia, żadna dłoń otuchy nie trafiła, do mej samotności śmiech tylko i chichot tłumu dolatywał: „Żyj!.. Użyj!.. Kochaj!..“ — Pochwycił mnie rojny i barwny gwar życia, padłem jak ćma w płomień. Zbyłem duszy w gwarze ludzkim! Uścisnęło mnie miasto, potwór piersi mi zdławił.

I oto pierzchły me myśli rojne jako ptaki przelotne, bo w duszy serdeczna nastała posucha. Rozwiały burze zasiew płodny mej samotności. Na wielkiej tęsknot pustyni kraczą dziś tylko kruki nad mego ciała padliną.

Rzućcie mego trupa w kanały miejskie!



Jelsky urwał, sięgnął nerwowo po cygaro i zasnuł się niebawem smugami dymu.

— Kawiarni! — krzyknęło coś w nim nagłem przypomnieniem niedawnej wędrówki przez ulicę. Z gorączkowym pośpiechem przerzucał kartki chaotycznego dziennika, zatytułowanego dziwacznie: myśli niepłodne. Znał poczęści te kapryśne rzuty i skoki myśli; wiedział, że myśl Müllera, z jakichbądź dziedzin dążąc, natrafia zawsze na kobietę jako na mur! Ona była szczytem i uwieńczeniem każdego pojęcia, wszelkiego rozumowania. W tym fantastycznym gmachu myśli, dziwnych jasnowidzeń i gorączkowych rojeń mieszkał tylko — harem.

Jelsky czytał:

Jako małe śmieszne chłopię marzyłem o królewskiej kobiecie, zda się, na to tylko, by chęcią, myślą, duchem sięgać wyżej, wyżej i jeszcze wyżej!.. A do wyśnionej tak-em się modlił:

„Jeśliś się w ciało już oblekła, znijdź ku mnie łaską obietnicy Twej. Nie teraz, bom nie godzien. Wejrzyj ku mnie i myśli swe skłoń w najlepszą godzinę życia mego, kiedy cię godnie uczcić potrafię mych krwawych tęsknot zasiewem, myśli plonem czy złudą. Znijdź w godzinę dobrego zasiewu i błogosławionych zbiorów, w godzinę bólu i narodzin, w godzinę ducha mego z Tobą cudownych zaślubin, w tę godzinę rodzajną, godzinę pomazania!.. La sacra visione di Te imploro, Beatrice mia!“

W Atene kochałem się zamłodu i za niejeden piękniejszych marzeń kwiat pocałunki od niej otrzymywałem! — Marzyłem o kobietach szczerych i serdecznych jak dzieci, o królewskich, o boskich; o tych, co są radosne i słoneczne jako kwiaty łąkowe, o tych, co jako lilie są zmierzchowe, o tych, co jako białe gwiazdy tytoniowych kwiatów po nocy migocą i legendą wabią; o różach śniłem królewskich, co raz na la-



ta całe i na noc jedną tylko z pąku ciała przepychem się rozchylą — i giną!

Marzyłem o nich wszystkich w samotni kiedyś; dziś marzę w białym oplocie ramion Lili, — Lili z kawiarni.

A jednak lubię Lili. Ja duszę w każdej kobiecie lubię!

Lubię te chwile, kiedy w jej oczach zatlą się w czas zadumy jakieś zielonawe, blade i odległe płomyki; twarz bieleje i przysłania się mgłą skupienia.

Tak w ciche, jasne i łagodne noce, na grzązkich bagnach wyiskrzają się ogniki i błądzą senne po sinych mokradlach, póki ich świt nie zgasi.

Lili jest biednem, smutnem dzieckiem miasta. Gdy ją temi słowy pieszczę, drży i tuli się do mnie jak dziecko. „Nie boisz ty się, Lili, miasta?" — „Miasta?" powtarza i taką ciszę skupienia ma w oczach!..

„Patrz, słuchaj, pomyśl! — W tej chwili wpadnie tu do ciebie pijana banda: brzęk szkła, pijane śmiechy, ochrypłe głosy i śpiewki cyniczne. I ręce! — suche, białe, o lśniących paznokciach, zdobne sygnetami, plugawe dłonie pospolitych drapieżników! — wszystkie one wyciągają się ku tobie. — A wszystko wokół drga, tętni, wibruje. Muzyka gra, — słyszysz, gra tem dziwnem tempem, w którem się cynizm tak swywolnie wypowiada. Extrablatt! — *wołają...* Extrablatt! — *Najnowsze depesze!..* — *„Najnowsza powieść!.."* *„Najnowsze arcydzieło!.."* *„Najświeższa plotka!.."* *„Łatwy*

sposób zrobienia majątku!..“ „Porady sekretne!..“ „Tajemnica ruletki!..“ „Jak zostać sławnym?..“ „Jak zyskać szczęście u kobiet?..“ „Samobójstwo bankiera!!!“ „Skandaliczny romans księżniczki krwi!“ „Mord!..“ „Mord i rabunek!..“

— Kupujcie! kupujcie! kupujcie!

A artyści śpiewają:

Tak, tak, tak,
W tem cały życia smak,
W tem cały sztuki sens!..

„Lili, właź na stół!“ „Lili, zaśpiewaj.“ „Lili, zdejm podwiązkę...“ „Szampana!..“ „Mord!..“ „Mord i rabunek!..“ „Skandaliczny romans księżniczki krwi!..“ „Śmierć głodowa!..“ „Nekrolog poety.“ — „Kupujcie! kupujcie! kupujcie!..“

A teraz ty śpiewasz, Lili:

Spojrzyjcie tu! spojrzyjcie tam!..

Spojrzyj ty, Lili, na ich twarze! na te podłe, głucho bezmyślne i pijane uśmiechy, na to zwierzęce umęczenie w szeroko otwartych, zeszklonych oczach na białych jak kreda twarzach. — Tyle jadowitego smutku jest w tej chwili błędnej, kiedy blask lamp gazowych ze świtem żółknie, blednie i zamiera. A kiedy nagle światło zgaszą, zda ci się przez chwilę, przez jedną krótką chwilę, że pośród trupów siedzisz...

A tam na krańcach miasta zawyją jak raniony potwór — sygnały fabryczne — — “

Lili odpycha mnie, pada w głąb kanapy i myśli, chmurzy się, głuchy wstręt w sobie przetrawia. „Boisz się, Lili, samej siebie?“ Potakuje głową, prędko, gwałtownie: raz, drugi, trzeci... „No, Lili, Lili — dzieciaku ty!.. Widzisz, my oboje, jak przez cyganów

kradzione dzieci, na rozrywkę tłumu sztucznie hodowane; oboje w wielkiem mieście zbłąkani...“ Lili zrywa się i pada mi na szyję. „My oboje!“ — woła i uwiesza się tak na mnie, jakby mnie wraz z sobą gdzieś w otchłań porwać chciała.

My oboje, Lili!..
i ten smutek wielkich miast rozpaczy;
i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów;
i te po rozpuście na rosę marzeń rozchylone białe kielichy tęsknoty, me poezye pisane o świcie;
i te życia mego ostatnie miesiące...
My oboje, Lili!



Jelsky nie wytrzymał: zerwał się z miejsca, aby się zakrzątnąć koło czarnej kawy. Zapalił spirytusową maszynkę i czytał dalej:

...Wprowadził mnie tam Jelsky! Było to pierwszego dnia mej ostatniej wiosny. — Ona ma w sobie słoneczną radość łąkowego kwiatu, w pytającym błysku oczu niegasnącą do życia ciekawość, pąkową świeżość, co rosę wrażeń chciwie chłonie i duszę zawsze odradza; ciągłe zdziwienie, to wieczne i nieziszczalne dzieciństwo duszy, co jest opoką, na której bogi greckie świątynię sztuki zbudowały.

Borowskiego poznałem dawniej. On samego siebie wspomnieniem przetrawia; na każde jego słowo odpowiadają dalekie echa: „kiedyś!“ W nim jest coś z potężnych dębów, z ich głębokim poszumem starej legendy. Mimo że pień już murszeje, jest w tym dębczaku wiele dobrej krwi: jest niestrawiona wewnętrzna moc młodej rasy, czuć jędrność i siłę wielkich namiętności. — Lubię Polaków! — Jelsky! Jelsky! cóżeś ty zaprzepaścił!..

Jelsky zaczerpnął kawy z maszynki i wychylił filiżankę do dna.

Lubię myśleć o tych młodych rasach na naszych brukach, o tych smętnych barbarzyńcach, których toczy rak kultury. Lubię te ich zawody naiwne i serdeczne na tej starej nierządnicy Europie wraz z jej wielkiemi hasłami. W smutnych oczach tych barbarzyńców jest coś ze spojrzenia Lili, coś z błysków dzikich zwierząt spoglądających z klatki na tłumy świąteczne, coś ze sztucznych wybujałości cieplarnianych roślin, coś z dusznej i zgniłej woni oranżeryi. — Lubię ich, jak lubię Lili, jak lubię podzwrotnikowe storczyki w świetle lamp elektrycznych za zamarzniętą szybą sklepowej witryny. Myślę często o Pawluku i Jelsky'm i lubię ich porównywać.

Borowskiej opowiedziałem raz taką bajkę:

Było raz dwóch braci bliźniaczych, co w cieniu jednego dębu wzrastali. Dąb zgnił u korzeni, burza zniosła; zaś nawałnice rozwiały braci na wschód i zachód świata. Minęły lata, minęły czasy; dawnych ludzi dawne wiary spłynęły krwią do dwóch mórz. Inni ludzie, inne czasy, inne wiary! — morza nawet już inne! spotkali się bracia, spojrzeli i — za noże chwycili! — Czas, przestrzeń, dwóch wielkich duchów potę-

ga odmienna, wyryły między nimi przepaść tak głęboką jak jednego stulecia myśl i tak wielką jak dwóch bogów nienawiść.

„Taką bajkę, pani, będą wam opowiadały kiedyś stare piastunki, bajkę o dwóch braciach.“

Patrzy, patrzy... Potakiwać nie chce, zaprzeczyć nie umie, i dziwi się, i spoziera zdumiona, „coś ty za jeden?“ szepczą oczy, i ledwie zapytały, już się litować gotowe. I patrzy... Chryste, jakie oczy!.. I boi się i milczy: spojrzeniem bada, duszę nawskróś przeziera. Przejrzała, i opuszcza oczy, Czy ta łza, ta na brzegach oczu pozostała łza — czy ją bajka moja pozostawiła?.. Czy może wiew smutku na ten kwiat ode mnie poszedł? Czy może rosa nowych wrażeń na niego padła?.. A może inne bajki starej przypomniały się piastunki?..

I między jej oczyma a spojrzeniem mojem błądzą dusze nasze, niże się ta nić zwiewna, nić pajęcza, co mnie do jej stóp na zawsze przykuje, wiążą się te struny złote, struny gędziebne, do których dłonie me ślepe rwą się same, omackiem, jakby z Boga wyższego nakazu.

O struny duszy kobiecej napięte, struny me harfiane!..

I rozchyliły się ku temu słońcu mych najgłębszych tęsknot najbielsze kielichy. Pierś tchnieniem szerokiem się rozszerza, jakby moc nowa w nią wstąpiła, jakby w niej zadrgać chciały najczystsze, najgłębsze, najszczersze nuty, jakby zbudzić się w niej miała ta pieśń mi obiecana...

Pieśń, co była już w grobie, już chłodna,
Krew poczuła, z pod ziemi wygląda
I jak upiór powstaje...

Dajcie mi harfę taką! Dajcie mi wielkiego uczucia tchnienie szerokie, a zaśpiewam wam nowego życia hymn weselny!

...A że mam śmierć tylko przed oczyma, za życia — grobu głuchą samotność, i tych dwojga ludzi tak silne kochanie, i z kałem życia ciągłe obcowanie, więc chyba krukom złowieszczym gotować będę krakania mogilne.

I pieśń ma legła znów w grobie.

Więc znowuż: my oboje, Lili!
i ten smutek wielkich miast rozpaczy,
i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów,
i te na rosę smutku rozkwitłe białe kielichy tęsknoty: me poezye pisane o świcie,
i te życia mego ostatnie miesiące...

My oboje, Lili! —
A tam, ty — Zochna.

Imię twe święte płacz mi z piersi wydarł i przede mną samym zdradził... Imię twe święte szepczę i łez mych nie wstydzę się nawet przed samotnością moją!



Jelsky słaniał się jak fakir nad czarnym dymem, już go sine smugi wstęgami owiły, pochłonęła go chmura. Ćmił cygara bez końca, połykał kawę.

I czytał:

Lubię, gdy strach upiorów o północnej godzinie oczy mi zaokrągla, mięśnie na twarzy ściąga i przyczaja zmysły złudą oczekiwania. Wtedy czuć moich skupienie rodzi wokół jakieś szepty, szmery, stąpania... Nie sam słyszę, ludzie już o tem gawędzą; drwią ze mnie i boją się nieraz. Ja drwię, boję się i lubię te moje chwile; pieszczę się niemi, bawię się gorączką wyobraźni, co mi tętno serca tak rozkosznie przyśpiesza.

A od czasu gdym ciebie poznał, temi chwilami tylko żyję. Chcę ciebie wywołać, potęgą uczuć moich, jasnowidzeń moich przemocą przed oczyma postawić. Wspomnienia tych krótkich chwil przy tobie stały się ducha mego soczewką, wszystkie promienie duszy w sobie jak w ognisku łączą i mózg mi palą. Znam już słodycz wielu marzeń z Tobą, przy Tobie, dla Ciebie: chociażeś mi ciałem obca i daleka duchem, jużeś moja! Wypiłem już haszysz wszelkich z Tobą łączności i upojeń, myśli moich wszechwładzą wiele pieszczot ci już nakazywałem. Alem się przesycił marzeń moich ułudą.

Zjawu chcę!

Patrz, — ja nigdy, przenigdy takiego skupienia wszystkiego czucia i myśli nie zaznałem, takiego stopienia się woli z twą myślą, duchem, ciałem! Jako tygrys do skoku przylegly i zdobyczy czujny, przyczaiła się wola ma.

Wola moja wzywa ciebie!

Przyjdź, — jednym promieniem nadziei przyjdź, a wówczas serce mi chyba ptakiem z piersi wyskoczy, po tym promieniu do ciebie zleci, do stóp padnie i choremi skrzydłami załopocze.

Płaczesz... Dlaczego mi się zdaje, że Ty tam u siebie w tej chwili płakać musisz?

Patrz! — już mi strach upiorów o północnej godzinie oczy zaokrągla, twarz ściąga i ramiona pręży... słyszysz te szmery, szepty i stąpania wokół?

— Tu?!..

Coś echem się niesie, szmerem cichym się skrada.

— Czyś to ty?!..

Coś ze stołu spadło i echem wciąż jeszcze pada...

Słyszę, jak się tam miasto zdala burzy, słyszę świst głuchy i łoskot ciężki wzbierającej fali... Czy to brzęk złota, czy wiatru o szyby dzwonienie?.. Twójże to szept pieściwy, czy przytłumione tłumu szemranie: „Dziś! dziś! dziś!..“ Twej-że to sukni szelest, czy też Lili chichot pijany?..

— Kto woła?!..

Słyszę: ztamtąd, zdaleka—to oni—te trupy w imię sztuki—wyją pijani w kawiarni, a błazny po tynglach z nich się śmieją: he, - he, - he!

Patrz! — oto lampa gaśnie. Już mnie ciemność grobowa płytą od świata oddzieliła. Ty się teraz mej woli oprzeć nie możesz!.. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję nic! — Tobą być chcę, ciałem i krwią Twoją i duchem Twym, — woli twej objawieniem!..

Ty po grzęzkich bagniskach nad życia zgnilizną, ponad próchnicą zgliszczy błądzący, biały, zwiewny, święty duchu...

— Spłyń!..

...Już cichą, ciepłą słoneczność kobiecej dobroci czuję, z chłodu twych dłoni odkupienie biorę. W mych lepszych uczuć agonii ostatnim przebłysku!

Już zapach włosów Twoich czuję, już puchowe dotknięcie ramion twoich wskróś ciało me przenika.

W kochania mego szale przedśmiertnym!

Przyjdź wiewem, zjaw się cieniem, powstań upiorem.

— Choodź!..

Patrz, — ja wskrzeszam w myśli moc wielką, bo wszystkich grzechów moich jawę i świadectwo!.. W trumnie ciało me niebawem legnie, a ty tej grobowej skrzyni pokutnem wiekiem będziesz, jeśli się nie zjawisz! Ja cię tem strasznem przekleństwem do nóg mych przykuję.

— Jaw się i stań!..

I słyszę — szloch... Twój, Zochna, płacz rozpaczny!.. Czego?.. czego ty tam płaczesz w tej chwili?.. Kogo szukasz?.. W tym blasku lampy czerwonym... Upadniesz, upadniesz z lampą!.. Chryste, ona się zapali!..

I te ciszy grobowej głuche dudnienie słyszę, godzin ciężki, ołowiany chód, tych godzin najbliższych, co się po klęsce pogrzebowym krokiem wloką.

Słyszę: — padł strzał! — Szum skrzydeł mu nie zawtórował... Widzę: — osadził się ptak na gałęzi, chwieje się, lecz nie spada. Osunął się: bije ciałem po gałęziach, liście strąca, skrzydłami łopoce, czepia się... znów się stacza, pada, bije, — wyrznął o ziemię i krwawi! Dyszy... Znów się porywa: tuż, tuż ponad ziemią jak kula sunie, czołga, wzbija się; znów pada, na wznak się wali i skrzydła kurczowo pręży. Dyszy. Pławi się we własnej posoce.

I widzę cienie dwóch rąk, co się po niego wyciągają... Ratuj duszę!.. Znów się porwie: po ziemi kulą sunie, krwawą strugą barwi... A te cienie rąk pełzną po wszystkich ścianach, ślizgają się jak węże... Dłonie, dłonie drapieżce!..

Uduszą mi ptaka!.. Chryste panie, ptaka Twego Bożego!..



Zgasło. Przesiliło ciało moc moją. Już turkot wozów słyszę na ulicy... Opuściły mnie siły moje. Ciało czuję, ból czuję. Tu w piersiach dławi, dusi... I ten chłód, ten chłód okropny na czole, i to zamroczenie nagłe!.. Wiem, co to znaczy: — chustki! — miski! — lodu! — Dobrze, iż lampa zgasła: nie chcę widzieć tego. Ukryję się z tem, ślady zatrę, nie chcę, by mi Jelsky swą wyższość zdrowego zwierzęcia współczuciem okazywał. Nienawidzę współczucia!

A potem, sen krótki, gorączkowy; — a może omdlenie. Po zbudzeniu się trwoga, dziki lęk przed śmiercią i ta skrucha za chybionem życiem, zmarnowanym posiewem. Jesteś, karzący mieczu życia? jesteś, szatanie mój? A trwoga ma i skrucha i żal jednym tylko okrzykiem wołać umieją:

Pisać chcę!!

Jesteś, złej godziny mych narodzin klątwo nieubłagana, zjawiasz się nawet w godzinie śmierci, aby mię spowiedzią dobić.

Pisać chcę!!

...Rozwiały wiatry mej samotności płodne zasiewy. Na mych tęsknot pustyni kraczą tylko kruki nad ciał i duchów padliną. Wszystko, co lepsze, głębsze,

trwalsze, runęło w gruzy. Więc już nic nie wskrzeźnie? nic ciałem wizyi się nie oblecze? nic nie zmartwychwstanie w marzeń moich ostatnim mirażu? w nowego życia krzyku daremnym? Zmarniały dobre zasiewy, — niechże więc kąkol wzejdzie i świadczy o życia mego krzywdzie i rozpaczy! Legło me dobro, niechajże zło moje swój sabat święci ostatni! — A potem niechaj duch mój wraz z ciałem w piekło się zwali!

A więc kieruj ty mem piórem, szatanie, ty, co patrzysz także w sumienia czcigodnych i zasłużonych, w szlachetnych oburzeń bezmyślność i kłam.

Ty, fałszu życia płaszczu świątobliwy,
krwawego znoju bliźnich złotodajna żyło,
bólu szlachetnych przepaścista studnio,
pochłoń mnie! zatrać mnie, bom w ostatniego Boga ostatnią stracił wiarę!

Bezlitosnych udręczeń hojny ty szafarzu,
tajemnych przeznaczeń czarna twórcza ręko,
budujących bogów potępiony młocie,
nowych wartości nieśmiertelny twórco,
Szatanie, bądź wola Twoja!



Jelsky słaniał się wciąż jak fakir: otumanił go ten dymny czad i, zda się, wszystkie wrota zmysłów zamknął, aby jakieś inne drogi trwożnym czuciom i niepokojom

otworzyć. Oto wsparłszy głowę na ramionach słyszy szept twardy, ostry, dobitny, jak uderzenia młota w czaszkę:

— *Wszak hojnie darzę rozkładem uczuć i ducha rozterką? Wszak hojnie ziarna sztuki sieję?.. Patrz! — jam jest sztuki waszej zabójczą potęgą!*

I w tejże chwili czuje, mimo że resztką władz tę myśl z uporem tłumi, czuje, że poza nim, tuż koło drzwi, ktoś w tej chwili stoi. Twarz bezradnie w ramiona ukrywa i szepcze cicho: „Boże mój, Boże, co to jest?“ — Lecz w tymże momencie zrywa się błędnie i spoziera po za siebie.

— Müller?! — krzyknął krótko, a usta jakby w oczekiwaniu odpowiedzi pozostały uchylone.

Powrócił, znaczy się! — Ale milczy! — Peleryną swą otula się tylko szczelnie, głowę w kołnierz wciska, pochyloną twarz beretem przysłania... Stoi i milczy jak cień: w ciemnym kącie czarny, zamarły i dziwnie wyższy, dziwnie...

— Müller, — ty?!..

Jelsky czuje, jak mu mięśnie krzepną, drętwieją, skuwają się tą przeraźliwą niemocą gorączkowego snu. A tamten stoi pode drzwiami: czarny, zimny, pochyloną głowę beretem przysłania... Ramiona na piersiach skrzyżował i...

Spojrzał!..

Jelsky'ego jakby między oczy coś uderzyło: rzucił się w tył i ramionami załopotał. W sobie się zebrał, wtulił i twarzą do własnych dłoni przypadł. Bez wiedzy i woli, odruchowym jedynie instynktem dobrej krwi, chwycił krzesło i puścił je z całych sił w tamtym kierunku. Roztrzaskało się o drzwi na kawałki. Łoskot ten zbudził Jelsky'ego i spłoszył mu zmorę z przed oczu. Zatoczył się do okna,

uniósł roletę i szarpnął zawiasy. Chłód wtargnął do pokoju, ciężkie dymy poczęły się wykłębiać na ulicę.

Mroźne powietrze poranku drgało czystem, dźwięcznem i pośpiesznem dzwonieniem sygnaturki kościelnej:

Ave - Maria - gratia - plena!

Na dachach domów sąsiednich kładł się szronem biały świt.



(Ciąg dalszy). Wacław Berent.

Z poezyj Teodora de Banville.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.



jrzałem twórców, marzycieli,
Szlachetną gniewnych orłów brać,
Na czół im wzniosłych czystej bieli
Znak Prawdy święty było znać.

A koło nich, jak dwa posągi,
Zrodzone w jednym twórczym śnie,
Związane wiecznie, dziś i ongi, —
Życie i Śmierć, siostrzyce dwie.

Ot Homer, żebrak wiekopomny;
Ajschyl bez żółci w sercu cnem,
Łysy, w starości dniach bezdomnej
Smagany mroźnym wichrów tchem;

Pindar, liryzmu źródło świeże,
Myrtisa boski uczeń; z rąk
Śmiało mu król cytarę bierze,
Jak koźlę lilii zdziera pąk;

Oto mój ojciec Arystofan,
Ohydnych rażon kałem słów,
Walczy przed ludem, co klnie — profan,
Za bóstw Ajschyla święty huf;

Oto Sofokles pije męty
Tryumfem niegdyś wrzących czar,
Skarżon o obłęd, odepchnięty,
Od dzieci swych ma wzgardy dar;

Oto Owidyusz, czoło znaczy
Mu straszne piętno, trwożny zbieg
Mleko sarmackiej pije klaczy
W stepach, gdzie wiatr, a mróz, a śnieg;

Ot na wygnaniu Dant; ot Tasso,
Co nagle w obłęd dziki wpadł,
Świeci wybladłej twarzy krasą
Z za czarnych turmy ciemnej krat;

Podobny lwu, co wzdycha, kona
Pod podłym batem strażnych sług,
Na żołdzie nędznym histryona
Oto — niestety! — Szekspir-bóg;

Oto Cerwantes, rab znękany,
W kajdanach swój wylewa żal;
Kamoens, brocząc z ciężkiej rany,
Z grzywami wściekłych walczy fal;

Oto — tak igra los zuchwale,
Bezmyślnie drwić z człowieka rad —
Corneille w ulicznym stąpa kale
W trzewikach pełnych dziur i łat;

Cny bałwochwalca Racine pada,
Przez teatralny olśnion grom,
Który na korne sług swych stada
Miotał Ludwika wzrok — na srom;

Chénier, z którego celnych grotów
Każdy w ofiary piersiach tkwi,
Broczy bezmyślnych nóż szafotów
Purpurą cudną swojej krwi.

Świecąc pierwotną swą świetnością,
Wygnańcy ci niebiańskich gniazd,
Pochodnie święte przed ludzkością,
Źrenice mieli pełne gwiazd.

O nasze trwożne bijąc uszy
Z łoskotem dźwięcznym słonych fal,
Głos ich ogromny grzmiał śród głuszy,
Jako bezdenna morza dal.

A śmiech ich, pełny skier i błysków,
Zdawał się miotać w świata step
Strzały podobne do pocisków,
Jakie wyrzuca łucznik Feb.

Jednak, bez szczęścia, bez schroniska,
Pod nieb niechętnych mroźną mgłą,
Śród — królów, tłuszcz — urągowiska,
Wlekli przez wieki nędzę swą.

Z zapalczywością gniewów całą,
Co drogie im, zwiewając w dym,
Życie szarpało mdłe ich ciało
Wściekłym, niesytym zębem swym.

W motłoch wmieszawszy ich żebraczy,
Którego losem — wzgarda, szyd,
Wiodło ich z miast do miast, tułaczy,
W łachmanach szat — na srom, na wstyd;

By wywrzeć wściekłe jady swoje
I zgnieść ich cały święty ród,
Zlewało na nich zniewag zdroje,
Nędzę, wygnanie, chłód i głód;

I gnało w dal nędzarzy smętnych,
Bez wiary już w odkupień dzień,
Zmazawszy biel ich czół poświętnych
Kałem nieczystych ślin i tchnień!

Lecz wreszcie drużka pewna, wierna,
Wyzwalający niosła zgon;
Zmywała krew Śmierć miłosierna
Z ich nieznających zgryzot łon.

Wzorem surowych tych piastunek,
Co jednak pieszczą, kojąc łzy,
Miru im kładła pocałunek
Na ustach mdłych, kołysząc w sny.

Przed ich stopami powitalny
Kobierzec słała w blaskach zórz
Z kraśnej purpury tryumfalnej —
Zwycięztwa znak śród nędz i burz.

A czoła ich promienne chwałą,
Przed zbójczym ludem, który iść
Za nimi nie chciał, dłonią białą
Wieńczyła w lauru czarny liść.

Z „KARYATYD."



ch, już nie pójdziem w bór,
[wawrzynów ścięto liść.
W basenie Amor-trzpiot
[i Najad białe mary
W słonecznych widzą skrach
[kryształów z lodu kiść
Zamiast milczących strug, co
[lały się z ich czary.
Wawrzynów ścięto liść, na
[grzmiący rogów chór
Uszczwany jeleń drży; już
[nie pójdziemy w bór.
Gdzie dziatwy żwawy rój, w lipcowe wonne skwary,
Po lilie pełne ros, co ranek rwał się iść,
Dziś koszą resztki traw, wawrzynów tną sztandary.
Już nie pójdziemy w bór, wawrzynów ścięto liść.

ZE „STALAKTYTÓW.“



ójdź. Słomiany kapelusz włóż
[na czarne włosy.
Zanim wrzawa się zbudzi,
[zabrzmią pracy głosy,
Pójdźmy zobaczyć ranek, jak
[na górach wstaje,
I z ulubionych kwiatów obrać
[łąki, gaje.
Nad brzegami źródełka
[zmarszczonego lekko
Nenufary złocistą mrugają
[powieką;
W pól głębokiem milczeniu, w cichej sadów głuszy
Zostało coś, jak echo piosenki pastuszej,
A wietrzyki poranne, błędni bracia-gońce,
Strzepując jakby dla nas swe skrzydła pachnące,
Rzucają już na ciebie, uśmiechnięte dziecię,
Wonie brzoskwiń różowych i jabłonek w kwiecie.

ZE „STALAKTYTÓW."

SKOK Z TRAMPOLINY.



udowny klown, wierzajcie mi!
Ja ufam sam, że przyszłe dni,
Których wciąż drgają widnokręgi,
Z tą raną w boku ujrzą go.
Miał ubielone twarzy tło
W żółte, zielone, krwawe pręgi.

Po Madagaskar gdzieś aż het
Dobiegło imię jego wnet,
Bo według zasad (to nie bajki!)
Po coraz mniejszych próbie kół,
Jakby trudności żądzę czuł,
Przez okrąg wreszcie skakał fajki.

Ciężkości praw nie musiał znać,
Nie wiedząc sam, wleźć mógłby snadź
Na Jakóbowej szczyt drabiny.
Gdy światła nań padł złoty słup,
Purpurą błyskał jego czub,
Jak żar przez pieca lśni szczeliny.

Do wysokości wzlatał tych,
Że innych skoczków witał śmiéch,
Gdy próżno wciąż prężyli siły.
Zniechęcał ich, tracili hart,
Mruczeli gniewnie: „Chyba czart!
Żywem mu srebrem drgają żyły.“

Lud cały mu oklaski bił.
Lecz on, dobywszy nowych sił,
Do skoku sprężył się w połowie,
I — komu? co? któż wiedzieć mógł? —
Ten linoskoków król i bóg
Coś cicho szeptał w obcej mowie.

On trampolinie mówił swej:
„O sceno ma, dziś dać mi chciej,
Swą inspiracyę fantastyczną!
Przyrządzie, co wzruszeniem drżysz,
Gdy rozpęd biorę, mocniej wzwyż
Pchnij mię potęgą elastyczną!

Jam zwinny dziś, jak dziki kot.
O, daj mi skok! o, daj mi wzlot,
Ty, desko wątła a sprężysta,
Wysoko tak, by oczom znikł
Cały ten fraków czarnych szyk,
Gdzie handlarz — ten, ten — biuralista!

Przez niepojęty jakiś cud,
Jeżeli możesz, daj mi rzut
Aż do wyżyny niewidomej,
Kędy swobodnie — plącząc, rwąc
Złociste włosy planet, słońc —
Orły mijają się i gromy.

Aż do eteru gwarnych sfer,
Gdzie wycieńczone tchnienia w szmer
Bezsilny łącząc, w czarne noce,
Wichry, pijane żądzą złą,
Stargane, wściekłe, ciężko śpią
Na bladem łonie chmur w pomroce.

Wciąż w górę, w dal, pod niebios sklep!
Aż w te lazury, których step
Ruchomej turmy naszej dachem!
Aż po tych Wschodów krwawych próg,
Zkąd płomienisty wstaje bóg,
Szalony gniewem i przestrachem.

Wyżej, wciąż wyżej! jeszcze ztąd
Giełdziarzy w złocie widzę rząd,
Krytyków, panny żądne sideł
I realistów świat napłask.
Powietrza! światła! w błękit! w blask!
Ach, skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł!“

I z giętkiej deski swej, jak ptak,
Klown wzbił się w lot szalenie tak,
Że śród powietrznej przebił jazdy
— Przy wrzawie trąb — płócienny dach
I, w pragnień swych wciąż tonąc snach,
Potoczył się pomiędy gwiazdy.

Z „ÓD LINOSKOCZYCH.“

WYGNANIE BOGÓW.



ór posępny, złowrogi, groźny,
[na północy
Gallii. Sprężona, resztki
[dobywając mocy,
Gęstwa potwornych dębów
[służy miast podnóża
Wielkim, czarnym chmurzy-
[skom, zkąd wnet spadnie burza;
Ranek, drżąc, się przebudza,
[i już pierwsze gońce
Zórz drasnęły niebiosa, krwi
[strugą broczące.
Wszystko żałobne, blade; wichrem rwane liście
Jęczą; myślom bolesnym oddane wieczyście
Olbrzymy, skały głuche, po widnokrąg czarny
Jeżą się, w swej rozpaczy pogrążone marnej!
Biała w szarym półbrzasku, pośród mgły rozlanej,
Kaskada szlocha cicho w swem więzieniu z piany.
Liżąc zielone sosny o miedzianej korze,
Faliste morze kąpie podnóża ich, morze

Smętne, kędy co chwila, skupione w gromadki,
Cezara Konstancyusza przebiegają statki.

Wtem — o zgrozo! żałobo! — kędy brzeg się spiętrza,
Ziemia wstrząsa się lękiem i drży aż do wnętrza,
A na jej chropowatem, trwogą zdjętem łonie
Niebiańskie rozlewają się ambrozyi wonie.
Wielki wiew oszalały szeleści w gęstwinie;
Jakaś złocista światłość błyska z za drzew, płynie,
Rośnie, wieszcząc tajemne a święte spotkanie,
I tam — bezkreśne nieba! — na leśnej polanie,
Walczący ściemionym blaskiem z dniem, co w mgły się słoni,
Znękani, w ranach, mrący a wzniośli, to oni,
Oni, wielcy wygnańcy, bogowie! — Nędzarze!
Dęby zgarbione laty, klonów smukłe straże
Płaczą ich. Oto oni. Oto Zeus, Apollo;
Tuż Afrodyte, bosa (a nad czarną rolą
Stopa jej ma róż świetność z gwiazd połyskiem śnieżnym!);
Atena, która niegdyś, w eterze bezbrzeżnym,
Z jasnym wzrokiem, gdzie ogień walczy ze słodyczą,
Była błękitnych niebios głębią tajemniczą;
Dionyzos, Hefajstos, Hera, smętnie lice
Chyląca; wszyscy inni — ziemię niewolnicę
Depcząc — idą. Królowie pozbawieni mocy
Idą ku zapomnieniu, wygnaniu, ku nocy,
Straszni swą rezygnacyą, bledsi nad marmury,
Krwawiąc czoła o sęki zwisające z góry,
A czasem, gdy tak idą, gromada milcząca,
Znużenie tej wędrówki bez kresu, bez końca,
Wyrywa z ust ich boskich jęk nagłego łkania,
Lub westchnienie straszliwe, które pierś rozrania.

Bo odkąd urągliwe cezary, o sławę
Ich zazdrosne, jak wilków wygnały ich ławę,

Odkąd złote pałace w gruz padły ze szczytów
Olimpu opuszczonych, mocarze błękitów
Błądzą, znając łez gorycz, deptani zwycięzką
Stopą głodu, starości, poddani wszem klęskom,
Wszem bólom, przed któremi ludzie drżą strwożeni,
I krew skłóte cierniami nogi ich rumieni.
Zeus, dziś starzec zgrzybiały, drży z zimna; skostniały,
W szmat purpury się tuli, włosy mu zbielały,
Zbielała broda; w głębi, gdzie wschód się rozpala,
Małżonki za nim smętne śród mgieł idą zdala.
Hera i Eurynome, Metis, Themis, Leto,
Wszystkie są tam, a każda trwożną jest kobietą,
Każda płacze. U czół ich, uwilżonych rosą,
Lata orzeł, gdzie skrzydła strzaskane go niosą.
Ten, co ongi Pythona, straszną zabił żmiję,
Świetny bóg ów likijski, w fałdach płaszcza kryje
Swój srebrny łuk — złamany. Smutny w świętym szale,
Dionyz miękkiej Azyi płacze zniewieściale,
A owe nagich kobiet rozszalałe zgraje,
Co niegdyś biegły za nim przez nieznane kraje,
Rozdętemi nozdrzami wiewy chłonąc wonne,
To dziś cienie, widziadła, wynędzniałe, płonne.
Hermes, zwinąwszy skrzydła, idzie na ustroni,
Marząc; thyrsos mu złoty dawno uwiądł w dłoni.
Atena, krwawy Ares, stanąwszy u kępy
Ożyn jedzą jagody; ze zbroic ich — strzępy.
Demeter, blada jeszcze po zniesionej męce,
Wiedzie córkę, piekielnej wyrwaną paszczęce.
Tylko Artemis płowa, groźnie chmurząc lice,
Rzuca się jeszcze wkoło i gwiezdne źrenice
Wbija w posępną ciemność pod boru namiotem,
Szukając nieprzyjaciół, by sięgnąć ich grotem,
A u kolan jej dmie się i furkocze głucho
Tunika lazurowa, rwana zawieruchą.

Tymczasem, oczy wbiwszy w tór drogi tułaczej,
Muzy przeciągle pieśni śpiewają rozpaczy
O zniewadze wygnania, co lży ojca głowę,
I burzą wybuchają ich hymny surowe.
W głosie ich wszystkie niebios straconych gorycze;
Drzewa, skały, zakąty boru tajemnicze,
Czarne groty, ziejące z ciernistej gęstwiny,
Współczują im, i morza wrzawliwe głębiny
Wrą ode dna, a na ich fali rozhukanej,
Zgrzybiały, dzierżąc złomek trójzęba strzaskany,
Pojawia się Posejdon, niesiony na grzywach
Wałów. Za nim — zbiegowie na podmorskich niwach,
Pontos, Keto i Nereus, Forkis, Tethys, cali
W pianach, jękiem żałosnym skarżą się śród fali,
O skał cyple w rozpaczy tłuką czoła blade,
A roje Okeanid, zbiwszy się w gromadę,
Szarpią śnieżne swe łona i żalą się męce
Wielkich bogów, ku niebu cudne prężąc ręce.
Boleść z ust im wydziera śpiewy dumy dzikiej,
Zmieszane z nienawiści wściekłemi okrzyki,
A z wybrzeża — tych szlochań, tych skarg strasznej burzy
Afrodyte, czcigodna córa fali, wtórzy!

O boleści! jej cudne, z czystych śniegów ciało,
Znosząc wichów zazdrosnych i burz gniew, zsiniało;
Jej krągłe, twarde piersi, chłostane z kolei
Skwarem słońc i mrożących podmuchem zawiei,
Drgają całe, gdy krzyk ten rwie się z nich ponury.
Twarz Kitajrei boska, wyniosła, na której
Nic świętego nie zdoła zatrzeć majestatu,
Ma zawsze świetność gwiazdy i różaność kwiatu;
Lecz puszczone, stargane kędziory słoneczne
Spadają na ramiona i kształty ich mleczne
Rzeką roztopionego zalewają złota.

Żywe światło ich — pożar w gąszcze boru miota.
Wicher plącze je, szarpie, rzekłbyś, że ich fala
Jej wnętrznym bólem płacze, żalem się rozżala,
A gdy wielka królowa chyli skroń, splot siwy
W powodzi tego złota świeci połyskliwej.
Łzy Kiprydy spaliły długie rzęs jej włosy.
Drżąc, i ona wygnańcze opłakuje losy
Wielkich bogów, i podczas gdy rój Okeanid
Jęczy w morzu, jałowo grzmiącem w brzeżny granit,
Ona mówi w te słowa, a śmiech pełny szydu,
Wzdymającej jej serce rozpaczy i wstydu.
W zmroku, gdzie bój się ranka z czarną nocą iści,
Daje skargom jej gorzkim brzmienie nienawiści:

„Żertwy nasze! królowie potworni, tytani,
Których my strąciliśmy do Czasu otchłani!
Pierworodni Chaosu, o gwiaździstych włosach,
Których tchnienie, spojrzenie wybuchały w ciosach
Orkanów! o Japecie! o Hyperionie,
Starszy od dziadów naszych! Dyono, co w łonie
Nosiłaś mię! i ty, co — szlakiem zwycięztw, chwały —
Wzbiłeś się z dna Erebu, gdzie skrzydła twe spały,
Ty, najpierwszy, najstarszy z wszech bogów, Erosie!
Patrzcie, precz nas gna człowiek, cios nam śle po ciosie,
Krew wasza znów na zbójczych rękach naszych błyska,
Zwyciężeni pierzchamy w lasy, trzęsawiska.
Tak! pierzchamy! Ócz naszych, niebios toni zmiennej,
Nie odbija już w sobie szlak rzek srebrnopienny.
Życie, błogosławione, ukochane Życie
Samo nas się zapiera, nie chce nas mieć w Bycie.
Szczęśliw-żeś, zbójco nędzny bogów swych, człowiecze?
Puszcz głębie, góry, niebios promienne odwiecze —
Puste dziś, fale — puste: to królestwo twoje!
Któż pocieszy cię teraz, pokrzepi na boje?

Źródełka leśnych dolin głosu już nie mają,
Nie mają głosu groty, zbrakło głosu gajom,
Oniemiała ta, z której piłeś, wieszczu, struga!
Morze — nieme dziś, ziemia — niema dziś jak długa,
Nic cię nie zna na modrą puszczę niebios całą.
Słońce, ogniste słońce bogiem być przestało,
Już nie widzi cię! Z tego, co drga, żyje, dyszy,
Świeci, z tego nic dzisiaj nie zna cię. W tej ciszy
Nikt dziś nie wie, zkądeście, włóczęgi bezdomne,
Nikt nie powie: „To człowiek. Ja go znam i pomnę.“
Z Przyrody dziś już tylko groźna mara pusta,
Bo złamane jej serce już nie bije. Usta
Jej — zawarte, gwiazd oczy — wyłupione. Nie śnij!
Niedokończonych — nigdy nie dokończysz pieśni,
A dzieci twe, nie wiedząc, co to natchnień wiry,
Spytają cię, czemu tyś nazwę dawał Liry!

Oh! czyś śpiewał, czyś boje bojował najkrwawsze,
Myśmy z tobą mówili półgłosem! I zawsze,
Słysząc szept nasz, u twarzy czułeś niespodzianie
Słodkie wonnych kędziorów naszych boskich wianie.
Teraz ciesz się — i w trosce łzami zmywaj lico.
Oto-ś nagi pod Tego straszliwą źrenicą,
Który widzi powstanie, życie, śmierć tysięcy
Światów i gwiazd, stuleci, i lat, i miesięcy,
I przed którym źdźbło prochu równe jest, czczy dymie,
Tym łzom nocy, którym ty słońc nadajesz imię.
Stało się. Już nie będziesz u wód żywych zdroju
Pił nektaru poezyi! Bogowie bez boju
Odchodzą, aby umrzeć, ale i ty zwolna
Konać będziesz, nieszczęsny. Owa mimowolna
Ekstaza, owo słodkie życiem upojenie,
Ów pocałunek rzeczy, który niezwalczenie
Drgał na ustach twych, prąd ów radości, miłości

Już w tobie, gdy go nie chcesz, nigdy nie zagości!
Nie zakwitną już nigdy myśli twe, olśnione
Czarem białych nagości. To życie — skończone.
Znoś szpetność, ból. Pokutuj, niepewny i trwożny.
My, tymczasem, wygnani przez twój szał bezbożny,
Pierzchamy, zapadamy w otchłań tajemniczą
I stajem się nicestwa straszliwą zdobyczą.
Żegnaj, Hellado! lasy, góry i doliny,
Żegnajcie, zdroje żywe, marmury, wawrzyny!
Lecz, człowiecze, gdy Noc już włosów naszych złoto
I czół blaski pochłonie, ty jeszcze z tęsknotą
Westchnień naszych czuć będziesz wianie w swej ustroni
I nasze — ojcobójco! — łzy na swojej skroni!“

Tak, w boskim gniewie, z bólem mówiła i trudem
Czcigodna Afrodyta. Nad listowiem rudem,
Cały krwawy, zdobywca padłej mroków ściany,
Wstał Dzień, w ciemny, złowieszczy półzmierzch przyodziany.
W dół olśnione światłością opuściwszy oczy,
Wielcy bogowie, we łzach, śród mgły nieprzezroczej
Mdleli, topnieli w ogniu słonecznych promieni
I zanikali smutnie pośród błędnych cieni,
Zkąd jeszcze ich znękane wybłyskały skronie.
Afrodyta, królowa w słonecznej koronie,
Ze swem łonem różanem i białością śnieżną
Zdała się też rozpływać pod płachtą bezbrzeżną
Mgły niepewnej, posępnej, zostawiając tylko —
W miejscach, kędy swą jasność rozlały przed chwilką
Jej pierś bez skaz liliowa i kędziory lśniące —
Jakby odbicie śniegów i ognia gasnące.

Z „WYGNAŃCÓW.“

PRZEŁOŻYŁ Miriam.

Ἕσπερε, πάντα φέρεις.



Odpłynę z pierwszą falą za złowrogą a jasną gwiazdą Lucifera, co po nieprzejrzanych morzach śmiałe serca ludzkie na zagładę wodzi.

Odpłynę, gdy na śnieżnych szczytach najwyższych gór wytli się o zachodzie różano-złota zorza, gdy wonny letni zmierzch przymgli niebo i zamroczy oddale. O tej porze falują nad wodami melodye, pełne cudnej i niewysłowionej melancholii, i drzewa szumią, jak gdyby śpiewały. O tej porze najsłodsze są usta, najpieszczotliwsze łona i najpiękniejsze oczy dziewczęce. I wszędzie kwitną cudy, i wszędzie zamykają się kwiaty, a otwierają dusze ludzkie, podobne do kwiatów.

O tej porze, na tarasie marmurowego pałacu, co wśród rozkwieconych i szumiących gajów wznosi się wysoko nad ciemnem morzem, żegnać będę moich przyjaciół —

moich przyjaciół młodych i pięknych, w których źrenicach tlą się orle sny, których dusze są jako żywe źródła twórczej mocy i tajemniczej krasy.

Przy świetle smolnych pochodni, których płomienie wichrzą się i szumią smutno na powietrzu, będziemy pili wonne, złociste wino i będziem rzucali dźwięczne czary w morze. Będziemy śpiewali kołyszące się z chwiejną falą pieśni i będziem rzucali płonące pochodnie w morze, —

będziemy rzucali w bezdenne wiry płonące pochodnie, aby, lecąc w ciemność, krwawiły się groźnie i boleśnie, jak się krwawią strącone z jasnych szczytów dumne serca ludzkie.

A kiedy zatonie ostatnia dźwięczna czara i zagaśnie ostatnia smolna pochodnia, zejdę w półjasną głąb' rozkwieconych i szumiących gajów, gdzie mnie czekają moje siostry —

moje siostry, młode i piękne, w których zadumanem oku przygasa o wieczorze zimny blask klejnotów, a zapalają się drżące gwiazdy tęsknoty.

I będę patrzał, jak ich wiosenne, smukłe ciała przelatują w rytmicznym tańcu po miękkiej zieleni pachnących traw, —

jak im w rozwiane, śliczne włosy osypuje się z rozwahanych drzew woniejące kwiecie na podobieństwo gwiazd, które się z dróg mlecznych osypują nocą w wezbrane, rwące rzeki.

I będę słuchał ich pieśni, w których cieniu, jak w cieniu wierzby płaczącej, dobrze jest spocząć na chwilę tułaczej duszy.

A zanim odejdę, wezmę od każdej siostry mojej pocałowanie jest ust, a z włosów jej kwiecie, któremu krasą podobna: —

z balsamicznych, płowych włosów pierwszej, co ma oczy modre i świetliste jak przejaśniony błękit, wezmę różowiejący kwiat jabłoni;

a z pozłocistych, miedzianych włosów drugiej, której źrenice mienią się posępnie jak szmaragdowe dalekości wystygłych mórz polarnych, czarną gałązkę cyprysu;

i wezmę kwiecie z włosów tej, w której źrenicach świecą łzy jak opalowe perły na dnie przeczystej krynicy, i tej, której oczy błyskają, jakby się w nich co chwila rozniecały i gasły błędne ogniki, i tej, której oczu, świetniejących blaskiem ametystu, nigdy pod długą rzęsą dojrzeć nie można.

A z hyacyntowych, kruczych włosów ostatniej, której oczy jak u jasnowidzów czarne są, promieniste i jak śmierć wszechmocne, wezmę kwiat granatu, gorejący mistyczną purpurą. I czując, że mi twarz niemieje od długo tajonego bólu, pochylę się do jej stóp, jakgdyby po złoty klejnot, co się osunął z jej jasnej ręki między rosiste trawy i fijołkowe kwiecie.

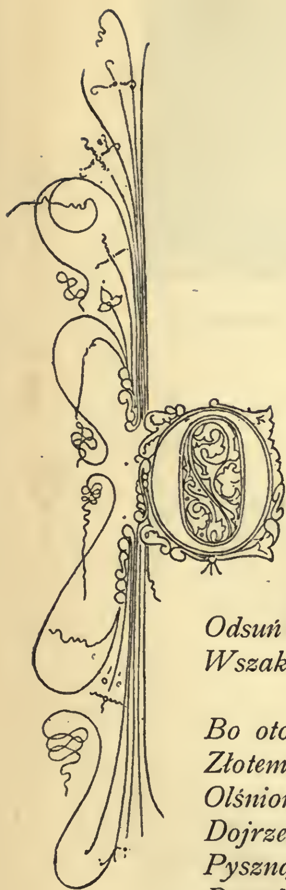
Wtedy na niebie, na odwiecznem, szafirowem niebie rozbłyśnie złowroga gwiazda Lucifera. Poprzez splątaną gęstwę liści i drżących puchów kwietnych prześlizną się jej modre promienie i ku rozwidnionym błękitom podniosą łagodnie moje oczy olśnione.

I pójdzie za nią łódź moja, i poleci za nią serce moje w śpiewające cisze. A gdy wichry zawieją szaremi mgłami pustkowia wodne, gdy nagle błyskawica targnie ściemnionem niebem i ukaże wśród mroków nad lecącą w bezdeń łodzią słaniające się orły morskie, —

wtedy wszystko dokoła pocznie się stawać snem, pięknością i niepojętem, nienazwanem szczęściem, jakie może było w przededniu stworzenia.

Stanisław Wyrzykowski.

Modlitwa przed czynem.
FRAGMENT.



dsuń mi, Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu... Oto stoję w wiośnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota...
Niech widzę, jako krzew mój bujnie rośnie,
Jak się w rozkoszy rozwoju szamota
Z wichrami, kiedy burza go ochłośnie...
Odsuń na jesień życia cel mój, Panie.
Wszakże rozkoszą wiosny dojrzewanie...

Bo oto dusza ma jest jako drzewo
Złotemi ziarny pszczół owiane rojnie,
Olśnione blasków słonecznych ulewą,
Dojrzewające ciężarnie, spokojnie,
Pyszną soczystych owoców odziewą,
Dorodnym plonem obarczone hojnie...
Piękno me teraz na soki się zmienia
W cudownej pełni świętego rodzenia...

Duch mój jest ciężki wnętrzną swoją treścią,
Bo owoc jego jeszcze nie strząśniony...
Szczęśliwą, pełną rozkoszy boleścią
Stawań się zwolna źrzeje upojony...

Jam teraz latem, cudowną powieścią
O przyszłych żniwach, co bogate w plony
Zbliża się w blasku chwały i zieleni...
Odsuń mi zbiorów czas i czas jesieni...

Duch mój jest drogą do celu, pochodem
Ciągłym, dążeniem wprzód nieustającem...
Nie bierz mi, Panie, w życiu mojem młodem
Rozkoszy ruchu i pędu! Stojącem
Jeziorem kres jest i spoczynku chłodem...
Nie daj, bym życia cel przed życia końcem
Osiągnął... Nie daj, bym jak spustoszałe
Był drzewo, które przeżyło swą chwałę...

Niedokonany czyn śpi jeszcze we mnie,
Cudnym zapasem jest moich śpichlerzy,
Wypełnia sobą moich skarbców ciemnie.
Jest siłą, która cicho we mnie leży...
Spełnione dzieło ucieka tajemnie
Z mojego ducha... między ludzi bieży,
Staje się złotym owocem, z jabłoni
Strząśniętym, skarbem jasnym cudzej dłoni...

Niedokonanym czynem jam bogaty...
Lecz idą parne przejrzałości noce.
Posłuszny jestem i niosę objaty...
Oto mi każą niezbadane moce,
Abym sam sobie dłonią był, co szaty
Złote mym sadom pozdziera, owoce
Moje... I duch mój musi treść swą stradać...
Idzie czas... Zaczną z drzew owoce padać...

Leopold Staff.



FILOKTET CZYLI TRAKTAT O TRZECH MORALNOŚCIACH.

AKT PIERWSZY.

Niebo szare, ciężkie, nad zaśnieżoną, lodowatą równiną.

SCENA I.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Odysseju, wszystko gotowe. Łódź przywiązana liną. Wybrałem wodę głęboką, osłoniętą od Północy, bojąc się, aby morze nie zamarzło przy wietrze. A chociaż ta wyspa tak zimna nie zdaje się mieć mieszkańców, oprócz ptactwa gnieżdżącego się w skałach nadmorskich, umieściłem łódź w miejscu, kędy żaden przechodzień wybrzeżny nie może jej dostrzedz.

I dusza moja gotuje się także; dusza moja gotowa już do ofiary. Odysseju! mów teraz; wszystko gotowe. Przez dwa tygodnie, chyląc się nad wiosłami lub nad ste-

rem, wymawiałeś tylko twarde nazwy obrotów, któremi musieliśmy bronić się od wałów morskich; twe milczenie uparte powstrzymało wkrótce moje pytania; zrozumiałem, że wielki smutek przygniatał drogą twą duszę, ponieważ wiodłeś mię na śmierć. I umilkłem także, czując, że wiatr unosił nam zbyt szybko wszystkie słowa na niezmierzoność morską. Czekałem. Widziałem, jak za nami oddalało się i nikło za widnokręgiem morskim piękne otwarte wybrzeże skyryjskie, kędy ojciec mój niegdyś walczył, potem złote piaski lub głazy wysp, które kochałem, bo przypominały mi Pylos; trzynaście razy widziałem słońce zstępujące w morze; co ranek wychodziło z fal bledsze i wznosiło się mniej wysoko i z większą powolnością; aż nareszcie, czternastego ranka, oczekiwaliśmy go napróżno; i odtąd żyjemy jak gdyby po za granicami nocy i dnia. Lody pływały po wierzchu morza; nie mogłem spać z powodu ciągłej bladej jasności, i jedyne słowa, jakie słyszałem z ust twoich, zwracały mi uwagę na ogromne kry, od spotkania z któremi ocalało nas odpowiednie wiosła uderzenie. Teraz, mów nareszcie Odysseju! dusza ma przygotowana; i to nie jak owe kozły Bachosa, wiedzione na objatę w ozdobach świątecznych, lecz jako Ifigenia postępująca ku ofiarnikowi z prostotą, przystojnością i bez przystrojeń żadnych. Niewątpliwie, wolałbym, umierając bez skargi dla dobra kraju, umierać, jak ona, w obliczu Greków, na jakiejś ziemi słonecznej, i okazać, przyjmując śmierć dobrowolnie, całą mą cześć dla bogów i całą piękność mej duszy; waleczna ona jest a nie walczyła dotąd. Ciężko, zaiste, umierać bez chwały... A jednak, bogowie! nie czuję goryczy, bom wszystko opuszczał zwolna, ludzi, wybrzeża słoneczne... i teraz, gdyśmy przybyli na ostrów ten niegościnny, bez drzew, bez promieni, kędy śnieg okrył całą zieloność, kędy wszystko naokół zmrożone, pod to niebo, takie białe, takie mgliste, że wydaje się

drugą równią śniegową rozciągniętą nad nami, — tak daleko, tak strasznie daleko od wszystkiego... zdaje mi się, że to już jest śmierć; myśl moja tak bardzo z każdą godziną stygła i oczyszczała się, tak bardzo omdlewał we mnie każdy ślad namiętności, że tutaj ciału już tylko pozostaje umrzeć.

Ale przynajmniej powiedz mi, Odysseju, że tajemniczy Zeus, ubłagany krwią moją wierną, odda Grekom zwycięztwo; ale przynajmniej, słuchaj, Odysseju, ty powiesz im, że za to umieram bez trwogi... powiesz im...

ODYSSEJ.

Dziecię, ty wcale nie masz umrzeć. Nie uśmiechaj się. Teraz powiem ci wszystko. Słuchaj, nie przerywając mi. Gdybyż ofiara jednego z nas dwóch mogła bogów ubłagać! To, co przyszliśmy spełnić tutaj, Neoptolemie, mniej łatwem jest niźli umrzeć...

Wyspa ta, która wydaje ci się bezludną, nie jest taką wcale. Zamieszkuje ją Grek; zwie się Filoktet, i ojciec twój kochał go. Wsiadł on niegdyś razem z nami na okręty, które w pełni pychy i nadziei wyruszały z Grecyi do Azyi; był to przyjaciel Heraklesa, i jeden z najszlachetniejszych między nami; gdybyś nie żył do dzisiaj zdala od pól bitwy, znałbyś już jego dzieje. Któż nie podziwiał wówczas jego dzielności? i któż później nie nazwał jej lekkomyślnością? Ona to, na nieznanej wyspie, u której zatrzymały się nasze łodzie, uniosła go i wtrąciła w nieszczęście. Wejrzenie brzegów było dziwaczne; złe przepowiednie osłabiały naszą odwagę. Ponieważ wola bogów, jak mówił Kalchas, nakazywała na tej wyspie złożyć objaty, każdy z nas oczekiwał, aby kto inny wysiadł pierwszy; wówczas to Filoktet ofiarował się z uśmiechem. Na wybrzeżu zdradziecka ukłóła go żmija. Z początku, z uśmiechem pokazywał nam Filoktet, wsiadłszy z powrotem na

okręt, małą rankę tuż koło stopy. Nie była ona tak niewinna. Filoktet przestał uśmiechać się wkrótce; twarz jego pobladła, a nieco później, błędne jego spojrzenia napełnił niepokój. Po kilku dniach noga nabrzmiała, ociężała; i on, który przedtem nie skarżył się nigdy, począł jęczeć boleśnie. Z początku wszyscy zbiegali się koło niego, aby go pocieszyć, rozerwać; nie udawało się to nikomu; trzeba było go uzdrowić; gdy wszakże stało się pewnem, że cała sztuka Machaona zgoła nie oddziaływa na jego ranę, — i ponieważ jednocześnie należało się obawiać, by jego krzyki nie osłabiły naszej odwagi, — statek zbliżył się do innej wyspy, tej właśnie, i zostawiliśmy go tam, samego z jego łukiem i strzałami, o które chodzi nam dzisiaj.

NEOPTOLEM.

Jakto! samego! zostawiliście go, Odysseju?

ODYSSEJ.

Eh! gdyby miał umrzeć, moglibyśmy byli zatrzymać go jeszcze jakiś czas między nami. Ale nie — rana jego nie jest śmiertelna.

NEOPTOLEM.

Lecz w takim razie?

ODYSSEJ.

Lecz w takim razie, czyż mieliśmy narazić na upadek dzielność wojska całego, skutkiem jęków jednego człowieka? Widać, że nie zrozumiałeś tego!

NEOPTOLEM.

Czyliż krzyki jego były tak przerażające?

ODYSSEJ.

Przerażające, nie: żałosne, zmiękczające litością dusze nasze.

NEOPTOLEM.

Czyliż przynajmniej nie mógł ktoś zostać, aby czuwać nad nim? Chory i sam tutaj, cóż miał począć?

ODYSSEJ.

Ma swój łuk.

NEOPTOLEM.

Swój łuk?

ODYSSEJ.

Tak: łuk Heraklesa. A zresztą, muszę ci powiedzieć, chłopcze; gnijąca jego noga wyziewała na cały statek najnieznośniejszą w świecie smrodliwość...

NEOPTOLEM.

Ah!

ODYSSEJ.

Tak. Nadto, choroba pochłaniała go całkowicie i czyniła nazawsze niezdolnym do jakiegobądź poświęcenia dla Grecyi...

NEOPTOLEM.

Tem bardziej. I my tedy, Odysseju, przybyliśmy tu...

ODYSSEJ.

Posłuchaj dalej, Neoptolemie: wiesz sam, ile pod Troją, oddawna skazaną, przelano krwi, ile zużyto dzielności, cierpliwości, odwagi; ogniska domowe zostały opuszczone i droga ojczyzna... Wszystko to nie wystarcza.

Przez kapłana Kalchasa bogi oznajmiły wreszcie, że tylko łuk Heraklesa i jego strzały, jako środek ostatni, umożebnią Grekom zwycięztwo. Oto dlaczego wyruszyliśmy obaj — błogosławiony niech będzie los, który nas wskazał! — i zdaje się, że teraz, gdy dotarliśmy do tej wyspy dalekiej, gdy wszystkie namiętności w nas wygasły, wielkie przeznaczenie spełni się nakoniec, i serca nasze, przejęte nawskróś poświęceniem, osiągną nareszcie cnotę najdoskonalszą.

NEOPTOLEM.

To wszystko już, Odysseju? A teraz, gdyś tak pięknie mówił, co myślisz robić? bo umysł mój wzdraga się jeszcze zrozumieć zupełnie twe słowa... Powiedz więc: po co przybyliśmy tutaj?

ODYSSEJ.

Aby zabrać łuk Heraklesa; czyliżeś nie zrozumiał?

NEOPTOLEM.

Odysseju, twoja-ż to myśl?

ODYSSEJ.

Nie moja, lecz bogów, którzy mi ją zesłali.

NEOPTOLEM.

Filoktet nie zechce go nam oddać.

ODYSSEJ.

To też trzeba będzie wydrzeć mu go podstępem.

NEOPTOLEM.

Odysseju, nienawidzę cię. Ojciec uczył mnie, aby nigdy nie używać podstępu.

ODYSSEJ.

Podstęp jest silniejszy od siły; on nie czeka. Twój ojciec zmarł, Neoptolemie; ja żyję.

NEOPTOLEM.

A czyż nie mówiłeś sam, że lepiej byłoby umrzeć?

ODYSSEJ.

Nie że lepiejby było, lecz że łatwiej. Niemasz rzeczy zbyt trudnej gwoli Grecyi.

NEOPTOLEM.

Odysseju! dla czego mnie wybrałeś? czemuż ja właśnie byłem ci potrzebny do tego czynu, który cała moja dusza potępia?

ODYSSEJ.

Bo ja sam czynu tego nie mogę spełnić: Filoktet zna mnie zbyt dobrze. Gdyby mnie ujrzał samego, podejrzewałby odrazu jakiś podstęp. Twoja niewinność będzie nam osłoną. Czyn ten musisz ty spełnić; jest to konieczność.

NEOPTOLEM.

Nie, Odysseju! klnę się na Zeusa, że go nie spełnię.

ODYSSEJ.

Dziecko, nie mów o Zeusie. Nie zrozumiałeś mnie. Posłuchaj. Ponieważ udręczona dusza moja ukrywa się i zgadza, sądzisz-że, iż mniej smutny jestem od ciebie? Ty nie znasz Filokteta, a Filoktet jest przyjacielem moim. Mnie zatem ciężej jest zdradzić go, aniżeli tobie. Rozkazy bogów są okrutne. Oni są bogami. Jeżeli nie mówiłem ci nic w ciągu żeglugi, to dla tego, że wielkie serce me w udręczeniu zapominało słów niejako... Ale ty uno-

sisz się, podobnie jak twój ojciec, i nie dajesz się przekonać.

NEOPTOLEM.

Ojciec mój umarł, Odysseju; nie mów o nim; umarł za Grecyę! Ah! walczyć za nią, cierpieć, umrzeć — żądaj, co ci się spodoba, — tylko nie tego, bym zdradzał druhów ojcowskich!

ODYSSEJ.

Dziecię, posłuchaj i odpowiedz mi: nie jest-żeś przyjacielem wszystkich greków bardziej, aniżeli przyjacielem jednego z nich? albo raczej, nie jest-że ojczyzna czemś więcej, aniżeli jednostka? i czyliż zgodziłbyś się ratować człowieka, gdybyś dla jego zbawienia musiał zgubić Grecyę?

NEOPTOLEM.

Odysseju, masz słuszność, nie przeniósłbym tego.

ODYSSEJ.

I przyznasz, że, jeżeli przyjaźń jest rzeczą nieoszacowaną, ojczyzna jest czemś droższem jeszcze?.. Powiedz mi, Neoptolemie, na czem polega cnota?

NEOPTOLEM.

Poucz mnie, mądry synu Laerta

ODYSSEJ.

Ucisz swe namiętności; poddaj wszystko obowiązkowi...

NEOPTOLEM.

Lecz cóż jest obowiązkiem, Odysseju?

ODYSSEJ.

Głos bogów, porządek społeczny, poświęcenie siebie samego dla Grecyi... Podobnie jak widzimy kochanka,

szukającego dookoła po ziemi kwiatów najdroższych, aby je złożyć w darze ukochanej, i pragnącego umrzeć dla niej, jak gdyby, nieszczęsny, nie miał nic lepszego do oddania nad siebie samego, tak i ty — jeśli prawda, że drogą ci jest ojczyzna — cóż mógłbyś dać jej zbyt drogiego? Nie zgodził-żeś się sam przed chwilą, że zaraz po ojczyźnie idzie przyjaźń? Cóż miał droższego Agamemnon nad córkę własną, jeżeli nie ojczyznę? Zabij wszystko w ofierze, niby na ołtarzu... A cóż ma znów Filoktet, na tej wyspie, gdzie żyje samotnie, cóż ma droższego nad ten łuk, do złożenia w darze ojczyźnie?

NEOPTOLEM.

Ale w takim razie, zażądaj go odeń, Odysseju.

ODYSSEJ.

Mógłby odmówić. Nie znam jego usposobienia, ale wiem, że porzucenie na tej wyspie oburzyło go na wodzów wojska. Podrażnia on może bogów swą myślą, a przestaje snadź — o zgrozo! — życzyć nam zwycięztwa. I być może, iż znieważone bogi zachciały przez nas ukarać go jeszcze. Zmuszając go do cnoty przez niewłasnowolne pozbycie się swej broni, bogowie będą dlań mniej surowi.

NEOPTOLEM.

Ale, Odysseju, czyliż czyny, które spełniamy pomimo woli, mogą być liczone za zasługę?

ODYSSEJ.

Nie sądzisz-że, Neoptolemie, iż chodzi o to przedewszystkiem, aby wypełniły się bogów rozkazy? nawet gdyby się wypełnić miały bez zgody danego człowieka?

NEOPTOLEM.

Wszystko, co mówiłeś poprzednio, pochwalałem;

lecz teraz nie wiem już, co powiedzieć, i zdaje mi się nawet...

ODYSSEJ.

Cyt! Słuchaj... Nie słyszysz nic?

NEOPTOLEM.

Owszem: poszum fal morskich.

ODYSSEJ.

Nie. To on! Przerażające jego krzyki zaczynają dochodzić do nas.

NEOPTOLEM.

Przerażające!? Odysseju, ja słyszę, przeciwnie, śpiew melodyjny.

ODYSSEJ, nadstawiając ucha,

Prawda, on śpiewa! Doskonały jest! Teraz, gdy został sam, śpiewa! Gdy był pomiędzy nami, krzyczał.

NEOPTOLEM.

Co on śpiewa?

ODYSSEJ.

Niemożna jeszcze słów rozróżnić. Słuchaj: ale on się zbliża?

NEOPTOLEM.

Przestał śpiewać. Zatrzymuje się. Spostrzegł kroki nasze na śniegu.

ODYSSEJ, śmiejąc się.

I oto zaczyna krzyczeć znowu. Ach! Filoktecie!

NEOPTOLEM.

Rzeczywiście, krzyki jego są okropne.

ODYSSEJ.

Idź; zanieś prędko mój miecz na tę skałę; niechaj pozna broń grecką i wie, że kroki, które spostrzegł, są krokami człowieka z jego ojczyzny. — Śpiesz. Oto już się zbliża. — Dobrze. — Pójdź teraz; stańmy za tym kopcem śnieżnym; będziemy go widzieli, sami niewidzialni. Cóż za złorzeczenia pocznie miotać! „O ja nieszczęśliwy! — rzecze, — niechaj przepadną Grecy, którzy mię opuścili! Wodzowie wojska! ty, Odysseju przewrotny! wy, Agamemnonie, Menelaju! Bodaj choroba moja zżarła ich z kolei! O śmierci! śmierci, którą przyzywam codziennie, zostaniesz-że głuchą na skargi moje? nie przyjdziesz-że nigdy? O groty! skały! przylądki! nieme świadki moich boleści, nie zdołacie-ż nigdy...“

Filoktet wchodzi; spostrzega hełm i miecz, położone w pośrodku sceny.

SCENA II.

FILOKTET, ODYSSEJ, NEOPTOLEM.

FILOKTET.

Milczy.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ODYSSEJ, FILOKTET, NEOPTOLEM.
Wszyscy trzej siedzą.

FILOKTET.

Niewątpliwie, Odysseju. Dopiero, odkąd jestem zdala od ludzi, zrozumiałem, co to jest cnota. Człowiek żyjący między innymi niezdolny jest, wierzaj mi, do jakiegobądź postępku czystego i pozbawionego istotnie widoków osobistych. Zatem, wy... przyszliście tutaj... po co?..

ODYSSEJ.

Ależ, by się z tobą zobaczyć, drogi Filoktecie.

FILOKTET.

Nie wierzę w to ani na chwilę, i mało mnie to zresztą obchodzi; przyjemność, jaką odczuwam, oglądając was po tak długim czasie, jest wielka i wystarcza mi najzupełniej. Straciłem zdolność doszukiwania się w czynach ich pobudek, odkąd postępki moje nie mają już przyczyn ukrytych. Dla kogóż miałbym udawać, czem jestem lub nie jestem? Troszczę się o to tylko, aby być. Przestałem jęczeć, wiedząc, że żadne ucho mnie nie usłyszy, przestałem życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic tutaj nie mogę uzyskać.

ODYSSEJ.

Czemuż nie zaprzestałeś jęczeć dawniej, Filoktecie? Zachowalibyśmy cię między nami.

FILOKTET.

Nie godziło się, Odysseju. Wobec innych milczenie moje byłoby kłamstwem.

ODYSSEJ.

Podczas gdy tutaj?

FILOKTET.

Cierpienie moje nie potrzebuje słów, aby się poznać, ponieważ znane jest tylko mnie.

ODYSSEJ.

Zatem, od naszego odjazdu zmilkłeś, Filoktecie?

FILOKTET.

Bynajmniej. Ale skargi moje, odkąd nie posługuję się niemi do wyjawiania moich cierpień, stały się bardzo pięknemi, do tego stopnia, że mnie pocieszają.

ODYSSEJ.

Tem lepiej, mój biedny Filoktecie.

FILOKTET.

Nie żałuj mnie zwłaszcza! Przestałem, jak ci mówię, życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic nie mogę uzyskać... Nic z zewnątrz, to prawda, ale bardzo wiele od siebie samego; od owej to chwili życzę sobie cnoty; zużywam na to całą swą duszę i, mimo boleści mej, odpoczywam w spokoju; — odpoczywałem w nim przynajmniej w chwili, gdyście... Uśmiechasz się?

ODYSSEJ.

Widzę, że znalazłeś sobie zajęcie.

FILOKTET.

Słuchasz mnie, lecz nie rozumiesz. — Nie cenisz-że cnoty?

ODYSSEJ.

Owszem: moją.

FILOKTET.

Jakaż jest ona?

ODYSSEJ.

Słuchałbyś mnie, lecz nie zrozumiał... Mówmy raczej o Grekach. Czyżby cnota samotna zatarła w tobie pamięć o nich?

FILOKTET.

Niewątpliwie, aby zatrzeć moje przeciwko nim oburzenie.

ODYSSEJ.

Słyszysz, Neoptolemie! — Zatem powodzenie wyprawy, dla którego...

FILOKTET.

...porzuciliście mię... cóż chcesz, abym o niem myślał, Odysseju? Jeżeli porzuciliście mię, to dla tego, aby zwyciężyć, nieprawdaż? Ufam zatem, dla was, że jesteście zwycięzcami...

ODYSSEJ.

A jeżeli nie?

FILOKTET.

Jeżeli nie, Hellada stanowczo wydawała nam się zbyt

wielką. Ja, na tej wyspie, zacząłem się stawać, pojmij-że, z dnia na dzień coraz mniej Grekiem, z dnia na dzień coraz bardziej człowiekiem... Jednak, gdy was oglądam, czuję... Achill nie żyje, Odysseju?

ODDYSEJ.

Achil nie żyje; towarzysz mój jest jego synem. Cóż to! szlochasz, Filoktecie?.. ów spokój tak poszukiwany...

FILOKTET.

Achill!.. Dziecię, pozwól mej dłoni popieścić białe twe czoło... Od tak dawna już, od tak dawna, dłoń ma dotyka ciał zimnych jedynie; nawet ciała ptaków, które zabijam i które spadają na fale lub na śnieg, są, gdy dłoń ma zbliży się do nich, zlodowaciałe, jak owe wyższe strefy powietrzne, w których przebywają...

ODYSSEJ.

Wyrażasz się dobrze, jak na człowieka, który cierpi.

FILOKTET.

Gdziekolwiekbym był i do końca życia będę synem Grecyi.

ODYSSEJ.

Ale nie masz do kogo mówić.

FILOKTET.

Powiedziałem ci już; czyż-eś mnie nie zrozumiał? Wyrażam się daleko lepiej, odkąd nie mówię już do ludzi. Po za polowaniem i snem, mam jedno zajęcie: myślenie. Myśli me, w samotności, kędy nic, nawet ból, ich nie rozstraja, nabrały bystrości i polotu, tak, że niekiedy sam z trudnością zdążam za niemi. Zrozumiałem więcej tajemnic dotyczących życia, niźli mi odsłonili wszyscy moi

przyjaciele. Zajmowałem się również opowiadaniem sobie samemu o swych boleściach i, o ile zwrot czy okres były bardzo piękne, o tyle wielką czułem ulgę; niekiedy, wymawiając je, zapominałem o swym smutku. Zrozumiałem, że słowa są daleko piękniejsze, od chwili, gdy nie służą do pytań lub próśb. Nie mając, dokoła siebie, uszu ani ust, posługiwałem się tylko pięknością swych słów; wykrzykiwałem je po całej wyspie, wzdłuż wybrzeży; i wyspa, słuchając mnie, wydawała się mniej samotną; przyroda wydawała się podobną do smutku mojego; miewałem wrażenie, że jestem jej głosem i że nieme skaliska oczekiwały na ten głos, aby wypowiedzieć w nim swe choroby; bo zrozumiałem, że wszystko dokoła mnie jest chore... i że to zimno nie jest normalne, bo pamiętam przecież Grecyę... I nauczyłem się zwolna głosić nędzę — raczej rzeczy okolnych, aniżeli własną; wydawało mi się to lepszem; zresztą, jakby ci to powiedzieć? była to ta sama nędza, i czułem ulgę tem większą. Potem, najpiękniejsze me stworzyłem okresy, mówiąc o morzu i nieskończonych jego falach. Mamże ci wyznać, Odysseju, — Odysseju! — niektóre były tak piękne, że szlochałem ze smutku, iż żaden człowiek słyszeć ich nie może. Zdało mi się, że duszaby mu się na ich brzmienie przeistoczyła ode dna. Słuchaj, słuchaj, Odysseju! Nikt nie słyszał mnie jeszcze.

ODYSSEJ.

Nie mając nikogo dookoła, nauczyłeś się, jak widzę, mówić bez przerwy. Dalej-że, opowiadaj.

FILOKTET, deklamując.

„Uśmiechy nieskończone fal morskich bezbrzeża..."

ODDYSEJ, śmiejąc się.

Ale, Filoktecie, toż to z Ajschylosa.

FILOKTET.

Być może... Czy ci to zawadza?..

Rozpoczyna na nowo.

„Szlochania nieskończone fal morskich bezbrzeża..."

Milczenie.

ODYSSEJ.

A dalej...

FILOKTET.

Nie wiem już... pomieszało mi się.

ODYSSEJ.

Cóż robić! dokończysz innym razem.

NEOPTOLEM.

O, dokończ, proszę cię, Filoktecie!

ODYSSEJ.

Patrzaj! dziecię słuchało!..

FILOKTÈT.

Nie umiem już mówić.

ODDYSSEJ, powstając.

Opuszczę cię na chwilę, byś mógł odszukać myśl swoją. Do prędkiego zobaczenia, Filoktecie. — Ale, prawda? niemasz tak twardej niewoli, żeby się w niej nie znalazła chwila jakiegoś odpoczynku, jakiegoś zapomnienia, jakiejś przerwy kojącej?..

FILOKTET.

W istocie, Odysseju. Pewnego dnia spadł mi pod nogi ptak, do którego strzeliłem i którego strzała moja zraniła tylko. Przez chwilę cieszyłem się nadzieją, że go uleczę. Ale jak uchować to wzruszenie powietrzne, które,

nie mogąc wzbić się, polatywało tuż, tuż nad tą ziemią skalistą, kędy zimno nadaje wodzie nawet, zmroziwszy ją, formy moich myśli logicznych. Ptak skonał; widziałem, jak skonał w ciągu godziny; chcąc go rozgrzać jeszcze, dusiłem go pocałunkami i tchnieniami. Skonał z potrzeby latania...

Tak samo, zdaje mi się, drogi Odysseju, że potok poezyi, jak tylko opuści me usta, zamarza i kona z niemożności rozprzestrzeniania się dalszego, i że ożywiający go drobniuchny płomyk zanika coraz bardziej. Wkrótce, żyjąc wciąż jeszcze, stanę się czemś zupełnie oderwanem. Zimno opanowuje mnie, drogi Odysseju, i lęk mnie bierze już dzisiaj, bo zaczynam w niem, i nawet w straszliwej jego surowości, znajdować jakąś piękność.

Stąpam niewątpliwie po rzeczach i płynach stężałych, Nie marzę już nigdy; myślę. Zapomniałem smaku nadziei, i dla tego nie czuję już nigdy upojenia. Gdy położę tutaj, gdzie wszystko twardą jest skałą, cokolwiek... choćby nasionko nawet, odnajduję je po długim czasie w tym samym stanie; nie puściło kiełków nigdy. Tutaj nic nie staje się, Odysseju: wszystko jest, wszystko trwa. Ostatecznie, można tu zaciekać się w myślach! — Zachowałem martwego ptaka; oto on; powietrze zbyt zimne nie da mu nigdy zgnić. I postępki moje, Odysseju, i słowa moje, jak gdyby marznąc, trwają niezmiennie i otaczają mnie niby kołem skał coraz dostawianych. I, odnajdując je tak codzień koło siebie, każda namiętność zmilknąć musi. Czuję Prawdę coraz bardziej — i chciałbym, aby postępki me były podobnież coraz trwalsze i piękniejsze: prawdziwe, czyste, kryształowe, piękne, piękne, Odysseju, jak te kryształy szronu jasnego, w których, gdyby słońce się pokazało, słońce przeświecałoby całe. Nie chcę przeszkadzać żadnemu promieniowi Zeusa; niech każdy przechodzi przezemnie nawskroś, Odysseju, jak przez pryzmat, i niechaj

to światło przełamane uczyni każdy postępek mój godnym uwielbienia. Chciałbym dojść do największej przezroczystości, zniweczyć mą nieprzepuszczającą światła miąższość, chciałbym, abyś ty nawet, patrząc na postępowanie moje, czuł światłość...

ODYSSEJ, odchodząc.

No, no, bądź zdrów. Wskazując Neoptolema. Pogadaj z nim, skoro cię słucha

Wychodzi. Milczenie.

SCENA II.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Filoktecie! naucz mnie cnoty...

AKT TRZECI.

SCENA I.

FILOKTET, wchodzi.

FILOKTET, poruszony do głębi niespodzianym podstępem i boleścią.

Ślepcze Filoktecie! poznaj swój błąd i płacz nad swem szaleństwem! Że też zjawienie się nanowo Greków mogło oczarować ci serce... Czy dobrze słyszałem? — Niema żadnej wąpliwości: Odyssej siedział, a koło niego Neoptolem; nie wiedząc, żem tak blizko nich, nie zniżyli nawet głosu; Odyssej dając rady Neoptolemowi, uczył go, jak mnie zdradzić; mówił mu... Nieszczęśliwy Filoktecie! zatem, aby wydrzeć ci łuk, powrócili tutaj! Jakże on musi być im potrzebny!.. Nieoceniony łuk, oh! jedyne mienie, które mi pozostało, i bez którego... Nadstawia ucha. Idą! Broń się, Filoktecie! masz dobry łuk, masz pewne ramię. Cnoto! cnoto! Kochałem cię tak bardzo, w samotności! Milczące serce moje uspokoiło się, zdala od nich. Ah! teraz wiem, co warta przyjaźń, którą mi ofiarowali! I toż jest Grecya, moja ojczyzna? Odyssej, którego nienawidzę, i ty, Neoptolemie... a jednak, jak on mnie słuchał! Cóż za słodkie dziecko! Dziecko... równie piękne, oh! piękniejsze, niż był twój ojciec... W jakiż sposób czoło tak czyste ukrywać może takie myśli? „Cnota,“ mówił, „Filoktecie, naucz mnie, co to cnota.“ Co mu odpowiedziałem? Nie pamiętam nic już prócz niego... I czy nie

wszystko jedno teraz, co mu rzec mogłem!.. Nadsłuchuje. Kroki!.. Kto to? Odyssej! Chwyta za łuk. Nie, to... Neoptolem. Neoptolem wchodzi.

SCENA II.

FILOKTET i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM, wołając.

...Filoktecie! Spostrzega go. Ah! Zbliża się, jak gdyby słabnąc ah! niedobrze mi...

FILOKTET.

Niedobrze?..

NEOPTOLEM.

Tyś to zawichrzył mi duszę. Oddaj mi spokój, Filoktecie. Wszystko, co-ś powiedział, zakiełkowało w mojem sercu. Podczas gdy mówiłeś, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Słuchałem; serce moje otwierało się szczerze i niewinnie na twoje słowa. Umilkłeś; ja słuchałem jeszcze. Ale oto wszystko się zmąca, i pełen jestem oczekiwania. Mów! niedość słyszałem... Trzeba poświęcać się, mówiłeś..?

FILOKTET, zamknięty w sobie.

...poświęcać się.

NEOPTOLEM.

Ale Odyssej poucza mnie również. Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? On powiada, że dla ojczyzny...

FILOKTET.

...dla ojczyzny.

NEOPTOLEM.

Ach! mów-że, Filoktecie; teraz musisz dokończyć.

FILOKTET, wymijająco.

Dziecko... czy umiesz strzelać z łuku?

NEOPTOLEM.

Umiem. Dla czego?

FILOKTET.

Czy mógłbyś napiąć ten oto?..

NEOPTOLEM, zmieszany.

Ty chcesz... Nie wiem. Próbuje. Tak; być może. — Oto widzisz!

FILOKTET, do siebie.

Co za łatwość! Zdawałoby się, że to...

NEOPTOLEM, z wahaniem.

A teraz...

FILOKTET.

Widziałem, co-m chciał widzieć. Bierze łuk z powrotem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiem.

FILOKTET.

Mniejsza o to, niestety!.. Zmieniając zdanie. Słuchaj, dziecię. Czy nie zdaje ci się, że bogi stoją nad Grecyą i większą mają wagę, niż ona?

NEOPTOLEM.

Nie, na Zeusa, tak nie sądzę.

FILOKTET.

I dla czegóż to, Neoptolemie?

NEOPTOLEM.

Albowiem bogowie, których czczę, służą tylko Grecyi.

FILOKTET.

Jakto służą? Są-ż jej poddani?

NEOPTOLEM.

Nie poddani... nie wiem, jak to rzec... Ale, widzisz, sam wiesz przecie, że nikt ich nie zna poza Grecyą; Grecya jest ich krajęm, tyleż co naszym; służąc jej, czczę ich; niemasz różnicy między nimi i ojczyzną moją.

FILOKTET.

A jednak, widzisz, ja mogę ci coś o tem powiedzieć, ja, który nie należę już do Grecyi — a... czczę ich...

NEOPTOLEM.

Tak ci się zdaje? — Ah! biedny Filoktecie! człowiek nie odrywa się tak łatwo od Grecyi... i nawet...

FILOKTET, z uwagą.

I nawet?..

NEOPTOLEM.

Ah! gdybyś wiedział... Filoktecie...

FILOKTET.

Gdybym wiedział... co takiego?..

NEOPTOLEM, powracając do pierwszej myśli.

Nie, mów ty; przyszedłem, aby słuchać, a ty pytasz ciągle... Czuję dobrze, że cnota twoja i cnota Odysseja

nie są tem samem... Ale gdy trzeba mówić, ty, co mówiłeś tak dobrze, wahasz się... Poświęcać się dla kogo, Filoktecie?

FILOKTET.

Miałem ci powiedzieć: dla bogów... Ale właściwie jest zatem coś ponad bogami, Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Ponad bogami!

FILOKTET.

Tak, skoro ja postępuję inaczej, jak Odyssej.

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? Ponad bogami cóż jest takiego?

FILOKTET.

Jest... Ujmuje głowę w obie ręce, jakby przygnębiony jakiemś brzemieniem. Nie wiem już. Nie wiem... ah! ah! nawet o sobie samym!.. Nie umiem już mówić, Neoptolemie...

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo? Powiedz, Filoktecie...

FILOKTET.

...poświęcać się... poświęcać się...

NEOPTOLEM.

Ty płaczesz!

FILOKTET.

Dziecko! Ah! gdybym mógł wskazać ci cnotę...

Porywa się gwałtownie. Słyszę Odysseja! Bądź zdrów... Odsuwa się i mówi, odchodząc: Czy zobaczę cię jeszcze?

NEOPTOLEM.

Bądź zdrów. Wchodzi Odyssej.

SCENA III.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

ODYSSEJ.

W czas przychodzę? Co powiedział? Czy dobrze mówiłeś, mój uczniu?

NEOPTOLEM.

Dzięki tobie, lepiej niż on. Ale mniejsza o to! — Odysseju... kazał mi napiąć swój łuk!..

ODYSSEJ.

Swój łuk! cóż za żarty! — I czemużeś go nie zatrzymał, synu Achilla?

NEOPTOLEM.

Cóż wart łuk bez strzał? Dawszy mi do rąk łuk, zatrzymał roztropnie strzały.

ODYSSEJ.

Zręczny przyjaciel!.. Czy domyśla się czego, jak ci się zdaje? Co mówił?

NEOPTOLEM.

Oh! nic, albo prawie nic.

ODYSSEJ.

A czy opowiadał ci znowu o swojej cnocie?

NEOPTOLEM.

On, który mówił tak dobrze przed chwilą, jak tylko zacząłem go pytać, zmilkł.

ODYSSEJ.

A widzisz!..

NEOPTOLEM.

A gdy spytałem, gwoli czemu można się poświęcać, co nie byłoby zawsze tylko Grecyą, rzekł mi...

ODYSSEJ.

Rzekł ci?..

NEOPTOLEM.

Że nie wie. A gdy rzekłem, jak mnie nauczyłeś, że sami bogowie są jej podlegli, odpowiedział: Właściwie jest zatem coś ponad bogami, jest...

ODYSSEJ.

Co?

NEOPTOLEM.

Powiedział mi, że nie wie.

ODYSSEJ.

Eh! widzisz więc, Neoptolemie!..

NEOPTOLEM.

Nie, Odysseju, zdaje mi się, że rozumiem go teraz.

ODYSSEJ.

Że rozumiesz co?

NEOPTOLEM.

Coś. Bo, ostatecznie, samotny na tej wyspie, póki nas tu nie było, dla kogo, czy dla czego poświęcał się Filoktet?

ODYSSEJ.

Ależ, powiedziałeś sam: dla niczego. Cóż przyjdzie z cnoty samotnej? Mimo wszystko, co jemu się roi, wietrzała ona bezużytecznie. Cóż przyjdzie ze wszystkich jego zwrotów i okresów, choćby najpiękniejszych... Przekonał-że cię? — Mnie także nie.

Jeżeli żył w ten sposób, samotny na tej wyspie, to tylko dla tego (dowiodłem ci przecież), aby uwolnić wojsko od swych jęków i swej smrodliwości; oto jego pierwsze poświęcenie, oto jego cnota, cokolwiekby mówił innego. Drugą jego cnotą będzie, że, straciwszy swój łuk, znajdzie pociechę w myśli, iż to dla dobra Grecyi. Jakież inne poświęcenie mógłby sobie wyobrażać, jeśli nie dla ojczyzny? Czekał, widzisz, abyśmy przyszli ofiarować mu je... Ale ponieważ mógłby odmówić, lepiej będzie zmusić jego cnotę, narzucić mu poświęcenie — i zdaje mi się, że przezorność nakazuje uśpić go. Widzisz tę łagiewkę...

NEOPTOLEM.

Ah! nie mów zbyt wiele, Odysseju... Filoktet milczał.

ODYSSEJ.

Bo nic już nie miał do powiedzenia.

NEOPTOLEM.

I zapewne dla tego płakał?

ODYSSEJ.

Płakał, że się łudził.

NEOPTOLEM.

Nie, on płakał z mego powodu.

ODYSSEJ, z uśmiechem.

Z twego powodu?.. Człowiek zaczyna coś przez głupotę, a potem z pychy nazywa to cnotą.

NEOPTOLEM, wybuchając łkaniem gwałtownem.

Odysseju! ty nie rozumiesz Filokteta...

AKT CZWARTY.

SCENA I.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

Filoktet sam; siedzi; robi wrażenie człowieka przygnębionego boleścią—lub rozmyślającego.

NEOPTOLEM, wbiega gwałtownie.

Abym go tylko wczas jeszcze znalazł!.. Ah! to ty, Filoktecie. Czas nagli, posłuchaj mnie. To, co przyszliśmy tutaj zrobić, jest niegodne; ale bądź wyższym od nas: przebacz mi. Przyszliśmy... oh! wstyd mi to wyznać... skraść ci twój łuk, Filoktecie!

FILOKTET.

Wiedziałem o tem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiesz mnie... skraść ci twój łuk, powiadam... Ah! broń się!

FILOKTET.

Przeciwko komu? Przeciwko tobie? powiedz, mój Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Nie, rzecz prosta, nie przeciwko mnie: ja kocham cię i uprzedzam.

FILOKTET.

I zdradzasz Odysseja...

NEOPTOLEM.

I jestem w rozpaczy... Poświęcam się dla ciebie. Kochasz mnie? Mów, Filoktecie. I czy to jest cnota?

FILOKTET.

Dziecko!...

NEOPTOLEM.

Patrz, co ci przynoszę. Ta łagiewka miała cię uśpić. Ale ja ci ją oddaję. Oto masz. Czy to jest cnota? — Powiedz.

FILOKTET.

Dziecię! Krok za krokiem jedynie dojść można do cnoty najwyższej; to, co ty robisz, jest tylko podrzutem.

NEOPTOLEM.

Więc naucz mnie, Filoktecie.

FILOKTET.

Ta łagiewka miała mnie uśpić, powiadasz? Bierze ją i przygląda się. Drobna łagiewko... ty przynajmniej nie miniesz się z celem! Widzisz, co robię, Neoptolemie? Pije.

NEOPTOLEM.

Jakto! nieszczęśliwy, ależ to...

FILOKTET.

Poświęcam się. Uprzedź Odysseja. Powiedz mu... że może przyjść. Neoptolem, przerażony, wybiega z krzykiem.

SCENA II.

FILOKTET, później ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

FILOKTET, sam.

I będziesz mnie uwielbiał, Odysseju; zmuszę cię do uwielbienia. Moja cnota wzbija się nad twoją, i musisz uczuć się zmalałym. Uwielbij siebie, cnoto Filokteta! uraduj się pięknością swoją! Neoptolemie, czemu nie zabrałeś zaraz mego łuku? Im bardziej mnie kochałeś, tem ci to było cięższem: nie poświęciłeś się dostatecznie. Bierz łuk i strzały... Ogląda się. Już go niema...

Ten napój miał smak okropny; mdło mi się robi, gdy o nim myślę; chciałbym zasnąć jak najprędzej... Ze wszystkich poświęceń najszaleńszem jest poświęcenie dla innych ludzi, bo wówczas człowiek staje się wyższym od nich. Poświęcam się, tak, ale nie dla Grecyi... Żałuję tylko jednego: że poświęcenie moje przyniesie korzyść Grecyi... Zresztą nie, nie żałuję tego nawet... Ale w takim razie, nie dziękuj mi: co-m uczynił, uczyniłem dla siebie, nie dla ciebie. — Odysseju, będziesz mnie uwielbiał, nieprawdaż? — Ale, czy będziesz mnie uwielbiał, Odysseju? — Odysseju! Odysseju! gdzież jesteś? Pojmij-że: poświęcam się, ale nie dla ojczyzny... dla czegoś innego, pojmij-że; dla... czego? Nie wiem. Czy zrozumiesz to? Odysseju! będziesz myślał może, iż poświęcam się dla Grecyi! Ah! ten łuk i te strzały mają służyć do tego!.. Gdzież je rzucić? — Morze! morze! Chce biedz, ale opada zmożony przez napój. Nie mam sił. Ah! w głowie mi się mąci... On zaraz nadejdzie...

Cnoto! cnoto! szukam w gorzkiem imieniu twojem nieco upojenia; czyżbym je wyczerpał już do dna? Pycha, która mnie podtrzymywała, chwieje się i ugina;

uchodzę i rozpływam się ze wszech stron. „Bez podrzutów; bez podrzutów,“ mówiłem mu. Co się przedsiębierze ponad własne siły, Neoptolemie, — oto jest cnota. Cnota... nie wierzę w nią już, Neoptolemie! Neoptolemie, niema cnoty. — Neoptolemie!.. Nie słyszy... Pada zmożony i zasypia.

ODYSSEJ, wchodzi z Neoptolemem i spostrzega Filokteta.

A teraz, zostaw mnie z nim samego.

Neoptolem, miotany najżywszem wzruszeniem, waha się z odejściem.

Ależ tak! idź gdziebądź; biegnij przygotować łódź, jeśli chcesz.

Neoptolem wychodzi.

ODYSSEJ, sam. Zbliża się do Filokteta i pochyla się nad nim.

Filoktecie!.. Nie słyszysz mnie już zatem, Filoktecie? — Nie usłyszysz mnie już? — Co robić? Chciałem ci powiedzieć... że zwyciężyłeś mnie, Filoktecie. I widzę teraz cnotę; i czuję taką jej piękność, że w obecności twojej nie śmiem już działać. Obowiązek mój wydaje mi się okrutniejszym od twego, bo nie widzę w nim takiego, jak w twoim, dostojeństwa. Twój łuk... nie mogę już, nie chcę już go brać: ty sam go dałeś. — Neoptolem jest dzieckiem: musi być posłusznym. Ah! oto on! Rozkazująco. A teraz, Neoptolemie, bierz łuk i strzały i nieś je do łodzi.

Neoptolem, strapiony, zbliża się do Filokteta, skłania głowę, potem rzuca się na kolana i całuje Filokteta w czoło.

ODYSSEJ.

Rozkazuję. Niedość-że ci, że mnie zdradziłeś? Chceszże zdradzić także ojczyznę? Patrz, jak on się dla niej poświęcił.

Neoptolem bierze z poddaniem łuk i strzały i oddala się.

ODYSSEJ, sam.

A teraz, żegnaj, twardy Filoktecie. Czy bardzo mną gardziłeś? Ah! chciałbym wiedzieć... Chciałbym, aby on wiedział, że znajduję go uwielbienia godnym... i że... dzięki jemu, zwyciężymy.

NEOPTOLEM, woła zdaleka.

Odysseju!!

ODYSSEJ.

Oto jestem.

Wychodzi.

AKT PIĄTY.

Filoktet, sam, siedzi na skale. Słońce powstaje na niebie zupełnie błękitnem. W oddali na morzu pierzcha łódź. Filoktet spogląda za nią długo.

FILOKTET, szepcze bardzo spokojnie.

Nie powrócą już; niema już łuku do wzięcia... — Jestem szczęśliwy.

Głos jego nabrał niesłychanej piękności i słodyczy; kwiaty dokoła niego wystrzelają z pod śniegu, ptaki niebieskie zlatują się, niosąc mu pokarm.



PRZEŁOŻYŁ
Zenon Przesmycki
(Miriam).

Andrzej Gide.

CHWILE.

Bywają chwile dziwnego olśnienia,
Kiedy z powszedniej rzeczy i zjawiska
Nagle nieznana, piękna twarz wybłyska
I w nieśmiertelną treść się wypromienia.

Bywają ludzkie słowa bez znaczenia,
Z których melodya nagle cudna tryska,
Płynąca ztamtąd, gdzie rzeczy kołyska...
Bywają chwile dziwnego olśnienia.

Bywają chwile palące, jak płomień,
Bywają chwile mocne wiekuiście,
Bywają chwile, które stać się muszą.

Bywają chwile wielkich uświadomień,
Kiedy się wierzy w jasnych cudów przyjście
I na spotkanie im wybiega — duszą.

SKARBY.

Jest skąpiec, który mienie swoje chowa
I bóstwu swemu składa na objaty.
To dusza. Skarb ma dziwny i bogaty:
Niewymówione nigdy, święte słowa.

I jest skarbnica złotopupurowa,
Jedwabiem kryta, wśród ciemnej komnaty.
Jak muszle, szumią tam, pachną, jak kwiaty,
Niewymówione nigdy, święte słowa...

A gdy nadchodzi Święto duszy: oto
Perły, rubiny płoną, jak pożoga —
I te, co były, jak myśl piorunowa,

I te, co były pełne snu i Boga,
I te, co były męką i tęsknotą —
Skarby nadludzkie — zamilczane słowa!

Władysław Sterling.

Nad nimi słońce gorejące...

Z okiem w ziemię wbitem słuchają...

Słowa starca płyną cicho, jednostajnie, spadają z głuchym, dalekim łomotem na zmęczone ich mózgi — tłoczą, przybijają je do ziemi...

Jak zmory sennej nękające mary, przewiewają przed nimi straszne przebytych czasów dzieje...

Jak złowrogiej pieśni pogrobowej uporna, ponura zwrotka, wraca wciąż, ponownie i ponownie, bezlitosny wyrzut:

Sami winni, sami winni, sami winni!..

Sto razy ich podniósł — sto razy od niego odpadli, sto razy ku zbawieniu ich powiódł — sto razy się odwrócili, sto razy ich ocalił — sto razy haniebnie go zdradzili...

— Sami winni... sami winni... sami winni!..

Słońce gorejące pali im rozbolałe głowy, słońce gorejące zawistnym żarem wpija, wżera im się w pękające

czaszki — ciche, jednostajne, ponure słowa starca spadają z dalekim, głuchym łomotem na znękane ich mózgi — tłoczą, gnębią, przybijają do ziemi...

— Nieszczęśni, potrzykroć nieszczęśni! — po tylu próbach i ponownych zawrotach, po tylu zbawieniach i ponownych zdradach — czego chcą od niego, czego chcą... czego chcą?..

Stoją w posępnem milczeniu. Czasem niewiasta która zdławionem zaniesie się łkaniem, czasem westchnienie stłumione w ciszy się rozpłynie, czasem dziecię które u matczynego łona zgubionym jękiem zakwili...

— Czy nie da się przebłagać, czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby? — — —

Wielka, pusta kotlina w rozszalałych słońca żarach omdlała gore...

Z poza czarnych zwałów kamiennych, z poza zeschłych traw i ostów żółtej powodzi, dzikiego anyżu kęp najeżonych, płonie krwawą łuną spękana, rozrysowana, rozszczepiona w głębokie jary ruda ziemia...

— Czy nie da się przebłagać? Czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby?..

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą...

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą, zczezną, przepadną!..

Gorejące słońce pali im rozbolałe skronie, gorejące słońce rozsadza im rozwięzione czaszki, gorące rozszalałe tchy anyżu kłębią się, wirują w ich znękanych mózgach — pustej, rozgorzałej kotliny krwawy pożar wielkiem, szerokiem kołem wkrąg poczyna się toczyć — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ze ściśnionego zastępu jeden z mężów leniwie się wysuwa...

Z przymrużonych jego oczu błyskają raz po raz ukośne, chytre spojrzenia. Po wykrzywionych ustach jadowity błąka się uśmiech...

Milczenie — — —

W gorejącego słońca rozwścieczonych żarach, w dzikiego anyżu rozpasanych oddechach, pustej kotliny wielki, krwawy pożar szalonym pędem wiruje...

— Wielki, wszechmocny Boże! co będzie... co będzie... co będzie?..

Mąż o ukośnem spojrzeniu, o jadowitym uśmiechu, chyli się ku ziemi...

Jak kot kuli się, zczaja — przymknięte oczy rozwierają się szeroko, błyskają białkami, zieją straszną chucią...

Dygocącą ręką, rozwartemi jak szpony, kurczowo skrzywionemi, trzęsącemi się palcami dobywa, dźwiga ciężki krągły głaz...

— Wielki, wszechmocny Boże! — co będzie?.. co będzie?.. co będzie?..

Mąż rzucił się w górę — błysnął rąk rozmach — runął starzec rażony kamieniem...

Milczenie. . stoją w głuchem milczeniu...

Tylko dreszcz raz nimi wstrząśnie...

Jeden... drugi...

I coraz nowe...

I coraz częstsze...

I nagle: huragan, wielka, wyjąca burza zapamiętałej, ryczącej wściekłości, spienionego obłędu...

Zatłoczyli się, skłębili, sparli — zwarły się dyszące oddechy, zatętnił huczący szał w rozmiotanych skroniach —

w kurczowych podrygach rzucają się, spychają, zwalają, duszą, rwą, szarpią, rzężą — krwawemi palcami rozdrapują twardą ziemię — dobywają, dźwigają, miotają na oślep krągłe, czarne, ciężkie głazy...

Nad martwem ciałem zwiera się — wypiętrza wyżej, wyżej, wyżej, kamienna mogiła —

Cisza .. pustka...

Skróś zwału kamieni, złomów zwietrzałych kolumn, kapiteli, łuków — z wielkiej, pustej kotliny krwawego pożaru czarno wypiętrzony kamienny kurhan...

Wpoprzek w cienką stali lamę wyciągnięty jeziora blask skrawy...

Wyżej gór białe żary...

Czasem z pod czarnego kamienia jaszczurka szara wypełznie, jak błyskawica po zwałach się przewinie i w ziemię zapadnie...

Czasem zkądś szakal z wtuloną kitą przybiegnie, mogiłę dokołoła obejdzie, jak dziecko żałośnie, przeciągle raz i drugi zapłacze i znowu pomknie...

Czasem gazela rozpędzona jak wryta przystanie, zdumiona brązowe oczy szeroko rozewrze i znowu poprzez spękanej ziemi ziejące szczeliny w wielkich skokach popędzi...

Czasem skrajem kotliny jeździec jakiś chyłkiem jak mara się przesunie, rozwianą szatą biało w słońcu zabłyśnie i w widnokręgu się zgubi...

I tylko kraczącego ptactwa chmury kupią się i rozpływają...

I tylko wysoko, w blaskach zgubiony, orzeł samotnie się waży...

Nad wysoko wypiętrzonym kamiennym kurhanem, nad rozgorzałej, pustej kotliny wielkim, krwawym pożarem gorejące słońce...

Zygmunt Bytkowski.

Z „Sonetów Królewskich.“

WANDA.

Rzucam tobie, Wisło, mój wianuszek z ruty:
Nie popłynie z wodą, jeno w głębi lęże...
W mym wianuszku z ruty zagnieżdżą się węże,
Jako we mnie, winnej, miłowaniem strutej.

Rzucam tobie, Wisło, miecz o krzemień kuty,
Bo niemieckich wojów już on nie dosięże,
I mój pancerz złoty, i hełm, i pawężę,
Co mię strzedz nie znały od miłości lutej.

Chwyć mnie ninie, nurcie, Moraną zasnuty...
Rytygiera-m zmogła... siebie nie zwyciężę!
Mnie się nie imały niemieckie oręże,

Choć ciebie krwi naszych zbroczył dopływ suty —
Niech mię lud mój, Wisło, zna z fal twoich nuty...
Niech koję niewiasty i ukrzepiam męże!

LUDGARDA.

Do nóg Przemysława rozpacznie się winie:
„O mój królu panie... Niegdyś tobie droga,
Błagam zmiłowania... przez żywego Boga,
Nie bierz mi żywota... daj mi odejść ninie...

Do rodzica odpuść... boso w koszulinie...
U nóg jego życia dokonam nieboga,
I będzie mi, panie, twoja pamięć błoga —
Nie rzucę ci klątwy... choć pojmiesz niemkinię.

Do rodzica odpuść... w kraj, gdzie Łaba płynie...
Milczysz?.. Jakaż straszna mnie ogarnia trwoga!
Przebóg! Już oprawca stoi w drzwiach u proga. —

Pomnij! Jak Ludgarda bez winy tu ginie,
Tak miecz braniborski ciebie nie ominie...
Pomnij!
O mój ojcze! Dolo moja sroga!

JAN OLBRACHT.

Hej! w gospodzie na Kleparzu dworak wodzi Basię...
Wierę... nie znam, jak Bóg miły, gładszej nad cię
Urzekły mnie modre oczy twe i krucze brewki, [dziewki.
Żem na umór rozmiłowan w cudnej twojej krasie.

Nie w zgrzebnem ci płótnie chodzić, jeno w altembasie...
Panią być... a nie szynkować miody i nalewki...
I raz po raz garść czerwieńców wyrzuca z sakiewki,
I raz po raz mocniej Baśkę obejmuje w pasie.

A tu wpada do gospody cała tłuszcza... zda się,
Najazd żaków i żołdaków... i grzmią huczne śpiewki...
Hej, paniczu! Tam do dworek sobie smal cholewki...

A od naszych wiejskich dziewek wara tobie... zasię!
Błysły kordy, krwią spłynęły... wstał krzyk poniewczasie:
„Dyć to król nasz miłościwy... jasny pan i krewki!“

ZYGMUNT AUGUST.

Szept złotowłosej słychać Isaotty...
Do ust przypadła mu w cieniu kotary:
„Ja, królewiczu, kocham cię bez miary,
A ty — ty moje odtrącasz pieszczoty...

Wszystkich ku tobie drżą pożądań loty!
Wszystkich ku tobie płoną tęsknot żary!
Słuchaj! Okrutnej wzywam niebios kary
Na tę, co ócz twych zabierze mi groty!

Bodaj miłości twojej promień złoty
Złudne jej tylko przywiódł szczęścia mary
I rychło w straszne zmienił je maszkary —

Bodaj by zczezła z bólu i zgryzoty!"
. . . .
A królewicza — rąk liliowe sploty
Palą... rwie duszę cichy płacz Barbary...

Władysław Nawrocki.

Wyznania.

Z czegóż mamy w tych czasach dzisiejszych czerpać podnietę do tworzenia artystycznego? — W czasach starożytnych dawało ją *życie;* bieg dzisiejszego życia tłumi raczej wszelką produkcyę duchową. „Żyjemy“ dziś tak mało! Jakże my *mieszkamy,* naprzykład? Te ubikacye nasze wystarczają zaledwie do „egzystencyi.“ Spędzamy dni, stłoczeni po cudzych kamienicach, zkąd wygnano naturę, światło, powietrze. — W jakież *stroje* ubierają nas przesądy, nasz smak obcy wszelkiej sztuce i pruderya nasza? I tu niema nic dla oka, nic dla zmysłów! *Kształty ludzkie,* zwłaszcza kształty kobiece, oglądamy chyba w razie wypadku lub katastrofy. (Mimo że kobiety, w tem obowiązkowem, a skrzętnem ukrywaniu tajemnic, same schną i przekwitają w tęsknocie). — *Rodzina?* — my jej nie mamy, ona nas ma. *Żona?* — bądźmy szczerzy! żadna z nich nie przejmuje się przecież poważnemi, prawdziwemi zadaniami życia. — *Dzieci?* — z początku może wiele radości, potem walka i troski.

Z czegoż więc czerpać dziś twórczość artystyczną? Pozostaje, dalibóg, tylko wino. Ono jedynie jest prawdzi-

wem użyciem, ono czyni z nas dopiero ludzi. Tylko wino pozwala nam tworzyć wbrew życiu samemu, ono jedynie darzy nas niekiedy godzinami, w których się zapomina o tym całym kieracie i w których zda się człowiekowi, że Bóg jeden wie, kim jest i gdzie się znajduje.

Kto nie uczy się ze wszystkiego (mówi Böcklin o książkach i obrazach), ten się nigdy niczego nie nauczy.

Niepodobna nauczyć się czegoś bezpośrednio od innych. Trzeba wszystkiego samemu doświadczyć. Starzy zwłaszcza mistrze niewiele nauczyć mogą. Toć ich obrazy tak się zmieniły, że trudno dziś wiedzieć, czego oni sami niegdyś chcieli.

Nie powinnoby się nadawać żadnych tytułów obrazom. Istotę rzeczy, o którą chodzi malarzowi, zatrącają one zaledwie, i skutkiem tego przysłaniają lub nawet z fałszywej przedstawiają strony sam zaród dzieła. Widz, dzięki im, zajmuje się materyałem, który można spotkać na każdej ulicy — i za którym chętnie kryje się niezdolność — zamiast autorem, który ma coś do powiedzenia. Na co on patrzał, co on odczuł, — tego nie widzi nikt, o to nikt nie pyta.

Kształty i barwy muszą być podporządkowane idei.

Jeżeli w ciągu roboty nagle się gdzieś *urwie*, to urwało się nie tu, nie w robocie, lecz z samego zaraz po-

czątku, w idei. Na nic wtedy wszelkie poprawki i przeróbki — wszystko to jest daremnem zapychaniem dziur, wszystko to nic nie pomoże. Coś urwało się *w samym początku,* przed zaczęciem pracy, przy obmyślaniu i obliczaniu. Przeoczyliśmy wtedy właśnie ten wadliwy punkt, w którym — jak teraz nam się zdaje — *środki* nas zawodzą.

Uważaj, co na tobie wywiera wrażenie; gdy pojmiesz *dla czego,* potrafisz sam oddziaływać.

Nie jesteś przy malowaniu tak niezależnym, jak ci się wydaje. Zależysz od tego, co jest dla pracy twej korzystnem.

Im prostsze środki, im szybciej wypowiedzieć można to, co się ma własnego do wypowiedzenia, tem mniej zatraca się siły na pokonywanie oporności materyału.

Prócz szczęśliwej zgody wyobrażeń i środków, polega sztuka na poznawaniu i usuwaniu zbyteczności. To pochłania najwięcej czasu. Tem bardziej nie należy chcieć coś włączać. To precz, tamto precz, — wtedy dopiero błyska nagle światło, przyznające słuszność naszym wyobrażeniom, oraz wskazujące jak je wykonać należy: — o to, to! tegośmy szukali w rzeczywistości. Wszystko inne robi się potem już samo przez się i szybko: wówczas budzi się i przychodzi nam z niewołaną pomocą wszystko to, czem się jest, co się wie, umie, w pamięci ma, — nieraz niewiadomo, zkąd się to wszystko bierze. Tylko niech Bóg broni być pełnym fantazyi, — wyobraźni będziemy potrzebowali jeszcze dosyć *ad hoc,* aby ożywić rzeczy najistotniejsze. I ni-

gdy zbyt wybujało, lecz z rzetelną prostotą, nigdy artystycznie, lecz naturalnie!

Kierunki! Jest tylko jedna sztuka, lecz zarazem tyle indywidualności, ilu prawdziwych artystów, lub tych, którzy nimi rzetelnie zostać pragną. Aferzyści i ludzie, którzy zatrzymują się przed dowolnym ułamkiem natury, aby go naśladować, dając w najlepszym razie tylko wykrawek całości, naśladując kształt zewnętrzny, — ci, artystami, oczywiście, nie są.

Malarz widzi i żyje oczyma. Tętni w nim coś nieuchwytnego, co łączy się z kształtami i barwą, ożywia rzeczy widziane i staje się wskutek tego czemś określonem.

Wolę chcę widzieć w każdem pociągnięciu pędzlem, nie zaś niewolnika!

Co nie jest zdecydowane, nie działa. Widz powinien się dowiedzieć z mego obrazu, jak przemawiało do mnie życie, natura i t. d.; dla tego, ja sam muszę to wiedzieć jasno i módz jasno wyrazić.

Kogoś, kto, zamiast szukać ogólnego wrażenia, zatapia się w szczegółach, mam za *durnia*. Nie malujemy przecież rąk i nóg dla kogobądź.

Gdy się ma parę barw i parę kontrastów, można już w zamierzony sposób oddziałać na duszę ludzką.

G. Floerke: Co to jest obraz? Możliwie ścisły i wyrazisty, pełny jedności wnętrznej wyraz czysto malarskiej, t. j., zamykającej się w granicach środków malarskich, wizyi, ze wszystkiemi wiążącemi się z nią asocyacyami myślowemi.

„No, tak,“ rzekł Böcklin, a potem musi on jeszcze wywierać wrażenie ściśle dekoracyjne. Musi nietylko wyrażać to, co malarz odczuł, lecz być nadto czemś wspaniałem, czemś najpiękniejszem, dominującem w miejscu, do którego jest przeznaczony.“

Nie widzę przyczyny, dla której miałbym malować piękne kobiety. Nie maluję przecie z grzeczności, ani też na to, aby się przypodobać jurnym gamoniom.

Gdy maluję wodę, nawiedza mnie wówczas to i owo: igraszki, o których nie wiem, kiedy i jak je widziałem, a które pozostały mi jednak.

Czego się nie szuka, tego się nie widzi.

Na miłość Boską, nie powinno się nigdy okazywać w nieodpowiedniem miejscu, że się było pilnym uczniem, że się zdobyło umiejętność, że się dobrze rysuje i t. p. Na takie chłopięce samochwalstwa nie masz miejsca w pełnem jedności wnętrznej pragnieniu artystycznem. Wszystko, gdzie trzeba.

W naturze, pomiędzy światłem i ciemnością istnieje

dla oka ludzkiego skala, którą można wyrazić stosunkiem: 1 — 100. Na palecie zaś, skala ta da się wyrazić: 45 — 55. — 50 zatem będzie moim *środkiem*, jeżeli chcę wystarczyć równie w świetle jak w cieniu. Już dla tego samego, niepodobna malować bezpośrednio z natury, bo zazwyczaj mimo wszelkich przystosowań, obiera się, w skutek wysiłków naśladowczych, za wysoką skalę w stosunku do środków rozporządzalnych i popada w niemożność wystarczenia efektom natury. — Nie, wszystkie stosunki skali muszą być przemyślane pierwej w głowie i następnie z pamięci oddane na płótnie Podług natury należy tylko sprawdzać, ale nigdy z paletą nie ślęczyć przed naturą.

Malowanie studyów powinno być wzbronione. W pracowni, studya do niczego nie są przydatne. Nawet ze stanowiska mnemotechnicznego, studya są głupstwem. Taki, co wciąż tylko chwilowe maluje z natury wrażenia, niczego się nie uczy i przy pierwszym odmiennym wypadku znowu staje bezradnie. — Weźmy prosty przykład. Rysuję z natury niezapominajkę. Przez to jednak nie dochodzę do jej zrozumienia, nie mogę jej sobie wyobrazić, kiedy i jak zechcę. Nie wiem, jak się to rozwija, jak cząstka jedna z drugą się łączy, jak barwy niebieska z żółtą do siebie przystają. Mogę tylko skopiować znowu to, co widzę. Ale spróbujmy przyjrzeć się niezapominajce i narysować ją z pamięci, czyli zdać sobie z niej sprawę, a potem dopiero porównajmy to, cośmy zrobili, z naturą, sprawdźmy i umocnijmy swe wyobrażenia. Wyobraźnia jest niezbędną; naśladownictwo — zabójczem.

To mi artysta, to mi twórca, który, potrzebując np. małego palca, czeka, aż model czas mieć będzie.

Niech rzecz będzie jak chce niezręczną, lub źle narysowaną, — nie dbam o to: chcę w każdem pociągnięciu widzieć wolę, — to jest dla mnie wszystkiem, poprawność niczem.

Istotnie monumentalne malowidło powinno być wielką improwizacyą.

Ogromnie wiele rzemiosła jest w sztuce; wiele doświadczenia, wiele prób wszelakich potrzeba, wiele mechanicznej pracy. My wszyscy jesteśmy przecież awanturnikami bez kotwicy, bez steru, bez kompasu; — każdy w swojej łupinie orzechowej. Żaden z nas nie ma oparcia na rzeczach przeszłych. Każdy nic nie wie, w nic nie wierzy; — patrzy, próbuje.

Do śmierci się uczymy. Po latach dwudziestu, znajduję rozwiązanie czegoś. Gdyby ktoś był mi to wcześniej powiedział, gdybym to był wiedział wówczas, — iluż głupstw byłbym uniknął, o ileż dalej byłbym już teraz.

Właściwość, „indywidualność“ materyału pragną się również wypowiedzieć w dziele.

Głowa — to „fraszki!“ Ale wydobyć naprzykład to, że tak niedbale oto spoczywa: — w tem sęk! Nogi są najtrudniejsze, nie dlatego, że na nich wokół wszystko chodzi — (ruch ramion nie jest wcale rzeczą łatwiejszą), — lecz że się stoi na nogach, że dźwigają one postać i jej

ruch. Niech tu brakuje najmniejszego drobiazgu, cały chłop jest wnet w nieporządku.

Et, co tam, piękne! Rzecz każda na właściwem miejscu jest piękną. Kolorystyczność! Brednie. Farba jest wtedy piękną, gdy cel swój osiąga.

Ci florentczycy! Gdy się powraca z Holandyi, — noc nas ogarnia. Toż to są dzieci! Obserwacyi, spotrzegawczości, tego u nich nie znaleźć. Po 50 latach nie zauważył jeszcze Ghirlandajo, że niektóre barwy zawsze się wybijają (to jest ich charakterem, który malarz uchwycić powinien), nie wie, że, naprzykład, niektóre czerwienie (w naturze oczywiście) w rozmaitych odległościach rozmaicie działają. On ładuje to samo na przedzie, co i na tylnym planie. Ztąd brak przestrzeni, a więc brak spokoju. A poza tem: nawet obliczenia artystycznego, rachunku nieco większego nie byli w stanie ci ludzie zrobić. Nigdy nie wpadnie im nic do głowy, co się do rzeczy odnosić może. Gdzie został pusty kawał przestrzeni, tam maluje się czemprędzej chwaścik, lub ogonek sukni, albo doniczkę z kwiatami. Jeden efekt, np. dywanu, muru, skoro raz został odkryty, powtarza się nielitościwie w kółko: chodziła czapla po czerwonej desce... Nigdy nie mają oni nic do opowiedzenia, nic do udzielenia: holendrzy pełni są tego aż po końce palców. Dziećmi są ci florentczycy! Biedne i puste stworzenia ci Botticellowie i t. d. Gdy tymczasem taki uczeń van Eycka jest pełen uczucia aż do najmniejszego drobiazgu, a mimo to każdy ten drobiazg został wysnuty z wielkiej całości, z ożywiającej wszystko, głęboko umiłowanej i nawskroś odczutej idei.

Nie! — taki np. Rogier van der Weyden! Aż do osta-

tniego wątku, do najmniejszej małostki, takie to wszystko ożywione, tak przedziwnie zrozumiane, takie artystyczne, tak nigdzie nie „puszczane.“ Czem i jak to jest zrobione, pozostanie dla mnie wieczną zagadką. To wogóle nie wydaje się malowanem. Nie widać w tem pracy, nie czuć borykania się z opornym materyałem. Olejem, werniksem, tem wszystkiem, czem my dziś rozporządzamy, malowane to nie jest.

Kto robi ciągle to samo, jest prostym świńtuchem. Człowiekowi, póki się zwie artystą, nie wolno mieć żadnej maniery. Każdy dzień nas odmienia. Co podobało się i wydawało dobrem 20-letniemu młodzieńcowi, nie może już poruszać dojrzałego mężczyzny. Co raz zostało osiągnięte, to już minęło. Każdy obraz, w tem znaczeniu, winien mówić coś innego, nawet gdyby był jakiemś powtórzeniem.

Artysta nie powinien mieć ani specyalności, ani maniery. Karyerowicz i zręczny rzemieślnik musi ją posiadać: wszak po niej poznać go jedynie, ona wyszukuje mu swoistych wielbicieli, „jego“ miłośników sztuki. Mówię to w umyślnem zastosowaniu do spółczesnej sztuki francuzkiej. Niemiec, który tak wiele umie, tak dalece już się przegryzł, zrobi potem coś odmiennego; — rzecz będzie może nie lepsza, on wszakże *pragnie* czegoś więcej. Taki paryżanin — nie! On stanie na miejscu i zrobi z siebie, wytwornego chicqueur'a. A to jest chamstwem! Gdyż ten, co tyle już umie, wie także, iż jest zawsze jeszcze coś wyższego, coś artystyczniejszego. Czy takie dążności dadzą „*hôtel*“ lub sławę dnia u „*Nation,*“ — to oczywiście będzie rzeczą mniej pewną.

Musiałbym być malarzem rodzajowym, gdybym nie wiedział, że chodzi o *to* i o *to*, i że tylko nierozum artystyczny może żądać jeszcze czegoś innego. Taki fryc rodzajowy, w którego, dajmy na to, bardzo porządnej scenie chodzi jednak jedynie o dwie np. miłe twarze Jej i Jego i co najwyżej o taki jeszcze lub inny ruch pomocniczy, — robi nadto psa, i kota, i piec (nawet z kalendarzem z danego roku), i wszystkie gwoździki fotelu, i jest — bardzo dumny z tego... mianowicie, że zdołał oderwać spojrzenie od głównej rzeczy i rozproszyć po różnych szczegółach.

Oponent: Można wszakże zrobić i to i tamto...

Böcklin: Nie, niemożna robić naraz jednego i drugiego, jeśli się chce być malarzem. Niemożna, jeżeli chodzi wyłącznie o dwie głowy, wykonywać nadto w sposób zajmujący butów i guzików. Bo, przedewszystkiem, wtedy właśnie nie osiąga się zamierzonej rzeczy głównej, a powtóre, mnóstwo równoważnych, skupionych koło siebie szczegółów nudzi poprostu.

Technika! Techniczną sprawność może mieć byle głupiec, każdy może się nauczyć.

Kto do sztuki wprowadza tendencyę, ten nie jest artystą.

Ach, te wystawy! Łatwo byłoby na nie malować. Ale zabijają one, tak, jak „salony“ zabiły Francuzów. Każdy zadaje sobie jedno tylko pytanie: co „robi efekt,“ i na tem opiera całe swoje obliczenie. Zwłaszcza, co robi efekt zdaleka: — taki lub inny niezwykły figiel perspektywiczny,

jakiś widok z góry, lub z dołu, jakiś brak horyzontu w obrazie, jakaś zygzakowata perspektywa i t. p. Wtedy celem artystycznym staje się poszukiwanie rzeczy silniej, brutalniej działających. I widzimy wszyscy, jakie powstają ztąd „kicze.“

W Niemczech niema słońca. Leży mi ono na plecach, ale go nie czuję. Cienie przymglone, chociaż niebo błękitne. Dopiero po drugiej stronie Alp, wszystko przesycone, przepalone światłością. Dzień cały karmiłem się światłem.

PRZEŁOŻYŁ
Maryan Wawrzeniecki. Arnold Böcklin.

FECONDITAS.

Chwila zachodu... wśród obłoków wieńca
Dogasa słońce... chmura zwiewna, biała,
W przestrzeniach nieba jak szept skamieniała,
Czeka na przyjście swego oblubieńca.

Słońce jak gloria na świętym obrazie
Zniża się, pasy rozrzuca pąsowe,
Na pierś jej śnieżną skłania złotą głowę,
Stapia się w krwawej miłości ekstazie,

Błogosławiona niech będzie moc twórcza!!
Pękają drzewa, wiatr do nieba spiętrza
Pył płodny kwiatów — łany zbóż się złocą —

Ziemia swe łono brzemienne rozkurcza
Tysiące istnień wyrzucając z wnętrza
Tknięta tworzenia przenajświętszą mocą!!

WIERZBY W POLU.

Białe bezkreśne pole — pusto, szaro, mętno...
Słońce, od białych śniegów za mgłami oślepłe,
Patrzy chorą źrenicą na ugory skrzepłe,
Gdzie pod śmierci całunem kona ziemi tętno.

Tylko wierzby na polu jak szkielety sterczą,
W jakiejś strasznej, rozpacznej pokurczone męce,
Z pod śniegu zamarznięte wyciągają ręce
Z groźbą dla szarych niebios bezsilną, bluźnierczą.

Głuchy, samotny cmentarz wśród śniegowych łanów.
Jakiś orkan olbrzymi, spadły z sinej chmury,
Górą śniegu przywalił do ziemi tytanów.

Jeszcze widać po wydmach cielsk groźne kontury
I jeszcze sterczą w niebo po minionej walce
Długie, agonią śmierci poplątane palce!!

KIEDY ROSY SPADNĄ...

Krąg wody, jakąś niewidzialną ręką
Między traw sploty rzucony na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące,
Utworzył w ziemi zatokę maleńką.

Codzień, gdy róże zapalą się świtu,
Przez traw gęstwinę, wonne kwiatów sady
Cisną się rojne owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.

I zaglądają do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie
Z ogromnem słońcem zatopionem na dnie,

A kiedy rosy rozperlą się w trawie,
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią...
i dzwonią...

I PRZYSZŁA SZARA WIECZORNA GODZINA...

I przyszła szara wieczorna godzina...
— Wszystko w naturze ścichło w jednej chwili.
Zanim się księżyc z poza wzgórz wychyli,
Zasnuwa ugór jakaś martwość sina.

Wiatr lekko zmarszczył sennych wód powierzchnie
I między trawy ułożył się na dnie —
Czasem się promień na wód tafle kładnie,
Rozświetli głębie i bez śladu pierzchnie.

Za chwilę światła rozpłoną śród ciszy
I noc zapali złotych gwiazd miryady.
Tak cicho... zwolna zasypiają kwiaty...

Zda się, że teraz ludzki duch usłyszy,
Jak w sennych chmuraeh dzień przekwita blady
I jak się rodzą jakieś złote światy.

MODLITWA DO DUSZY.

Pani gwiazd złotych i smutku królowo!
W ciemnościach życia do ciebie się modlę —
Żem Cię, syn własny, oszukiwał podle,
Udając wielkość myśli piorunową.

Żem był jak pielgrzym, co przez ugór idzie,
Pytając drogi pobladłemi usty,
Żem skrzydła szargal po domach rozpusty,
Chociaż coś we mnie w niemym łkało wstydzie.

Pozwól się tylko odrodzić odnowa,
Bo drzemie we mnie moc huraganowa,
I zachowałem niby skarb w tej męce
— Kiedy mię porwie grzechu toń zdradziecka —

Ból, co nad wszystkiem załamuje ręce,
I niezmącone jasne oczy dziecka!

Henryk Zbierzchowski.



I.

Cicho; ani jedna krzewina się nie zachyboce, ani jedna trawka nie zaszeleści, ani jeden ton najcichszego szmeru nie wionie w powietrze...

Upał duszący legł ciężką piersią i tysiącem żarzących ust ssał soki ziemi...

W wielkim ogrodzie, gdzie stoją zwarte drzew olbrzymich trzony — słońce z trudem przedziera się rzadkiemi okami światła i rzuca tu i owdzie wysilone białe kwiaty słonecznych promieni na spopieloną ziemię.

Te oka świetlne mienią się czerwonawym blaskiem smolnych igieł sosnowych na wielkiem mrowisku...

Mrówki dźwigają spróchniałe resztki badyla.

Mrówki upału nie czują.

Idą, idą nieprzerwanie, zwartą lipką masą, rozsypują się, jak czarne paciorki szklane...

Idą, idą, dalej... dalej...

Jak armia życia nieustannie, wiecznie czynnego...

Nagle, oderwała się od pnia ciemnej lipy postać dziwna, niewidziana... Zjadliwy błysk kosił zielonawo-żółte jej oczy...

Jak wielki szary motyl była jej twarz, jak przeznaczenie były zimne jej usta, białą kreską odznaczone.

Wężowym ruchem wyśliznęła się z cienia i — stąpa raz, drugi, trzeci, dziesiąty w sam środek mrowiska...

Jak wody potoku, gdy nagle wichura głaz w nie rzuci, zalewają brzegi, — tak fala żywych ciał wylała się z pod straszliwego nacisku stóp oszalałych.

Biegną, tłoczą się, spychają, walą ogłupiałe mrówki...

Daremnie!

Już ostatnie padły pod zajadłemi ciosami niszczącej mocy...

Co za tryumf piekielny drga na rozciągniętych wargach!

Jakże lekką i radosną staje się poczwarna postać!..

Nie dotyka prawie ziemi, mknie dalej...

Jaśminy tchną mdlejącą wonią, róże roztulają purpurą przesiąkłe płatki.

Nad ziemią zawisł mistyczny welon z woni kwiatów i zbóż kwitnących utkany.

W lubieżnem wygięciu liszka rozpręża wężowe ciało w objęciach kwietnych...

Jednym ruchem, jak myśl nagłym, ciemna postać dosięga jej, miażdży piękne, włochate ciało rozkosznisi...

Z drgającemi niezaspokojoną żądzą usty — chwyta motyla, co zatulony w pąku róży słodycze spijał, i zwolna sypie nań garście spopielonej ziemi...

Motyl rozpacznie bije skrzydłami, rwie się, walczy...

Już, już wynurza się z pochłaniającej go ziemi.

Napróżno! Nowa garść spada na wątłe jego ciało...

Słychać chrzęst łamiących się skrzydeł...

Coś, jakby głębokie westchnienie, osypuje kilka ziarnek z mogiły tej strasznej — i nic... zgasło...

Chciwe bólu źrenice pasą się tą męką, — zwężają się, jad sączą w spojrzeniu...

Pochylona postać prostuje się i — upojona — leniwie kroczy...

Tam, na końcu długiej, cienistej alei — jasny pióropusz złotego światła rzucił się na wielką, żółtą muchę, co wisiała nieruchoma, ze sztywnie rozpostartemi skrzydłami, wydając delikatne, drżące brzęczenia.

Małe, srebrne muszki, jak oczarowane, otoczyły ją kołem; najśmielsza — zawisła tuż nad głową dźwięcznej śpiewaczki.

Nagle, mucha podrzuciła się w górę, chwyciła srebrnoskrzydłą słuchaczkę... I znowu — w pióropuszu słonecznych blasków — cicho, śpiewnie zawisł punkt złocisty...

Śmiech dziwny, straszny zagulgotał i chrapliwym tonem przywarł do ust szarej postaci.

Przebiegle zadrgały blade wargi, wązkie źrenice skosiły się jeszcze bardziej rozradowaniem...

Zwysoka, zwysoka spuszczał się wielki pająk...

Chwila, i przeraźliwe brzęczenie rozdarło welon z aromatów kwietnych utkany!

Już trzyma pająk w szponach brzęczyzłotkę chytrą...

A wtedy wyciągnęła się koścista, sztywna ręka...

Ciemna postać rosła, rosła...

I — jak kosa trawę — zmiotła nagle kata i ofiarę.

Hahaha!

Hihihi!
Piekielny skowyt wstrząsł krzewinami.
Zbudzony pies — gdzieś zawył.
I cicho.

Ogniste igły kłują ziemię, aż pęka jej łono spopielone.

Jaśminy wyziewają wonie mdlejące. Róże roztulają purpurą przesiąkłe płatki...

Bezszelestnym jak cień, ukradkowym krokiem — idyotka mknie dalej.

II.

Wiem, napewno wiem...
Myślisz o mnie...
Myślisz i chciałbyś mię czuć blisko, blisko...
W jaki szary zmierzch, mówiłbyś długo, cichuchno o tem, czem byłeś niegdyś, niegdyś, czem jesteś i co ci się śni w niespane noce...
Prawda?

Jakże ci mnie brak!.. jak brak!
I duszy, i serca, i oczu pieszczących twoje oczy...
Wiesz, że my już przeszli i milczenia tajnie najstraszniejsze...
Wiesz, że się go nie lękamy, lecz dążymy poprzez życie ku czarze jego rozkoszy...
I przenika cię żar tęsknoty...
Ja wiem, ja wiem... ja wiem wszystko...

Ile wtenczas w tobie buntu, żalu, że mija to życie, a ty nie mnie kochałeś wtedy!..

Dlaczego to nie ja byłam?..

Dlaczego?.. a dziś — zapóźno, dziś nie pora, nie pora już...

Zapóźno, na to życie, które uchodzi.

Zawcześnie na to, które nadejdzie.

Czekajmy...

Śmierć — ta najbliższa — już blizka.

Czekajmy....

Że mówię ci *ty* — nie dziwisz się, prawda?

Nigdy inaczej cię nie nazywałam, nawet, gdy wątpiłam, żeś mi *tak* bliski...

Chciałabym cię nazywać *ja*, byś w nazwie nawet był mi najbliższy, najszczerszy...

Uśmiechasz się...

Razem jesteśmy, — my przecież jedno... Cóż, że nas morza głów ludzkich dzielą?..

My jedno...

Ironia!..

Słuchaj, czy ty kochając *ją*, tę nieznaną mi *ją*, — naprawdę, naprawdę ją kochałeś?..

Tak, tak — wiem przecież...

Tak być musiało...

Ja musiałam przyjść zapóźno.

Oczy ludzkie otwierają się zawsze zapóźno...

To, co wiemy, wiemy zapóźno...

A ty, a ja — to jedno.

Zapóźno stanęłam ci w oczach, i w marzeniu zapóźno...

Ale przypomnij sobie ten gaj pełny blasku rosy rozsłonecznionej w tęczodrżące klejnoty?

Przypomnij sobie toń wody modrej, i białe progi marmurowe, i wielkie kwiaty o oczach sennie zmrużonych, i nas zapatrzonych w siebie...

Byłeś — niebem.

Ja — byłam ziemią.

Przeniknął duch twój we mnie.

Dałam ci ciało moje i staliśmy się jednym światem.

Ile w tobie ziemi, tyle we mnie bóstwa twego...

Harmonia...

Pradawne to czasy.

Bajka?

A więc bajka.

Była ziemia. Był wiatr.

Wiatr pożądał ziemi.

Ziemię — wstrętem wstrząsał.

Rozkiełznane poszepty żądz szarpały jego spokojność wieczorną...

Sama mi się odda, sama — marzył.

— Ciszo, raju, cudzie, kocham cię, kocham...

Szmerem tchu kolistego otaczał ciało ziemi.,.

Zbliżył ku niej gorące wargi i rozbłysnął jak słońce, najwspanialsze ze wszystkich słońc miłości...

Słuchała Ziemia szeptu, słuchała chciwie, nie wiedząc, czyje to wargi płomieniem ku niej płoną...

Otworzyła oczy mdlejące rozkoszą i nagle — ujrzała nagość swoją...

Zrumienił ją wstyd...

Wstyd nasunął jej srebrzyste włosy, jak świeżo zroszoną ruń, na piersi nagie...

Z oczu padły łzy dziewiczego sromu...

Tysiące fiołków zakwitło, a kolor źrenic jej miały, zapach — jej ciała.

Owinęły ją liliową mgłą blasku swego, i w zieleni włosów, z oczyma rośnemi, Ziemia gorzała nie dla niego. Kochała niebo. Czekała na kochanka swego, czysta w swojej nagości...

Wstyd ją okrył — przed wzrokiem żądzy wiatru...

A jemu szarpnęły żyły drapieżne dłonie pożądania, zburzyły mu krew kłębem wężów zielonej zawiści...

Oddech jego świszczał, dyszał...

Palił spojrzeniem jej delikatną szatę, — włosy jej bladły i szarzały, spopielone piekłem żądzy jego.

Oszalałą wściekłość rozpętał w sobie, patrząc na jej zgrozę, pełną pogardy... — Jak zwierz dziki, rzucił się na bezbronną...

Jak zwierz, opasał ją tysiącem ramion, cisnął w szaleństwie uścisków niepodzielanych...

Kąsał i szarpał jej ciało...

Wysysał oddech z ust omdlałych...

Zdarł w strzępy szatę jej liliową.

Ginótł jej członki.

Wpił się w obłąkane jej oczy tysiącem błyskawic...

W zapamiętaniu uniesień wszechpotęgi rodzaju — runął na jej pierś młodzieńczą rozognionem cielskiem . . .

. . . .

Odszedł...

. . . .

Długo leżała w omdleniu ziemia obumarła...

Nagość jej świeciła wśród mroku światów jak lilia biała, strącona przez huragan...

A gdy rozwarły się bolesne oczy Ziemi, ujrzała swe łono rozdarte hańbą...

W górze — Niebo leżało zimne, zczerniałe...

Umarło.

Widziało zbrodnię i w niemocy rozpacznej — umarło.

Ostatnim wysiłkiem w przedzgonnej już odrętwiałości rzuciło szatę swoją na nieszczęsną Ziemię...

Umarło.

A Ziemia, pod płaszczem kochanka, w bolesnej nędzy i hańbie — zrodziła poczęte w gwałcie — Życie.

Bajka. — A więc bajka...

III.

Zamknijcie usta Ciszy!..
Wyrwijcie jej język gadzinowy!
Uciszcie ją...
Niech zmilknie ta wiedźma ohydna.
Niech się nie pastwi nade mną...
Dość... dość!..
Głowa mi pęka od straszliwych jęków tej straszliwej Ciszy...
Wiję się, zrywam i padam bez tchu...
Aaaa!
Masz!
Masz — tak! Masz!
Sztylet — w samo serce...
Nie, to nie serce, to kamień.
Nie drgnęło nawet pod żarem nadprzyrodzonym rozpalonego bólem żelaza.

Cóż znaczy, prawda, cóż znaczy mój ból, mój krzyk śmiertelnej kaźni?

Dla niej — Ciszy — to szmer opadającego listka róży polnej...

Dla niej — Ciszy — to posiew rosy...

W zapamiętałej, zdrętwiałej bezsile rozpaczy, gwałcisz sama siebie — Ciszo!

Nie słyszysz już nic...

Nic...

Gdybyś usłyszała jeden z tysiąca swych jęków krwawiących, nieszczęsna Ciszo, w łzach litości spłynęłabyś nad sobą.

Ogłuchłaś, Ciszo.

Nieszczęsna Ciszo!

Wszystkie bóle narodzin i śmierci światów — tych, co przeszły — i tych, co się staną — w tobie pieklą się, Ciszo.

Wszystkie je masz pod sercem, pod sercem z głazu.

W konwulsyjnie rozdartych szczękach twoich jeden szatański skowyt i jęk — wiedźmo dusz czuwających...

Litości, nie mogę patrzeć w ciebie, Ciszo ukrzyżowana...

Jad sączą twe wargi...

Jad twój palący kąsa i rozdziera mi piersi omdlałe rozpaczą...

Uciszcie Ciszę!..

Spłyńcie ku niej niewinne uśmiechy dzieci i małych staruszek białych...

Opaszcie jej głowę umęczoną tchnieniem ust miłosnych i miłujących...

Do niej, przeczyste rąbki lilij śnieżnych!..

Do niej spływajcie, łzy rozkoszy!..

Falujcie, ciała piękne i niepokalane...

Wiążcie się, kwietne kopuły aromatów...

Niech spocznie ta wieczna tułaczka...

Niech śpi, śpi — wieki.

Odpocząć, odpocząć — od jej straszliwego ryku, od klęski jej wrzasku.

Litości!..

Zamknijcie usta Ciszy...

Piekło z niej się toczy na Ziemię u nóg jej skuloną...

Zamknijcie te wargi bólem zczerniałe...

Litości!..

. . . .



Marya Zawiejska.

PEAN.

Część duszy świata dał mi Apollo w len, —
Z istotą rzeczy splątał w mistyczny sen,
Na pianę życia rzucił z góry —
W dźwięki fal, w twardą stal, w gór marmury.

I związał mocą dziwną — a pewną tak,
Na tłumy zjawisk w boski wprowadził szlak,
W rozdziale ją połączył znowu —
W świata tło życie szło, dzięki słowu.

Po kres przestrzeni rozwiał ją lotną mgłą,
I łzą bolesną, ruchu pragnącą skrą
Na tętna złożył ją naturze —
I dał czar bożych mar widzieć w chmurze.

Lecz czuł Apollo w duszy wieczności mus,
Jej nieśmiertelność czuł w zmianie form i póz,
Więc część jej oddał wszechistoty:
Niby kwiat padł w nią świat czarno-złoty.

STROFA SAFONY.

Powiedz — czemu płatki róż tracą wonie,
Czemu jesień liśćmi mży ziemię czarną,
Czemu chmurnie tuli mgła dumne skronie
W tęsknię cmentarną?

Czemu dzwoni smutnie tak rozdźwięk duszy
W opalowy, jasny dzień mdłej jesieni?
Iskry, plamy, gamy farb wicher prószy,
Miecie wśród cieni?

Na podłożu błysków, barw — czemuż dusza
Tak uczuwa śmierci sen strojny w złoto,
Klingę noża skrytą w mgle pióropusza,
Rozkosz z tęsknotą?

I dlaczego jaźni dreszcz tak ją trwoży
Zgonem w ciemni, w wichru szum, gdy mży rosa
Ciężkich, brudnych kropel dżdżu śród przestworzy...
— Mów — czarnowłosa!

STORNELLE.

Miłości cicha!
Jakże ten szczęśliw, w czyjem sercu gości
Twój boski powiew, — kto tobą oddycha,
Cicha miłości! —
Z opalowego dajesz pić kielicha
Ekstazy pełne zaziemskiej jasności.

Chuci namiętna!
Gdy orkan gorgon na serce się rzuci,
Krwawe, drgające wypala w niem piętna. —
Namiętna chuci!
Tobą pulsują szaleństw dzikich tętna
Tobie klną ludzie z spokoju wyzuci.

JESIEŃ.

Cicha tęsknota późnej jesieni.

Liście pożółkłe i szeleszczące
Wolno na ziemię spływają drżące — —

Umierającej smętnej królewny
Zgon w purpurowej złota czerwieni —
Zgon cichy, cichy — prosty a rzewny — —

Wśród żółtych płatków, uschniętych liści,
Widać koronkę gałęzi ciemną — —
Z osypujących złoto swe kiści
Morze kolorów leży przede mną —

Jak smutnie szumi pod moją nogą
To zeschłe morze, jak mi się mieni —
I w dal tęczową ściele się drogą,

Na którą zżółkłe, szeleszczące
Liście powoli spływają drżące — —

Cicha tęsknota późnej jesieni.

ZWĄTPIENIE.

Żem wiele wycierpiał, choć krótkie me życie,
Żem z duszą swą w boje szedł wciąż płomieniste,
Żem jest nad przepaścią w bolesnym zachwycie —
Zmiłuj się, Chryste!

Że stoję w zadumie nad dziełem stuleci,
Że zrywam się atom w przestwory gwiaździste,
Że w duszy ciemnościach sto komet mi świeci —
Zlituj się, Chryste!

Żem padał znużony pod prawdy ciężarem,
Żem patrzał nie widząc w kryształy słów czyste,
Żem Ciebie nie odczuł w cierpieniu prastarem —
Zlituj się, Chryste!

Zlej w duszę łask światło na męczeństw Taborze,
Bym w ziemię te blaski słał niebios świetliste,
Daj życie, lub weź je, — lecz całe, o Boże! —
Usłysz mnie, Chryste.

Kazimierz Wroczyński.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Walka o snobów. Gdy świeży powiew europejskiej myśli minie rogatki warszawskie i uzbroi polemistów i dziennikarzy, wszczyna się gwarna i hałaśliwa bitwa przed forum znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, napółsennych poczciwców. Z szańców nowych idei eksplodowały niegdyś jak bomby nazwiska Spencera, Comte'a, Buckle'a, Malthusa, Darwina i Haeckla; hufcem następowały dewotki; a z okopów św. Trójcy grzmiały ciężkie działa obywatelskości, społecznego zdrowia i wszelakich cnót i obowiązków. *Coram indolentia publica* toczyla się dowcipna walka o ideały, ścierali się styliści, parując nawzajem plotkę, fałsz i oszczerstwo. Zwycięzcy *(oba obozy zwyciężają w takich razach równocześnie)* zwycięzcy składają broń wtedy dopiero, gdy *indolentia publica* znuży się walką, gdy w arsenale zbraknie bomb, gdy zatrute strzały dziennikarskie obezwładnią lub zniechęcą tych, co w gwar bitwy nieśli z dobrą wiarą rzetelną wiedzę i prawdziwy talent. Filozofia, nauki społeczne, a przedewszystkiem wiedza przyrodnicza, wywiązawszy się znakomicie z roli publicystycznej tarczy i oręża, zakończyłyby pełny chwały żywot swój u nas, gdyby nie rozpaczliwe wysiłki garstki nieznanych ogółowi specyalistów, którzy poprzez hałaśliwą lecz jałową epokę walki, sięgnęli wstecz i próbowali nawiązać zerwane w początkach wieku nici. Bo w gwarze walki zapomniano bodaj i o tem, że przed tak niedawnemi stosunkowo czasy żyliśmy, jak każdy naród oświecony, nauką i sztuką równocześnie. Dziś wydaje się ludziom, że mała garstka tych, co swe życie sztuce poświęcili, — zgnębić pragnie naukę! — Publiczność, rozochocona widowiskiem walki, nudzi się w czasach spokoju, wyrzeka na oportunizm zapaśników, na brak zapalnych podniet, czyli wielkich haseł, na bankructwo ideałów i nauki; pragnie polemiki bodajby kosztem myśli, łaknie

dziennikarskich *circenses,* grożąc w przeciwnym razie gnuśnem i tępem zobojętnieniem na wszelkie objawy duchowego życia.

To „zdziennikarzenie“ społeczeństwa pragnie z kolei wprowadzić i nas na arenę. Już się snoby po amfiteatrach roją, już sobie obiecują widowisko, już gotowi klaskać, gwizdać, szczuć jednych przeciwko drugim.

Tym razem zawiodą się gorzko. Stokroć ważniejszą niźli wszelkie polemiki, wydaje nam się konieczność rozjaśnienia atmosfery wokół siebie, rozejrzenia się wśród naszych przyjaciół, oraz tych, co za nich uchodzić pragną.

Po smutnym typie *struggle-lifera,* któremu było wygodnie z teoryą walki o byt, z Darwinem i Malthusem, z patosem hasła „pracy u podstaw,“ — zjawił się oto typ nowy.

Artysta symulant, ten obrotny rzemieślnik, żądny popularności, a chciwy użycia — to najweselsze dziecko owej sztuki, dla której geniuszem jest lekkonogi Hermes, muzą — Venus vulgivaga, wyrocznią — dzień dzisiejszy. Kto nie zna tych zwinnych, skrzętnych, na wszystkie strony zezujących i wszędzie szukających sympatyi — artystów? Nadewszystko skrzętnych? Kto nie zna tych, co mają przyjaciół przy każdej rogatce, protektorów w każdej sferze towarzyskiej, w każdym piśmie swych życzliwych, swoje warszawianki w każdym salonie, i na każdej ulicy co najmniej jedną alkowę z wielbicielką talentu? Panowie ci bywają zawsze kwintesencyą czasu, o ile atmosferę jego wchłonąć można na ulicy i w salonach; są ekstraktem nowych prądów, o ile wwionie je do uszu gazeta lub moda. Są tak doskonale „w stylu...“ tak znakomicie „*à la...*“ że służą recenzentom za freblowskie wprost pokazy w ich prelekcyach o sztuce. Dzieje się to dla bardzo zrozumiałego powodu: szerokie koła wolą od nowej myśli i indywidualnych usiłowań, zmuszających bądź co bądź do zastanowienia, — ich karykaturę, dającą miłe poczucie wyższości i pozwalającą przy tanim nakładzie wiedzy i inteligencyi odnosić łatwe zwycięztwa, lub, co dziwniejsza, z tąż karykaturą jako z rzeczą bądź co bądź przystępniejszą zawierać ugodowe pakty. Przypuszczalny chorąży „nowego kierunku“ pokonywa tymczasem snobów, którzy codziennemi pogromami wszak żyją i żyć pragną, i z tą armią ciągnie na sceptyków, którzy jako nieobecni mogą być uważani za pokonanych. Wreszcie czeka go główna batalia z filistrem. Czyjś indywidualny motyw, przetransponowany na jaskrawy i kompromisowy efekt, stacza walkę z całkowitą indolencyą: zwycięża oczywiście efekt. — I tak oto po bezkrwawej wojnie tryumfuje —

„kierunek.“ Oczywiście kierunek! — artysta symulant zawsze walczy w imię nowego kierunku, w imię „stylu...“, na chwałę „*à la*...“ ponieważ *on* sam nic nie przedstawia, ponieważ *w sobie* niema nietylko nic takiego, coby zwyciężać potrzebowało i mogło, lecz nawet nic, z czemby walczyć było można.

Takimi są popularni chorążowie secesyi i modernizmu, równie secesyjni jak dekoracye modnych kawiarni, równie modernistyczni jak okładki na książkach nowych firm wydawniczych, równie przystępni jak wszystkie płaskości repertuaru nadsceny, rownie popularni jak proklamowana i w zaczątkach już będąca *Localkunst*, równie niezmordowani jak pp. Bierbaum, Wolzogen i inni „pstrych teatrów inicyatorzy.“

„Trzeba z żywymi naprzód iść!“ — słychać wokół artysty symulanta. Złośliwe echo powtarza niesmacznym akcentem przezorne: „Naprzód z młodymi trzeba iść!“

Gdy ze wszystkich barwnych kwiatów puszek efektu został zebrany, nektar popularnych sensacyj doszczętnie wypity, nawraca się artysta: w wehikule, który go niósł, niema już nic do roboty. Z rozmachem życiowca skacze we wprost przeciwną stronę, w skutek czego, siłą bezwładu, runąć musi nieraz na ziemię. Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, prawdopodobnie dla tego, że ustawicznie uganiając się za cudzemi cieniami, nakrył wreszcie swój własny.

Jest i drugi typ artysty symulanta, daleki od bezpośrednich widoków praktycznych, a więc znacznie sympatyczniejszy; — człowiek temperamentu i życiowej energii. Wywiązuje się bardzo poprawnie ze swych robótek, jest przytem pełen zapału i ognia w sprawach tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki, podnosi tyle wrzawy, gwaru i kurzu wokół siebie, że gotów sprawić wrażenie człowieka, który rozpaczliwie czegoś szuka. Dziś go porywa głębia da Vinciego, jutro zwycięża potęga Michała Anioła; zrana jest spokojnym, jasnym i krzepkim grekiem, po obiedzie przeczulonym i łagodnie zmysłowym prerafaelitą, po kolacyi błąka mu się po głowie Fragonard, po winie Rops, po likierach Przybyszewski, a po tak spędzonym wieczorze wśród bezsennej nocy trapią go wizye Goyi. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z jego pracą, — temperament artysty wyładował się doszczętnie w słowach, sprzeczkach, krytykach i projektach: dzieła zostają po staremu bardzo poprawną, bezosobową robotą, bez śladu dążeń w jakimbądź kierunku, bez najlżejszych prób pogłębienia swej pracy uczuciem i myślą. Da Vinci

z Fragonardem, Michał Anioł z Ropsem, prerafaelici z Goyą, Helleni z Przybyszewskim poszli spać; indywidualność, o której się z takim łoskotem rozprawiało, wytarła się w słowach, postrzępiła w sprzeczkach, rozwiała w krytykach; do pracy niestarczyło jej wcale.

Jest to artysta czy filozof wypowiadający się jak Sokrates — przy winie wyłącznie; typ twórcy — pofajerantowego.

Jest to tragedya filistra rewolucyonisty, o ile dla filistra bywają tragedye, i o ile rewolucyonista przyzna się bodaj przed samym sobą do filisterstwa. Jakkolwiekbądź, na tej drodze dochodzi filister najłatwiej do symulacyi, zaczyna się sobie podobać w groźnej roli rewolucyonisty, lubi być czerwieńszym od swego sztandaru, bywa *plus Tartarin que Tartarin de Tarascon.*

I to są także heroldzi secesyi wraz z modernizmem, równie secesyjni jak miejscowi gaduli o sztuce, równie modernistyczni jak były „Strumień“ (z nielicznemi wyjątkami co do treści i współpracowników) i jak wszyscy debiutanci dramatyczni (ci w czambuł należą do krańcowych modernistów, prawdopodobnie z racyi kontrastu do archaizmu naszego repertuaru), równie popularni i wytrwali bojownicy jak pan Bahr w Wiedniu, jak pani Laura Marholm na północy, jak podobni tym francuzi, czy holendrzy, czy skandynawi.

I ci się nawracają siłą tej konieczności, z jaką człowiek na swej wewnętrznej, najistotniejszej prawdzie w życiu skończyć musi. Ten rozłam upodobań z przyrodzonemi skłonnościami, sam przez się nielogiczny, długo trwać nie może; niepodobna w atłasowych pantofelkach Pierrota czy Kolumbiny pląsać lekko przez całe życie wokół tych ciernistych ścieżek sztuki, na których inni bose nogi krwawią. — I oni się nawrócą, to jest, właściwie pozostaną tem, czem byli, tylko w miarę jak młodość i temperament opuszczać ich zaczną, opadnie i ten zapał do spraw tyczących kierunków, celów i ideałów sztuki. Celem ich i ideałem stanie się oczywiście to, co przy wrodzonych skłonnościach osobiście osiągniętem być może, na wszystko inne zaczną spozierać z tak bardzo zrozumiałym i tak łatwo nawet wybaczalnym wówczas sceptycyzmem.

Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, ponieważ kręcąc się zupełnie zbytecznie na miejscu, na temże miejscu, na którem stał od dawna, położył się wreszcie spać — na laurach oczywiście. Te były już oddawna gotowe.

Jest wreszcie cała falanga symulujących, po salonach, rautach i buduarach, już nie artyzm, lecz zamiłowanie do niego, ta pospolita rzesza estetyków symulantów, głęboko przekonanych, że muzy ze

szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym, wykwintnym na zewnątrz. Są nawet kobiety, co na ten tonik artyzmu nastroiły swe nerwy seksualne. O nich mówićby wprost nie warto, gdyby nie dziwny objaw zawiści, jaki wywołują w pewnych sferach ci nasi na razie (niestety!) zwolennicy. „Nastały czasy na kwiaty, społeczeństwo rzuciło się ku estetyce“ (?!). Tych zwolenników odstąpić gotowiśmy każdemu, co się po nich jawnie i bez wstydu zgłosi. Będziemy najszczęśliwsi, kiedy nastaną dla nich mody i czasy na inne nowinki. Tem łatwiej porozumiemy się z tymi, do których jedynie zwracać się pragniemy.

Tak więc, przyjaciele nasi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte jak secesya i modernizm. Połączyć nas może tylko sztuka, — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i haseł, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, sztuka poczynająca się nie z prądów dzisiejszego dnia, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgająca w głąb jej duszy po indywidualne źródła poezyi i artyzmu, sztuka dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadająca się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i ocenić wzajemnie. A na to nie trzeba koniecznie za ręce się trzymać, niekoniecznie trzeba się skupiać w jednym salonie czy w jednem czasopismie. Po przez dalekie kraje i obce mowy, po przez drobiazg osobistych niechęci, wbrew drażnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym, tacy ludzie poznają się i oceniają wzajemnie. Lecz jeśli gdzieś w głuchym zakątku zapragnie mała garstka swe najskromniejsze bodajby, lecz rzetelnie podjęte usiłowania zanieść pod ten wieczny znicz sztuki, jeśli na samym początku, przy pierwszych krokach spotka się z gniewnym pomrukiem sąsiadów lub arcywymownem ich milczeniem, jeśli z pomruków tych czy niemoty wyłaniać się poczną po kątach ciche zaklęcia, że zniszczy się te usiłowania, jeśli się sąsiedzi gdzieś po kątach zaroją, denuncyując sobie wzajemnie na ucho, że oto są ci, co wnoszą rozkład obyczajowy w smutek naszego życia, wówczas ta garstka podać sobie musi na chwilę ręce, lecz na to tylko, by w gnuśnej atmosferze czcigodnej obłudy i szlachetnego fałszu wywalczyć prawa jednostce, jednostce twórczej.

Nicht zum Guten, nicht vom Bösen
Wollen wir die Welt erlösen,

Nur zum Willen, der da schafft —
Dichterkraft ist Gotteskraft!

Po za tem, życie płynie bądź co bądź i u nas szerokiem korytem, niosąc i inne zagadnienia, na które każdy zosobna rozmaicie zapatrywać się może. Lecz wszystkich tych, którzy w rzeczach twórczości cośkolwiek mają wspólnego, łączy wiara, że na owym zniczu sztuki płoną trwalsze od miejsca, czasu i sąsiedzkich zapatrywań, niezależne, najistotniejsze i wieczne pierwiastki życia.

Tredecim.

SZTUKI PLASTYCZNE.

W ostatnich 8 — 10 miesiącach, ruch w dziedzinie sztuk plastycznych wzmógł się u nas imponująco. Wprawdzie do głoszonego (i opłakiwanego rzewnie) przez prasę „rozestetyzowania całego społeczeństwa" bardzo jeszcze daleko, wprawdzie zajadła reakcya różnych „nierozumiejących" elementów doby wczorajszej harcuje właśnie w najlepsze, w parze z godnie jej odpowiadającym snobizmem bezmyślnym, wprawdzie wiele najpiękniejszych zapoczątkowań znajduje się dopiero w stadyum próby, dążenia, wysiłku, i udaremnia się niejednokrotnie lub deformuje pod nieprzyjaznemi wpływami, — ale, bądź co bądź, zatęchłą atmosferę artystyczną przebiegło świeże, ożywcze jakieś tchnienie, a śród całego szeregu dobrowróżbnych objawów są i takie, którym epokowe wprost znaczenie z góry przypisać można. W rzędzie tych ostatnich zwrócić dzisiaj chcemy uwagę na dwa fakta z zakresu szkolnictwa artystycznego: ministeryum Najwyższego Dworu zezwoliło na otwarcie projektowanej w Warszawie szkoły sztuk pięknych, a jednocześnie prawie reforma t. zw. średnich zakładów naukowych, ze względu na niezmierną doniosłość wychowawczą rysunków, uczyniła je przedmiotem obowiązkowym i, co ważniejsza, uznała za konieczne, aby nauczycieli tego przedmiotu rekrutować wyłącznie z osób posiadających należyte wykształcenie artystyczne. Ogromnego znaczenia miejscowej szkoły sztuk pięknych niepotrzeba prawie objaśniać. Daje ona możność kształcenia się pod swojem niebem, śród swojej przyrody, i pozwala adeptom sztuki łatwiej „pozostać sobą," aniżeli podczas studyów śród zupełnie obcego otoczenia. Usuwa potrzebę zbyt wczesnych wyjazdów za granicę, co zwykle prowadzi olśnionych znajdowaną tam brawurową techniką wędrowców do niewolniczych naśladownictw. Skupia wreszcie na

miejscu grono ludzi (zarówno profesorów i uczniów) oddanych tylko sztuce, klnących się tylko na sztukę, mówiących i myślących tylko o sztuce, i wytwarza przez to istotną, od obcych przymieszek wolną atmosferę artystyczną, która pomału oddziaływa na całe społeczeństwo, uszlachetnia jego wrażliwość, krępuje zbyt „swobodne“ sądy i wprowadza w traktowanie kwestyj, spraw i dzieł sztuki należną powagę. Dzieje się to wszakże tylko wtedy, gdy szkoła jest szkołą, nie zaś siedzibą takich czy innych doktryn. Chodzi zatem tylko o jedno, aby założyciele szkoły i wogóle członkowie komitetu mającego obierać kandydatów na kierowników artystycznych nie uważali tej chwili za odpowiednią do ujawniania jakichś anti-nowo-kierunkowych tendencyj, lub do propagowania czy to sentymentalnej czy też sformułowanej przez pewnego krytyka „gnojówkowej“ swojszczyzny. Szkoła nie zna żadnych kierunków, zna tylko zdolność lub niezdolność, a dobrym nauczycielem jest jedynie ten, co, pomijając wszelkie -izmy, najskuteczniej pomaga uczniowi do odnalezienia *siebie samego*, swojej najgłębszej istoty, do widzenia po swojemu i po swojemu wcielania tej wizyi. — Artystycznie prowadzona nauka rysunków w t. zw. średnich zakładach naukowych niemniejszej jest wagi. Ma ona na celu nie wychowanie artystów, lecz wyrabianie śród ogółu zdolności do odczuwania sztuki i piękna. Powszechny dzisiaj brak smaku, oraz wybitna gruboskórność estetyczna mas, nawet inteligentnych, są niewątpliwym rezultatem zupełnego w ciągu ostatnich lat 50-ciu zaniedbania tej strony w wychowaniu. Smak i wrażliwość na piękno są w części tylko darem natury, w drugiej zaś, może znaczniejszej, owocem należytego pielęgnowania zadatków wrodzonych. Kultura odpowiednia rozwija je wspaniale; bez kształcenia zaniknąć mogą zupełnie. W krajach niektórych, np. we Włoszech, poczucie estetyczne wyrabia się mimowiednie, pod wpływem otoczenia, niezwykle harmonijnej przyrody i co chwila rzucających się w oczy zabytków wielkiej sztuki. Gdzie tego brak,—tem większy kłaść trzeba nacisk na świadome i celowe wychowanie estetyczne, i to od lat możebnie najmłodszych, póki wszystko żywiej i łatwiej „drugą naturą“ się staje. To tylko, to jedynie może powstrzymać szerzącą się zarazę snobizmu, położyć kres pysze gruboskórców estetycznych, chlubiących się niejednokrotnie swym analfabetyzmem w tym kierunku, i zwiększyć poczet, zbyt dzisiaj nielicznych i wyosobnionych, szczerych, istotnych, gorących miłośników sztuki. — Oba te fakta: powstanie specyalnej szkoły sztuk pięknych i zwrócenie uwagi w szkołach średnich na kulturę estetyczną, są właściwie posiewem na przyszłość, którego znaczenie kiedyś dopiero w całej pełni da się ocenić. Dzisiaj już

wszakże, przed ostatecznem urzeczywistnieniem i plonowaniem, mają one wagę jako dowód zbudzenia się pewnych drzemiących do niedawna potrzeb i pragnień, które zaspokoić było ich celem. Zwłaszcza zaś założenie szkoły sztuk pięknych, jako rezultat inicyatywy i ofiarności prywatnej, wprowadza nas, przez tę mecenasowską cechę swoją, w dziedzinę objawów rosnącego zainteresowania sztuką śród osób poza sztuką stojących. Zainteresowanie to najrozmaitsze przybierać może postacie: kolekcyonerstwa dzieł sztuki, pomagania kształcącym się artystom, wielkich realizacyj artystycznych, opieki nad zabytkami sztuki dawnej, dążeń wreszcie do uartystycznienia nawet przedmiotów codziennego użytku. We wszystkich tych formach i rodzajach doba ostatnia godne najbaczniejszej uwagi przyniosła zjawiska — i niemi to, oraz ożywieniem niezwykłem śród artystów i w instytucyach sztuce poświęconych, zajmiemy się w przeglądzie następnym.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Stanisław Barącz. *Impresye.* Księgarnia Polska. Lwów.— A. O. *Stare Miasto. Obrazki z niedawnych lat.* J. Fiszer. Kraków.—Leopold Staff. *Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie.* Księgarnia Polska. Lwów. — Józef Sladek. *Urywki poetyczne.* Przekład Konrada Zaleskiego. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Jan Augustynowicz. *Pociągnięcia pędzlem.* Gebethner i Wolff. Warszawa. — René Bazin. *Rodzina Oberlé.* 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Wanda Grot-Bęczkowska. *W szponach.* Gebethner i Wolff. Warszawa.—G. Daniłowski. *Z minionych dni.* Gebethner i Wolff. Warszawa.—Sewer. *Wybór pism. Jedna noc w Londynie. Pan Piotr.* Nakład „Wędrowca." Warszawa. — Sewer. *Wybór pism. Głodowa pożyczka. Pozytywizm w praktyce. Nice.* Nakład „Wędrowca." Warszawa.

TEATR. — J. Łuszczewski. *Janusz Korczak.* Dramat w 3 aktach. Friedlein. Kraków. — Maurice Maeterlinck. *Théâtre.* 1-er vol.: *La princesse Maleine. L'intruse. Les aveugles.* 3-me vol.: *Aglavaine et Selysette. Ariane et Barbe-Bleu. Soeur Béatrice.* P. Lacomblez éditeur. Bruxelles.—Jan Zakrzewski. *Ananke.* Dramat liryczny. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — Antoni Jasieńczyk Jabłoński. *Przodownica sztuk plastycznych. Studyum.* Skł. gł. u Wendego. Warszawa.—Ignacy Matuszewski. *Słowacki i nowa sztuka. Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej.* Gebethner i Wolff. Warszawa.—Jerzy Żuławski. *Prolegomena. Uwagi i szkice.* Towarzystwo wydawnicze. Lwów.

HISTORYA. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło.* Część III i IV. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — Aleksander Wybranowski. *Ongi w dworach i dworkach szlacheckich.* Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbarz Polski.* Część I. Tom IV, zesz. 3-ci. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Emil Boutroux. *Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii spółczesnej.* Przełożył Wł. Spasowski. Przedmowa Ad. Mahrburga. Nakł. E. Wendego i S-ki. Warszawa. — Jan Mazurkiewicz. *Andrzej Towiański. Studyum psychologiczne.* Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

PODRÓŻE. — Jan Grzegorzewski. *Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży.* Towarzystwo Wydawnicze. Lwów.

ANTOLOGIE. — Julius Zeyer. *Myszlenky.* Se spisu basnikovych vybrala Marie Kalaszova. Nakl. F. Szimaczka. Praha.

VARIA. — Klebs, Lepsius, Meynert, Bouchard, Weigert. *Zagadnienia z medycyny i nauk przyrodniczych. Pięć odczytów* zebrał i spolszczył Dr. W. D. Moraczewski. Lwów. H. Altenberg. — Pierre Leroy-Beaulieu. *Nowe społeczeństwa anglo - saksońskie.* Tłómaczył Klemens Podwysocki. 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Stanisław Piotrowski. *Wspólna własność ziemska w gminie wielkorosyjskiej. Studyum ekonomiczno - społeczne.* Nakł. księg. E. Wende i S-ka. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Novembre, décembre, 1901. — Fr. de Miomandre: *Remy de Gourmont.* — A. Rivoire: *Caresses.* — M. Gorki: *les Fermoirs d'argent.* — E. Dujardin: *Petits poèmes d'autrefois.* — L. Bloy: *Exégèse des lieux-communs.* — V. Josz: *le Giron d'Antoine Watteau.* — L. Delarue-Mardrus: *Visions.* — Rachilde: *Leur Viau.* — M. A. Leblond: *Leconte de Lisle 1870 — 1871, la fin de sa vie.* — G. Danville: *l'Amour magicien.* — A. Beaunier: *Francis Vielé - Griffin.* — Em. Verhaeren: *l'Art.* — H. de Régnier: *l'Amour et le plaisir, histoire galante.* — Stuart Merrill: *Trois poèmes du crépuscule.* — Dr. A. Prieur: *La science et le théâtre.* — Ch. Guérin: *les Nymphes de la Forêt.* — R. de Bury: *l'Almanach des Muses pendant la Révolution.* — L. Dumur: *Un coco de génie.* — Revue du mois.

MODERNI REVUE. (Praha). Rzijen, listopad, prosinec 1901. — W. G. van Nouhuys: *Egidius a cizinec.* — Milosz Marten: *Mimo dobro a zlo.* — Remy de Gourmont: *Moralka lasky.* — Arthur Machen: *Velky Buh Pan.* — J. K. Huysmans: *Obluda v umieni.* — J. Hilbert, St. Neumann, J. Holy, Viktor Dyk, Karel Toman, Ot. Brzezina: *Basnie.* — J. Holy, V. Dyk, K. Srdce, O. J. Bierbaum: *Satyricon.* — *Miesiczni hlidka.* – *Kronika.* — *Nove publikace.* — J. Aarts, J. Szir, H. Steiner, Steinlen: *Kresby a litografie.*

THE OUTLOOK. (London). № 193—204. 1901. — *Stylists in Paint.* — *The revival in english classics.* — *Mr. Kipling at Kamakura.* — *Robert Louis Stevenson.* — *The lotus eater.* — *The successor of Tennyson.* — *260 „Novels of the year."* — *„Patti, Patti."* — *The two Shakespeares.* — *Constable the modern.* — *Midnight music.* — *Verses. Short stories. Reviews. Literary Gossip. A first glance of new books.*

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Rok IV, zeszyt 4. 1901. — Prof. Dr H. Struve, Ks. prof. I. Radziszewski, prof. dr. M. Straszewski, dr. W. M. Kozłowski, dr. J. Kodisowa, dr. W. Heinrich: *Co to jest filozofia.* — *Książki nadesłane* (bibliografia).

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma). Ottobre, novembre, dicembre 1901. — L. Zuccoli: *Agli amici del grigio, Uomini e fatti della vita italiana.* — D. Angeli: *Enrico Coleman, Onorato Carlandi.* — I. M. Palmarini: *l'Arte di Giotto.* — R. Pantini: *I problemi della via.* — J. L. Pagano; *Jacinto Verdaguer, Angel Guimerd, Letteratura ispano - americana.* — E. Sansot - Orland: *Jean Moréas.* — L. d'Ambra: *Il nuovo libro di Octave Mirbeau, Il nuovo romanzo di Paolo Bourget.* — R. Forster: *Molto strepito per... qualche cosa, Nouvelles conversations avec Eckermann.* — Jolanda: *Il vincitore.* — P. Hortala: *Il regionalismo in Francia.* — C. Le-

vi: *Cronaca drammatica.* — V. Pica: *Aubrey Beardsley.* — A. A. Bernardy: *Aurea consurgens Roma.* — R. de Gourmont: *Due libri d'amore.* — L. Capuana: *Forze occulte.* — Cistiakov: *Caccia al lupo nella steppa.* — G. Natali: *la Critica del Leopardi.* — F. Sirola: *Rassegna tedesca.* — E. Corradini: *Del teatro stabile e dei comici.* — A. Beltramelli: *Giovanni Pascoli.* — G. Gerola: *Candia all' epoca veneziana.* — A. Mori: *Charis e Marmar.* — Evelyn: *Studi critici di Ouida.* — O. Giglioli: *Kate Greenaway.* — E. A. Masino: *Carmine.* — G. Eekhoud: *Rassegna belga.* — G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini.* — U. Ojetti: *Morale vecchia e giornalisti nuovi.* — Sem Benelli: *La „Francesca" di G. d'Annunzio.* — R. Lothar: *Teatro tedesco.* — *Appunti bibliografici. Notiziario generale.*

THE REVIEW OF REVIEWS. (London). Sept., oct., nov., dec. 1901. — *„The eternal city."* — *A Rabbi at Oberammergau.* — *The future of the english language.* — *The latest Kipling.* — *An unpublished poem by Robert Burns.* — *Robert Louis Stevenson's life.* — *Rudyard Kipling's „Kim."* — *The voyage of Ithobal.* — *The revival of phrenology.* — *Mr. Henley on „Lewis" Stevenson.* — *The romance of art and poverty.* — *„Anticipations" by Mr. H. G. Wells.* — *Art in the Magazines.*

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Novembre, décembre 1901. — E. des Essarts: *Hellénisme.* — H. Mazel: *Les trois rois.* — G. Vanor: *Sur Henri Heine.* — M. Legrand: *Poèmes d'Henri Heine.* — P. Stapfer: *Le bien et le beau.* — J. Bonnefon: *Solidarité intellectuelle.* — *Bibliographie. Illustrations.*

REVUE FRANCO-ITALIENNE ET DU MONDE LATIN. (Naples). Décembre 1901. — *Une lettre de Théopile Braga.* — E. Gorra: *François Villon.* — J. P. Guerrero: *España contemporanea.* — P. Gourmand: *L'union panlatine.* — X. da Cunha: *Lux aurea.* — A. Ferrer: *Domenico Morelli.* — G. Potée: *L'espoir.* — Gr... aeculus: *Littératures latines modernes.* — *Portugal et Brésil.* — P. Durel: *Nonce Casanova.* — R. B. Binda: *Svolazza.* — Ph. Lebesgue: *Le poète Lambros Porphyras.* — L. Porphyras: *Les navires.* — *Chronique des lettres latines* (Italie, France). *Dans les revues.*

SRDCE. (Żamberk). Rzijen. 1901. — J. z Wojkowicz: *Veczerni piseń.* — Ot. Theer: *Karla.* — J. Opolsky: *Na pouszti.* — M. Marten: *O otazce czeskeho romanu.* — A. Venig: *Impromptu.* — O. Zenith: *Milenka.* — J. Namiestek: *Budhovy sochy.* — Em. szl. z Leszehradu: *Naszi moderni kritikove.* — K. Bożek: *Zbyteczny żivot.* — K. R.: *Proti t. zv. krvavym romanum.* — *Kritika.* — *Literatura.* — *Divadlo.* — *Morava. Slezsko. Slovensko* — *Drobne zpravy.* — *Bibliografie spolupracovniku Srdce.*

SLOVANSKY PRZEHLED. (Praha). Rzijen, listopad, prosinec 1901. — Fr. Kvapil: *Z nove poesie polske: Antoni Lange.* — P. Maternova: *Z nove poesie ruske. N. M. Minskij. D. S. Mereżkovskij.* — M. Zdziechowski: *Ivan Mażuranicz jako lyrik.* — Szt. Radić. *Nejdokonalejszi przedstavitel slovanske myszlenky (Jirzi Krizanić.)* — Ig. Horzica, Rom. Zawiliński: *Ke sporu czesko-polskemu v Tieszinsku.* — J. Polivka: *Ke sporu czesko-polskemu v Tieszinsku.* — *Dopisy:* z Petrohradu, z Poznanie, z Krakova, z Chorvatska, z Bulharska, ze Slovenska, z Lużice, z Londyna, z haliczske Rusi, z Korutan, z Krajiny. — *Rozhledy a zpravy:* Slovane severozapadni, Slovane vychodni, Jihoslovane. — *Posudky a oznamy.* — *Vyobrazeni.*

THE SPECTATOR. (London). № 3827 — 3835. 1901. — *Stevenson's personnality.* — *Mr. Munby's Poems.* — *Miss Benson's Animal Stories.* — *Superstitions of the Scottish Highlands.* — *The Annals of literary Judgment.* — *Dreams and their Meanings.* — *Modern Mexico.* — *The last of the old Impressarios.*—Current literature. — Publications of the week.

TYGODNIK ILLUSTROWANY. (Warszawa). №№ 42—52. 1901. — W. Sieroszewski: *Jang-Hun-Tsy.* — Sewer: *W lesie.* — Wł. Bełza, K. Gliński, W. Gomulicki, Adam

M-ski, Orkan, Or-Ot, Selim: *Poezye.* — W. Trojanowski: *Wykształcenie artystów.* — Ign. Matuszewski: *Krytyka koleżeńska i zawodowa.* — *Kroniki. Sprawozdania. Ryciny.*

WISŁA. (Warszawa). Wrzesień, październik 1901. — Wł. Olechnowicz: *Rasy Europy.* — St. Sawicka: *Opis wesela w Biedrzychowie.* — Prof. J. Kral: *Najnowsze kierunki badań mitologicznych.* — St. Zdziarski: *Skarby tatrzańskie.* — Wuk Stefan Karadzicz: *Pieśni serbskie.* — Z. Weyberg: *Muzeum tatrzańskie im. Chałubińskiego.* — *Poszukiwania.* — *Przegląd czasopism.* — *Drobiazgi ludoznawcze. Różne wiadomości. Bibliografia.*

ZVON. (Praha.) 1901. Rzijen — prosinec. Seszity 1-7. — A. Jirasek: *U nás.* G Preissova: *Podjezernicke sny.* — K. Leger: *Trzi szvadlenky.* — Zikm. Winter: *Amnestie na chvilku.* — Fr. X. Svoboda: *Povidka o lehkem srdci.* — J. Chalupecky: *Hudba barev.* — J. Korzensky: *Hostem u czeskeho krajana ve Vladivostoku.* — K. V. Hajek: *Dobry czloviek.* — M. Jahn: *Bolest.* — V. Hugo: *Z knihy: Post-scriptum de ma vie.* — J. Borecky, S. Bouszka, A. Breska, K. Czervinka, C. Duszek, X. Dvorzak, I. Geisslova, A. Heyduk, B. Jarovec, R. Jesenska, B. Kaminsky, A. Klaszter-sky, H. Pilbauerova, F. S. Prochazka, K. Rasver, M. Silen, A. Szkampa, J. Vetterovsky, J. Vrchlicky: *Basnie.* — *Literatura. Divadlo. Hudba. Vytvarne umieni. Tyden.*

VARIA.

„Stara, barbarzyńska Japonia...“ — Warszawa pomściła Europę. Niech znają naszych! — „Uroczy“ kraj „wschodzącego słońca“ długo tonął w barbarzyństwie. Wielki przewrót w drugiej połowie ubiegłego wieku dał mu demokracyę, militaryzm, dążności zdobywcze — i wogóle smak do wszelakich słodyczy „cywilizacyi“ europejskiej. Maluczko, a Japonia zeuropeizuje się nawet w sztuce, będzie miała w malarstwie swoich Bouguereau, w dramacie swoich Sardou, Sudermannów i Hauptmannów. I któż wtedy nie nazwie braćmi tych kosookich? — Cóż, kiedy — właśnie w chwili gdy oni rozwijają się tak pięknie — w Europie naszej „znajdują się usłużni“ (jacyś Goncourt'owie, Duret'owie, Gonse'owie i nawet, o zgrozo, poważni, akademiczni Larroumet'owie) i poczynają „na olbrzymich trąbach reklamy“ grać na cześć minionej, barbarzyńskiej epoki Nipponu, wysławiać, naprzód, te pstre papierki, które zwycięzko niby współzawodniczą z naszemi wielkiemi płótnami w świecących ramach, a potem rozpływać się w „czułostkowych zachwytach“ nad „karykaturalnemi, kuglarskiemi jasełkami“ teatru japońskiego. Naturalnie, do tych blagierów i reklamiarzy paryzkich przyłącza się zaraz „garstka przesyconych kulturą i tęskniących za barbarzyństwem naiwnem modernistów“ (których nazwisk znający ich dziennikarz za żadną cenę nie wyjawi), zaczynają po wszystkich krajach brzmieć peany i dytyramby na cześć Sady-Yakko, Kawakamiego, „Kesy,“ „Gejszy i Samuraja,“ u nas nawet zjawia

się pan (i to nie modernista, owszem bardzo miły i *tout-à-fait mangeable* wróg metafizyk), który uparcie powtarza: „*ja* kocham i wielbię japończyków; czy wiecie, że JA kocham i wielbię MOICH braci japończyków?" — i biedna Europa, lękając się, by jej nie nazwano „mamuciną" lub „mydlarką," daje się porwać tym głosom, a choć pocichu wzdycha do „bardziej wzruszających" Sudermannów i Hauptmannów, głośno nie śmie zaprotestować przeciwko „kultowi egzotycznego barbarzyństwa." Sada-Yakko, po tryumfach paryzkich, zjeżdża do Wiednia, który, marząc nieustannie choć nadaremnie o rywalizacyi z nadsekwańską stolicą (Naa, sagen sie mal, was ist Louvre im Vergleiche mit unseren Museen?), pragnie opornie się postawić tamtejszej „bladze." Jakże nieśmiało jednak, jak tchórzliwie odzywa się p. Max Burckhard: „Es ist ausserordentlich schwer, über den wirklichen Wert des Gebotenen ein Urtheil abzugeben. Ein Werturtheil kann nur auf Vergleichung beruhen, wir können aber nur mit dem vergleichen, was wir kennen, und dieses ist wieder *nicht* der Masstab für eine fremde in sich abgeschlossene Kunst." — U nas inaczej, my mamy odwagę, my czapkami zarzucać umiemy. Co nas obchodzi, czy znamy coś, czy nie znamy? Toć mamy „zdrowy rozsądek," toć mamy smak wyrobiony na Rostandach i Sudermannach, toć umiemy greków nawet adaptować i modernizować. Toć, zresztą, tak dawno już odkrył sekret Jagodyński: „Zkąd exystymacyi ludzie nabywają? Kto śmiele trzyma, śmiele też o tym trzymają." Orzekli tedy „śmiele" wpływowi krytycy warszawscy: że repertuar teatru japońskiego składa się z samych „szopek," będących jakąś parodyą teatru, dobrych do areny cyrkowej lub na zabawkę dla dzieci, ale dla smakosza nie wytrzymujących porównania... z operetkami angielskiemi; że gra japończyków — z wyjątkiem scen konania, zresztą także pozbawionych „tchnienia poezyi, owej mgły leciutkiej, łagodzącej potworność strasznego momentu" — jest wprost „karykaturalna i groteskowa," że w „syczącej" mowie japońskiej niepodobna wyrazić „ani uczuć żadnych, ani uniesień, ani pieszczot," że mimika aktorów japońskich polega wyłącznie na chorobliwych drgawkach i akrobatycznych podrzutach; że słynny taniec Sady-Yakko, przyodzianej nie w lube króciuchne muśliny i trykoty, lecz w draperyjne, powłóczyste szaty, nie daje, skutkiem tych licznych zwojów i fałdów, miłego widowiska „wdzięcznych ruchów, przegięć, żywości *i t. p.*"; że waryatem trzeba być, aby porównywać „małą, chudą kobietę, uszminkowaną niefortunnie, o małych oczkach, dużych zębach i ptasim, piszczącym głosiku" do Sary Bernhard, Réjane'y lub Duse, a „parskającego ustawicznie jak kot" Kawakamiego do wielkiego artysty, jakim jest Mou-

net Sully; że, jednem słowem, zachwyty nad teatrem japońskim to prosta „blaga," albo też — podobnie jak zapatrzenie się prerafaelitów angielskich w „naiwne formy" prymitywów — wyraz „dekadenckiego" nawrotu do... barbarzyństwa.

Uff! — „Zachowaliśmy tedy właściwy sąd krytyczny, gdy inni tonęli w pochwałach i reklamie." Sądy warszawskie zrobiły nawet, zda się, wrażenie na japończykach, gdyż p. Sada-Yako, poznawszy je w tłómaczeniu, „zachowała wprawdzie głębokie milczenie," ale następnych dwu wieczorów „stała dłużej niż zwykle przy otworze w kurtynie." Naturalnie, odezwały się także odosobnione zdania (i my mamy swoich waryatów czy blagierów), że teatr japoński jest „zjawiskiem wysoce artystycznem w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu," że ma on wyraźny „koturnowy charakter," że chodzi w nim nie o żaden realizm fotografujący przejawy życia, lecz „raczej i jedynie o podniesienie tych życiowych przejawów do jakiejś wyższej potęgi," że owe „nieprawdopodobieństwa," tańce, walki fantastyczne są wspaniałą symbolizacyą stanów wewnętrznych, że „całość scen posiada wartość malarską, której nie znaleźć w naszych teatrach," że „Sada-Yakko i Kawakami są szczerymi i wielkimi artystami." Ale w naszem „zdrowem" społeczeństwie takie głosy, na szczęście, przemijają bez echa — i publiczność nietylko poszła za „wpływowymi" krytykami, ale nawet czynnie popierała ich mniemanie na przedstawieniach. Byłem na jednem z ostatnich. To, co na niem ujrzałem, dochodziło do szczytności. Miałem właściwie dwa widowiska: jedno przed sobą, drugie za sobą i naokoło siebie. Na scenie przewijały się baśnie i legendy miłosne i bohaterskie, grano poważnie, z przejęciem i przejmująco, tańczono hieratycznie, rozwiewano w szlachetnie faliste linie fałdy draperyj. W sali widzów odgrywano jednocześnie knajpowo rozbuchaną jakąś farsę, parskano głośno, lepiej od Kawakamiego, w najtragiczniejszych miejscach wybuchano śmiechem, rzucano sobie pachnące „gabinetem" dowcipy, chrypiały bez żenady głosy męzkie, piszczały rozkosznie ptasie sopraniki panieńskie. Wyszedłem nieco oszołomiony.

Co to było takiego? To umiejąca, lepiej od reszty Europy, zachować „właściwy sąd krytyczny," „cywilizowana" Warszawa przypatrywała się „barbarzyńskiej" Japonii.

Okładkę do zeszytu niniejszego narysował Konrad Krzyżanowski.

CHIMERA.

Kazimiera z Jasieńskich Zawistowska,

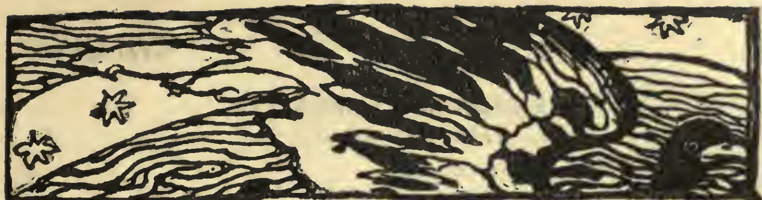
poetka wielkiego, pierwszorzędnego talentu, zmarła w Krakowie d. 28 lutego r. 1902. — Śród pisarzy ostatniego pokolenia, była to jedna z najbardziej udarowanych natur twórczych: królewski przepych wyobraźni wiązał się w niej z dziecięcą prostotą i szczerością; rośna świeżość dziewczęca, „woniejąca stepem, łąkami i borem," — z ogniem namiętności i uniesień mistycznych, którym płonęła „jak sosna w słońcu rozgorzała"; pogoda i słodycz, w których brały początek pieśni „polne i zbożne, kwietne, słoneczne," — z nieukojonym jakimś smętkiem nostalgicznym. Wszystko to — w połączeniu z wysoką kulturą artystyczną, czcią zbożną dla sztuki i surowością wielką względem własnej twórczości — składało się na utwory uderzające przedziwną kobiecością i ogromną mocą uczucia, drgające życiem, krwią, a zarazem odsłaniające głąb' jakąś tajemną, zaświatową, skupione niesłychanie i pełne wnętrznie, a grające barwami, jak owe „szlaki zdobne na marginesach sztywnych psałterzy." — Uzupełniały tę twórczość oryginalną przepyszne tłómaczenia z Baudelaire'a, Vielé-Griffin'a, Mockel'a, Samain'a, Tr. Klingsor'a i innych. Przedsięwzięty w ostatnich czasach przekład wspaniałej tragedyi Saint-Pol-Roux'a: „La dame à la faulx," który mógłby być arcydziełem, śmierć przerwała w samym zaczątku. — Mała liczba tych prac znana jest do dzisiaj nawet wielbicielom talentu ś. p. Zawistowskiej, bo poetka drukowała po czasopismach niewiele i niechętnie, a z ogłoszeniem zbiorku własnego wahała się do ostatniej chwili. Teraz dopiero, zbożna pamięć najbliższych, zabiega około zupełnego wydania puścizny rękopiśmiennej.

Niedośpiewane zgasło młode życie. Ostatnie chronologicznie utwory świadczą, jak olśniewająco rozwijać się jeszcze i potężnieć zaczął talent poetki w chwilach bezpośrednio zgon niespodziany poprzedzających, — i nieodparcie snuje nam się po głowie, kiedy ją wspominamy, ów pełny melancholii niewymownej refren urwanych przedwcześnie i niepowrotnych rzeczy:

Look in my face; my name is Might-have-been;
I am also called No-more... (D. G. ROSSETTI).

Dla pamięci ludzkiej wszakże dość tego, co pozostało. Krótki sen życia ziemskiego przyniósł plon wspaniały — i poetka zmartwychwstanie z chwilą, gdy wydanie zbiorowe miłośnikom go udostępni. To też, u drzwi grobu żegnamy ją z żalem, dobrą, serdeczną, siostrzaną, lecz jednocześnie witamy ją u progu tego nowego — w duszach ludzkich — żywota — —

...in perpetuum, soror, ave atque vale.



SPIS RZECZY,

 UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM III. — 1901.)

RAMON DE CAMPOAMOR
(*przeł.* Antoni Lange)

CHIMERA.

STANISŁAW DĘBICKI.

ANDRZEJ GIDE
(*przeł.* Zenon Przesmycki.)

CH. DR. GRABBE
(*przeł.* Wacław Berent.)

HIROSHIGE
(*przerys.* K. Krzyżanowski.)

JAN KASPROWICZ.

JOHN KEATS
(*przeł.* Jan Kasprowicz.)

STANISŁAW TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZ.

*

JAN LEMAŃSKI.

MARYA MARKOWSKA.

W. MATLAKOWSKI.

JÓZEF MEHOFFER.

MIRIAM.

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

K. NIEMCZYKIEWICZ.

EDWARD OKUŃ.

Z. P.

FELICYAN ROPS.

MARCELI SCHWOB
(przeł. **Zenon Przesmycki.)**

LEOPOLD STAFF.

JAN STANISŁAWSKI.

WASYL STEFANYK
(przełożyli: **Michał Moczulski i Dr. W. M.)**



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro 9 Septembre 1901.

TEXTE: M. Markowska — *Les fils de la Vierge;* V. Berent — *Pourriture;* Th. de Banville — *Choix de poésies;* St. Wyrzykowski — Ἕσπερε, πάντα φέρεις; L. Staff — *La prière avant l'action;* André Gide — *Philoctète;* W. Sterling — *Sonnets;* S. Bytkowski — *le Prophète;* W. Nawrocki — *Sonnets royaux;* Arn. Böcklin — *Confessions;* H. Zbierzchowski — *Sonnets;* M. Zawiejska — *Fragments;* C. Wroczyński — *Strophes.* — *Revue du mois: Glosses, Art moderne, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Aubrey Beardsley: *le Retour de Tannhäuser vers le Venusberg.*

DESSINS DANS LE TEXTE—de Auchentaller, Turbia-Krzyształowicz, Mehoffer, Niemczykiewicz, Okuń.

COUVERTURE de K. Krzyżanowski.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.

Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIĄŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracya otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rb.	6 rb. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.
z przes. pocztową: „ 35 „ „ 17,50 „ 8 „ 75 „
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 9-go rb. 2.

Przedpłatę przyjmuje administracya (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

—

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS (LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.) ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Druk Warszawskiego Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego.